

**Arkadij i Borys Strugaccy**

**Południe XXII wiek**

*Przekład Ewa Skórska*

## Rozdział 1

### Prawie tacy sami

### Noc na Marsie

Gdy rudy piasek pod gąsienicami crawlera opadł, Piotr Aleksiejewicz Nowago wrzucił wsteczny.

– Skacz! – krzyknął do Mandela.

Crawler zadygotał, rozpraszając tumany pyłu i piasku, i zaczął się przewracać. Nowago wyłączył silnik i wyskoczył. Upadł na kolana i nie wstając, odbiegł na bok. Piasek pod nim zapadał się i osuwał, ale udało mu się wydostać na twarde gruntu. Usiadł, podciągając pod siebie nogi.

Zobaczył Mandela, klęczącego na przeciwległym brzegu leja i zasnutą parą rufę crawlera, sterczącego z piasku na dnie. Teoretycznie było niemożliwe, żeby crawlerowi typu „Jaszczurka” zdarzyło się coś podobnego, przynajmniej na Marsie. „Jaszczurka” była lekka i szybka – pięcioosobowa maszyna, odsłonięta platforma na czterech niezależnych gąsienicowych podwoziach. A jednak crawler powoli zsuwał się do czarnej dziury, w której połyskiwała oleście głęboka woda. Z wody buchała para.

– Kawerna – powiedział ochryple Nowago. – Trzeba mieć pecha...

Mandel odwrócił do Nowago twarz zasłoniętą aż po oczy maską tlenową.

– Tak, nie mieliśmy szczęścia – przyznał.

Wiatru nie było. Kłęby pary z kawerny unosiły się prosto w czarno fioletowe niebo, usiane wielkimi gwiazdami. Nisko na zachodzie wisiało słońce – malutka czerwona tarcza nad diunami. Od diun do czerwonej doliny ciągnęły się czarne cienie. Panowała zupełna cisza, słychać było tylko szmer zsypującego się do leja piasku.

– No dobrze – Mandel wstał. – Co robimy? Bo chyba nie damy rady go wyciągnąć – skinął w stronę kawerny. – A może jednak damy?

Nowago pokręcił głową.

– Nie, Łazarzu Grigoriewiczu. Nie wyciągniemy go.

Rozległ się długi, zasysający dźwięk, rufa crawlera znikła, a na czarnej powierzchni wody pojawiło się i pękło kilka pęcherzy.

– Nie wyciągniemy – powtórzył jak echo Mandel. – W takim razie trzeba iść, Piotrze Aleksiejewiczu. Drobiazg, trzydzieści kilometrów. Za jakieś pięć godzin dojdziemy.

Nowago patrzył na czarną wodę, na której już się pojawił cieniutki lodowy wzór. Mandel spojrzał na zegarek.

– Osiemnasta dwadzieścia. Do północy będziemy na miejscu.

– Do północy – powtórzył z powątpiewaniem Nowago. – Właśnie, do północy.

Zostało trzydzieści kilometrów, pomyślał. Z tego dwadzieścia trzeba będzie przejść po ciemku. Wprawdzie mamy okulary na podczerwień, ale i tak nie jest dobrze. Że też musiało się to zdarzyć akurat teraz... Crawlerem zdążylibyśmy przed zmrokiem. Może wrócić do Bazy i wziąć drugi crawler? Do Bazy jest czterdzieści kilometrów, poza tym wszystkie crawlery w terenie... Na plantację dotrzemy dopiero rano, gdy już będzie za późno. Niedobrze!

– To nic, Piotrze Aleksiejewiczu – powiedział Mandel i poklepał się po biodrze, gdzie pod futrzaną kurtką wisiała kabura z pistoletem. – Przejdziemy.

– A gdzie instrumenty? – spytał Nowago.

Mandel obejrzał się.

– Zrzuciłem je... O, są.

Zrobił kilka kroków i podniósł niewielką torbę.

– Są – powtórzył, ścierając z torby piasek rękawem kurtki. Idziemy?

– Idziemy.

Ruszyli.

Przeięli dolinę, wdrapali się na diunę i znowu zaczęli schodzić.

Szło się lekko. Nawet ważącemu ponad osiemdziesiąt kilogramów Nowago razem z butlami tlenu, systemem ogrzewania, w futrzanym ubraniu, z ołowianymi zelówkami i w untach. Tutaj ważył dwukrotnie mniej. Malutki, szczupły Mandel szedł krokiem spacerowym, niedbale wymachując torbą. Piasek był zbity, uleżały, prawie nie było na nim widać śladów.

– Oberwie mi się od Iwanienki za crawler – odezwał się Nowago po długim milczeniu.

– Czy to pańska wina? – zaprotestował Mandel. – Skąd mógł pan wiedzieć, że tu jest kawerna? Za to znaleźliśmy wodę.

– To woda nas znalazła – stwierdził Nowago. – A za crawler i tale oberwę. Już słyszę Iwanienkę: „Za wodę dziękuję, ale maszyny więcej panu nie powierzę”.

Mandel roześmiał się:

– Jakoś to będzie. W końcu wyciągnąć stąd crawler to nie taki znowu problem... Niech pan spojrzy, jaki piękny!

Na grzbiecie niedalekiej wydmy, odwracając do nich straszną trójkątną głowę siedział mimikrodon – dwumetrowy jaszczur, cętkowany, rudy, prawie w kolorze piasku. Mandel rzucił w niego kamieniem, nie trafił. Jaszczur siedział rozkraczony nieruchomy ni(czym skała.

– Piękny, dumny i niewzruszony – zauważył Mandel.

– Irina mówi, że na plantacji jest ich bardzo dużo – powiedział Nowago. – Dokarmia je...

Jednocześnie przyspieszyli kroku.

Wydmy się skończyły. Szli teraz przez płaską solniskową równinę. Ołowiane podeszwy pobrękiwały na zamrożonym piasku. W promieniach białego zachodzącego słońca płonęły wielkie plamy soli, wokół nich, jeżąc długie igły, żółciły się kule kaktusów. Na równinie pełno było tych dziwnych roślin bez korzeni, liści i pni.

– Biedny Sławin – powiedział Mandel. – Pewnie się martwi.

– Ja też się martwię – warknął Nowago.

– No, my jesteśmy lekarzami.

– I co? Pan jest chirurgiem, ja terapeutą. Poród odbierałem raz w życiu, dziesięć lat temu, w najlepszej klinice Archangielska, a za moimi plecami stał profesor...

– To nic, ja odbierałem kilkanaście razy. Nie trzeba się denerwować. Wszystko będzie dobrze.

Pod nogi Mandela wpadła koleczasta kula. Kopnął ją zręcznie, kula zakreśliła w powietrzu długi łuk i potoczyła się, podskakując i łamiąc kolce.

– Uderzenie... i piłka powoli wychodzi na aut – skomentował Mandel. – Mnie niepokoi co innego: jak dziecko będzie się rozwijać w zmniejszonej grawitacji?

– Mnie to akurat zupełnie nie martwi – odezwał się gniewnie Nowago. – Rozmawiałem już z Iwanienką. Można będzie dostosować wirówkę.

– To jest myśl – powiedział Mandel po chwili zastanowienia.

Gdy omijali ostatnie solnisko, coś przenikliwie gwizdnęło i dziesięć metrów od Nowago jedna z żółtych kul wleciała wysoko w górę, zostawiając za sobą strumień

wilgotnego powietrza. Przeleciała nad lekarzami i spadła pośrodku solniska.

– Coś takiego! – krzyknął Nowago.

Mandel zaśmiał się.

– Co za draństwo! – powiedział płaczącym głosem Nowago. Za każdym razem, kiedy idę przez solnisko, jakiś łajdak...

Podbiegł do najbliższej kuli i kopnął ją niezręcznie. Kula wczepiła się kolcami w połe jego kurtki.

– Świństwo! – wysyczał Nowago i nie zatrzymując się, z trudem oderwał kulę najpierw od kurtki, potem od rękawiczek.

Kula spadła na piasek. Jej było obojętne, co się z nią działo. Będzie tak leżeć całkiem nieruchomo, wsysając i magazynując rozrzedzone marsjańskie powietrze, aż nagle wypuści je z ogłuszającym świstem i niczym rakieta przeleci kilkanaście metrów.

Mandel zatrzymał się, popatrzył na słońce i podniósł zegarek do oczu.

– Dziewiętnasta trzydzieści sześć – wymamrotał. – Słońce zajdzie za pół godziny.

– Co pan powiedział, Łazarzu Grigoriewiczu?

Nowago też stanął i obejrzał się na Mandela.

– Beczenie koźlęcia przyciąga tygrysa – powiedział Mandel. Nie mówmy głośno przed zachodem słońca.

Nowago obejrzał się. Słońce wisiało już bardzo nisko. Z tyłu, na równinie, zgasły plamy solnisk. Wydmy pociemniały. Niebo na wschodzie zrobiło się czarne jak chiński tusz.

– Tak – rzekł Nowago rozglądając się. – Lepiej być cicho. Podobno ona ma doskonały słuch.

Mandel zamrugał oszronionymi rzęsami i wyciągnął z kabury ciepły pistolet. Szczęknął zamkiem i wsunął broń za cholewę prawego buta. Nowago wyjął swój pistolet i umieścił go za cholewą lewego buta.

– Strzela pan lewą? – spytał Mandel.

– Tak.

– To dobrze.

– Tak, podobno.

Popatrzyli na siebie, ale nad maską i poniżej futrzanej lamówki kaptura nic już nie było widać.

– Chodźmy – rzekł Mandel.

– Chodźmy, Łazarzu Grigoriewiczu. Tylko gęsiego.

– Dobrze – zgodził się wesoło Mandel. – Ja przodem.

Pierwszy szedł Mandel, z torbą w lewej ręce, pięć metrów za nim Nowago. Jak szybko się ściemnia, myślał Nowago. Zostało jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów. Może trochę mniej. Dwadzieścia pięć kilometrów przez pustynię w kompletnych ciemnościach... I w każdej sekundzie ona się może na nas rzucić. Zza tej wydmy na przykład.

Albo zza tamtej. Wzdrygnął się. Trzeba było wyjechać z rana. Ale kto wiedział, że na trasie jest kawerna? Wyjątkowy pech. Tak czy owak, trzeba było wyjechać rano. Albo jeszcze wczoraj, razem z samochodem terenowym, który zawiózł na plantację pieluszki i aparaturę. Ale nie, przecież Mandel wczoraj operował. Ściemnia się. Mark pewnie nie może sobie znaleźć miejsca. Pewnie co chwila będzie na wieżę popatrzeć, czy nie jada długo wyczekiwani lekarze. A długo wyczekiwani lekarze wloką się piechotą przez nocną pustynię. Inna go uspokaja, ale też się pewnie denerwuje. To ich pierwsze dziecko, a prócz tego pierwsze dziecko urodzone na Marsie, pierwszy Marsjanin... Irina to zdrowa i zrównoważona

kobieta. Wspaniała kobieta! Ale na ich miejscu nie decydowałbym się tu na dziecko. No nic, wszystko będzie dobrze. Żeby nas tylko coś nie zatrzymało...

Nowago przez cały czas patrzył w prawo, na szarzące w oddali grzbiety wydmy. Mandel też patrzył w tamtą stronę i dlatego nie od razu zauważyli tropiciele. Było ich dwóch i zjawili się z lewej strony.

– Ahoj, przyjaciele! – krzyknął wyższy.

Drugi, niższy, niemal kwadratowy, zarzucił karabin na ramię i pomachał ręką.

Nowago westchnął z ulgą.

– To przecież Opanasienko i Kanadyjczyk Morgan. Hej, towarzysze! – zawołał radośnie.

– Co za spotkanie! – powiedział, podchodząc, wysoki Humphrey Morgan. – Dobry wieczór, doktorze. – Uścisnął rękę Mandelowi. – Dobry wieczór, doktorze – powtórzył, podając dłoń Nowago.

– Witajcie, towarzysze – zahuczał Opanasienko. – Skąd się tu wzięliście?

Zanim Nowago zdążył odpowiedzieć, Morgan nieoczekiwanie oznajmił:

– Dziękuję, zagoiło się – i znowu wyciągnął dłoń do Mandela.

– Co? – spytał osłupiały Mandel. – Aaa... to się cieszę.

– O nie, jeszcze jest w obozie – powiedział Morgan. – Ale on też już prawie zdrowy.

– Czemu pan mówi takie dziwne rzeczy, Morgan? – Zapytał zbity z tropu Mandel.

Opanasienko złapał Morgana za brzeg kaptura, przyciągnął do siebie i krzyknął mu do samego ucha:

– Nic z tego, Humphrey! Przegrałeś!

Odwrócił się do lekarzy i wyjaśnił, że godzinę temu Kanadyjczyk przypadkowo uszkodził w nausznikach membrany słuchowe.

Teraz nic nie słyszy, ale zapewnia, że może się doskonale obejść w marsjańskiej atmosferze bez pomocy techniki akustycznej.

– Mówi, że i tak wie, co ludzie mogą mu powiedzieć. Założyliśmy się i przegrał. Teraz będzie pięć razy pod rząd czyścił mój karabin.

Morgan się roześmiał i oznajmił, że Gała z Bazy nie ma tu nic do rzeczy. Opanasienko machnął beznadziejnie ręką i spytał:

– Idziecie na plantację, na biostację?

– Tak – odparł Nowago. – Do Sławinów.

– Słusznie – przyznał Opanasienko. – Czekają na Was. A dlaczego piechotą?

– Coś podobnego! – zawołał zawiedziony Morgan. – Zupełnie nic nie słyszę!

Opanasienko przyciągnął go do siebie i krzyknął:

– Poczekaj, potem ci opowiem!

– *Good* – zgodził się Morgan. Odszedł na bok, rozejrzał się i ściągnął z ramienia karabin. Tropiciele mieli ciężkie dwururki, automaty z magazynkiem na dwadzieścia pięć wybuchowych kul.

– Utopiliśmy crawler – wyjaśnił Nowago.

– Gdzie? – spytał szybko Opanasienko. – Kawerna?

– Kawerna. Na trasie, mniej więcej czterdziesty kilometr.

– Kawerna! – zawołał radośnie Opanasienko. – Słyszysz, Humphrey? Jeszcze jedna kawerna!

Morgan stał do nich plecami i kręcił głową, patrząc na ciemniejące wydmy.

– Dobra – powiedział Opanasienko. – To później. A więc utopiliście crawler

i postanowiliście iść na piechotę? A broń macie?

– No pewnie. – Mandel poklepał się po nodze.

– Taak – rzekł Opanasienko. – Trzeba was będzie odprowadzić. Humphrey! Do licha, nie słyszy...

– Niech pan poczeka – powiedział Mandel. – A po co?

– Ona gdzieś tu jest – wyjaśnił Opanasienko. – Widzieliśmy ślady.

Mandel i Nowago popatrzyli na siebie.

– Pan, Fiodorze Aleksandrowiczu, wie najlepiej – odezwał się niepewnie Nowago. – Ale sądziłem... w końcu jesteśmy uzbrojeni...

– Wariaci – rzekł z przekonaniem Opanasienko. – U was w Bazie wszyscy są, za przeproszeniem, niespełna rozumu. Ostrzegamy, tłumaczymy, a tu proszę. Nocą. Przez pustynię. Z pistoletem. Co, mało wam Chlebnikowa?

Mandel wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem, w tej sytuacji... – zaczął, ale Morgan syknął „Cicho!” Opanasienko błyskawicznie zerwał z ramienia karabin i stanął obok Kanadyjczyka.

Nowago cicho sapnął i wyciągnął z buta pistolet.

Słońce już się prawie schowało – nad czarnymi poszarpanymi sylwetkami diun świecił tylko wąski, żółtozielony pasek. Niebo było czarne, pełne gwiazd. Ich blask oświetlał lufy karabinów; było widać, jak lufy powoli przesuwają się w prawo i w lewo.

Potem Humphrey powiedział:

– Pomyłka. Proszę o wybaczenie.

Wszyscy od razu się odprężyli. Opanasienko krzyknął do ucha Morganowi:

– Humphrey, oni idą do biostacji, do Iriny Wiktorowny! Musimy ich odprowadzić!

– *Good*. Idę – powiedział Morgan.

– Idziemy razem! – krzyknął Opanasienko.

– *Good*. Idziemy razem.

Lekarze cały czas trzymali w rękach pistolety. Morgan odwrócił się do nich i zawołał:

– To niepotrzebne! Schowajcie broń!

– Tak, schowajcie – poparł go Opanasienko. – Nawet nie próbujcie strzelać. I włóżcie okulary.

Tropiciele byli już w okularach na podczerwień. Mandel wstydliwie wsunął pistolet do głębokiej kieszeni kurtki i przełożył torbę do drugiej ręki. Nowago po chwili wahania wsunął swój za cholewę buta.

– Idziemy – ponaglił Opanasienko. – Zaprowadzimy was nie trasą, ale prosto, przez wykopki. Będzie bliżej.

Teraz przodem, po prawej stronie Mandela szedł Opanasienko z karabinem pod pachą; z tyłu, obok Nowago, kroczył Morgan. Karabin na długim rzemieniu wisiał mu na szyi. Opanasienko szedł szybko, ostro skręcając na zachód.

W okularach wydmy wydawały się czarno-białe, a niebo szare i puste. Pustynia szybko stygła i rysunek stawał się coraz mniej kontrastowy, jakby zasnuwała go mgła. Albo dym.

– Dlaczego tak was ucieszyła nasza kawerna, Fiodorze Aleksandrowiczu? – spytał Mandel. – Woda?

– Jasne – odparł Opanasienko, nie odwracając się. – Po pierwsze, woda, a po drugie, w jednej kawernie znaleźliśmy oblicowane płyty.

– Ach tak – bąknął Mandel. – Rzeczywiście.

– W naszej znajdziecie cały crawler – warknął posępnie Nowago.

Opanasienko nagle gwałtownie skręcił, omijając równy piaszczysty placyk. Na brzegu stała żerdź z chorągiewką.

– Grząsko – mruknął z tyłu Morgan. – Bardzo niebezpiecznie.

Grząskie piaski były prawdziwym przekleństwem. Miesiąc temu utworzono specjalny oddział zwiadowców-ochotników, którzy mieli odszukać i oznakować wszystkie grząskie działki w okolicach Bazy.

– Chyba Hasegawa udowodnił – odezwał się Mandel – że wygląd tych płyt można również wyjaśnić przyczynami naturalnymi.

– Tak – potwierdził Opanasienko. – W tym rzecz.

– A wy... znaleźliście coś ostatnio? – spytał Nowago.

– Nie. Na wschodzie znaleźli naftę i bardzo interesujące skamienieliny. A z naszej dziedziny nic.

Jakiś czas szli w milczeniu. Mandel odezwał się wreszcie:

– Chyba nie ma w tym nic dziwnego. Na Ziemi archeolodzy mają do czynienia z pozostałościami kultury, która ma najwyżej tysiąc lat. A tutaj... dziesiątki milionów. Byłoby nawet dziwne...

– Przecież się nie skarżymy – wytłumaczył Opanasienko. – Tym bardziej że zaraz na początku dostaliśmy tłusty kasek: dwa sztuczne satelity. Nawet nie musieliśmy kopać. A poza tym – dodał po chwili milczenia – szukanie jest nie mniej interesujące niż znajdowanie.

– Tym bardziej – dodał Mandel – że oswojony przez nas teren jest na razie tak mały...

Potknął się i omal nie upadł. Morgan powiedział półgłosem:

– Piotrze Aleksiejewiczu, Łazarzu Grigoriewiczu, podejrzewam, że cały czas rozmawiacie. A naprawdę nie można. Fiodor potwierdzi.

– Humphrey ma rację – powiedział tonem winowajcy Opanasienko. – Lepiej się nie odzywajmy.

Minęli grupę wydm i zeszli do doliny, gdzie w blasku gwiazd słabo migotały solniska.

Znowu, pomyślał Nowago. Znowu te kaktusy. Po raz pierwszy widział kaktusy nocą, przez okulary – przekonał się, że świecą równym, dość mocnym blaskiem. Po całej dolinie porozrzucane były jasne plamy. Bardzo ładnie, pomyślał Nowago. Może nocą nie skaczą. To by była przyjemna niespodzianka. I bez tego nerwy mam w strzępach. Opanasienko powiedział, że ona gdzieś tutaj jest. Gdzieś tutaj... Nowago spróbował sobie wyobrazić, jak by się teraz czuli bez tej osłony z prawej strony, bez tych spokojnych ludzi z ciężkimi śmiertcionośnymi armatami utrzymanymi w pogotowiu. Spóźniony strach przebiegł mu dreszczem po skórze, jakby mróz przeniknął pod odzież i dotknął nagiego ciała. Z pistoletami wśród nocnych diun... Ciekawe, czy Mandel umie strzelać, pomyślał. Na pewno, tyle lat pracował na stacjach arktycznych. Zresztą, wszystko jedno... Że też nie pomyślałem, żeby wziąć broń z Bazy. Dureń! Ładnie byśmy teraz wyglądali bez tropicieli... Fakt, o broni nie było kiedy myśleć. Teraz też powinienem myśleć o czym innym: o tym, co będzie, jak dojdziemy do biostacji. To ważniejsze. To teraz najważniejsze, ważniejsze od wszystkiego.

Zawsze atakuje z prawej strony, myślał Mandel. Wszyscy mówią, że atakuje tylko z prawej. Nie wiadomo dlaczego. I nie wiadomo, dlaczego w ogóle atakuje. Jakby przez ostatni milion lat niczym innym się nie zajmowała, tylko atakowaniem z prawej strony ludzi, którzy nieostrożnie oddalili się od Bazy na piechotę. To jasne, dlaczego się oddalili. I można sobie wyobrazić, dlaczego nocą. Ale dlaczego na ludzi i dlaczego z prawej strony? Czyżby na Marsie były kiedyś dwunożne stworzenia, które łatwo dostać z prawej strony albo nie da się atakować z lewej? W takim razie gdzie one się podziały? Przez pięć lat kolonizacji Marsa nie

spotkaliśmy zwierząt większych od mimikrodonów. Nawet ona pojawiła się dopiero dwa miesiące temu. Przez dwa miesiące osiem napaści. I nikt jej porządnie nie obejrzał, bo atakuje tylko nocą. Ciekawe, czym jest. Chlebnikow miał rozerwane prawe płuco, trzeba było wstawiać sztuczne, i złamane dwa żebra. Sądząc po ranie, ona ma niezwykle skomplikowany aparat gębowy. Przynajmniej osiem szczęk z tnącymi blaszkami, ostrymi jak brzytwa. Chlebnikow pamięta tylko długie lśniące ciało, pokryte odrażającymi włosami. Skoczyła na niego zza wydmy, z odległości trzydziestu metrów... Mandel rozejrzał się szybko. Mało brakowało, żebyśmy teraz szli we dwóch... – pomyślał. Ciekawe, czy Nowago umie strzelać? Na pewno umie, pracował w tajdze z geologami. Dobrze wymyślone z tą wirówką. Siedem, osiem godzin normalnegociążenia zupełnie chłopcu wystarczy. Zresztą, dlaczego chłopcu? A może to będzie dziewczynka? Byłoby nieźle, dziewczynki lepiej znoszą odchylenia od normy...

Dolina z solniskami została z tyłu. Po prawej stronie ciągnęły się teraz długie, wąskie rowy i piramidalne kupy piasku. W jednym z rowów stała koparka z posępnie zwieszoną łyżką.

Koparkę trzeba stąd zabrać, pomyślał Opanasienko. Po co tu stoi? Niedługo zaczną się burze. Wezmę ją w drodze powrotnej. Szkoda, że jest taka powolna... po wydmach najwyżej pięć kilometrów na godzinę. Ale i tak dobrze... Nogi boją, zrobiliśmy dzisiaj z Morganem z pięćdziesiąt kilometrów. W obozie będą się niepokoić. No nic, puścimy radiogram z biostacji. Nie wiadomo zresztą, co zastaniemy w biostacji! Biedny Sławin. Ale co za radość – pierwszy maluch na Marsie!

Wreszcie ktoś będzie mógł powiedzieć: „Urodziłem się na Marsie”. Żeby się tylko nie spóźnić! Opanasienko przyspieszył kroku. Ech, ci lekarze, pomyślał. To widać prawda, że mają w nosie zasady. Dobrze, że ich spotkaliśmy. W Bazie najwidoczniej nie zdają sobie sprawy, co to znaczy pustynia nocą. Dobrze by było wprowadzić patrole, a najlepiej zrobić obławę. Na wszystkich crawlerach i łazikach Bazy.

Humphrey Morgan, zanurzony w martwej ciszy, ścisnął karabin, przez cały czas patrząc w prawo. Myślał o tym, że w obozie oprócz dyżurnego zaniepokojonego ich nieobecnością wszyscy już pewno śpią; że jutro trzeba będzie poprowadzić grupę do kwadratu E-11; że teraz przez pięć wieczorów pod rząd będzie czyścił Fiodor's gun, a jeszcze musi naprawić aparat słuchowy. Potem pomyślał, że lekarze to dzielni i odważni ludzie, a Irina Sławina też jest bardzo dzielna. Przypomniała mu się Gala, radiooperatorka w Bazie i ze smutkiem pomyślał, że jak się spotykają, zawsze pyta go o Hasegawę, który ostatnio też coraz częściej przychodzi do Bazy. Trudno zaprzeczyć, że Japończyk jest wspaniałym towarzyszem i mądrym człowiekiem. To on pierwszy podsunął myśl, że polowanie na „latającą pijawkę” (*Sora-tobu chiru*) jest bezpośrednio związane z zadaniami tropicieli, ponieważ może naprowadzić ludzi na ślad marsjańskich dwunożnych. Właśnie, ci dwunożni... Żeby zbudować dwa gigantyczne satelity i nie zostawić żadnych innych śladów...

Opanasienko nagle się zatrzymał i podniósł rękę. Wszyscy stanęli, a Humphrey Morgan podrzucił karabin i błyskawicznie odwrócił się w prawo.

– Co się stało? – spytał Nowago, starając się mówić spokojnie.

Miał ochotę wyciągnąć pistolet, ale się wstydził.

– Jest tutaj – powiedział niegłośno Opanasienko i pomachał ręką Morganowi.

Morgan podszedł i obaj nachyleni wpatrzyli się w piasek. W ubitej nawierzchni widać było niezbyt głęboką koleinę, jakby ciągnięto ciężki worek. Koleina zaczynała się pięć metrów z prawej strony i kończyła piętnaście metrów z lewej.



– Po wszystkim – rzekł Opanasienko. – Wyśledziła nas i idzie za nami.

Przeszedł przez koleinę, poszli dalej. Nowago zauważył, że Mandel znowu przełożył torbę do lewej ręki, a prawą wsunął do kieszeni kurtki. Uśmiechnął się pod nosem, ale było mu nie do śmiechu. Bał się.

– Cóż – odezwał się Mandel nienaturalnie wesołym głosem. Skoro już nas wyśledziła, to możemy chyba porozmawiać?

– Możemy – zgodził się Opanasienko. – Gdy skoczy, padnijcie twarzą do ziemi.

– Po co? – spytał z urazą Mandel.

– Leżącego nie ruszy – wyjaśnił Opanasienko.

– Ach tak, prawda.

– Jeszcze tylko drobiazg – warknął Nowago. – Wiedzieć, kiedy skoczy.

– Zauważycie – odparł Opanasienko. – Zaczniemy strzelać.

– Ciekawe – zastanowił się Mandel. – Czy ona napada na mimikrodony, gdy stoją słupkiem na ogonie i tylnych łapach? Właśnie! – zawołał. – Może ona bierze nas za mimikrodony?

– Mimikrodonów nie trzeba tropić i atakować z prawej strony – odrzekł Opanasienko lekko rozdrażniony. – Wystarczy do nich podejść i jeść, zaczynając od ogona albo od głowy, wedle życzenia.

Kwadrans później znowu przecięli koleinę, po kolejnych dziesięciu minutach jeszcze jedną. Mandel zamilkł. Teraz już nie wyjmował prawej ręki z kieszeni.

– Skoczy za jakieś pięć minut – w głosie Opanasienki dało się wyczuć napięcie. – Teraz jest po naszej prawej stronie.

– Ciekawe – odezwał się cichutko Mandel. – Czy gdybyśmy szli tyłem, też skoczyłaby z prawej strony?

– Bądź pan cicho, Łazarzu Grigoriewiczu – powiedział przez zęby Nowago.

Skoczyła po trzech minutach. Pierwszy strzelił Morgan. Nowago zadzwoniło w uszach; zobaczył podwójny wybuch wystrzału, proste jak promienie ślady dwóch torów i białe gwiazdy eksplozji na grzbiecie wydmy. Sekundę później strzelił Opanasienko. Bach, bach, bach, ba bach! – rozległ się łoskot wystrzałów. Słysząc było jak pociski z tęnym trzaskiem wybuchają w piasku. Przez chwilę Nowago miał wrażenie, że widzi wyszczerzoną mordę z wytrzeszczonymi oczami, ale rozbłyki wybuchów i tory już się przemieściły, a on zrozumiał, że się pomylił. Coś długiego i szarego przemknęło wysoko nad wydмами, przecinając gasnące nici torów pocisków. Dopiero wtedy Nowago rzucił się na piasek. Mandel klęczał na jednym kolanie, trzymając pistolet w wyciągniętej ręce i pospiesznie opróżniając magazynek gdzieś pomiędzy Morganem i Opanasienką. Bach ba bach, bach ba bach! – grzmiały karabiny. Teraz tropiciele strzelali po kolei. Nowago zobaczył, jak wysoki Morgan na czworakach wdrapuje się na wydmę i upada, jak jego ramiona trzęsą się od wystrzałów. Opanasienko strzelał z kolana; białe rozbłyki raz za razem oświetlały jego czarne okulary i czarny kaganiec maski tlenowej.

Zapadła cisza.

– Przepędziliśmy ją – oznajmił Opanasienko, wstając i otrzepując piasek z kolan. – Zawsze tak jest, jeśli się w porę otworzy ogień, ona odskakuje w bok i ucieka.

– Raz ją trafiłem – powiedział głośno Humphrey Morgan. Było słysząc, jak z brzękiem wyciąga pusty magazynek.

– Przyjrzałeś się jej? – spytał Opanasienko. – No tak, przecież on nie słyszy.

Nowago, stękając, wstał i popatrzył na Mandela. Mandel podwinął połę kurtki i wciskał

pistolet do kabury. Nowago powiedział:

– No wie pan, Łazarzu Grigoriewiczu...

Mandel zakaszlał zakłopotany.

– Zdaje się, że nie trafiłem – powiedział. – Porusza się z niesamowitą prędkością.

– Barrrdzo się cieszę, że pan nie trafił – rzekł ostro Nowago. Tu było zbyt wiele celów!

– Ale widział ją pan, Piotrze Aleksiejewiczu? – spytał Mandel. Nerwowo pocierał ręce w futrzanych rękawiczkach. – Przyjrzał się pan?

– Szara i długa jak szczupak.

– I nie ma kończyn! – zawołał podekscytowany Mandel. – Doskonale widziałem, że nie ma kończyn! Moim zdaniem, nie ma również oczu!

Tropiciele podeszli do lekarzy.

– W takiej ciemności – odezwał się Opanasienko – łatwo wyliczyć, czego jeszcze nie ma. Znacznie trudniej zauważyć, co ma – roześmiał się. – Dobrze, towarzysze. Najważniejsze, że odbiliśmy atak.

– Pójdę poszukać ciała – rzekł niespodziewanie Morgan. – Raz ją trafiłem.

Opanasienko odwrócił się do niego.

– Co mówiłeś, Fiodor? – spytał Morgan.

– W żadnym wypadku – powiedział Nowago.

Opanasienko chwycił wpół Morgana i krzyknął:

– Nie, Humphrey! Nie ma czasu! Poszukamy jutro, razem, w drodze powrotnej.

Mandel popatrzył na zegarek.

– Oho! Już piętnaście po dziesiątej. Jak długo jeszcze będziemy szli, Fiodorze Aleksandrowiczu?

– Najwyżej dziesięć kilometrów. Na dwunastą będziemy na miejscu.

– Doskonale – powiedział Mandel. – A gdzie moja torba? Obrócił się w miejscu. – A, jest...

– Pójdziemy tak, jak poprzednio – rzekł Opanasienko. – Wy z lewej strony. Może jest tu jeszcze jedna...

– Teraz nie ma się już czego bać – mruknął Nowago. – Łazarz Grigoriewicz ma pusty magazynek.

Szli tak jak wcześniej. Nowago pięć metrów za Mandelem, przed nim z lewej strony Opanasienko z karabinem pod pachą, z tyłu po prawej Morgan z karabinem na szyi.

Opanasienko cały czas myślał, że tak dłużej być nie może. Niezależnie od tego, czy Morgan zabił tą gadzinę, czy nie, pojutrze trzeba pójść do Bazy i zorganizować obławę. Na wszystkich crawlerach i łazikach, z bronią, dynamitem i raketami... Uśmiechnął się, bo przyszedł mu do głowy argument dla swarliwego Iwanienki. Powie mu: „Na Marsie pojawiły się dzieci, pora oczyścić planetę z wszelkiej gadziny”.

Co za noc, pomyślał Nowago. Nie gorsza od tych, kiedy błądziłem po tajdze. A przecież to, co najważniejsze, jeszcze się nie zaczęło i nie skończy się wcześniej niż o piątej rano. O piątej, no, może o szóstej chłopak już będzie krzyczał na całą planetę. Żeby tylko Mandel nie zawiódł. Na pewno nie zawiedzie. Tatuś Mark Sławin może być spokojny. Za kilka miesięcy cała baza będzie nosić chłopaka na rękach i powtarzać: „A kto to taki malutki? Kto taki pulchniutki?” Trzeba tylko bardzo dokładnie przemyśleć sprawę z wirówką. A w ogóle, to najwyższa pora ściągnąć z Ziemi dobrego pediatrę. Szkoda, że następny statek będzie dopiero za rok.

Nowago nie miał wątpliwości, że urodzi się właśnie chłopak.

Bardzo lubił chłopców, których można nosić na rękach, od czasu do czasu pytając: „A kto to taki malutki?”

### **Prawie tacy sami**

Za chwilę mieli ich wezwać. Siedzieli na korytarzu, na parapecie przed drzwiami. Sierioża Kondratiew machał nogami, a Panin wykręcał krótką szyję, patrząc przez okno na park, gdzie na boisku do siatkówki skakały dziewczyny z wydziału zdalnego sterowania.

Sierioża Kondratiew podsunął pod siebie dłonie i patrzył na drzwi, na błyszczącą czarną tabliczkę z napisem: „Wielka wirówka”. Wyższa Szkoła Kosmogacji składa się z czterech wydziałów; trzy z nich mają sale treningowe opatrzone tabliczkami z takim napisem. Zawsze się człowiek denerwuje, jak go mają wezwać do Wielkiej Wirówki. Panin na przykład gapi się na dziewczyny wyłącznie po to, żeby nie dać po sobie poznać, że się denerwuje. A Panin ma przecież najzwyczajniejszy trening.

– Dobrze grają – powiedział Panin basem.

– Dobrze – przyznał Sierioża nie odwracając się.

– Czwórka ma wspaniałą serw.

– Tak – Sierioża wzruszył ramionami, ale się nie odwrócił. On też miał dobry serw.

Panin spojrzał na Sieriożę, potem na drzwi i powiedział:

– Dzisiaj cię stąd wyniosą.

Sierioża nie odezwał się.

– Nogami do przodu – dodał Panin.

– Jasne – burknął Sierioża. – Za to ciebie na pewno nie wyniosą.

– Spokojnie, sportsmenie – powiedział Panin. – Sportowiec powinien być spokojny, opanowany i zawsze gotów.

– Jestem spokojny.

– Ty jesteś spokojny? – Panin pchnął go w pierś sztywnym palcem. – Cały wibrujesz. Trzęsiesz się jak maluch na starcie. Przykro patrzeć, jak drżysz.

– To nie patrz – poradził Sierioża. – Patrz lepiej na dziewczyny, dobry serw i te rzeczy.

– Jesteś nieprzyzwoity – powiedział Panin i popatrzył w okno.

– Piękne dziewczyny! I wspaniale grają.

– No to sobie patrz. I staraj się przy tym nie szczekać zębami.

– Ja szczekam zębami? – zdumiał się Panin. – To ty!

Sierioża nie odpowiedział.

– Ja mogę szczekać zębami – dodał Panin po chwili namysłu. – Nie jestem sportowcem. – Westchnął i popatrzył na drzwi. – Żeby już szybciej wezwali...

– Po lewej stronie, w końcu korytarza pojawił się starosta drugiego roku Grisza Bystrow w kombinezonie. Zbliżał się powoli, przesuwając palcem po ścianie. Twarz miał zamyśloną. Zatrzymał się przed Kondratiewem i Paninem i odezwał się smutnym głosem:

– Dzień dobry.

Sierioża skinął głową, Panin rzucił pobłażliwie:

– Dzień dobry, Grigorij. Czy ty wibrujesz przed centryfugą, Grigorij?

– Tak – odparł Grisza Bystrow. – Trochę.

– A widzisz – powiedział Panin do Sierioży. – Grigorij denerwuje się tylko trochę. A przecież Grigorij to maluch.

Maluchami nazywano w szkole studentów młodszych roczników.

Grisza westchnął i też usiadł na parapecie.

– Sierioża – odezwał się – to prawda, że dzisiaj próbujesz na ośmiokrotnej?

– Tak – odparł Sierioża. Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę, ale nie chciał urazić Bystrowa. – Oczywiście, jeśli pozwolą – dodał.

– Na pewno pozwolą – powiedział Grisza.

– Rzeczywiście, próba na ośmiokrotnej! – zawołał Panin lekceważąco.

– A ty już próbowałeś? – zapytał z zainteresowaniem Grisza.

– Nie – odparł Panin. – Ale ja nie jestem sportowcem.

– A może spróbujesz? – zapytał Sierioża. – Teraz, zaraz, razem ze mną? Co?

– Jestem prostoduszny facet – odparł Panin. – Jest norma. Za normę uważa się pięciokrotne przeciążenie. Mój nieskomplikowany organizm nie znosi niczego, co przekracza normę. Kiedyś próbował sześciokrotną i wynieśli go w siódmej minucie. Razem ze mną.

– Kogo wynieśli? – nie zrozumiał Grisza.

– Mój organizm – wyjaśnił Panin.

– Aha – Grisza uśmiechnął się słabo. – A ja jeszcze nie doszedłem do pięciokrotnej.

– Na drugim roku nie trzeba – rzekł Sierioża. Zeskoczył z parapetu i zaczął robić przysiady to na lewej, to na prawej nodze.

– Idę – Grisza też zeskoczył z parapetu.

– Co się stało, starosto? Czemuś taki smutny? – spytał Panin.

– Ktoś wykręcił numer z Kopyłowem – wyjaśnił ze smutkiem Grisza.

– Znowu? – zdziwił się Panin. – A jaki numer?

Wala Kopyłow z drugiego roku był znany na wydziale ze swojej namiętności do techniki liczącej. Niedawno w jednej z sal ustawiono nową, bardzo dobrą falowodową maszynę obliczeniową LANTO i Wala spędzał przy niej każdą wolną chwilę. Sterczałby przy niej przez całe noce, ale nocami prowadzono wyliczenia dla dyplomantów i Walentyna bezlitośnie wyganiano.

– Któryś z naszych zaprogramował list miłosny – powiedział Grisza. – Teraz LANTO w ostatnim cyklu dodaje: „Bez Kopytowa życie nie to, kocham, pozdrawiam, LANTO”. W zwykłym kodzie literowym.

– Pozdrawiam, LANTO – powtórzył Sierioża, masując sobie ramiona. – Poeci. Zabić takich, żeby się dłużej nie męczyli.

– Pomyśleć tylko – odezwał się Panin. – Strasznie te maluchy teraz wesołe.

– I dowcipne – zauważył Sierioża.

– Mnie to mówicie? – westchnął Grisza Bystrow. – Powiedźcie raczej tym idiotom. Dzisiaj w nocy Kan robił kalkulację i zamiast wyniku dostał pozdrowienia od LANTO. Teraz mnie wzywa.

Teodor Kan, zwany Żelaznym Kanem, był naczelnikiem wydziału nawigacji.

– Masz przed sobą interesujące pół godziny – zauważył Panin.

– Żelazny Kan to bardzo energiczny rozmówca.

– Żelazny Kan to wielki esteta – dodał Sierioża. – Nie zniesie starosty, którego kursanci nie umieją sklecić dwóch zdań.

– Jestem prostoduszny facet... – zaczął znowu Panin, ale w tym czasie drzwi się uchyliły i wysunęła się głowa dyżurnego.

– Kondratiew, Panin, przygotować się – powiedział dyżurny.

Panin zamilkł i obciągnął bluzę.

– Idziemy – powiedział.

Kondratiew skinął Griszy głową i wszedł za Paninem do sali treningowej. Sala była ogromna; pośrodku lśniła czterometrowa dźwignia wahadłowa na grubej sześciennej podstawie – Wielka Wirówka. Dźwignia się obracała. Kabiny na jej końcach, pchane siłą odśrodkową, leżały niemal poziomo. Okien w kabinach nie było, kursantów obserwowano ze środka podstawy za pomocą systemu luster. Kilku kursantów, odpoczywających pod ścianą na ławce z zadartymi głowami, obserwowało poruszające się kabiny.

– Czterokrotne – powiedział Panin, patrząc na kabiny.

– Pięciokrotne – poprawił Kondratiew. – Kto tam teraz jest?

– Nguen i Gurgenidze – odparł dyżurny.

Przyniósł dwa skafandry do przeciążeń, pomógł Paninowi i Kondratiewowi je włożyć i zasnurował. W takim stroju człowiek przypominał kokon jedwabnika.

– Poczekajcie – powiedział dyżurny i podszedł do podstawy.

Raz w tygodniu każdy kursant kręcił się na odśrodkowej instalacji, przyzwyczajając się do przeciążeń. Raz w tygodniu przez godzinę, całe pięć lat. Trzeba było siedzieć, słuchać jak trzeszczą kości, czuć, jak szerokie pasy wpijają się przez gruby materiał skafandra w obwisłe ciało, zauważać jak trudno mrugać, bo powieki stają się bardzo ciężkie. A przy tym każą rozwiązywać jakieś nieciekawe zadania albo tworzyć standardowe programy do maszyn obliczeniowych, co wcale nie jest łatwe, chociaż i zadania, i programy są znane jeszcze z pierwszego roku. Niektórzy kursanci wytrzymywali siedmiokrotne przeciążenia, inni odpadali przy potrójnych i przenoszono ich na wydział zdalnego sterowania.

Obroty dźwigni stały się wolniejsze, kabiny zawisły w pionie.

Z jednej wyszedł chudy, smagły Nguen Fu Dat; stanął, przytrzymując się otwartych drzwiczek. Z drugiej kabiny wypadł bezwładnie Gurgenidze. Kursanci zerwali się z ławy, ale dyżurny już pomagał mu wstać. Gurgenidze usiadł, opierając się rękami o podłogę.

– Więcej życia, Lowa! – krzyknął jeden z kursantów.

Wszyscy się zaśmiali prócz Panina.

– To nic, chłopaki – powiedział ochryple Gurgenidze i wstał. Głupstwo! – Pomasował zastygłe mięśnie twarzy. – Głupstwo! – powtórzył.

– Oho, wyniosą cię, sportsmenie, wyniosą! – powiedział Panin niegłośnie, ale z naciskiem.

Kondratiew udał, że nie słyszy. Jeśli mnie dziś wyniosą, pomyślał, to wszystko przepadło. Nie mogą mnie dzisiaj wynieść. Nie powinni.

– Troszkę za tęgi – powiedział. – Grubasy źle znoszą przeciążenia.

– Schudnie – powiedział Panin. – Jak zechce, to schudnie.

Panin stracił sześć kilo, zanim nauczył się znosić pięciokrotne przeciążenia, zgodne z normą. To była straszna męka, ale bardzo nie chciał iść do ZD. Chciał zostać nawigatorem.

W podstawie otworzył się luk, wyszedł instruktor w białym fartuchu i zabrał Nguenowi i Gurgenidze kartki z notatkami.

– Kondratiew i Panin gotowi? – spytał.

– Gotowi – powiedział dyżurny.

Instruktor przebiegł wzrokiem po kartkach.

– Tak – powiedział. – Nguen i Gurgenidze są wolni. Zaliczone.

– A to ci dopiero – odezwał się Gurgenidze. Od razu zaczął lepiej wyglądać. – To znaczy, że ja też mam zaliczenie?

– Pan też – odrzekł instruktor.

Gurgenidze z wrażenia dostał czkawki. Wszyscy znowu się roześmiali, nawet Panin.

Gurgenidze był speszony. Nguen Fu Dat też się śmiał, rozsznurowując skafander. Najwidoczniej czuł się doskonale.

– Panin i Kondratiew do kabin – odezwał się instruktor.

– Witaliju Jefremowiczu... – zaczął Kondratiew.

– A tak... – na twarzy instruktora pojawiło się zakłopotanie. Bardzo mi przykro, Siergiej, ale lekarz zabronił panu przeciążeń ponad normę. Na razie.

– Jak to? – spytał przestraszony Kondratiew.

– Zabronił kategorycznie.

– Ale przecież już się oswoiłem z siedmiokrotnymi.

– Bardzo mi przykro, Siergiej – powtórzył instruktor.

– To jakaś pomyłka – powiedział Kondratiew. – To niemożliwe.

Instruktor wzruszył ramionami.

– Przecież tak nie można – mówił Kondratiew z rozpaczą. Stracę formę. – Zerknął na Panina, który wbił wzrok w podłogę, i znowu spojrzał na instruktora. – Wszystko mi przepadnie.

– Tylko na razie – powtórzył instruktor.

– To znaczy na jak długo?

– Do specjalnego rozporządzenia. Najwyżej na dwa miesiące. To się zdarza. Na razie będzie pan trenował na pięciokrotnych, a potem pan nadrobi.

– To nic, Sierioża – powiedział basem Panin. – Odpoczniesz trochę od swoich wielokrotnych.

– Mimo wszystko bardzo bym prosił... – zaczął Kondratiew przymilnie. Nigdy w życiu nie mówił takim tonem.

Instruktor spochmurniał.

– Tracimy czas, Kondratiew. Proszę wejść do kabiny.

– Tak jest – powiedział cicho Siergiej i wykonał polecenie.

Usiadł w fotelu, przypiął się szerokimi pasami i zaczął czekać. Przed fotelem było lustro; Kondratiew zobaczył w nim zasepioną, złą twarz.

Już lepiej, żeby mnie wynieśli, powiedział do siebie. Mięśnie mi zwiotczeją i zacznają potem wszystko od początku. Kiedy w takim razie dojdę do dziesięciokrotnych? Albo przynajmniej do ośmiokrotnych? W dodatku wszyscy uważają mnie za sportowca, pomyślał ze złością. Lekarz też. Może mu powiedzieć? Wyobraził sobie, jak opowiada lekarzowi, po co mu to wszystko potrzebne, a lekarz patrzy na niego wesołymi wyblakłymi oczami i mówi: „Zachowaj umiar, Sierioża, umiar...”

– Asekurant – powiedział Kondratiew głośno pod adresem lekarza. Jednocześnie przyszło mu do głowy, że Witalij Jefremowicz może usłyszeć to przez słuchawkę do rozmów i wziąć te słowa do siebie.

– No i dobrze – powiedział głośno.

Kabiną zakołysało. Zaczął się trening.

Gdy wyszli z sali treningowej, Panin zaczął rozmasowywać obrzęki pod oczami. Zawsze po Wielkiej Wirówce miał takie obrzęki, jak zresztą wszyscy kursanci skłonni do otyłości. Panin bardzo dbał o swój wygląd. Był przystojny i przywykł się podobać innym.

– Ty nigdy nie masz tego draństwa – powiedział do Kondratiewa.

Kondratiew milczał.

– Masz dobrą figurę, sportsmenie. Jak szczupak.

– Chciałbym mieć twoje problemy – odezwał się Kondratiew.  
– Przecież ci powiedzieli, że to tylko czasowo, dziwaku.  
– Glacewowi też tak mówili, a potem go przenieśli do ZD.  
– No cóż – powiedział rozsądnie Panin. – Widocznie nie było mu pisane.  
Kondratiew zacisnął zęby.  
– Myślałby kto – powiedział Panin. – Zabrali mu ośmiokrotne. Ja na przykład jestem prostoduszny facet...  
Kondratiew zacisnął zęby.  
– Posłuchaj – powiedział. – Bykow odciągnął „Tachmasib” od Jowisza dopiero na dwunastokrotnym przeciążeniu. A może o tym nie wiesz?  
– Wiem.  
– A Jusupow zginął dlatego, że nie wytrzymał ośmiokrotnego. To też wiesz?  
– Jusupow to nawigator-badacz – rzekł Panin. – Nie ma się co z nami równać. A Bykow nigdy nie trenował przeciążeń.  
– Jesteś pewien? – spytał zjadliwie Kondratiew.  
– No, może i trenował, ale nie do przepukliny, jak ty, sportsmenie.  
– Borka, ty naprawdę uważasz mnie za sportowca?  
Panin popatrzył na niego zakłopotany.  
– Widzisz – zaczął – ja nie mówię, że to źle... Na pewno przyda się w Przestrzeni.  
– Dobra. Chodźmy do parku. Rozprostujemy kości.  
Szli korytarzem. Panin, nie przestając masować worków pod oczami, zaglądał w każde okno.  
– A dziewczyny ciągle grają – powiedział. Zatrzymał się przy oknie i wyciągnął szyję. – Aha... To ona!  
– Jaka ona? – spytał Kondratiew.  
– Nie wiem – odparł Panin.  
– Niemożliwe.  
– To znaczy, tańczyłem z nią przedwczoraj. Ale jak ma na imię, to nie wiem.  
Sierioża też spojrział w okno.  
– O, widzisz? – powiedział Panin. – Ta z zabandażowanym kolanem.  
Sierioża zobaczył dziewczynę z bandażem na nodze.  
– Widzę – powiedział. – Chodźmy.  
– Bardzo fajna dziewczyna – zachwalał Panin. – Bardzo. I mądra.  
– Chodźmy, chodźmy – Kondratiew wziął Panina pod łokieć i pociągnął za sobą.  
– Dokąd się tak spieszysz? – zdumiał się Panin.  
Minęli puste audytoria i zajrzeli do symulatora. Był wyposażony, jak sterownia prawdziwego statku fotonowego, tylko nad pulpitem sterowniczym zamiast ekranu miał wmontowany wielki biały sześcian maszyny stochastycznej. Po włączeniu maszyna losowo przydzielała zadanie kosmogacyjne, a kursant miał opracować system komend sterowania, optymalnych do określonego zadania.  
Teraz przed pulpitem kłębiły się maluchy. Studenci kłękli, wymachiwali rękami i odpychali się nawzajem. Nagle zrobiło się cicho i rozległ się stukot klawiszy pulpitu. W męczącej ciszy zabrzączała maszyna nad pulpitem zapaliła się czerwona lampka – sygnał złego rozwiązania. Maluchy ryknęły. Ściągnęły jednego z fotela i wypchnęły do przodu. Rozczochrany chłopak głośno krzychał: „Przecież mówiłem!”  
– Coś taki spocony? – spytał go pogardliwie Panin.

– To ze złości – odparł maluch.

Maszyna znowu zabrzęczała i nad pulpitem zapaliła się czerwona lampka.

– Przecież mówiłem! – zawył maluch.

– Przepraszam – powiedział Panin, przebijając się bokiem przez tłum.

Maluchy ucichły. Kondratiew zobaczył, jak Panin nachyla się nad pulpitem, potem szybko i pewnie zastukały klawisze, maszyna zamruczała i nad pulpitem zapaliła się zielona lampka. Maluchy jęknęły.

– Ale to przecież Panin! – odezwał się ktoś.

– To przecież Panin – powiedział z pretensją spocony młodziak do Kondratiewa.

– Spokojnej plazmy. – Panin precyzyjnie przeszedł przez tłum. – Róbcie tak dalej. Chodźmy, Siergieju Iwanowiczu.

Zajrzeli do pokoju obliczeniowego. Tam trwały zajęcia. Przy eleganckim szarym korpusie LANTO siedzieli w kucki trzej operatorzy i grzebali w schemacie. Z nimi tkwił smutny starosta drugiego roku Grisza Bystrow.

– Pozdrowienia od LANTO – rzucił Panin. – Bystrow nadal żyje. Dziwne.

Popatrzył na Kondratiewa i klepnął go po plecach. W korytarzu odpowiedziało dźwięczne echo.

– No, odezwij się – mruknął Panin.

– Nie trzeba, Borka – powiedział Kondratiew.

Zeszli po schodach, minęli westybul z wielkim brązowym popiersiem Ciołkowskiego i wyszli do parku. Przed wejściem chłopak z drugiego roku podlewał węzem kwiaty na klombie. Mijając go, Panin zadeklamował, przesadnie gestykułując: „Bez Kopytowa życie nie to, kochani, pozdrawiam, LANTO”. Kursant uśmiechnął się speszony i popatrzył na okno pierwszego piętra.

Weszli w wąską aleję, wysadzaną krzewami czeremchy. Panin zaczął głośno śpiewać, ale umilkł, gdy zza zakrętu wyszła im na spotkanie grupa dziewczyn w podkoszulkach i spodenkach. Wracaly z boiska. Na przedzie, z piłką pod pachą, szła Katia. Jeszcze tylko tego brakowało, pomyślał Kondratiew. Zaraz zacznie się we mnie wpatrywać tymi okrągłymi oczami, całkiem jakby do mnie mówiły.

Zatrzymał się na moment. Zaprzagnął skoczyć w krzewy czeremchy i schować się gdzieś, byle dalej. Zerknął na Panina. Panin uśmiechnął się czarująco, wyprostował i powiedział aksamitnym głosem:

– Dzień dobry, dziewczęta!

Wydział ZS zaszczycił go olśniewającymi uśmiechami. Katia patrzyła tylko na Kondratiewa. O Boże, pomyślał Sierioża i powiedział:

– Dzień dobry, Katia.

– Dzień dobry, Sierioża. – Dziewczyna opuściła głowę i poszła dalej.

Panin zatrzymał się.

– Coś się tak zagapił? – spytał Kondratiew.

– To ona.

Kondratiew obejrzał się. Katia stała i patrzyła na niego, poprawiając rozczochrane włosy. Prawe kolano miała zabandażowane.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie. Oczy Katii stały się zupełnie okrągłe. Kondratiew przygryzł wargę, odwrócił się i poszedł, nie czekając na kolegę. Panin dogonił go.

– Jakie piękne oczy – powiedział.

– Okrągłe.



– Sam jesteś okrągły – warknął Panin gniewnie. – To wspaniała dziewczyna. Zaraz, zaraz... a skąd ona cię zna?

Kondratiew nie odpowiedział, a Panin więcej nie pytał.

W centrum parku była spora polanka, porośnięta gęstą, miękką trawą. Tutaj zazwyczaj kuli przed egzaminami teoretycznymi, odpoczywali po treningach przeciążenia, a w letnie wieczory niektórzy przychodzili się tu całować. Teraz na polance rozłożył się piąty rok wydziału nawigacji. Najwięcej ludzi było pod białym namiotem, gdzie grano w czterowymiarowe szachy. Tę intelektualną grę, w której deska i figury miały cztery wymiary i istniały tylko w wyobraźni graczy, przyniósł do szkoły kilka lat temu Żylin, ten sam, który pracował teraz jako inżynier pokładowy na transmarsjańskim statku rejsowym „Tachmasib”. Studenci starszych lat bardzo lubili tę grę, ale nie każdy mógł w nią grać. Za to kibicem mógł być, kto tylko zechciał. Kibice wrzeszczeli teraz na cały park.

– Trzeba było iść pionkiem na e-1 delta-asz...

– Wtedy polecą czwarty koń.

– No to co? Pionki wchodzi w przestrzeń gońców...

– Jaką przestrzeń gońców? Skąd wzięłeś przestrzeń gońców? Dziewiąty ruch źle zapisałeś!

– Słuchajcie, chłopaki, weźcie stąd Saszkę i przywiążcie do drzewa! Niech sobie postoi.

Ktoś, pewnie gracz, krzyknął oburzony:

– Bądźcie wreszcie cicho! Przeszkadzacie!

– Chodź, popatrzemy – powiedział Panin, wielki miłośnik czterowymiarowych szachów.

– Nie chcę – odparł Kondratiew.

Przeszedł nad Gurgienidze, który leżał na Małyszewie, wykręcając mu rękę aż do karku. Małyszew jeszcze się szarpał, ale właściwie było już po walce. Kondratiew odszedł od nich kilka kroków położył się na trawie. Spróbował się przeciągnąć. Trochę bolało, gdy napinało się mięśnie po przeciążeniach, ale właśnie o to chodziło. Kondratiew zrobił mostek, potem świecę, potem znowu mostek, w końcu położył się na plecach i wlepił wzrok w niebo. Panin siadł obok i słuchał krzyków kibiców, pogryzając żdźbło trawy.

A może pójść do Kana? – zastanowił się Sierioża. Pójść i powiedzieć: „Towarzyszu Kan, co pan myśli o międzygwiazdnych lotach?” Nie, nie tak. „Towarzyszu Kan, pragnę zawojować Wszechświat”. Rany, co za bzdury! Sierioża przekreślił się na brzuch i podparł pięściami podbródek.

Gurgienidze i Małyszew skończyli walkę i usiedli obok Panina.

Małyszew złapał oddech i spytał:

– Co było wczoraj na SW?\* [\*SW – stereowizor, telewizor z ekranem stereo (wszystkie przypisy autorów)]

– „Błękitne Pola” – powiedział Panin. – Przekaz z Argentyny. Mogli sobie darować.

– Aha, wiem – powiedział Małyszew. – To ten, gdzie on przez cały czas upuszcza lodówkę?

– Odkurzacz – poprawił Panin.

– To widziałem – powiedział Małyszew. – Nie, dlaczego, niezły film. Muzyka dobra. I gama zapachów też w porządku. Pamiętasz, jak byli nad morzem?

– Możliwe – odparł Panin. – Tylko u mnie przez cały czas jedzie wędzoną rybą. Szczególnie pasowało, jak poszedł do kwaciarni i kupował róże.

– O rany! – zawołał Gurgienidze. – Dlaczego tego nie naprawisz, Borka?

Małyszew powiedział w zadumie:

– Fajnie by było opracować dla kina metody przekazu wrażeń dotykowych. Wyobrażasz sobie, Borka, na ekranie ktoś się z kimś całuje, a ty czujesz, jakby ci ktoś dał w mordę.

– Wyobrażam sobie – rzekł Panin. – Tak właśnie kiedyś miałem, i to bez żadnego kina.

A potem zebrałbym chłopaków, myślał Sierioża. Do tego już teraz trzeba wybrać odpowiednich. Mamedow, Walek Pietrow, Sierioża Zawiałow z inżynierskiego. Witek Briuszkow z trzeciego kursu wytrzymuje dwunastokrotne przeciążenia. On nawet nie musi specjalnie trenować, podobno ma jakieś szczególne środkowe ucho.

Ale to maluch i jeszcze niczego nie rozumie. Sierioża przypomniał sobie, jak Briuszkow, zapytany przez Panina, po co mu to potrzebne, nadał się i powiedział: „Spróbuj tak jak ja”. Maluch, kompletnie niejadalny, surowy maluch. Oni wszyscy, i maluchy, i absolwenci, są sportowcami. Jeden Wala Pietrow...

Sierioża znowu przekręcił się na plecy. Wala Pietrow. Prace Akademii Nieklasycznych Technik. Tom siódmy. Walek Pietrow nie rozstaje się z tą książką. Ale przecież inni też ją czytają. Ciągłe ją czytają! W bibliotece są trzy egzemplarze i wszystkie zaczytane, i ciągle w wypożyczeniu. Czy to znaczy, że nie jestem sam? Że ich też interesuje zachowanie kwantów d w akceleratorach? I oni też wyciągają wnioski? Dorwać Walka, pomyślał Sierioża, i pogadać...

– Co mi się tak przyglądasz? – zawołał Panin. – Chłopaki, co on się tak na mnie gapi? Ja się boję!

Sierioża przyłapał się na tym, że stoi na czworakach i wpatruje się w Panina.

– Co za ujęcie! – powiedział Gurgienidze. – Będę z ciebie lepił „Zadumę”.

Sierioża wstał i rozejrzał się po polance. Pietrowa nie było widać, więc położył się z powrotem i przywarł policzkiem do trawy.

– Siergiej – zagadnął go Małyszew – jak ty to wszystko skomentujesz?

– Co właściwie? – spytał Siergiej w trawę.

– Nacjonalizację United Rocket Konstruktion.

– Posunięcie mister Hopkinsa aprobuję. Czekam na następne w tym samym stylu. Kondratiew – powiedział Sierioża. – Telegram proszę wysłać za zaliczeniem pocztowym, waluta przez radziecki Gosbank.

W United Rocket są dobrzy inżynierowie, myślał. U nas też. Najwyższy czas połączyć siły i budować przelotowce. Teraz wszystko zależy od inżynierów, my już zrobimy, co do nas należy. Jesteśmy gotowi. Sierioża wyobraził sobie eskadry gigantycznych gwiazdnych statków na starcie, a potem w Przestrzeni, przy samej barierze świetlnej, na dziesięciokrotnych, dwudziestokrotnych przeciążeniach, pożerających rozproszoną materię, tony międzygwiazdowego pyłu i gazu... Ogromne przyspieszenia, potężne pola sztucznej grawitacji... Specjalna teoria względności już się nie nadaje, staje na głowie. W gwiazdlocie mijają dziesiątki lat, na Ziemi miesiące. Niechby nie było teorii, za to są kwanty d, przyspieszone na okołoswiatlnych prędkościach, i kwanty d, które się starzeją dziesięć, sto razy szybciej, niż powinny według teorii klasycznej. Obejść cały widoczny wszechświat w ciągu dziesięciu, piętnastu lokalnych lat i wrócić na Ziemię po roku od startu... Pokonać Przestrzeń, rozerwać łańcuchy czasu, podarować swojemu pokoleniu obce światy... A ten drań lekarz zabronił mu przeciążeń, żeby go diabli...!

– Leży tam – usłyszał głos Panina. – Ale jest w depresji.

– Bardzo zmartwiony – dodał Gurgienidze.

– Zabronili mu trenować – wyjaśnił Panin.

Sierioża podniósł głowę. Stała nad nim Tania Gorbunowa z drugiego roku wydziału DZ.

– Naprawdę jesteś w depresji, Sierioża? – spytała.

– Tak – przyznał Kondratiew. Przypomnił sobie, że Tania jest przyjaciółką Katii, i zrobiło mu się gorzej.

– Siadaj z nami, Tanieczka – zaprosił Małyszew.

– Nie – pokręciła głową Tania. – Muszę porozmawiać z Siergiejem.

– Aha – powiedział znacząco Małyszew.

Gurgenidze krzyknął:

– Chłopaki, chodźcie rozruszać kibiców!

Wstali i poszli. Tania usiadła obok Kondratiewa. Przyjemnie było patrzeć na tę szczupłą dziewczynę o wesołych oczach, mimo że była przyjaciółką Katii.

– Dlaczego gniewasz się na Katię? – spytała.

– Nie gniewam się – odparł posepnie Kondratiew.

– Nie kłam. Gniewasz się.

Kondratiew pokręcił głową i zaczął patrzeć w bok.

– Więc jej nie kochasz – powiedziała Tania.

– Posłuchaj, Tanieczka. Kochasz swojego Małyszewa?

– Kocham.

– No właśnie. Pokłóciliście się i ja zaczynam was godzić.

– Więc wy też się pokłóciliście?

Kondratiew milczał.

– Rozumiesz, Siergiej, jeśli my się z Miszą pokłócimy, to na pewno się pogodzimy.

A ty...

– A my się nie pogodzimy – uciał Kondratiew.

– Więc jednak się pokłóciliście.

– My się nie pogodzimy – powtórzył z naciskiem Kondratiew i zajął wesołe oczy

Tani.

– A Katia nawet nie wie, że się pokłóciliście. Ona niczego nie rozumie. Mnie po prostu jej żal.

– A ja? Co ja mam teraz robić, Taniu? – spytał Kondratiew. – Chociaż ty mnie zrozum. Przecież tobie też się coś takiego zdarzyło.

– Zdarzyło – przyznała Tania. – Ale ja od razu mu powiedziałam.

– A widzisz! – powiedział Sierioża uradowany. – A on co na to?

Tania wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odparła. – Wiem tylko, że nie umarł.

Wstała, otrzepała spódnicę i spytała:

– Naprawdę zabronili ci przeciążeń?

– Zabronili. – Kondratiew też wstał. – Tobie to dobrze, jesteś dziewczyną, a jak ja to powiem?

– Zawsze lepiej powiedzieć.

Odwróciła się i poszła w stronę miłośników czterowymiarowych szachów, gdzie Misza Małyszew wrzeszczał coś o bezmózgich kretykach. Kondratiew zawołał za nią:

– Taniusza... – Zatrzymała się i obejrzała. – Nie wiem, może to wszystko minie... Teraz nie mam kompletnie do tego głowy.

Wiedział, że to nie minie. I wiedział, że Tania to rozumie. Tania uśmiechnęła się, skinęła głową.

Po tym, co się stało, Kondratiew zupełnie stracił apetyt. Niechętnie maczał suchary w mocnej, słodkiej herbacie i słuchał, jak Panin, Małyszew i Gurgeniidze omawiają swoje menu. Gdy zaczęli jeść, na jakiś czas zapadła cisza. Tylko przy sąsiednim stoliku ktoś głośno rozprawiał:

– Teraz nie można już pisać tak jak Hemingway. Pisać trzeba krótko, dając przy tym maksimum informacji. U Hemingwaya nie ma precyzji...

– I dobrze, że nie ma! Precyzji to sobie szukaj w słowniku technicznym...

– W słowniku? A weź Strogowa *Drogę nad drogami*. Czytałeś?

– Precyzja – zahuczał jakiś bas. – Gadasz, sam nie wiesz o czym...

Panin odłożył widelec i popatrzył na Małyszewa.

– A teraz opowiedz o wnętrznościach wielorybów.

Przed szkołą Małyszew pracował w ubojni wielorybów.

– Poczekaj, poczekaj – powiedział Gurgeniidze.

– Lepiej wam opowiem, jak się łowi mątwy na Miaoledao zaproponował Małyszew.

– Przestańcie! – zawołał z rozdrażnieniem Kondratiew.

Popatrzyli na niego i zamilkli. Wreszcie Panin powiedział:

– Przecież tak nie można, Siergiej. Weź się w garść.

Gurgeniidze wstał.

– To znaczy, że pora się napić.

Poszedł do bufetu, wrócił z karafką pomidorowego soku i poruszony obwieścił:

– Chłopaki, Fu Dat mówi, że siedemnastego Lachow idzie w Pierwszą Międzygwiezdą!

Kondratiew od razu podniósł głowę.

– Na pewno?

– Siedemnastego – powtórzył Gurgeniidze. – Na „Błyskawicy”.

Fotonowy statek „Hius-Błyskawica” był pierwszym na świecie załogowym przelotowcem. Budowali go dwa lata, a już od trzech testowali najlepsi astronauty.

Proszę, już się zaczęło! – pomyślał Kondratiew i zapytał:

– Dystans nieznan?

– Fu Dat mówi, że półtora świetlnego miesiąca.

– Towarzysze astronauty! – zawołał Małyszew. – Z tej okazji trzeba się napić. – Uroczystie nalał soku do szklanek. – Wnieśmy toast.

– Nie zapomnij posolić – rzucił Panin.

Wszyscy czterej stuknęli się szklankami i wypili. Zaczęło się, zaczęło, myślał Kondratiew.

– A ja widziałem „Hiusa-Błyskawicę” – odezwał się Małyszew.

– W zeszłym roku, jak stażowałem na „Gwiazdce”. Ogromny.

– Średnica zwierciadła siedemset metrów – uściślił Gurgeniidze. – Nie tak znowu dużo. Za to długość od rufy do dziobu prawie osiem kilometrów!

Masa tysiąc szesnaście ton, przypomniał sobie odruchowo Sierioza. Średni napęd osiemnaście megazengerów, prędkość rejsowa osiemdziesiąt megametrow na sekundę, maksimum przeciążenia sześć... mało. Maksimum wychwyty piętnaście warów... Mało, mało...

– Nawigatorzy – powiedział marząco Małyszew. – A to przecież nasz statek. My będziemy na takich latać.

– Oversunem Ziemia-Pluton! – wykrzyknął Gurgeniidze.

Ktoś w drugim końcu sali zawołał dźwięcznym tenorem:

– Towarzysze! Słyszeliście? Siedemnastego „Błyskawica” wyrusza w Pierwszą Gwiazdną!

W sali zahuczało. Zza sąsiedniego stolika wstali trzej z wydziału dowódczego i pospiesznie skierowali się w stronę głosu.

– Asy poszły na namiar – rzekł Małyszew, odprowadzając ich wzrokiem.

– Prostoduszny ze mnie facet – odezwał się nagle Panin, nalewając do szklanki soku pomidorowego – i czegoś nie mogę tu ciągle zrozumieć. Po co nam te gwiazdy?

– Jak to, po co? – zdumiał się Gurgenidze.

– No, Księżyc to pas startowy i obserwatorium, Wenus to aktywnowce; Mars fioletowa kapusta, generacja atmosfery, kolonizacja.

Pięknie. A gwiazdy?

– To znaczy – zaczął Małyszew – że nie rozumiesz, po co Lachow przechodzi do Międzygwiazdnej?

– Potwór – odezwał się Gurgenidze. – Ofiara mutacji.

– Posłuchajcie – przerwał im Panin. – Rozmyślam nad tym już od dawna. Oto my, astronauta, wylatujemy do UW Wieloryba. Dwa i pół parseka.

– Dwa i cztery dziesiąte – odezwał się Kondratiew, patrząc w szklankę.

– Lecimy – ciągnął Panin. – Długo lecimy. No, niechby tam nawet były planety. Lądujemy, badamy, dajemy na całego, jak mówi mój dziad.

– Mój dziad, co ma sto lat – wtrącił Gurgenidze.

– Potem długo wracamy. Jesteśmy starzy, zgrzybiali i każdy z każdym skłócony. A przynajmniej Sierioża z nikim nie rozmawia. Niedługo stuknie nam sześćdziesiątka. A na Ziemi tymczasem minęło sto pięćdziesiąt lat. Witają nas bardzo młodzi obywatele. Najpierw wszystko pięknie: muzyka, kwiaty, szaszłyki. Ale kiedy chcę pojechać do mojej Wołogdy, okazuje się, że już tam nie mieszkam.

Tam jest muzeum.

– Miasto-muzeum imienia Borysa Panina – wtrącił Małyszew.

– Wszędzie tablice pamiątkowe.

– Tak – ciągnął Panin. – Wszędzie. Czyli mieszkać w Wołogdzie nie można. Za to... jak wam się to podoba?... postawiono tam pomnik. Mój pomnik. Patrę na samego siebie i pytam, dlaczego mam rogi. Odpowiedzi nie rozumiem. Wyjaśniają mi, że półtorej setki lat temu nosiłem taki hełm. Nie, mówię, nigdy nie miałem takiego hełmu. Ach, jakie to interesujące, mówi nadzorca miasta-muzeum i zaczyna zapisywać. O tym, mówi, trzeba natychmiast powiadomić Centralne Biuro Wiecznej Pamięci. Zwrot „wieczna pamięć” budzi we mnie nieprzyjemne asocjacje, czego nie jestem w stanie wyjaśnić dozorcy.

– Dobra – przerwał mu Małyszew. – Do rzeczy.

– No więc, zaczynam rozumieć, że trafiłem do obcego świata. Opowiadamy o rezultatach naszego lotu, ale oni przyjmują to jakoś dziwnie. Okazało się, że te rezultaty mogą zainteresować jedynie wąską grupę historyków, bo reszta społeczeństwa wie o tym wszystkim od pięćdziesięciu lat, ponieważ w rejonie Wieloryba... a zdaje się, że tam lataliśmy?... ludzie byli po nas ze dwadzieścia razy. Zbudowano tam przez ten czas trzy sztuczne planety rozmiaru Ziemi i teraz taki przelot trwa dwa miesiące, ponieważ, widzicie, wynaleźli pewną cechę czasoprzestrzeni, której my nie rozumiemy, a którą oni nazywają, powiedzmy, tyriampapacją. Na zakończenie pokazują nam „Wiadomości”, poświęcone ustawieniu naszego statku w Muzeum Archeologicznym. Patrzymy, słuchamy...

– Ale się rozpędził – powiedział Małyszew.  
– Prostuduszny ze mnie facet – odparł groźnie Panin. – Wyobraźnia mnie poniosła...  
– To nie tak – odezwał się cicho Kondratiew.  
Panin od razu spoważniał.  
– Aha – rzekł tak samo cicho. – W takim razie powiedz, w którym miejscu nie mam racji. Powiedz, po co nam gwiazdy.  
– Chwileczkę – włączył się Małyszew. – Ja tu widzę dwie kwestie. Pierwsza: jaka jest korzyść z gwiazd?  
– Właśnie, jaka? – spytał Panin.  
– I druga kwestia: jeśli nawet jest jakaś korzyść, to czy dla naszego pokolenia? Dobrze mówię, Borka?  
– Tak – rzekł Panin. Już się nie uśmiechał i wpatrywał z uporem w Kondratiewa. Sierioża milczał.  
– Odpowiadam na pytanie pierwsze – kontynuował Małyszew. – Chcesz wiedzieć, co robi się w systemie Wieloryba?  
– No, chcę – rzekł Panin. – Wiele rzeczy chcę..  
– Ja też bardzo chcę. A jeśli będę chciał całe życie, jeśli będę starał się dowiedzieć, to przed swoją śmiercią... mam nadzieję, że przedwczesną... podziękuję Bogu, którego nie ma, że stworzył gwiazdy i wypełnił moje życie.  
– Ach, jak pięknie! – zawołał Gurgienidze.  
– Rozumiesz, Borys? – powiedział Małyszew. – Człowiek!  
– Jak to człowiek? – spytał Panin, purpurowiejąc.  
– Najpierw mówi: „Chcę jeść”. Ale wtedy jeszcze nie jest człowiekiem. Potem mówi: „Chcę wiedzieć!” I wtedy jest Człowiekiem.  
Domyślasz się, który z nich pisze się dużą literą?  
– Ten wasz Człowiek – powiedział gniewnie Panin – jeszcze dokładnie nie wie, co ma pod nogami, a już chwyta się za gwiazdy.  
– Dlatego właśnie jest człowiekiem – odparł Małyszew. – Taki już jest. Uważaj, Borys, nie rób nic przeciwko prawom natury. To sprawa niezależna od nas. Prawo, które brzmi: dążyć do poznania, by żyć, nieuchronnie zmienia się w dążenie do życia, by poznawać.  
– Dobrze – powiedział Panin. – Zostanę nauczycielem. Będę poznawał dziecięce dusze, dla wszystkich. A dla kogo ty będziesz poznawał gwiazdy?  
– To odrębna kwestia – zaczął Małyszew, ale wtedy Gurgienidze zerwał się z błyskiem w oku i wrzasnął:  
– Chcesz czekać, aż wynajdą twoją tyrampapację? A ja nie chcę czekać! Chcę do gwiazd!  
– Hej – powiedział Panin. – Uspokój się, Lowa.  
– Nie bój się, Boria – odezwał się Kondratiew, nie podnosząc oczu. – Ciebie nie wyślą do gwiazdnej.  
– A dlaczego? – zainteresował się Panin.  
– A komu ty jesteś potrzebny? – krzyknął Gurgienidze. – Siedź sobie na trasie księżycowej!  
– Użalą się nad twoją młodością – ciągnął Kondratiew. – Pytasz, dla kogo my będziemy poznawać gwiazdy... Dla siebie, dla wszystkich. Dla ciebie też. A ty nie będziesz poznawał. Ty będziesz się dowiadywał. Z gazet. Przecież boisz się przeciążeń.  
– No, no, chłopaki – wtrącił się zaniepokojony Małyszew. – To spór czysto teoretyczny.

Sierioża czuł, że jeszcze chwila i zacznie udowadniać, że nie jest sportowcem. Wstał i szybko wyszedł z kawiarni.

– Dostało ci się? – spytał Gurgenidze Panina.

– No – powiedział Panin – żeby w takich warunkach pozostać człowiekiem, trzeba zezwierzęć.

Chwycił Gurgenidze za szyję i zgiął go wpół. Kawiarnia była już pusta, tylko przy barze stuknęły się pomidorowym sokiem trzy asy z dowódczego. Pili za Lachowa i za Pierwszą Międzygwieżną.

Sierioża Kondratiew poszedł prosto do wideofonu. Najpierw trzeba wszystko doprowadzić do porządku, pomyślał. Najpierw Katia. Jakoś paskudnie wyszło! Biedna Katia. I ja też.

Podniósł słuchawkę, przypomniał sobie numer pokoju Katii i nieoczekiwanie wybrał numer Wali Pietrowa. Do ostatniej chwili myślał, że musi natychmiast pomówić z Katią, więc gdy na ekranie wideofonu pojawiła się chuda twarz Pietrowa, długo milczał. Pietrow też nic nie mówił, w zdumieniu unosząc rzadkie brwi. Sierioża powiedział w końcu:

– Nie jesteś zajęty?

– Nie bardzo.

– Mam sprawę. Przyjdę zaraz do ciebie.

– Potrzebny ci siódmy tom? – zapytał Wala, mrużąc oczy. Przyjdź, ściągnę jeszcze kogoś. A może by zaprosić Kana?

– Nie. Za wcześnie. Najpierw sami.

## Rozdział 2

### Powrót

### Antyk

Gdy pomocnik wrócił, dyspozytor nadal stał przed ekranem z pochyloną głową, z rękami niemal po łokcie w kieszeniach. W głębi poprzecinanego siatką współrzędnych ekranu przesuwał się powoli biały punkt.

– Gdzie on teraz jest? – spytał pomocnik.

Dyspozytor nie odwrócił się.

– Nad Afryką – rzucił przez zęby. – Dziewięć megametrow.

– Dziewięć... A prędkość?

– Niemal pierwsza prędkość kosmiczna – dyspozytor odwrócił się. – Co się wahasz? Coś jeszcze?

– Posłuchaj, uspokój się – poradził pomocnik. – Co tu jeszcze można zrobić... Zahaczył główne zwierciadło.

Dyspozytor głośno wypuścił powietrze i nie wyjmując rąk z kieszeni, przysiadł na poręczy fotela.

– Wariat – wymamrotał.

– Dlaczego zaraz wariat? – powiedział pomocnik niepewnie. Może się coś stało. Szwankuje układ sterowniczy...

Zamilkli. Biały punkt pełzł po przekątnej ekranu.

– Kto śmiał wejść w strefę stacji z niesprawnym układem sterowniczym? – zapytał dyspozytor. – I dlaczego nie daje sygnału wywoławczego?

– Coś daje...

– To nie sygnał. To abrakadabra.

– A jednak sygnał – zaprotestował cichutko pomocnik. – Konkretna częstotliwość...

– Częstotliwość, częstotliwość... – mruknął dyspozytor przez zęby. Pomocnik nachylił się nad ekranem, wpatrzony w cyfry siatki współrzędnych. Potem zerknął na zegarek.

– Zaraz przejdzie stację Gamma. Popatrzmy, kto to.

Dyspozytor zasepił się. Co jeszcze można zrobić? – myślał. Chyba już wszystko załatwione. Wszystkie loty wstrzymane, lądowania zabronione. Ogłoszony alarm na wszystkich okołoziemskich stacjach. Turnen przygotowuje awaryjne roboty...

Dyspozytor wymacał na piersi mikrofon.

– Turnen, co z robotami?

– Powinienem wypuścić je za jakieś pięć, sześć minut – odpowiedział bez pośpiechu Turnen. – Jak wystartują, poinformuję.

– Turnen – powiedział dyspozytor – błagam, nie grzeb się. Trzeba się spieszyć.

– Nigdy się nie grzebię – odrzekł Turnen z godnością. – Nie opóźnię startu nawet o jedną zbędną sekundę.

– Bardzo cię proszę, Turnen.

– Stacja Gamma – odezwał się pomocnik. – Daję maksymalne powiększenie.

Ekran zamigotał, siatka współrzędnych znikła. W czarnej pustce pojawiła się dziwna konstrukcja przypominająca przekrzywioną ogrodową altankę z dziwaczными, masywnymi kolumnami. Dyspozytor przeciągle gwizdnął i zerwał się. Tego się nie spodziewał.

– Rakieta jądrowa! – wykrzyknął zdumiony. – Jak to? Skąd?

– No właśnie – bąknął niepewnie pomocnik. – Rzeczywiście... Niezrozumiałe...



Dziwaczna konstrukcja, ze sterzącymi spod kopuły grubymi rurami-kolumnami, obracała się powoli. Pod kopułą drżał fioletowy blask – kolumny wydawały się czarne na jego tle. Dyspozytor powoli opadł na poręcz fotela. Rakieta jądrowa, a raczej jądrowy planetolot. Fotonowy napęd, dwuwarstwowe paraboliczne zwierciadło z mezosubstancji, wodorowe silniki. Półtora stulecia temu takich planetolotów było sporo. Budowano je w celu oswojania planet.

Solidne, niezbyt szybkie maszyny, z pięciokrotnym zapasem trwałości. Długo i dobrze służyły, ale ostatnie z nich zdemontowano bardzo dawno temu...

– Rzeczywiście... – mamrotał pomocnik. – Zdumiewające... Gdzie ja coś takiego widziałem? Oranżerie! – zawołał.

Przez ekran z lewej strony na prawą przeszedł szybko szeroki szary cień.

– Oranżerie – wyszeptał pomocnik.

Dyspozytor zmrużył oczy. Tysiąc ton, pomyślał. Tysiąc ton! I taka prędkość... W drobny mak... W pył. Roboty! Gdzie są roboty...?

Pomocnik powiedział ochryple:

– Przeszedł? Naprawdę przeszedł? Przeszedł!

Dyspozytor otworzył oczy.

– Gdzie roboty? – ryknął.

Pod ścianą na pulpicie selektora zapłonęła zielona lampka i spokojny męski głos oznajmił:

– Tu D-P. Kapitan Kellog wzywa główną dyspozytornię. Proszę o pozwolenie na lądowanie na bazie Pi-Eks Siedemnaście...

Dyspozytor zalał się purpurą, otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć; w sali odezwało się jednocześnie kilka głosów.

– Z powrotem...!

– D-P, lądowanie wzbronione...!

– Kapitanie Kellog, do tyłu...!

– Główna dyspozytornia do kapitana Kelloga. Natychmiast wejść na dowolną orbitę czwartej strefy. Nie lądować. Czekać.

– Tak jest – powiedział zbity z tropu Kellog. – Wejść w czwartą strefę i czekać.

Dyspozytor zamknął usta. W selektorze kobiecy głos kogoś przekonywał: „Wyjaśnijcie mu, o co chodzi... Wyjaśnijcie...” Wreszcie zielona lampka na pulpicie selektora zgasła i wszystko umilkło.

Obraz na ekranie zniknął. Znowu pojawiła się siatka współrzędnych, a w głębi ekranu popęzła jasna migocząca iskra.

– Awaryjny dyżurny do dyspozytora – usłyszeli głos Turnena. Melduję, że roboty wystartowały.

W tej samej chwili w prawym dolnym rogu pojawiły się jeszcze dwa jasne punkty. Dyspozytor nerwowo zatarł dłonie.

– Dziękuję, Turnen – wymamrotał. – Dziękuję, kochany...

Dwa jasne punkty – awaryjne roboty – przemierzały ekran. Odległość pomiędzy nimi a jądrowym statkiem zmniejszała się stopniowo.

Dyspozytor patrzył na sunący między dwiema wyraźnymi liniami migoczący punkt i myślał, że ten antyk za chwilę wejdzie w drugą strefę, gdzie jest zagęszczenie kosmicznych hangarów i stacji paliwowych, że na jednej z tych stacji pracuje córka, że lustro głównego reflektora pozaziemskiego obserwatorium jest rozbite, że ten statek porusza się jakby po

omacku i sygnałów albo nie słyszy, albo nie rozumie, że w każdej sekundzie ryzykuje zagładę, pakując się na jedną z licznych ciężkich konstrukcji albo trafiając w strefę startową D-kosmolotów. Myślał, że powstrzymanie ślepego i bezmyślnego ruchu tego statku będzie bardzo trudne, bo on znieca i bez sensu zmienia prędkość i roboty mogą go staranować... Ale robotami na pewno kieruje sam Turnen...

– Stacja Delta – zameldował pomocnik. – Daję maksymalne powiększenie.

Znowu na czarnym ekranie pojawił się obraz niezgrabnego kolosa. Rozbłyski plazmy pod kopułą stały się chaotyczne; wyglądało to, jakby potwór konwulsyjnie przebierał czarnymi grubymi nogami. Obok pojawiły się mgliste zarysy awaryjnych robotów. Roboty podchodziły ostrożnie, odskakując przy każdym szarpnięciu jądrowej rakiety.

Dyspozytor i pomocnik wpatrywali się w obraz. Dyspozytor, wyciągając szyję, syczał:

– No, Turnen... no... no... No, kochany... no...

Roboty poruszały się szybko i pewnie. Tytanowe macki wyciągnęły się z dwóch stron do rakiety jądrowej i wczepiły się w rozstawione słupy-kolumny. Jedna z macek nie trafiła, wpadła pod kopułę i rozleciała się w pył pod uderzeniem plazmy „Aj!”, syknął pomocnik. Z góry spadł trzeci robot i wpił się w kopułę magnetycznymi przysawkami. Rakieta jądrowa powoli zaczęła schodzić w dół.

Lśnienie pod kopułą zgasło.

– Noo – wymamrotał dyspozytor i otarł twarz rękawem.

Pomocnik zaśmiał się nerwowo.

– Jak kalmary wieloryba – powiedział. – Dokąd go wezmą?

– Turnen, gdzie go prowadzisz? – powiedział dyspozytor do mikrofonu.

– Na nasz rakietodrom – odparł Turnen bez pośpiechu. Był lekko zaspany.

Dyspozytor wyobraził sobie jego okrągłą, połyskującą od potu twarz, oświetloną ekranem.

– Dziękuję, Turnen – powiedział niemal czule i odwrócił się do pomocnika. – Odwołaj alarm. Skoryguj grafik, niech rozpoczną prace.

– A ty? – spytał żałośnie pomocnik.

– Ja lecę tam.

Pomocnik też bardzo chciałby lecieć tam, ale tylko powiedział:

– Ciekawe, czy z Muzeum Kosmogacji nic nie zginęło?

Sprawa zbliżała się do finału, mniej lub bardziej szczęśliwego, więc mógł sobie pozwolić na dobroduszość.

– Ale wachta – dorzucił jeszcze. – Do tej pory kolana mi się trzęsą.

Dyspozytor zastukał klawiszami i na ekranie pojawiła się pagórkowata równina. Wiatr gnał po niebie białe, postrzępione chmury, marszczył ciemne kałuże między porośniętymi zwiędłą roślinnością wzgórkami. Po malutkim jeziorku pływały kaczki. Dawno nie lądowały tu gwiazdoloty, pomyślał pomocnik.

– Chciałbym wiedzieć, kto to – powiedział dyspozytor przez zęby.

– Wkrótce się dowiesz – odparł pomocnik z zawiścią.

Kaczki nieoczekiwanie oderwały się od wody i wzbiły w powietrze, z całych sił machając skrzydłami. Chmury zawirowały, trąba wody i pary podniosła się ze środka równiny. Znikły pagórki, znikło jezioro, w obłokach mgły zawirowały wyrwane z korzeniami suche krzewy. Coś ogromnego i ciemnego mignęło na moment w kłębiącej się mgle, zapłonął purpurowy ogień, wzgórze na pierwszym planie zdrząło, wzdęło się i powoli przewróciło, niczym warstwa trawy pod lemieszem potężnego pługa.

– Ojej... – jęknął pomocnik, nie odrywając wzroku od ekranu.  
Ale nie zobaczył nic więcej prócz płynących szybko białych i szklistych obłoków pary.

Gdy helikopter wylądował sto metrów od brzegu ogromnego leja, para zdażyła się już rozwiać. Pośrodku leja leżał na boku statek jądrowy. Grube kolumny reaktorowych pierścieni sterczały w powietrzu. Obok leżały, zaryte do połowy w gorącym błocie, oksydowane ciała awaryjnych robotów. Jeden z nich powoli wciągał pod pancerz swoje mechaniczne łapy.

Nad lejem drżało gorące powietrze.

– Niedobrze – wymamrotał ktoś, gdy wysiadali z helikoptera.

Nad głowami zaszemrały wirniki – to kilka innych helikopterów przeleciało w powietrzu i wylądowało nieopodal.

– Idziemy – powiedział dyspozytor i wszyscy poszli za nim.

Zeszli w lej, nogi po łydki zapadły się w gorące błoto. Gdy po chwili zobaczyli człowieka, jednocześnie się zatrzymali.

Człowiek leżał na brzuchu, ręce miał rozrzucone, twarz w mokrej ziemi, do której przywierał całym ciałem, drżąc jak od chłodu. Miał na sobie pomięty, jakby przeżuty kombinezon dziwnego kroju i w dziwnym kolorze. Nie słyszał ich kroków. Gdy do niego podbiegli, podniósł rudą głowę i wszyscy zobaczyli jego twarz, sinoblada i brudną. Wargi przecinała niezagojona rana. Człowiek chyba płakał, bo jego niebieskie, zapadnięte oczy lśniły; widać w nich było radość, ale i cierpienie. Odezwał się dopiero wtedy, gdy go podnieśli, podejmując pod ramiona.

– Doktora – wymamrotał prawie niezrozumiale. Przeszkadzała mu rana na wargach.

Początkowo nikt nie zrozumiał, o jakiego doktora prosi, dopiero po kilku sekundach doszli do wniosku, że chodzi o lekarza.

– Doktora, szybko. Z Sieriożą Kondratiewem jest bardzo źle...

Przesuwał rozszerzone źrenice z jednej twarzy na drugą. Nagle się uśmiechnął.

– Witajcie, prawnicy... – powiedział.

Od uśmiechu rana się otworzyła i na ustach pojawiły się czerwone krople. Wszyscy pomyśleli, że ten człowiek uśmiechał się ostatni raz bardzo dawno temu. Do leja pospiesznie schodzili ludzie w białych fartuchach.

– Doktora – powtórzył rudy i zwiśł im na rękach, odchylając do tyłu sinobiałą, brudną twarz.

## Obwiesie

Czwórka mieszkańców pokoju numer osiemnaście była dość znana na terenie szkoły w Aniudinie. Nic w tym dziwnego. Sztuka doskonałego naśladowania wycia gigantycznego rakopająka z planety Pandora, zdolność prowadzenia niewymuszonej konwersacji o dziewięciu sposobach oszczędzania paliwa podczas międzygwiazdowego przelotu, umiejętność wykonania jedenastu z rzędu przysiadów na jednej nodze – takie talenty nie mogły zostać niezauważone, a wszystkie one nie były obce mieszkańcom osiemnastki.

Historia Osiemnastki zaczęła się, gdy było ich tylko trzech; nie mieli jeszcze ani osobnego pokoju, ani własnego nauczyciela. Ale już wtedy Gienka Komow, znany bardziej jako Kapitan, cieszył się nieograniczonym autorytetem u Paula Gniedycha i Aleksandra Kostylina. Paula Gniedycha, zwanego również Polly, a nawet Liber Polly, uważano za wielkiego spryciarza, zdolnego do wszystkiego. Aleksander Kostylin, człowiek bez wątpienia

dobroduszny, zyskiwał sławę w walkach związanych nie tyle z użyciem mózgu, co siły fizycznej. Nie znosił, gdy nazywano go Kostyl, ale chętnie reagował na przezwisko Lin. Gienka-Kapitan dokładnie przestudiował popularną książkę *Droga w Przestrzeni*, miał wiele różnych pożytecznych umiejętności i prawdopodobnie mógłby z łatwością naprawić fotonowe zwierciadło, nie zmieniając kursu statku. To on niezmordowanie prowadził Lina i Polly ku sławie. Ogromną popularność zyskały tej trójce doświadczenia z nowego rodzaju paliwem raketowym, przeprowadzone pod jego kierownictwem w szkolnym parku. Fontanna gęstego dymu wzbijała się nad najwyższe drzewa, a huk wybuchu mogli usłyszeć wszyscy, którzy w tym momencie znajdowali się na terenie szkoły. To był niezapomniany wyczyn; jeszcze długo potem Lin popisywał się długą szramą na plecach, chodząc najczęściej rozebrany do pasa. Ci trzej przypomnieli starożytne gry afrykańskich plemion – skoki z drzew na długich sznurach, zastępujących (jak wynikało z doświadczenia, z powodzeniem) liany. To oni wprowadzili do użytku zgrzewanie tworzyw sztucznych, z których produkowano ubrania, i niejednokrotnie wykorzystywali tę umiejętność podczas poskramiania niezdolnej dumy starszych towarzyszy, którym pozwalano pływać w maskach, a nawet z akwalungami. Ale że wszystkie te wyczyny, chociaż okrywały ich sławą, nie dawały pożądanej satysfakcji, Kapitan postanowił wziąć udział w pracach kółka młodych astronautów. Dawało to perspektywę kręcenia się na wirówce i możliwość dostania się wreszcie do maszyny stochastycznej.

Z ogromnym zdumieniem Kapitan odkrył w kółku swojego rówieśnika, Michaiła Sidorowa, z różnych przyczyn zwanego Atosem. Atos zawsze wydawał się Kapitanowi facetem zarozumiałym i próżnym, ale pierwsza poważna z nim rozmowa pokazała, że pod wieloma względami przewyższa niejakiego Waltera Saroniana, który utrzymywał wówczas dość przyjacielskie stosunki z trójką i zajmował czwarte łóżko w niedawno przydzielonym pokoju numer osiemnaście.

Historyczna rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

– Co myślisz o napędzie jądrowym? – zainteresował się Gienka.

– Starość – odpowiedział krótko Atos.

– Zgadzam się – rzekł Kapitan i popatrzył na Atosa z zainteresowaniem. –

A o fotonowo-anihilacyjnym?

– Taki sobie – odparł Atos i pokręcił głową.

Wtedy Gienka zadał mu swoje koronne pytanie:

– Jakie systemy są bardziej obiecujące, grawigenne czy grawiochronne?

– Uznaję tylko D-zasadę – oznajmił zarozumiale Atos.

– Hmm mruknął Gienka. Dobrze, chodźmy do osiemnastki, poznam cię z załogą.

– To znaczy, z twoimi osłami? – skrzywił się Atos, ale poszedł.

W tydzień później, nie mogąc już znieść dłużej grózb i przemocy, z osiemnastki uciekł Walter Saronian. Jego miejsce zajął Atos. Po tym fakcie D-zasada i idea międzygalaktycznych przelotów zagościła w umysłach i sercach Osieemnastki, wydawałoby się, na stałe. W ten sposób powstała załoga superkosmolotu „Galaktykon” w składzie: Gienka – kapitan, Atos-Sidorow – nawigator i cybernetyk, Liber Polly – operator maszyny matematycznej, Saszka Lin inżynier pokładowy i łowca. Załoga miała szalone nadzieje i bardzo konkretne plany. Stworzono generalne projekty superkosmolotu „Galaktykon”, opracowano statut i przyjęto tajny znak rozpoznawczy członków załogi – złożone w szczególny sposób palce prawej ręki. Groźba bliskiej i nieuchronnej inwazji zawisła nad Mgławicą Andromedy i niektórymi innymi częściami galaktyki.

Minął rok.

Pierwszy cios zadał Lin, inżynier pokładowy i łowca. Z właściwą sobie lekkomyślnością spytał ojca, który przyleciał na urlop z pozaziemskiej fabryki odlewnictwa bezgrawitacyjnego, ile trzeba mieć lat, żeby zostać astronautą. Odpowiedź była tak zniechęcająca, że Osiemnastka odmówiła uwierzenia w nią. Sprytny Polly namówił swojego brata, należącego do „maluchów”, żeby zadał to pytanie któremuś z nauczycieli. Odpowiedź była ta sama. Podbój galaktyk odsuwał się niemal na wieczność – na dziesięć lat. W historii załogi nastąpiła krótka epoka zamętu, fatalna wiadomość obracała wniwecz starannie opracowany projekt „Kwitający bez”, zgodnie z którym załoga osiemnastki w pełnym składzie miała potajemnie przedostać się na pokład międzyplanetarnego tankowca, idącego na Plutona. Kapitan planował ujawnić się w tydzień po starcie i automatycznie połączyć swoją załogę z załogą tankowca.

Następny cios był równie niespodziewany, ale za to znacznie poważniejszy. Właśnie w epoce zamętu załoga „Galaktykonu” uświadomiła sobie wreszcie (bo dowiedziała się o tym znacznie wcześniej), że na świecie największym szacunkiem cieszą się, o dziwo, nie astronauty, nie badacze głębin i nawet nie tajemniczy poskramiacze potworów – zoopsycholodzy, ale lekarze i nauczyciele. Okazało się, że sześćdziesiąt procent Światowej Rady stanowią nauczyciele i lekarze. Że nauczycieli ciągle brakuje, a astronautów jest do licha i trochę. Że gdyby nie było lekarzy, źle by się działo z badaczami głębin, bynajmniej nie na odwrót. Wszystkie te oraz wiele innych równie destrukcyjnych wiadomości dotarło do świadomości załogi w szokująco zwyczajny sposób – podczas zwykłej telewizyjnej lekcji ekonomii. Co najstraszniejsze, nauczyciele nie zaprzeczyli tym informacjom.

Trzeci i ostatni cios zadały wątpliwości. Inżynier pokładowy Lin został przyłapany przez Kapitana na czytaniu *Kursu chorób grypowych wieku dziecięcego*, a w odpowiedzi na ostrą uwagę oświadczył, że ma zamiar przynosić ludziom konkretną pomoc, a nie wątpliwe informacje z życia kosmicznych przestrzeni. Kapitan i nawigator poczuli się zmuszeni do zastosowania skrajnych metod perswazji. Pod ich wpływem przeniewierca przyznał, że pediatra i tak z niego żaden, a w charakterze inżyniera pokładowego albo przynajmniej łowcy, ma jeszcze szansę na zdobycie nieśmiertelnej sławy. Podczas egzekucji sprytny Liber Polly siedział bez słowa w kątce, ale od tej przy najmniejszym nacisku szantażował załogę rzucanymi bez związku zjadliwymi groźbami. Mówił: „Oho, bo przejdę do laryngologów”, albo „Niech nauczyciel powie, kto ma rację”. Sasza Lin słuchając tego sapał zawistnie. Wątpliwości drażniły załogę „Galaktykona” i gryzły duszę Kapitana.

Pomoc przyszła z Wielkiego Świata. Grupa uczonych pracujących na Wenus zakończyła i przedłożyła Radzie Światowej do rozpatrzenia praktyczny projekt destylacji atmosferycznej powłoki Wenus, potrzebny do dalszej kolonizacji. Rada Światowa rozpatrzyła i przyjęła projekt. Przyszła kolej na pustynie Wenus, na wielką, i straszną planetę, z której należało zrobić drugą Ziemię. Świat dorosłych wziął się do roboty – budowano nowe maszyny, akumulowano potencjał, liczba ludności Wenus szybko rosła. A w pokoju numer osiemnaście pod ciekawymi spojrzeniami załogi kapitan „Galaktykona” gorączkowo opracowywał projekt planu „Październik”, wróżącego niespotykany rozmach pomysłów i wyjście z ciężkiego kryzysu.

Projekt został zakończony w trzy godziny po publikacji odezwy Rady Światowej i przedstawiony do rozpatrzenia załodze. Plan „Październik” szokował liczbą i zwięzłością informacji.

A. W ciągu czterech dekad przestudiować produkcyjno-techniczne dane standardowych

atmosferogennych agregatów.

B. Po wygaśnięciu terminu wcześniej rano – żeby nie niepokoić dyżurnego – porzucić szkołę i dostać się na stację rakietową Aniudinu. Podczas nieuchronnego zamieszania podczas lądowania przeniknąć do ładowni jakiegoś statku okołoziemskich połączeń i ukryć się aż do lądowania.

C. Potem się zobaczy.

Plan został przyjęty okrzykami „hip, hip, hurra” oraz zaaprobowany trzema głosami i jednym wstrzymującym się. Tym, który się wstrzymał, był szlachetny Atos-Sidorow. Wpatrując się w odległy horyzont, z wyjątkowym lekceważeniem wspomniawszy coś o „głupich agregatach” i „idiotycznym pomysle” i oświadczył, że tylko koleżeńska solidarność powstrzymuje go przed ostrą krytyką planu. Jednak gotów jest się nie sprzeciwiać i nawet bierze na siebie przemyślenie niektórych punktów, czego jednak nie należy uważać za rezygnację z D-zasady dla jakichś tam śmierzących destylatorów.

Kapitan pozostawił tę wypowiedź bez komentarza i wydał rozkaz przystąpienia do roboty. Załoga rozkaz wykonała.

W pokoju numer osiemnaście szkoły w Aniudinie trwała lekcja geografii. Na ekranie szkolnego stereowizora jarzyła się błyskawicami chmura nad Parikutinem, migotały świszczące lapille, z krateru wysuwał się czerwony język lawy, przypominający grot strzały.

Mowa była o wulkanologii, o wulkanach w ogóle i nieposkromionych wulkanach w szczególności. Pośród zastygłej dawno temu magmy białeły kopuły wulkanologicznej stacji Czipo-Czipo.

Przed stereowizorem, nie odrywając wzroku od ekranu, siedział Sasza Lin. Spóźnił się – pół dnia spędził na boisku, sprawdzając wypowiedziane wczoraj przez nauczyciela stwierdzenie, że maksymalna wysokość skoku wzwyż w stosunku do maksymalnej długości skoku w dal wynosi jeden do czterech. Lin skakał w dal i wzwyż, dopóki nie pociemniało mu w oczach. Wtedy nakłonił do tego kilku „maluchów”, zameczył ich dokładnie, ale z otrzymanego materiału wynikało, że stwierdzenie nauczyciela jest bliskie prawdy. Teraz Lin nadrabiał zaległości i oglądał te lekcje, które załoga przyswajała rano.

Gienka Kapitan przy swoim stole pod przezroczystą ścianą pokoju w skupieniu kopiował szkic dwufazowej tlenowej maszyny średniej mocy. Liber Polly leżał na swoim łóżku (co w dzień nie było dobrze widziane), udając, że czyta opasłe tomisko w nudnej okładce: *Wprowadzenie do eksploatacji agregatów atmosferogennych*. Nawigator Atos-Sidorow stał przy swoim stole i myślał – to było jego ulubione zajęcie. Jednocześnie z niechętnym zainteresowaniem obserwował machinalne odruchy Lina, pochłoniętego geografiami.

Za przezroczystą ścianą w łagodnym słońcu żółcił się piasek i szumiały wysokie sosny. Nad jeziorem sterczała wieża do skoków z długą, giętką trampoliną.

Głos wykładowcy zaczął opowiadać o ugaszeniu wulkanu Stromboli i Sasza Lin zapomniał się zupełnie. Teraz obgryzał paznokcie obu rąk jednocześnie. Szlachetne nerwy Atosa nie wytrzymały.

– Lin – powiedział – przestań obgryzać.

Lin nie odwracając się, niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Jest głodny! – ożywił się Paul.

Wstał z łóżka, żeby skonkretyzować temat, ale Kapitan powoli odwrócił głowę i popatrzył na niego.

– No co, no co... – powiedział Paul. – Przecież czytam. „Produkcyjność AGK-11 stanowi szesnaście metrów kwadratowych ozonowanego tlenu na godzinę. Metoda stratyfikacji pozwala”...

– Tylko nie na głos! – poradził Atos.

– No, wydaje mi się, że tobie to akurat nie przeszkadza – rzekł Kapitan twardym głosem.

– Tobie się wydaje, że nie, a ja wiem, że tak – odparł Atos.

Skrzyżowali spojrzenia. Paul z przyjemnością obserwował rozwój incydentu. *Wprowadzenie do...* obrzydło mu do granic możliwości.

– Jak chcesz – rzucił Kapitan. – Tylko że ja nie mam zamiaru pracować sam za wszystkich. A ty, Atos, nic nie robisz. Nie ma z ciebie żadnego pożytku.

Nawigator uśmiechnął się wzgardliwie i nie uznał za stosowne odpowiadać. W tym momencie ekran zgasł i Lin odwrócił się, trzeszcząc krzesłem.

– Chłopaki – powiedział. – Hurra, chłopaki! Jedźmy tam.

– Jedźmy! – zerwał się Paul.

– Co to znaczy „tam”? – spytał Kapitan złowieszczo.

– Na Parikutin! Na Mont Pele! Na...

– Wystarczy! – ryknął Kapitan. – Wszyscy jesteście podli zdrajcy! Mam tego dość! Wyruszam sam, a wy róbcie, co chcecie. Jasne?

– Fe, Kapitanie! – powiedział Atos.

– Sam jesteś fe, jasne?! Akceptowaliście plan, wylicście „hip, hip, hurra”, a teraz każdy sobie? Mam dość użerania się z wami. Już lepiej dogadam się z Nataszą albo z tym bałwanem Walterem, jasne? A wy spadajcie. Kicham na was wszystkich...!

Kapitan odwrócił się plecami i zaczął wściekle kopiować szkic. Zapadło ciężkie milczenie. Polly cichutko się położył i zaczął pilnie studiować *Wprowadzenie do...* Atos zagryzł wargę, a ciężki Lin wstał, wsunął ręce w kieszenie i przeszedł się po pokoju.

– Genka – powiedział niezdecydowanie. – Kapitanie... daj spokój.

– Ruszajcie na swój Mont Pele – wymamrotał Kapitan. – Na swój Parikutin. Obejdę się.

– Kapitanie... No jak to? Walterowi nie można nic powiedzieć, Gienka!

– Można. I powiem. Może jest bałwanem, ale nie zdrajcą.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, Lin przebiegł się po pokoju.

– Zaraz, zaraz, Kapitanie! Zobacz, Polly wkuwa!

– Polly, Polly! Samochwała z tego twojego Polly! A na Atosa kicham. Też mi nawigator „Galaktykonu”. Błagier i tyle.

Lin zwrócił się do Atosa:

– Atos, no, naprawdę... To nie w porządku, wiesz... Wszyscy się staramy...

Atos przypatrywał się lesystemu horyzontowi.

– Coście się tak rozgdakali? – zapytał uprzejmie. – Skoro powiedziałem, że idę, to znaczy, że idę. I nie przypominam sobie, żebym kogokolwiek okłamał albo zdradził.

– Daj spokój – powiedział groźnie Lin. – Kapitan ma rację.

Obijasz się i to jest świństwo...

Atos odwrócił się i zmrużył oczy.

– No dobra, pracusiu – powiedział. – Dlaczego „Żubr” jest gorszy od AGK-7 w wypadku nadmiaru azotu?

Kapitan uniósł głowę.

– A jak brzmi dziewięć punktów dotyczących eksploatacji „Irontree”? – pytał Atos. –

A kto pierwszy wynalazł oksyton? Nie wiesz, pracusiu? A w którym roku? Też nie wiesz?

Taki właśnie był Atos, wielki człowiek, mimo swoich licznych wad. W pokoju zapanowała pełna szacunku cisza, tylko Paul Gniedych wściekle kartkował Wprowadzenie.

– Wcale nie wiadomo, kto go wynalazł pierwszy – wymamrotał bez przekonania Lin i utkwiał wzrok w Kapitanie.

Kapitan wstał, podszedł do Atosa i dał mu kuksańca w brzuch.

– Brawo, Atos – powiedział. – A ja, głupi, myślałem, że się objasz.

– Objasz! – oburzył się Atos i szturchnął kapitana pod żebro. Przeprasiny przyjął.

– Hej, chłopaki! – oznajmił Kapitan. – Trzymać kurs na Atosa!

Astronaucci, strzeżcie się legennych przyspieszeń. Uważajcie na zwierciadło. Pył znosi w lewo. Hurra!

– Hip, hip, hurra! – ryknęła załoga „Galaktykonu”.

Kapitan odwrócił się do Lina.

– Inżynierze pokładowy Lin, są jakieś pytania na temat geografii?

– Nie ma – zaraportował inżynier.

– A co mamy jeszcze na dzisiaj?

– Algebrę i warsztaty – powiedział Atos.

– Zgadza się! Dlatego zaczniemy od walki. Pierwsza para: Atos-Lin. A ty, Polly, trenuj przysiady, masz słabe nogi.

Atos zaczął się szykować do walki.

– Nie zapomnij schować materiałów – powiedział. – Wszystko porzrzucaliście, jeszcze nauczyciel zobaczy.

– Dobra, i tak jutro ruszamy.

Paul siadł na łóżku i odłożył książkę.

– Nie napisano, kto wynalazł oksyton.

– Al Jenkins – odparł Kapitan bez zastanowienia. – W siedemdziesiątym drugim.

Nauczyciel Tienin przyszedł do osiemnastki jak zawsze o godzinie szesnastej. W pokoju nie było nikogo, ale w łazience lała się woda, słychać było parskanie, chlapanie i triumfalne okrzyki: „Hip, hip, hurra!” Załoga „Galaktykonu” myślała się po zajęciach w warsztatach.

Nauczyciel przeszedł się po pokoju. Wyglądało tu normalnie. Lin jak zwykle porzrzucił ubranie po całym pokoju. Jeden jego kłapek stał na stole Atosa, udając jacht. Maszt miał z ołówka, żagiel ze skarpetki. To oczywiście robota Pola. Lin na pewno będzie gniewnie burczał: „Nie wyobrażaj sobie, że to takie dowcipne, Polly...” System przezroczystości ścian i sufitu rozregulowany... to sprawa Atosa. Pilot leżał przy wezłowie jego łóżka; jak się kładzie spać, bawi się nim. Leży i naciska, a w pokoju albo robi się zupełnie ciemno, albo pojawia się nocne niebo i księżyc nad parkiem. Zazwyczaj, jeśli Atosa nikt w porę nie powstrzyma, pilot się psuje. Dzisiejsze zadanie Atosa: naprawić system przezroczystości.

Na stole Lina jak zawsze bałagan; nic się na to nie poradzi. To jeden z tych przypadków, gdy zawodzą wszelkie pomysły pedagoga i bezsilna okazuje się dziecięca psychologia.

Z reguły wszystkie nowinki, jakie pojawiają się w pokoju, mają coś wspólnego z Kapitanem. Dzisiaj na jego stole leżą szkice, których wcześniej nie było. To coś nowego, trzeba będzie nad tym pomyśleć. Nauczyciel Tienin lubił wszelkiego rodzaju nowości. Usiadł za stołem Kapitana i zaczął oglądać szkice.

Spod pryszniczka dobiegały wesołe głosy:



- Dodaj no zimnej, Polly!
- Nie trzeba! Już i tak zimno! Przeziębnię się!
- Trzymaj go, Lin, niech się hartuje!
- Atos, daj gąbkę...
- Gdzie jest mydło, chłopaki?

Ktoś z hukiem rąbnął o podłogę. Rozległo się:

- Który głupek rzucił mydło pod nogi?
- Śmiech, okrzyki „hura”.
- Bardzo śmieszne! Jak zaraz strzelę...!
- No, no! Wciągnij manipulatory, ty...!

Nauczyciel przejrzał szkice i odłożył je na miejsce. Ciągle ta sama pasja, pomyślał. Teraz wzbogacacz tlenowy. Chłopcy na serio zainteresowali się Wenus. Wstał i zajrzał pod poduszkę Polly. Leżało tam *Wprowadzenie do...* porządnie zaczytane. Nauczyciel w zadumie przekartkował strony i odłożył książkę na miejsce. Nawet Paul, pomyślał. Dziwne.

Teraz zauważył, że na stole Lina nie ma bokserskich rękawic, które walały się tam niezmiennie przez ostatnie dwa lata. Nad łóżkiem Kapitana nie wisiała fotografia Gorbowskiego w skafandrze próżniowym, a stół Paula był pusty.

Nauczyciel Tienin wszystko zrozumiał. Zrozumiał, że chcą uciec i rozumiał dokąd. Zrozumiał nawet, kiedy. Fotografii nie ma, czyli jest w plecaku Kapitana. Więc plecak już spakowany. To by znaczyło, że wyruszają jutro, wcześniej rano. Kapitan lubi robić wszystko porządnie i nigdy nie odkłada do jutra tego, co może zrobić dziś.

Plecak Paula pewnie jeszcze nie gotowy; Paul woli robić wszystko pojutrze. Czyli wybywają jutro, przez okno, żeby nie niepokoić dyżurnego. Bardzo nie lubią niepokoić dyżurnego. Zresztą, kto lubi?

Nauczyciel zajrzał pod łóżko. Plecak Kapitana był spakowany z godną podziwu starannością. Pod łóżkiem Paula walał się jego plecak. Sterczała z niego ulubiona koszula Paula – bez kołnierzyka, w czerwone paseczki. W ściiennej szafie spoczywała spleciona ze znajomością rzeczy drabina z prześcieradeł – niewątpliwie dzieło Atosa.

Tak... Trzeba pomyśleć. Nauczyciel Tienin sposepniał, ale w chwilę potem poweselał.

Spod prysznic wypadł Paul w samych slipkach i na widok nauczyciela zrobił gwiazdę.

– Nieźle, Paul! – pochwalił Tienin. – Tylko nie zginaj nóg.

– Juhuu! – zawył Paul i zrobił gwiazdę w drugą stronę. – Nauczyciel, astronauta!

Nauczyciel przyszedł!

Zawsze zapominał się przywitać.

Załoga „Galaktykonu” runęła do pokoju i ugrzęzła w drzwiach. Tienin patrzył na nich i myślał... nie, właśnie nie myślał. Zawsze bardzo ich lubił. Wszystkich. Wszystkich, których wychował i wypuścił w Wielki Świat. Było ich wielu, a najlepsi... cóż, zawsze ci ostatni.

Stali na baczność i patrzyli na niego tak, jak chciał. Prawie tak.

– Ka te te u es te ha de – zasygnalizował nauczyciel. To oznaczało: „Do załogi »Galaktykonu«. Widzę was. Nie ma pyłu na kursie?”

– Ta te ku u ze ce – odpowiedziała załoga.

Oni też widzieli go dobrze, pyłu na kursie prawie nie było.

– Ubierać się! – zakomenderował nauczyciel i popatrzył na swój zegarek.

Załoga w milczeniu rzuciła się do ubrań.

– Gdzie moja skarpetka?! – ryknął Lin i zobaczył jacht. – Nie wyobrażaj sobie, Polly, że to takie dowcipne – warknął.

Ubieranie trwało odrobinę ponad trzydzieści dziewięć sekund, ostatni był gotowy Lin.

– Świństwo, Polly – warczał. – Dowcipniś...!

Potem wszyscy usiedli jak popadło i Tienin oznajmił:

– Literatura, geografia, algebra, warsztaty. Zgadza się?

– I jeszcze odrobina wuefu – dodał Atos.

– Nie wątpię – rzekł nauczyciel. – To widać po twoim spuchniętym nosie. Właśnie, Paul nadal zgina nogi. Sasza, powinieś mu pokazać.

– Jasne – powiedział Lin z zadowoleniem. – Ale on jest tępy, nauczycielu.

Paul zareagował natychmiast:

– Lepiej być tępym w kolanach niż tępym jak kolano...!

– Trzy z plusem – pokręcił głową nauczyciel. – Niezbyt poprawnie, ale myśl zrozumiała. Do trzydziestki może się nauczysz mówić dowcipy, Polly. Ale nawet wtedy ich nie nadużywaj.

– Postaram się – powiedział skromnie Paul.

Trzy z plusem – nieźle. Za to Lin siedzi czerwony i nadęty. Do wieczora wymyśli odpowiedź.

– Pomówmy o literaturze – zaproponował nauczyciel Tienin. Kapitanie Komow, jak się miewa twoje wypracowanie?

– Napisałem o Gorbowskim – powiedział Kapitan i sięgnął na swoje biurko.

– Cudowny temat, chłopcze! – powiedział nauczyciel. – Byłoby bardzo dobrze, gdybyś sobie z nim poradził.

– Wcale sobie z nim nie poradził – oznajmił Atos. – On uważa, że najważniejsze w Gorbowskim są jego umiejętności.

– A ty co sądzisz?

– Że śmiałość i odwaga.

– Raczej nie masz racji, nawigatorze – powiedział nauczyciel. – Śmiałych ludzi jest wielu, wśród astronautów nie ma tchórzy. Tchórze zwyczajnie wymierają. Ale Desantowcy, zwłaszcza tacy jak Gorbowski, zdarzają się rzadko. Możecie mi wierzyć, ja już to wiem, wy jeszcze nie. Ty też się dowiesz, nawigatorze. A co ty napisałeś?

– Napisałem o doktorze Mbogu – odparł Atos.

– Skąd o nim wiesz?

– Dałem mu książkę o latających pijawkach – wyjaśnił Paul.

– Wspaniale, chłopcy! Wszyscy ją przeczytaliście?

– Wszyscy – potwierdził Lin.

– Komuś się nie spodobała?

– Wszystkim się spodobała – powiedział Paul z dumą. – Wykopałem ją w bibliotece. Oczywiście zapomniał, że to nauczyciel polecał mu książkę.

Zawsze zapominał o takich drobiazgach, bardzo lubił „odkrywać książki” i lubił, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Lubiał rozgłos.

– Zuch, Paul. Ty oczywiście też napisałeś o doktorze Mbogu?

– Napisałem wiersze!

– Oho, Paul! I nie boisz się?

– A czego? – mruknął Paul niedbale. – Czytałem je Atosowi. Ochrzaniał mnie tylko za drobiazgi. Tak... odrobinę.

Nauczyciel z powątpiewaniem popatrzył na Atosa.

– Hmm... O ile znam nawigatora Sidorowa, rzadko zawraca sobie głowę głupstwami.

Zobaczymy, zobaczymy... A ty, Sasza?

Lin w milczeniu podał nauczycielowi gruby zeszyt. Na okładce pysznił się ogromny kleks.

– Zwancew – wyjaśnił. – Oceanolog.

– Kto to? – spytał Paul zazdrośnie.

Lin popatrzył na niego z miążdzącą pogardą. Paul był pokonany. Uznał, że to okropne – nie mieć bladego pojęcia o Zwancewie, oceanologu.

– No i dobrze – powiedział nauczyciel i złożył zeszyty razem. Przeczytam i pomyślę. Pomówimy o tym jutro...

Od razu pożałował, że to powiedział. Kapitana aż skrzyło przy słowie „Jutro”. Chłopiec nie lubił kłamać i udawać. Nie ma co ich dręczyć, trzeba ostrożniej dobierać słowa. W końcu nie wymyślili niczego złego, nawet nic im nie grozi: nie wypuszczą ich poza Aniudin. Ale będą musieli wrócić, a to naprawdę nieprzyjemne. Cała szkoła będzie się z nich śmiała. Chłopcy czasem potrafią być okrutni i złośliwi, szczególnie wtedy, gdy ich towarzysze wyobrażają sobie, że dziają coś, czego nie mogą wszyscy. Nauczyciel pomyślał o wielkich szydercach z dwudziestego i siedemdziesiątego drugiego, o ucieście maluchów, podskakujących wokół wziętej do niewoli załogi „Galaktykonu”, zadających śmiertelne ciosy...

– A propos algebry – powiedział, a załoga poweselała. Bardzo lubili to „à propos”, wydawało się im zachwycająco nielogiczne. W swoim czasie historię matematyki wykładał pewien bardzo zabawny człowiek. Stawał przy tablicy – nauczyciel zademonstrował, jak – i zaczynał: Już starożytni Grecy wiedzieli, że  $(a+b)^2$  równe jest  $a^2$  plus  $2ab$  plus... – nauczyciel zajrzał do niewidocznych notatek – plus – eee  $b^2$ ...”

Załoga wybuchnęła śmiechem. Wilki kosmiczne wpatrywały się w nauczyciela z zachwytem. Ten człowiek wydawał im się naturalny i wielki jak świat.

– A teraz patrzcie, jakie Interesujące rzeczy dzieją się czasem z  $(a+b)^2$  – powiedział nauczyciel. Usiadł, a wszyscy skupili się wokół niego.

Zaczynało się to, bez czego załoga nie mogła już żyć, a nauczyciel nie chciałby – przygody liczb w przestrzeni i czasie. Pomyłki we współczynnikach zbijały statek z kursu i wrzucały w czarną przepaść, skąd nie ma powrotu dla człowieka, który postawił plus zamiast minusa przed znakiem pierwiastka. Potężny, wstrząsający wielomian rozkładał się na zdumiewająco proste mnożniki, a Lin zasmucony mówił: „Gdzie ja miałem oczy! Jakie to proste!” Rozbrzmiewały dziwne, uroczyste i zabawne strofy Kardano, opisującego wierszem swój sposób rozwiązywania równań kwadratowych, z głębin wieków wylaniała się zdumiewająco tajemnicza historia Wielkiego Twierdzenia Fermata...

– Dobrze, chłopcy – powiedział w końcu nauczyciel. Teraz widzę, że jeśli sprowadzicie swoje życiowe problemy do wielomianów, rozwiążecie je. Przynajmniej w przybliżeniu...

– Chciałbym móc sprowadzić je do wielomianów – wyrwało się Paulowi, który nagle przypomniał sobie, że jutro go tu nie będzie i może na zawsze rozstają się z nauczycielem.

– Rozumiem cię, towarzyszu operatorze – rzekł łagodnie nauczyciel. – Najtrudniej jest postawić właściwe pytanie. Resztę robi za was sześć wieków matematyki. – Zamilkł. – Co, chłopcy, może powalczymy w cztery-jeden?

– Juhuu! – zawyła załoga i wypadła z pokoju. – Do walki w cztery-jeden potrzebna była przestrzeń i miękkie podłoże pod nogami.

Cztery-jeden to gra subtelna, wymagająca wielkiej rozwagi i doskonałej znajomości starodawnych chwytów sambo. Załoga spociała się, a nauczyciel rozdarł kurtkę i był porządnie

podrapany. Potem wszyscy usiedli pod sosną na piasku i odpoczywali.

– Takie zadrapanie – oznajmił nauczyciel oglądając dłoń – na Pandorze wywołałoby sygnał awaryjny. Odizolowano by mnie w oddziale medycznym i utopiono w wirusofobach.

– A gdyby ugryzł pana w rękę rakopajak? – spytał Paul i zamarł w oczekiwaniu na odpowiedź.

Tienin popatrzył na niego.

– Rakopajak zostawiłby inne ślady – odparł. – Nie radzę wkładać mu ręki w paszczę. Poza tym teraz profesor Karpieńko pracuje nad bardzo interesującą metodą, w porównaniu z nią wirusofoby to dziecięca igraszka. Słyszeliście o bioblokadzie?

– Nie, nigdy! – Załoga nastawiła uszu.

Nauczyciel zaczął opowiadać o bioblokadzie. Chłopcy słuchali z takim przejęciem, że Tienin pożałował, że świat jest zbyt skomplikowany, by przekazać im właśnie teraz to wszystko, co jest wiadome i niewiadome. Słuchali, siedząc bez ruchu i patrząc mu na usta. Wyglądało to idealnie, ale nauczyciel pamiętał, że w szafie leży drabina z prześcieradeł i wiedział, że Kapitan – no, Kapitan to już na pewno! – też o tym pamięta. Jak ich powstrzymać? – myślał Tienin. Jak? Dróg jest wiele, ale wszystkie niedobre. Nie chodziło o to, by po prostu uniemożliwić im ucieczkę, lecz by sprawić, że sami zrozumieją, dlaczego muszą zostać. Była jedna dobra droga. Przynajmniej jedna. Ale do tego potrzebna była noc, kilka książek o regeneracji atmosfery i kompletny projekt „Wenus”, i dwie tabletki sporaminu, żeby tę noc wytrzymać. Nie mógł pozwolić, żeby wyszli dzisiaj w nocy. Albo nawet wieczorem – Kapitan jest bystry i spostrzegawczy. Zapewne widzi, że nauczyciel już co nieco rozumiał, może nawet wszystko. Może nie cała noc, myślał nauczyciel. Tylko pięć godzin. Trzeba ich zatrzymać przez ten czas. Jak?

– A propos miłości bliźniego – powiedział i załoga znowu się ucieszyła. – Jak nazywa się człowiek, który krzywdzi słabszego?

– Pasożyt – odpowiedział szybko Lin. Nie mógł się wyrazić bardziej dobitnie.

– Tchórzyć, kłamać i napadać – wygłosił Atos. – Dlaczego pan pyta, nauczycielu? Panu się to nigdy nie zdarzyło i nie zdarzy.

– Tak. Ale czasem zdarza się to w szkole.

– Kto? – Polly podskoczył. – Niech pan powie, kto?

Nauczyciel wahał się. Nie był pewny, czy dobrze robi. Mieszanie chłopców do tej sprawy było sporym ryzykiem. Są tacy łatwopalni... i mogą wszystko zepsuć. Wtedy nauczyciel Szain będzie miał prawo powiedzieć coś nieprzyjemnego pod adresem nauczyciela Tienina. Ale trzeba ich powstrzymać, a zatem...

– Walter Saronian – powiedział nauczyciel powoli. – Doszły mnie takie słuchy, chłopcy. To wszystko trzeba dobrze sprawdzić.

Popatrzył na nich. Biedny Walter. Kapitanowi zadrgała szczęka.

Lin wyglądał strasznie.

– Sprawdźmy to – powiedział Paul, mrużąc oczy. – Starannie...

Atos spoglądał na Kapitana. Biedny Walter...!

– Pomówmy o wulkanach – zaproponował nauczyciel.

Trudno będzie teraz rozmawiać o wulkanach, stwierdził. Ale to chyba jedyne, co może ich zatrzymać do zmroku. Biedny Walter! Tak, sprawdzą wszystko bardzo starannie, ponieważ Kapitan nie lubi się mylić. Potem poszukają Waltera. To wszystko zajmie trochę czasu. Trudno znaleźć czternastoletniego chłopca w parku zajmującym czterysta hektarów. Nie wyruszą przed wieczorem. Wygrałem pięć godzin i... Biedna moja głowa! Jak pomieścisz

cztery książki i sześciusetstronicowy projekt?

Nauczyciel Tienin zaczął opowiadać, jak w osiemdziesiątym drugim roku miał okazję wziąć udział w gaszeniu wulkanu Stromboli.

Waltera Saroniana nakryto w parku przy stawie, w odległym zakątku parku. Rzadko który z maluchów ryzykował taką wycieczkę i dlatego o istnieniu stawu wiedziało niewiele. Staw był przepływowy, z ciemną głęboką wodą, a pomiędzy długimi, zielonymi, sięgającymi dna splotami lilii wodnych stały, poruszając płetwami, wielkie żółte ryby. Miejscowi myśliwi nazywali je „gulami” i rozstrzeliwali z własnej roboty broni do podwodnych polowań.

Walter Saronian był kompletnie nagi, jeśli nie liczyć maski do nurkowania. W rękach trzymał pneumatyczny pistolet strzelający poszczerbionym prętem, a na nogach miał czerwono-niebieskie płetwy.

Stał dumnie wyprostowany i obsychał z maską podniesioną na czoło.

– Najpierw go zmoczymy – wyszeptał Paul.

Kapitan skinął głową. Paul zaszeleścił krzakami i głucho, basowo zakasłał. Walter zrobił to, co zrobiłby każdy z nich na jego miejscu – błyskawicznie nasunął maskę na twarz i wskoczył do wody bez najmniejszego plusku. Po ciemnej powierzchni rozeszły się leniwe kręgi, liście lilii uniosły się i opadły kilka razy.

– Nieźle – zauważył Lin. Wszyscy czterej wyszli z krzaków i stanęli na brzegu wpatrując się w ciemną wodę.

– Nurkuje lepiej ode mnie – powiedział obiektywny Paul. – Ale nie chciałbym teraz być na jego miejscu.

Usiedli na brzegu. Fale znikły i liście lilii znieruchomiały. Niskie słońce świeciło przez sosny. Było cicho i trochę duszno.

– Kto będzie mówił? – zainteresował się Atos.

– Ja – zaproponował z gotowością Lin.

– Pozwólcie mi – powiedział Paul. – Wy się w razie czego włączycie...

Spochmurniały Komow skinął głową. Nie podobało mu się to wszystko. Zbliżała się noc, a jeszcze nic nie było gotowe. To jasne, że już dzisiaj nie wyruszą. Potem przypomniał sobie dobre oczy nauczyciela i odechciało mu się uciekać. Nauczyciel powiedział im kiedyś: „Wszystko, co złe w człowieku, zaczyna się od kłamstwa”.

– O, jest! – zahuczał Lin. – Płynie...

Siedzieli półkolem nad wodą i czekali. Walter płynął pięknie i lekko, pistoletu już nie miał.

– Witam Osiemnastkę! – powiedział, wychodząc z wody. – Aleście mnie nabrali... – zatrzymał się w wodzie po kolana i zaczął sobie rozcierać ciało.

– Wszystkiego dobrego z okazji szesnastych urodzin – powiedział łagodnie Paul.

Walter zdjął maskę i wytrzeszczył oczy.

– Że co?

– Wszystkiego dobrego z okazji szesnastych urodzin, przyjacielu – powtórzył Polly jeszcze łagodniej.

– Chyba cię nie rozumiem, Polly – Walter uśmiechnął się z przymusem. – Zawsze tak mądrze mówisz...

– Zgadza się – przyznał Polly. – Jestem mądrzejszy od ciebie. Poza tym dużo więcej czytam. A więc?

– Co „a więc”?

– Nie podziękowałeś – wyjaśnił Atos, który postanowił się wtrącić. – A my przyszliśmy

złożyć ci życzenia.

– No, co wy, chłopaki... – Walter zerkał to na jednego to na drugiego, próbując zrozumieć, o co tu chodzi. Nie miał czystego sumienia i zaczynał się denerwować. – Jakież życzenia... Urodziny miałem miesiąc temu i skończyłem czternaście lat...

– Jak to? – Paul bardzo się zdumiał. – W takim razie nie rozumiem, dlaczego masz maskę.

– I płetwy – dodał Atos.

– I pistolet, który schowałeś pod tamtym brzegiem – powiedział Lin, który nieraz robił dokładnie to samo.

– Czternastolatki nie wchodzi do wody w pojedynkę – rzekł gniewnie Kapitan.

– O rany! – Głos Waltera ociekał pogardą. – Może pójdziecie do mojego nauczyciela?

– Brzydki chłopiec! – wykrzyknął Paul, odwracając się do Kapitana. Kapitan nie zaprzeczył. – Chce powiedzieć, że on by doniósł, gdyby przyłapał mnie na czymś takim. Tak? To nie tylko naruszyłeś, to...

– Naruszyłeś! – warknął Walter. – Jakbyście sami nie polowali... też mi coś, zastrzelić kilka gul...

– Tak, my polujemy – potwierdził Atos. – Ale zawsze we czwórkę. Nigdy w pojedynkę. I zawsze mówimy o tym naszemu nauczycielowi... I on nam wierzy...

– Okłamujesz swojego nauczyciela – powiedział Paul. – A to znaczy, że możesz okłamać każdego, Walter. Ale to dobrze, że się tłumaczysz.

Kapitan zmrużył oczy. Stara, dobra formuła teraz cięła go na kawałki. „Okłamujesz swojego nauczyciela, więc możesz okłamać każdego”. Niepotrzebnie mieszamy się do tej sprawy z Walterem, pomyślał. Niepotrzebnie. Nie mamy prawa...

Walter, który czuł się niezręcznie, powiedział prosząco:

– Dajcie mi się ubrać, chłopaki... Zimno. I... to w końcu nie wasza sprawa, tylko moja i mojego nauczyciela. Prawda, Kapitanie?

– On ma rację, Polly – zgodził się Kapitan. – I już jest gotów: usprawiedliwia się.

– O tak, jest gotowy – przytaknął Paul. – Jego sumienie dygocze. To była psychologiczna etiuda, Walter. Bardzo lubię psychologiczne etiudy.

– Niech cię richo – warknął Walter i spróbował sięgnąć po ubranie.

– Cicho – powiedział Atos. – Nie tak szybko. To była preambuła. A teraz zacznie się ambuła.

– Pozwólcie mnie – powiedział potężny Lin, wstając.

– Nie, nie, Lin – odparł Polly. – Nie trzeba, to prostackie. On nie rozumie.

– Zrozumie – obiecał Lin. – U mnie zrozumie.

Walter szybko skoczył do wody.

– Czterech na jednego! – krzyknął. – Ech, wy! Sumienie...!

Paul aż podskoczył ze złości.

– Czterech?! – ryknął. – Walek z maluchów był cztery razy słabszy od ciebie! Nie, pięć, sześć! A ty waliłeś go po szyi, bydlaku! Mogłeś poszukać Lina albo Kapitana, skoro cię łapy śwędziały, ty gorylu.

Walter był blady. Włożył maskę, ale jeszcze nie opuścił jej na twarz. Zakłopotany rozglądał się, szukając wyjścia. Było mu zimno. I już rozumiał.

– Wstyd, Walter! – powiedział wspaniały Atos. – Moim zdaniem, tchórzysz. Wstyd. Będziesz się bił z każdym z nas po kolei.

Walter zawahał się i wyszedł z wody. Wiedział, co oznacza walka z Osiemnastką, ale

mimo wszystko... Czuł, że trzeba zapłacić, a wiedział, że to najlepszy sposób. Atos niespiesznie ściągał koszulę przez głowę.

– Chwileczkę – krzyknął Paul. – Zostaną siniaki! A mamy jeszcze jedną sprawę!

– Prawda – powiedział Atos i zamyślił się.

– Dajcie mnie – poprosił Lin. – Ja krótko.

– Nie. – Paul rozbierał się szybko. – Walter! Pamiętasz, co jest najgorsze na świecie?

Przypomnę ci: tchórzyc, kłamać i napadać. Na szczęście nie jesteś tchórzem, ale o pozostałych zasadach zapomniałeś. A ja chcę, żebyś je dobrze zapamiętał. Idę, Walter! Powtarzaj zaklęcie!

Zebrał leżące w krzakach części ubrania Waltera i skoczył do wody.

Walter odprowadzał go bezradnym spojrzeniem, a Atos skakał po brzegu z zachwytem.

– Polly! – krzyczał. – Polly, jesteś geniuszem! Czego milczysz, Walter? Mów, mów, gorylu: tchórzyc, kłamać i napadać!

Kapitan patrzył posepnie na Paula, który płynąc pieskiem robił mnóstwo hałasu i zostawiał za sobą pienisty ślad. Tak, Polly był sprytny jak zawsze. Tamten brzeg porośnięty jest gęstymi pokrzywami, nagi Walter będzie musiał tam szukać swoich spodni i innych rzeczy. Szukać po ciemku, bo słońce już zachodzi. I dobrze mu tak. Ale kto ukarze nas? – pomyślał. Wcale nie jesteśmy aniołami, przecież kłamiemy. To niewiele lepsze od napadania.

Polly wracał. Sapiąc i plując, wyszedł na brzeg i od razu zaczął mówić:

– Proszę, Walter! Idź i ubierz się, gorylu. Pływam i nurkuję znacznie gorzej od ciebie, ale nie chciałbym być teraz na twoim miejscu!

Walter nie patrzył na niego. W milczeniu nasunął maskę na twarz i wszedł do ciepłej, parującej wody. Przed nim był brzeg porośnięty pokrzywami.

– Zapamiętaj sobie! – krzyknął za nim Polly. – Tchórzyc, kłamać i napadać! Napadać, Walter! Nie ma nic gorszego! Pokrzywa dobrze robi na słabą pamięć...

– Tak – przyznał Atos. – Dawniej nią chłostali. Ubieraj się, Liber Polly, bo się przeziębisz...

Słyszeli, jak na tamtym brzegu Walter, sycząc przez zęby z bólu, buszuje w zaroślach.

Gdy wrócili do pokoju, był już późny wieczór – żeby odpocząć i rozerwać się po rozprawie z Walterem, Lin zaproponował, żeby zagrać w „Pandorę”. Grali z wielkim smakiem. Atos, Lin i Kapitan byli łowcami, Polly – gigantycznym rakopajakiem, a park dzunglami Pandory, nieprzebytymi, bagnistymi i strasznymi. Księżyc, który akurat się nawinał, udawał EN 9 – jedno ze słońc Pandory. Grali, dopóki gigantyczny rakopajak, skacząc z drzewa na łowcę Lina, nie rozerwał na całej długości spodni z supertrwałego tetrakanerylenu. Trzeba było pójść do domu. Nie chcieli niepokoić dyżurnego, więc Kapitan zaproponował, żeby przedrzeć się przez zsypany – wspinały pomysł, który rozbłysnął pośród ponurych myśli niczym błyskawica, ale ostatecznie postanowili skorzystać ze zwyczajnego okna warsztatu.

Wpadli z wielkim hałasem do osiemnastki, omawiając olśniewające perspektywy, odkrywające się w związku z pomysłem zsypu i zobaczyli nauczyciela, siedzącego przy stole Atosa z książką w ręku.

– A ja rozerwałem spodnie – rzucił zaskoczony Paul. Oczywiście zapomniał powiedzieć „dobry wieczór”.

– Naprawdę?! – zachwycił się nauczyciel. – Tetrakanetylenowe?

– Aha! – Paul natychmiast poczuł dumę.

Lin gorzko mu pozazdrościł.

– Chłopcy – rozłożył ręce nauczyciel. – Nie mam pojęcia, jak je naprawić!

Załoga ryknęła z ulgą. Wszyscy wiedzieli jak; wszyscy chcieli pokazać, opowiedzieć i zreperować.

– Dobrze – zgodził się nauczyciel. – Ale nawigator Sidorow nie będzie reperował spodni, tylko system przezroczystości. Los jest dla niego okrutny.

– Wielkie mi co! – powiedział Atos, który zdążył już przywyknąć.

Wszyscy zajęli się swoimi sprawami. Kapitan też. Nie wiedzieć czemu, zrobiło mu się wesoło. Jutro nie ruszymy, pomyślał. Zanim się zbierzemy... Pomyśl ucieczki już nie wydawał mu się taki pociągający, ale przecież nie można pozwolić, żeby zmarnowały się wiadomości, zdobyte przez cztery dekady...

– Są problemy wspaniałe i ważne – opowiadał nauczyciel, zręcznie operując nasadką o wielkiej częstotliwości – są problemy wielkie jak świat. Ale są też problemiki niewielkie, choć wyjątkowo pasjonujące. Przeczytałem pewną bardzo starą i niezwykle interesującą książkę. Tam było między innymi mowa o tym, że do tej pory nie rozwiązano zagadki „błędnych ogników”, wiecie, takich na bagnach. Wiadomo, że to jakieś chemoluminescencyjne związki, ale jakie? Siarczek fosforu? Połączyłem się z Informariuszem i wiecie co? Zagadki nie rozwiązano do tej pory!

– Dlaczego?

– Chodzi o to, że bardzo trudno jest złapać taki „błędny ogień”. Migocze w dali, niczym prawda. Lepellieu próbował stworzyć system cybernetyczny do polowania na ogniki, ale nic z tego nie wyszło...

Nauczyciel Tienin źle się czuł, potwornie bolała go głowa. W ciągu ostatnich czterech godzin przeczytał i przyswoił cztery książki o regeneracji atmosfery, a projekt „Wenus” znał już na pamięć. W tym celu musiał użyć hipnopromiennika, a po czymś takim trzeba się koniecznie położyć i porządnie wyspać. A tu nie ma kiedy. Może nie trzeba było tak przeciążać mózgu, ale Tienin nie chciał ryzykować. Musiał wiedzieć o Wenus dziesięć razy więcej niż cała czwórka razem wzięta, w przeciwnym razie nie warto było w ogóle tracić czasu.

Czekał na odpowiedni moment, żeby przejść do najważniejszej sprawy. Opowiadał o polowaniu na błędne ogniki i widział, jak szeroko otwierają się dziecięce oczy, i zapala się w nich płomień fantazji. Jak zawsze, bardzo go to cieszyło, chociaż głowa pękała mu na kawałki...

...A chłopcy już szli po chlupoczącym grzęzawisku we wspaniałych, prawdziwych butach do chodzenia po bagnach. Wokół była noc i ciemność, i mgła, i tajemnicze zarośla, a z wnętrza bagien wyrwały się obłoki ohydnych oparów. Było bardzo niebezpiecznie i strasznie, ale nie wolno się było bać. Przed nimi majaczyły sinawe języki błędnych ogników, zagadka, którą trzeba było koniecznie – teraz wiedzieli to na pewno – rozwiązać. Na piersi każdego łowcy wisiał miniaturowy pulpit, sterujący wiernymi, zręcznymi cyberami, chodzącymi po grzęzawisku. A te cybery trzeba było natychmiast wymyślić, koniecznie, bo jeszcze osuszają wszystkie bagna i łowcy zostaną z niczym...

Gdy spodnie i system przezroczystości zostały doprowadzone do porządku, jedno i drugie przestało ich interesować. Paul naciągając spodnie układał poemat „Błędne ogniki”, mamrotał: „Patrz, w mroku bagniste ogniki”. Kapitan i Atos niezależnie od siebie obmyślali projekt bagiennego cybera, nadającego się do szybkich przemieszczeń po grząskiej powierzchni i reagującego na chemoluminescencyjne związki... A Lin po prostu siedział



z otwartymi ustami i myślał: „Gdzie ja miałem oczy? O rany!” Wreszcie twardo postanowił spędzić resztę życia na bagnach.

Już czas, pomyślał nauczyciel. Byle nie zmuszać ich do kłamstwa i udawania. Naprzód, Tienin!

– A propos, kapitanie Komow – zaczął – co to za fatalny schemat? – Wskazał palcem rysunek wzbogacacza. – Martwisz mnie, mój chłopcze. Pomysł dobry, ale wykonanie wyjątkowo nieudane...

Kapitan zakipiał i rzucił się w bój...

O północy nauczyciel Tienin wyszedł do parku i zatrzymał się obok swojego pterocar. Przed nim leżał ogromny płaski blok szkoły. Wszystkie okna parteru były ciemne, tylko na górze gdzieś palily się światła. Na przykład w dwudziestce, gdzie teraz piątka znamienitych kpiarzy dyskutowała zapewne ze swoim nauczycielem Siergiejem Tokmakowem, niegdyś lekarzem. Paliło się też w sto siódmym; poruszające się cienie wskazywały, że ktoś kogoś wali poduszką i będzie walił dopóty, dopóki niesłyszalny i niewidzialny strumień infrapromieni nie zmusi do zaśnięcia najbardziej niespokojnych, a stanie się to za dwie minuty. Paliło się w wielu pokojach u najstarszych; tam już rozwiązywano problemy znacznie poważniejsze niż błędne ogniki czy rekonstrukcja podartych tetrakanetylenowych spodni. Świeciło się też w osiemnastce...

Nauczyciel wszedł do kabiny pterocar i popatrzył na znajome okno. Zapragnął położyć się z czymś zimnym i ciężkim na czole, i zamknąć oczy. Chłopcy, pomyślał, czyżbym nie zdołał was zatrzymać? Jak to trudno, jak ciężko... i ciągnęła niepewność, czy masz rację, ale w końcu zawsze okazuje się, że masz. Takie to wszystko wspaniałe, radosne i nie można już bez tego żyć...

Światło w osiemnastce zgasło. A więc można iść spać. Jest senny, ale szkoda mu czasu. Chyba nie wszystko im powiedziałem, co mogłem i co było warto, pomyślał. Nie, jednak wszystko. Żeby już było rano! Smutno mi bez nich i samotnie! Paskudne chłopaczyska! Nauczyciel Tienin uśmiechnął się i włączył silnik. Żeby już było rano...

W osiemnastce, mężnie walcząc ze snem, Kapitan wygłaszał mowę. Załoga milczała.

– Wstyd! Hańba! Nagana dla wszystkich! Pasożyty parszywe! Haniebna zbieranina leniów i ignorantów! Czym się zajmowaliście przez czterdzieści dni? A ty, Lin? Świństwo, słowo daję! Ani jednej porządnej odpowiedzi!

Atos, bawiąc się pilotem przezroczystości, wymamrotał:

– Przestań nas piłować! Sam jesteś nie lepszy, na pięć odpowiedzi cztery to pudło. I piąta też właściwie...

– Jak to na pięć?...

– Nie kłóć się, Kapitanie, liczyłem.

Skoro Atos mówi, że liczył, to znaczy, że tak właśnie było. Taki wstyd! Kapitan zacisnął powieki i zobaczył przed oczami ogniste palmy. Przepadł projekt „Październik”. Nie będzie przecież szturmował Wenus z tą bandą nieuków! Nikt niczego nie zrozumiał ani się nie nauczył. Ile jeszcze trzeba wkuwać o tych atmosferycznych agregatach, żeby je licho wzięło?! Jesteśmy do niczego. Wielcy koloniści z pokoju numer osiemnaście. Tfu! Ale Walter zdrowo oberwał. A może jeszcze mu dołożyć? Nie, wystarczy. I w ogóle, dosyć zajmowania się głupotami, trzeba pomyśleć o błędnych ognikach.

...Kapitan brnął przez bagna razem z Atosem, Linem i Paulem (w podartych spodniach), w bagiennych oparach kroczyły żwawe cybery, które trzeba dopiero wymyślić...

## Kronika

Nowosybirsk, 8 października 2021 roku. Podano do wiadomości, że komisja AN ZSRR, badająca rezultaty wyprawy „Tajmyr-Jermak”, zakończyła pracę.

Realizując międzynarodowy program badania głębokiej przestrzeni kosmicznej i możliwości kosmicznych przelotów, Akademia Nauk ZSRR w 2017 roku wysłała w głęboką przestrzeń ekspedycję w składzie dwóch planetolotów pierwszej klasy „Tajmyr” i „Jermak”. Ekspedycja wystartowała 7 listopada 2017 roku z międzynarodowego raketodromu Pluton-2 w kierunku gwiazdozbioru Lutni. W skład załogi planetolotu „Tajmyr” weszli: kapitan i kierownik ekspedycji A.E. Żukow, inżynierowie pokładowi K.I. Falin i J.A. Pollak, nawigator S.I. Kondratiew, cybernetyk P. Konig i lekarz E.M. Sławin. Planetolot „Jermak” spełniał zadanie bezzałogowego aparatu informacyjnego.

Specjalnym celem ekspedycji była próba osiągnięcia bariery światła (absolutnej prędkości 300 tysięcy km/s) i badania w pobliżu bariery światła właściwości przestrzeni i czasu, gdy spontanicznie zmieniają się przyspieszenia.

16 maja 2020 bezzałogowy planetolot „Jermak” został odnaleziony i przejęty na powrotnej orbicie w rejonie planety Pluton, a potem doprowadzony do międzynarodowego raketodromu Pluton-2. Planetolot „Tajmyr” nie pojawił się na orbicie powrotnej.

Badanie materiałów dostarczonych przez planetolot „Jermak” wykazało, że:

1. W 327 dobie lokalnego czasu ekspedycja „Tajmyr-Jermak” osiągnęła prędkość 0,975 absolutnej w stosunku do Słońca i przystąpiła do realizacji programu badań.

2. Ekspedycja otrzymała, a urządzenia odbiorcze „Jermaka” zarejestrowały bardzo cenne dane dotyczące zachowania się przestrzeni i czasu, gdy swobodnie zmieniają się przyspieszenia w pobliżu bariery światła.

3. W 342 dobie lokalnego czasu „Tajmyr” przystąpił do wykonania kolejnej ewolucji, oddalając się od „Jermaka” na 900 mln. kilometrów. O godz. 13,09 doby lokalnego czasu kolejne urządzenie „Jermaka” zarejestrowało w punkcie przebywania „Tajmyra” rozbłysk, po czym przekaz informacji z „Tajmyra” na „Jermaka” urwał się i nie został wznowiony.

Na podstawie opisanych wydarzeń komisja zmuszona była wyciągnąć wniosek, że planetolot pierwszej klasy „Tajmyr” z całą załogą w składzie: Aleksy Eduardowicz Żukow, Konstanty Iwanowicz Falin, George Allan Pollak, Siergiej Iwanowicz Kondratiew, Peter Konig i Eugeniusz Markowicz Sławin zginęła w rezultacie katastrofy. Przyczyny katastrofy nie są znane.

(„Wiadomości Międzynarodowego Ośrodka Informacji Naukowych” nr 237, 9 października 2021 roku).

## Dwóch z „Tajmyra”

Po obiedzie Siergiej Iwanowicz Kondratiew trochę się przespał.

Gdy się obudził, przyszedł Żenia Sławin. Jego ruda grzywa rzucała blask na białe ściany, które poróżniewały jak o zachodzie słońca. Żenia intensywnie pachniał jakąś nieznaną wodą kolońską.

– Dzień dobry, Sierioża! – zawołał od progu.

– Proszę rozmawiać ciszej – polecił ktoś srogo.

Żenia ochoczo pokiwał głową w stronę korytarza, na palcach podszedł do łóżka i usiadł

tak, żeby Kondratiew mógł go widzieć, nie odwracając głowy. Minę miał radosną i podekscytowaną. Kondratiew już nie pamiętał, kiedy ostatni raz go takim widział. A długą, czerwoną szramę na twarzy Żeni w ogóle widział po raz pierwszy.

– Dzień dobry, Żenia – powiedział.

Ognista grzywa Żeni nagle jakby się rozplynęła. Kondratiew zmrużył oczy i zaszlochał.

– A niech to – wymruczał gniewnie – wybac mi. Zupełnie się rozkleiłem. No i jak tam?

– Dobrze, wszystko dobrze – powiedział wzruszonym głosem Żenia. – Wszystko wspaniale! Najważniejsze, że cię uratowali. Jak ja się o ciebie bałem, Siergieju Iwanowiczu! Zwłaszcza na początku. Zostałem sam i było mi tak smutno, tak bardzo smutno... Nie puszczali mnie do ciebie, nie pomogły ani przekleństwa, ani błagania, ani próby udowodnienia, że sam jestem lekarzem... Zresztą, jaki tam ze mnie teraz lekarz...

– No dobrze, wierzę ci, wierzę – powiedział łagodnie Kondratiew.

– I nagle dzisiaj Protos sam do mnie zadzwonił. Szybko zdrowiejesz, Sierioża! Za półtora tygodnia będę cię uczył prowadzić pterocar! Już go dla ciebie zamówiłem!

– Tak?

Kondratiew miał w czterech miejscach złamany kręgosłup, rozerwaną przeponę, rozeszły się nawet szwy czaszki. W gorączce ciągle widział się jako szmacianą lalkę, rozjechaną gąsienicami ciężarówki. Zresztą na lekarzu Protosie można było polegać. Ten gruby, rumiany mężczyzna pod pięćdziesiątkę (a może setkę, kto ich tam teraz wie), był milczący i dobry. Przychodził każdego wieczoru i każdego ranka, siadał obok i sapał tak miło, że Kondratiewowi robiło się lżej. Naprawdę wspaniały lekarz, skoro do tej pory nie pozwolił umrzeć szmacianej lalce rozjechanej przez ciężarówkę.

– Cóż – powiedział Kondratiew. – Może...

– No pewno! – zawołał Żenia z zachwytem. – Za półtora tygodnia będziesz prowadził pterocar! Protos to czarodziej, mówię ci to jako były lekarz.

– Tak – potwierdził Kondratiew. – Protos to bardzo dobry człowiek...

– Niesamowity! Gdy się dowiedziałem, nad czym on pracuje, zrozumiałem, że muszę zmienić zawód. Zmieniam zawód, Siergieju Iwanowiczu! Zostaję pisarzem!

– Aha – skomentował Kondratiew – to znaczy, że pisarze nie stali się lepsi?

– Widzisz – powiedział Żenia – jedno jest jasne: oni wszyscy są modernistami, a ja jeden będę klasykiem. Jak Trietiakowski: „Katarzyna Wielka – hej! – pojechała do Carskiego Siola”.

Kondratiew popatrzył na Żenię spod opuszczonych rzęs. Widać, że Żenka nie marnuje czasu. Ubrany według ostatniej mody – szorty i miękka, luźna kurtka z krótkimi rękawami i bez kołnierza. Ani jednego szwu, wszystko w jasnych kolorach. Uczesany trochę niedbale, gładko ogolony i wyperfumowany. Nawet słowa stara się wymawiać tak, jak wymawiają je praprawnuki – twardo i dźwięcznie. I już nie gestykułuje. Pterocar... a przecież minęło zaledwie kilka tygodni.

– Znowu zapomniałem, Jewgieniju, jaki tu mają teraz rok – powiedział Kondratiew.

– Dwa tysiące sto dziewiętnasty – odpowiedział Żenia uroczyście. – Oni mówią po prostu sto dziewiętnasty.

– No i co, Żenia – zapytał Kondratiew bardzo poważnie – jak tam rudzi? Zachowali się w XXII wieku czy wyginęli?

Żenia tak samo uroczyście odpowiedział:

– Wczoraj miałem honor rozmawiać z sekretarzem Rady Ekonomicznej Północno-Zachodniej Azji. Bardzo mądry człowiek i kompletnie podczerwony.

Zaśmiali się i przyjrżeli sobie.

– Słuchaj, Żenia, a skąd u ciebie ta trasa przez fizjonomię? spytał Kondratiew.

– Ta? – Żenia pomacał szramę palcami. – Jeszcze ją widać? Zmartwił się.

– A jak. Czerwono na białym.

– To stało się wtedy, kiedy i ciebie... Ale oni obiecali, że wkrótce zejdzie. Zniknie bez śladu. A ja im wierzę, oni wszystko mogą.

– Kto to są „oni”? – spytał ciężko Kondratiew.

– Jak to kto? Ludzie... Ziemianie.

– To znaczy my?

Żenia zamrugął.

– Oczywiście – powiedział niepewnie. – W pewnym sensie... my.

Przestał się uśmiechać i popatrzył uważnie na Kondratiewa.

– Sierioża – powiedział cicho. – Bardzo cię boli, Sierioża?

Kondratiew uśmiechnął się słabo i pokazał oczami: nie, nie bardzo. Ale niedługo będzie bardzo, pomyślał. Jak Żenia to miło powiedział: „Sierioża... Bardzo cię boli, Sierioża?” Ładne słowa i ładnie powiedziane. Dokładnie tak, jak tego nieszczęsnego dnia, gdy „Tajmyr” zarył się w grząski pył bezimiennej planety i Kondratiew podczas wypadu skreślił nogę. Bolało bardzo, chociaż oczywiście nie tak jak teraz. Żenia porzucił kamery, czołgał się po osypującym się zboczu wydmy, wlokąc za sobą Kondratiewa i wściekle klnąc, a potem, gdy w końcu udało im się wydostać na grzbiet wydmy, pomacał nogę Kondratiewa przez materiał skafandra i nagle cicho zapytał: „Sierioża... Bardzo cię boli, Sierioża?” Nad głęboką pustynią wypłynęła na liliowe niebo gorąca biała tarcza, drażniąc trzeszczały zakłócenia w słuchawkach, a oni siedzieli, czekając na powrót robota-zwiadowcy. Ale robot nie wrócił, pewnie utonął w pyłe. Wtedy popęzli z powrotem na „Tajmyr”...

– O czym chcesz napisać? – spytał Kondratiew. – O naszym rejsie?

Żenia zaczął z pasją mówić o tomach i rozdziałach, ale Kondratiew już go nie słuchał. Patrzył na sufit i myślał: „Boli, boli, boli...”

Jak zawsze, kiedy ból stawał się nie do zniesienia, w suficie otworzyła się owalna szczelina, bezszelestnie wysunęła się chropowata rura z zielonymi migoczącymi okienkami. Rura płynnie opuściła się na dół, niemal dotykając piersi Kondratiewa, i zamarła. Rozległ się cichy wibrujący dźwięk.

– C-co t-to? – wyjąkał Żenia i wstał.

Kondratiew milczał, oczy miał zamknięte. Z rozkoszą czuł, jak ustępuje, cichnie, znika potworny ból.

– Może lepiej wyjdę? – Żenia rozglądał się stropiony.

Ból znikł. Rura bezszelestnie pojechała w górę i otwór w suficie się zamknął.

– Nic, nic – powiedział Kondratiew. – To tylko zabieg. Siadaj, Żenia.

Próbował sobie przypomnieć, co mówił Żenia. Aha, ta jego powieść... Za barierą dźwięku. O rejsie „Tajmyra”, o próbie przeskoczenia szybkości światła. O katastrofie, która przeniosła „Tajmyr” przez stulecie...

– Słuchaj, Jewgienij – zapytał Kondratiew – czy oni rozumieją, co się z nami stało?

– Oczywiście – odparł Żenia.

– Na pewno?

– Hmm... Jasne, że rozumieją. Ale nam to niewiele daje. Ja na przykład nie mogę zrozumieć, co oni rozumieją.

– Słucham?

– Opowiedziałem im wszystko, a oni oznajmili: „Jasne. Sigmaderytrynitacja”.

– Że jak? – spytał Kondratiew.

– De-ry-try-ni-ta-cja. W dodatku sigma.

– Tyriampampacja – wymamrotał Kondratiew. – Mówili coś jeszcze?

– Powiedzieli: „Wasz «Tajmyr» podszedł bardzo blisko bariery świetlnej z legiennym przyspieszeniem i sigmaderytrynitował czasoprzestrzenne kontinuum”. Powiedzieli, że nie powinniśmy byli stosować legiennych przyspieszeń.

– Tak – rzekł Kondratiew – może i nie powinniśmy, ale zastosowaliśmy. Dery... tery... Jak to się nazywa?

– Derytrynitacja. Zapamiętałem za trzecim razem. Jednym słowem, jeśli dobrze zrozumiałem, każde ciało przy barierze świetlnej w określonych warunkach silnie zniekształca linię światła i jakby przebija przestrzeń Riemanna. No... W przybliżeniu to jest to, co w naszych czasach przewidział Bykow junior.

– Aha – mruknął Kondratiew.

– To przebijanie nazywają derytrynitacją. Wszystkie ich statki działają na tej zasadzie. D-kosmoloty też.

– Aha – znowu powiedział Kondratiew.

– Przy derytrynitacji szczególnie niebezpieczne są właśnie te legienne przyspieszenia. Skąd one się biorą i na czym polegają, nie rozumiałem. Jakieś lokalne wibracyjne pola, hiperprzejścia plazmy i tak dalej. Fakt jest faktem, przy legiennych zakłóceniach nieuniknione są nadzwyczaj silne zakłócenia skali czasu. To się właśnie stało z naszym „Tajmyrem”...

– Derytrynitacja – powtórzył ze smutkiem Kondratiew i zamknął oczy.

Milczeli. Kiepska sprawa, pomyślał Kondratiew. D-kosmoloty. Derytrynitacja. Tego nigdy nie zrozumieję. I do tego złamany kręgosłup.

Żenia pogładził go po policzku.

– To nic, Sierioża – powiedział. – Mam nadzieję, że z czasem wszystko ogarniemy. Oczywiście, trzeba się będzie znowu mnóstwo uczyć.

– Przekwalifikować – wyszeptał Kondratiew, nie otwierając oczu. – Nie łudź się, Żenia. Przekwalifikować. Przyswajając wszystko od samego początku.

– Cóż, nie mam nic przeciwko temu – powiedział Żenia rażno.

– Najważniejsze to chcieć.

– Chcieć znaczy móc? – spytał jadowicie Kondratiew.

– Właśnie.

– To przysłowie wymyślili ludzie, którzy mogli, nawet gdy nie chcieli. Ludzie z żelaza.

– No, no... Ty też nie jesteś z papieru. Posłuchaj, w zeszłej dekadzie poznałem jedną młodą kobietę...

– Coś takiego? – zdumiał się Kondratiew. Żenia bardzo lubił poznawać młode kobiety.

– Językoznawca. Mądra, cudowny, fascynujący człowiek.

– Na pewno – zgodził się Kondratiew.

– Pozwól mi skończyć, Sergieju Iwanowiczu. Świetnie rozumiem, boisz się. Ale tutaj nie można być samotnym. Tutaj nie ma samotnych. Zdrowiej szybciej, nawigatorze. I nie martw się.

Po chwili milczenia Kondratiew poprosił:

– Jewgienij, bądź tak dobry i podejź do okna.

Żenia wstał i bezszelestnie podszedł do ogromnego, zajmującego całą ścianę okna,

w którym Kondratiew nie widział nic prócz nieba. Nocą okno przypominało ciemnoniebieską przepaść, usianą ostrymi gwiazdami. Raz czy dwa nawigator widział, jak zapala się i szybko gaśnie czerwona luna.

– Podszedłem – zameldował Żenia.

– Co tam jest?

– Balkon.

– A dalej?

– Pod balkonem jest plac. – Żenia obejrzał się na Kondratiewa.

Kondratiew zasepił się. Nawet Żenia nie rozumie. Samotny do bólu. Do tej pory o niczym nie ma pojęcia. Niczego. Nie wie nawet, jaka jest podłoga w jego pokoju i dlaczego wszyscy chodzą bezszelestnie. Wczoraj wieczorem, gdy nawigator spróbował się unieść i obejrzeć pokój, od razu stracił przytomność. Więcej już nie próbował – nie znosił mdleć.

– Budynek, w którym leżysz – ciągnął Żenia – to sanatorium dla ciężko chorych. Ma szesnaście pięter, a twój pokój...

– Sala – warknął Kondratiew.

– A twój pokój znajduje się na dziewiątym. Wokół są góry Ural i sosnowy las. Stąd widzę drugie identyczne sanatorium, w odległości dwudziestu kilometrów. Dalej jest Swierdłowski, oddalony o sto kilometrów. Widzę też plac startowy dla pterocarów. Co za maszyny! Jest tam ich teraz cztery. Co jeszcze? Jest też kwietnik z fontanną. Obok fontanny stoi jakiś chłopiec. Sądząc po minie, kombinuje, jakby tu nawiać do lasu...

– Też ciężko chory? – spytał nawigator z zainteresowaniem.

– Możliwe, chociaż nie wygląda. Uciec mu się nie uda, ponieważ złapała go za rękę jakaś gołonoga osóбка. Znam ją, pracuje tutaj. Bardzo miła. Ma dwadzieścia lat. Kiedyś mnie pytała, czy nie znałem przypadkiem Norberta Wienera albo Antona Makarenki. Teraz ciągnie ciężko chorego chłopca i chyba wychowuje go po drodze. O, ląduje jeszcze jeden pterocar. Chociaż nie, to nie pterocar. Sierioża, może poprosiłbyś lekarza o stereowizor?

– Prosiłem – powiedział posepnie nawigator. – Nie pozwala.

– Dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć?

Żenia wrócił do łóżka.

– Wszystko to marność – powiedział. – Wszystko obejrzysz, poznasz i przestaniesz zauważać. Nie trzeba być takim wrażliwym. Pamiętasz Koniga?

– Tak?

– Pamiętasz, jak opowiadałem mu o twojej złamanej nodze, a on krzychał głośno z tym swoim akcentem: „Ach, jaki ja jestem wrażliwy! Ach!”

Kondratiew uśmiechnął się.

– Gdy rano przyszedłem do ciebie – ciągnął Żenia – i spytałem, jak leci, powiedziałaś ze złością, że spędziłaś urozmaiconą noc.

– Pamiętam – odparł Kondratiew. – Spędziłem tu mnóstwo takich urozmaiconych nocy. I wiele ich jeszcze przede mną.

– Ach, jaki ja jestem wrażliwy! – zawołał Żenia.

Kondratiew znowu zamknął oczy i przez jakiś czas leżał w milczeniu.

– Słuchaj, Jewgienij – powiedział, nie podnosząc powieki – co ci powiedzieli o twojej umiejętności kierowania statkiem?

Żenia roześmiał się wesoło.

– Cóż, ochrzaniłi mnie, chociaż bardzo uprzejmie. Okazało się, że rozbiłem jakiś

ogromny teleskop, słowo daję, nawet nie zauważyłem kiedy. Kierownik obserwatorium o mało mnie nie uderzył, ale dobre wychowanie mu nie pozwoliło.

Kondratiew otworzył oczy.

– No i?

– Ale jak się dowiedzieli, że nie jestem pilotem, uspokoili się.

Kierownik obserwatorium nawet mi z rozpedu zaproponował, żebym wziął udział w naprawie teleskopu.

– No i?

Żenia westchnął.

– Nic z tego. Lekarze zabronili.

Uchyliły się drzwi i zajrzała smagła dziewczyna w białym fartuchu, mocno ściśniętym w talii. Popatrzyła srogo na chorego, następnie na gościa i powiedziała:

– Pora, towarzyszu Sławin.

– Już wychodzę.

Dziewczyna skinęła głową i zamknęła drzwi. Kondratiew powiedział ze smutkiem:

– No i już idziesz.

– Przecież nie na długo!– krzyknął Żenia. – I nie martw się, bardzo cię proszę. Jeszcze będziesz latał, będziesz świetnym D-astronautą...

– D-astronauta... – Nawigator uśmiechnął się krzywo. – Dobra, idź, zaraz d-astronautę będą karmić kaszką. Łyzeczką.

Żenia wstał.

– Do widzenia, Sierioza – powiedział i ostrożnie poklepał dłoń Kondratiewa, leżącą na prześcieradle. – Zdrowiej. I pamiętaj, że nowy świat to bardzo dobry świat.

– Do widzenia, klasyku – odparł Kondratiew. – Przyjdź jeszcze. I przyprowadź tę swoją mądrą... jak jej na imię?

– Sheila – powiedział Żenia. – Sheila Kadar.

Wyszedł. Wyszedł w nieznanne i właściwie obce życie, pod bezkresne niebo, w zieleń bezkresnych sadów. W świat, w którym zapewne nikną za horyzontem szklane autostrady, a budynki rzucają na ulice ażurowe cienie. Samochody pędzą bez ludzi i z ludźmi, dziwacznie ubranymi, spokojnymi, mądrymi, serdecznymi, zawsze bardzo zajętymi i ogromnie z tego zadowolonymi. Wyszedł, żeby spacerować po planecie, podobnej i niepodobnej do Ziemi, którą opuścili tak dawno i tak niedawno. Będzie chodził ze swoją Sheilą Kadar, wkrótce napisze swoją książkę, a książka będzie na pewno bardzo dobra, ponieważ Żenia może napisać dobrą, mądrą książkę.

Kondratiew otworzył oczy. Obok niego na łóżku siedział gruby rumiany lekarz Protos i przyglądał mu się w milczeniu. Uśmiechnął się, pokiwał głową i powiedział półgłosem:

– Wszystko będzie dobrze, Siergieju Iwanowiczu.

### **Ruchome drogi**

– Może jednak spędzisz wieczór z nami? – zaproponował Żenia niezdecydowanie.

– Naprawdę – dodała Sheila. – Zostańmy razem. Dokąd pan pójdzie z taką smutną miną?

Kondratiew pokręcił głową.

– Nie, dziękuję – rzekł. – Wolę być sam.

Sheila uśmiechnęła się do niego łagodnie i trochę smutno, a Żenia, przygryzając wargę,

patrzył w bok.

– Nie musicie się o mnie troszczyć – dorzucił Kondratiew. Ciężko mi, gdy ktoś się o mnie martwi. Do widzenia.

Odszedł od pterocarów i pomachał ręką.

– Niech idzie – odezwał się Żenia do Sheili. – Wszystko w porządku. Niech idzie sam. Do zobaczenia, Siergiej Iwanowiczu, wiesz, gdzie nas szukać.

Niedbale koniuszkami palców musnął klawisze na desce rozdzielczej, na którą nawet nie patrzył. Lewa ręka leżała za plecami Sheili. Nie zamknął drzwi. Mrugnął do Kondratiewa i ruszył pterocarem z miejsca tak ostro, że drzwi zatrzasnęły się same. Pterocar wzbił się w niebo i popłynął nad dachami. Kondratiew skierował się do ruchomych schodów.

Cóż, zanurzymy się w to życie, pomyślał. Żeńka mówi, że w tym mieście nie można zabłądzić. Zobaczymy.

Puste ruchome schody poruszały się bezszelestnie. Kondratiew popatrzył w górę. Nad głową miał półprzeźroczysty dach – spoczywały na nim cienie pterocarów i helikopterów należących najwidoczniej do mieszkańców tego domu. Chyba każdy dach w mieście był lądowiskiem. Kondratiew spojrział w dół. Przestronny, jasno oświetlony westybul. Podłoga gładka i lśniąca jak lód.

Obok Kondratiewa, stukając obcasikami, zbiegły dwie młode dziewczyny. Jedna z nich, niższa, w białej bluzie i jasnoniebieskiej spódnicy, przebiegając zajrzała mu w twarz. Miała cały nos w piegach i grzywkę sięgającą brwi. Coś w Kondratiewie ją chyba zaskoczyło. Na moment przystanąła i żeby nie upaść, chwyciła za poręcz. Dogoniła koleżankę i pobiegły dalej, a na dole obejrzały się już obie. Oho, pomyślał Kondratiew, zaczyna się. Prowadzą słonia po ulicy.

Zjechał do westybulu (dziewczyn już nie było), sprawdził stopą podłogę, czy nie śliska. Nie była. Przez ogromne okna po obu stronach drzwi mógł zobaczyć, ile zieleni jest na zewnątrz. Miasto dosłownie w niej tonęło. Kondratiew zdążył to zauważyć, lecąc pterocarem. Zieleń zajmowała wszystkie przestrzenie pomiędzy dachami. Kondratiew obszedł westybul, zatrzymał się na chwilę przed stojącym wieszakiem, na którym wisiał samotnie fioletowy płaszcz. Obejrzał się ostrożnie i pomacał materiał. Następnie skierował się do drzwi.

Na stopniach ganku zatrzymał się. Ulicy nie było.

Od schodów, przez gęstą, wysoką trawę biegła wydeptana ścieżka, dziesięć metrów dalej niknąc w krzakach. Za krzakami zaczynał się las – strzeliste sosny na przemian z przysadzistymi, chyba wiekowymi dębami. Po prawej i lewej stronie wznosiły się błękitne ściany domów.

– Nieźle! – stwierdził Kondratiew i wciągnął powietrze nosem.

Pachniało wspaniale. Siergiej założył ręce za plecy i zdecydowanie ruszył ścieżką, która wyprowadziła go na dość szeroką piaszczystą dróżkę. Po chwili wahania skręcił w prawo. Na dróżce było sporo ludzi. Czuł się spięty; wyobrażał sobie, że praprawnuki na jego widok przerwą rozmowy, oderwą się od swoich zajęć, zatrzymają się i zaczną na niego gapić. A może nawet wypytywać. Jednak nic podobnego się nie stało. Jakiś praprawnuk w podeszłym wieku, wymijając go, niechcący potrącił i powiedział: „Przepraszam... Nie, to nie do ciebie”. Kondratiew uśmiechnął na wszelki wypadek. „Coś się stało?” – usłyszał słaby kobiecy głos, dobiegający, jak mu się zdawało, z wnętrza praprawnuka. „Nie, nie – odparł praprawnuk, sympatycznie kiwając Kondratiewowi głową. – Niechcący potrąciłem jednego młodego człowieka. – „Aha – powiedział kobiecy głos. – W takim razie słuchaj dalej. Powiedziałam, że ten projekt mnie nie interesuje i że ty też będziesz przeciwny...”



Praprawnik oddalił się i kobiecie głos stopniowo ucichł.

Praprawnikowie wymijali Kondratiewa i szli z naprzeciwka. Wielu uśmiechało się do niego, czasem nawet kiwali głowami. Jednak nikt się na niego nie gapił i nie pchał z natrętnymi pytaniami. Co prawda, przez jakiś czas wokół Kondratiewa opisywał skomplikowane trajektorie jakiś czarnooki młodzieniec, ale w momencie, gdy Kondratiew postanowił się nad nim zlitować i skinąć mu głową, młodziak, najwidoczniej zrezygnowany, odczepił się. Kondratiew poczuł się swobodniej, zaczął się przyglądać i przysłuchiwać.

Praprawniki wyglądały właściwie jak zwykli ludzie. Starsi i młodzi, wysocy i niscy, ładni i nieładni. Mężczyźni i kobiety. Nie było tylko zgrzybiałych starców, nie było ludzi schorowanych ani dzieci. Zachowywali się na tej zielonej ulicy spokojnie i naturalnie. Nie można powiedzieć, żeby od wszystkich emanowało szczęście; Kondratiew widział także twarze skupione, zmęczone, a nawet mroczne. Młody chłopak siedział na poboczu dróżki wśród dmuchawców, zrywał jeden po drugim i zaciekle na nie dmuchał. Widać było, że jego myśli – raczej niewesołe – krążą gdzieś daleko.

Praprawniki ubierały się różnorodnie. Mężczyzna w podeszłym wieku miał na sobie długie spodnie i miękką kurtkę z wykładanym kołnierzem, kobiety też nosiły spodnie lub długie sukienki elegancko skrojone. Młodzi ludzie chodzili w szortach i białych albo kolorowych bluzach. Trafiły się też modnisie paradyjące w purpurowych i złotych płaszczach, narzuconych na krótkie, jasne... chyba koszule, zdecydował Kondratiew. Za takimi elegankami się oglądano.

W mieście panowała cisza, a przynajmniej nie było słycać żadnych mechanicznych odgłosów. Do Kondratiewa dobiegały tylko rozmowy i czasem niegłośna muzyka. Szumiały korony drzew, z rzadka rozlegało się miękkie furkotanie przelatujących pterocarów. Widocznie transport powietrzny poruszał się zazwyczaj na dużej wysokości. Jednym słowem, nie wszystko było dla Kondratiewa obce, chociaż śmiesznie się czuł, chodząc w wielkim mieście po zielonych ścieżkach i piaszczystych drózkach, zaczepiając ubranie o gałązki krzewów. Niemal tak samo wyglądały sto lat temu podmiejskie parki. Kondratiew czułby się tu swojsko, gdyby nie wydawał się sobie taki nikczemny, gorszy niż eleganki w krótkich koszulach.

Wyminął idącą pod ręką parę. Mężczyzna opowiadał:

– W tym miejscu wchodzi skrzypce... talalala! A potem subtelna, czuła nutka chorioli... tinitatata...tii!

Zabrzmiało to przenikliwie, chociaż niemelodyjnie. Kobieta patrzyła na niego z powątpiewaniem.

Przy ścieżce stało dwóch milczących, niemłodych już mężczyzn.

Nagle jeden powiedział posepnie:

– I tak nie powinna była opowiadać o tym chłopcu.

– Teraz już za późno – odezwał się drugi i znowu zamilkli.

Z naprzeciwka powoli szła mała grupka – wysoka, blada dziewczyna, ogromny starszawy Murzyn i zadumany, uśmiechający się z roztargnieniem chłopak. Dziewczyna perorowała, energicznie machając zaciśniętą pięścią:

– Problem trzeba rozwiązać alternatywnie. Albo jest się artystą pisarzem, albo artystą sensualistą. Trzeciego wyjścia nie ma. A on bawi się stosunkami przestrzennymi. To technika, a nie sztuka. Jest zwykłym, obojętnym, zarozumiałym rzemieślnikiem.

– Masza, Masza! – powiedział z pretensją Murzyn.

Chłopak uśmiechał się z roztargnieniem.

Kondratiew skręcił w boczną ścieżkę, minął żywopłot, upstrzony wielkimi żółtymi i niebieskimi kwiatami, i stanął jak wmurowany. Przed nim była ruchoma droga.

Kondratiew słyszał już o tych zdumiewających urządzeniach. Zaczęto je budować dawno temu i teraz ciągnęły się przez wiele miast, tworząc nieprzerwany rozgałęziony system lądowy od Pirenejów po Tien Szan, na południe przed równiny Chin do Hanoi, a w Ameryce – od portu Jukon do Ziemi Ognistej. Żenia opowiadał o tych drogach nieprawdopodobne rzeczy. Twierdził, że nie wymagają energii i nie boją się czasu, a zniszczone naprawiają się same; lekko wspinają się po górach i przerzucają mostami przez przepaście. Według słów Żeni, drogi będą istnieć i poruszać się wiecznie, dopóki świeci Słońce i dopóki istnieje Ziemia. Mówił jeszcze, że te ruchome drogi to właściwie nie drogi, tylko coś pośredniego pomiędzy istotą żyjącą a nieżyjącą.

Droga biegła kilka metrów od Kondratiewa sześcioma równymi szarymi pasami. To były tak zwane pasy Wielkiej Drogi, poruszające się z różną prędkością, oddzielone od siebie i trawy ulic niewysokimi białymi barierami. Na pasach siedzieli, stali i szli ludzie. Kondratiew zbliżył się i niezdecydowany postawił nogę na barierze. Kiedy się nachylił, usłyszał głos Wielkiej Drogi: poskrzypywanie i szelest. Droga rzeczywiście sunęła. Kondratiew zdecydował się i przekroczył barierę.

Powierzchnia drogi była miękka jak rozgrzany asfalt. Siergiej powstał chwilę i przeszedł na następny pas.

Droga spadała ze wzgórza i Kondratiew widział ją aż do niebieskawego horyzontu. Błyszczała w słońcu jak asfaltowa szosa.

Kondratiew przyglądał się przepływającym nad wierzchołkami sosen dachom domów. Na jednym z nich lśniła ogromna konstrukcja z kilku potężnych kwadratowych luster, nanizanych na cienkie ażurowe konstrukcje. Na wszystkich dachach stały pterocary – czerwone, zielone, złociste, szare. Nad miastem wisiały setki pterocarów i helikopterów. Wzdłuż drogi, na dłuższą chwilę zasłaniając słońce, przepłynął z głuchym poświstem trójkątny statek powietrzny i skrył się za lasem. W oddali widać było zarysy jakiejś budowli, może masztu albo wieży telewizyjnej. Droga płynęła spokojnie, zielone krzewy i brązowe pnie sosen wesoło zostały w tyle; w prześwitach pomiędzy gałęziami pojawiały się i znikwały wielkie szklane budynki, pastelowe domki i ganki pod błyszczącymi pstrokatymi daszkami.

Kondratiew uświadomił sobie, że droga unosi go na obrzeża Swierdłowska. No i dobrze, pomyślał. Pewnie mogła go zanieść dokądkolwiek – na Syberię, do Indii lub Wietnamu. Siergiej siadł (nie było zbyt miękko, ale bez przesady) i objął kolana rękami. Przed nim trzech siedzących po turecku chłopców pochylało się nad jakimiś różnokolorowymi kwadratami. Zapewne rozwiązywali zadanie geometryczne. A może w coś grali. Po co im te drogi? – pomyślał Kondratiew. Chyba nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby w ten sposób podróżować do Indii. Za mała prędkość. I za twardo. Poza tym są stratoplany, ogromne trójkątne statki, pterocary... Jaki jest z niej pożytek? A ile musiała kosztować! Zaczął wspominać, jak budowano drogi dwieście lat temu – nie ruchome, tylko zwykłe i wcale nie takie dobre. Ogromni półautomatyczni układacze dróg, smród smoły, żar, spoceni, zmęczeni ludzie w kabinach przysypanych pyłem. W Wielką Drogę włożono ogrom pracy i myśli, znacznie więcej niż w transgobijską magistralę. A wszystko po to, żeby można było zejść, gdzie chcesz, wsiąść, gdzie chcesz i pełznąć, o nic nie dbać, zrywając po drodze rumianki. Dziwne, niezrozumiałe, nieracjonalne...

Szklane piętra nad wierzchołkami sosen urwały się nagle; z przodu wyrósł gigantyczny blok szarego granitu. Kondratiew wstał. Na szczycie bloku, wyciągając rękę nad miastem, stał

pochylony do przodu Lenin, taki sam, jaki stał niegdyś (i zapewne nadal stoi) na placu przed dworcem w Leningradzie. Lenin wyciągał rękę nad tym miastem i nad tym światem, nad wspaniałym, pięknym światem, który widział dwa stulecia temu. Kondratiew patrzył, jak ogromny monument odchodzi w błękitną mgiełkę nad szklanymi dachami.

Sosny stały się niższe i gęstsze. Na chwilę odsłonił się widok na szeroką polanę przy drodze, na której grupa ludzi w kombinezonach majstrowała przy jakiejś maszynie. Droga prześliznęła się pod wąskim półokrągłym mostkiem, przeszła obok drogowskazu, na którym widniał napis: „Matrosowo – 15 km. Żółta Fabryka – 6 km”. Było jeszcze coś, ale Kondratiew nie zdążył przeczytać. Obejrzał się i zobaczył, że ludzi na drodze jest teraz mniej. Pasy biegnące w przeciwną stronę opustoszały. Matrosowo to pewnie osiedle, ale Żółta Fabryka? – zastanawiał się. Przez pnie sosen mignęła długa weranda zastawiona stolikami, przy których ludzie jedli i pili. Kondratiew poczuł głód, ale po chwili wahania postanowił się na razie powstrzymać. W drodze powrotnej, pomyślał. Było coś bardzo radosnego w odczuwaniu zdrowego, silnego głodu i w świadomości, że w każdej chwili można go zaspokoić.

Sosny przeredziły się i skądś nagle wyskoczyła szeroka autostrada, lśniąca w promieniach wieczornego słońca. Pędziły nią rzędy ogromnych samochodów, na dwóch, trzech lub ośmiu podwoziach albo bez podwozi, z tępyimi przodami, z ogromnymi nadwoziami-furgonami, obudowanymi kolorowym plastikiem. Samochody jechały w stronę miasta – najwidoczniej gdzieś w pobliżu autostrada nurkowała pod ziemię i kryła się w wielopoziomowych tunelach. Kondratiew przyjrzał się uważniej i zauważył, że w samochodach brakowało kabin, nie było miejsca dla człowieka. Maszyny hucząc płynęły zwartym strumieniem w trzymetrowych odstępach. W prześwitach pomiędzy nimi Kondratiew zauważył kilka takich samych samochodów, jadących w przeciwnym kierunku. Po chwili drogę znowu szczelnie otoczyły zarośla i autostrada zniknęła.

– Wczoraj jedna ciężarówka zeskoczyła z szosy – powiedział ktoś za plecami Kondratiewa.

– To dlatego, że zniesiono siłową kontrolę. Ryją nowe piętra.

– Nie lubię tych nosorożców.

– Wkrótce skończymy taśmociąg i szosę będzie można zamknąć.

– Już dawno pora...

Przed nimi pokazała się jeszcze jedna weranda ze stolikami.

– Losza! Loszka! – krzyknął ktoś od jednego ze stolików i pomachał ręką.

Chłopak i młoda kobieta przed Kondratiewem też zamachali rękami, przeszli na wolniejszy pas i zeskoczyli na trawę naprzeciw werandy.

Kilka innych osób również tu wysiadło. Kondratiew już miał zrobić to samo, gdy zauważył drogowskaz: „Żółta Fabryka – 1 km” i został.

Zeskoczył przy zakręcie. Pośród pniami widać było niezbyt szeroką wydeptaną dróżkę, prowadzącą w górę zbocza wysokiego wzgórza. Na szczycie od wieczornego nieba wyraźnie odcinały się zarysy niewysokich budowli. Kondratiew bez pośpiechu ruszył drogą, z zachwytem czując pod nogami miękką ziemię. Po deszczu na pewno jest tu błoto, pomyślał. Nachylił się i zerwał rosnący w trawie duży biały kwiatek. Po jego listkach biegały mrówki. Kondratiew rzucił kwiatek i poszedł szybciej. Po kilku minutach wszedł na wzgórze i zatrzymał się na krawędzi ogromnej kotliny, ciągnącej się, jak mu się zdawało, aż do horyzontu.

Kontrast pomiędzy spokojną, delikatną zielenią pod niebieskim niebem a tym, co

odstąpiło się w kotlinie, był tak rażący, że Kondratiew aż się cofnął. Na dnie kotliny wrzało piekło. Prawdziwe piekło, ze złowieszczymi, niebieskobiałymi wybuchami, kotłującym się pomarańczowym dymem, bulgoczącą masą, grząską i rozpaloną do czerwoności. Coś w niej powoli się wybrzuszało i wzdymało jak ropiejący wrzód, następnie pękało, rozbryzgując strzępy pomarańczowych płomieni. Wszystko pokrywały różnobarwne dymy; wokół nich parowało, spadało strumieniami ognia i ulewą iskier, znowu powoli wybrzuszało się i pękało.

W wirach szalejącej materii przebiegały postrzępione błyskawice, powstawały i znikwały po sekundzie potworne, niewyraźne kształty, wirowały trąby powietrzne, płały błękitne i różowe widma. Kondratiew dłuższą chwilę wpatrywał się jak zahipnotyzowany w to niezwykle widowisko, wreszcie powoli ochłonął i zaczął zauważać również inne rzeczy.

Piekło było bezgłośnie i miało bardzo wyraźne granice. Monstrualny taniec ognia i dymu nie produkował ani jednego dźwięku, żaden język płomienia czy kłęb pary nie przenikał poza określoną linię. Kondratiew przyjrzał się uważniej i odkrył, że cała sięgająca po horyzont przestrzeń piekła nakryta jest ledwie zauważalną przezroczystą kopułą, której brzegi wnikają w beton – jeśli to był beton – pokrywający dno kotliny. Po chwili Kondratiew dostrzegł, że kopuła jest podwójna, a może nawet potrójna – od czasu do czasu w powietrzu nad kotliną migotały płaskie odbłyski, prawdopodobnie odbicia pomarańczowych wybuchów od wewnętrznej powierzchni kopuły. Kotlina była głęboka, jej strome równe ściany, wyłożone gładkim szarym tworzywem, schodziły na głębokość co najmniej stu metrów. „Dach” kopuły wznosił się na pięćdziesiąt metrów nad dnem kotliny. Najprawdopodobniej to właśnie była ta Żółta Fabryka, o której uprzedzały drogowskazy. Kondratiew usiadł na trawie, położył ręce na kolanach i zaczął obserwować kopułę.

Słońce zaszło, po szarych zboczach kotliny zaczęły skakać różnokolorowe odbłyski. Kondratiew szybko zauważył, że chaos w buszującej piekielnej kuchni jest w pewnym stopniu uporządkowany. W dymie i ogniu co chwila pojawiały się jakieś regularne, wyraźne cienie, albo nieruchome, albo poruszające się dość szybko.

Trudno było im się przyjrzeć, ale raz dym rozwiął się na kilka chwil i Kondratiew dostrzegł skomplikowaną maszynę, przypominającą pajaka pogońca. Maszyna podskakiwała w miejscu, jakby próbowała wyciągnąć nogi z grząskiej ognistej masy albo mieszała ją długimi, lśniąco zakończonymi. Wreszcie coś pod nią rozbłysło i znowu zasłonił ją obłok pomarańczowego dymu.

Nad głową Kondratiewa pojawił się niewielki helikopter. Siergiej odprowadził go wzrokiem. Helikopter przeleciał nad kopułą, po czym nagle skręcił ostro w bok i runął w dół. Kondratiew krzyknął, ale helikopter już siedział na szczycie kopuły. Wyglądało to tak, jakby nieruchomo zawisł nad językami płomieni. Z helikoptera wyszedł mały czarny człowieczek, nachylił się, oparł ręce o kolana i zaczął patrzeć na piekło.

– Powiedz, że wrócę jutro rano! – krzyknął ktoś za plecami Kondratiewa.

Nawigator odwrócił się. Nieopodal, tonąc w bujnych krzewach bzu, stały dwa parterowe domki z wielkimi oknami, w których paliło się światło. Okna do połowy kryły się w krzewach; kotłowane wiatrem gałązki odcinały się na tle jasnych prostokątów cienkimi ażurowymi sylwetkami. Dały się słyszeć kroki i ten sam głos krzyknął:

– I poproś mamę, żeby powiedziała Ahmetowi!

Okna w jednym z domków zgasły. Z drugiego dobiegały dźwięki jakieś smutnej melodii. W trawie grały świerszcze, słychać było senne półwierkiwanie ptaków. No, tutaj na pewno nie mam czego szukać, pomyślał Kondratiew.

Wstał i ruszył w drogę powrotną. Kilka minut błądził w krzewach, wreszcie znalazł

drogę i zaczął iść między sosnami. Droga bieląca w świetle gwiazd. Po kilku minutach Kondratiew zobaczył przed sobą błękitne światło gazowej lampy słupa z drogowskazem. Prawie pobiegł do ruchomej, pustej teraz drogi.

Skacząc jak zając i pokrzykując: „Hop! Hop!”, przebiegł na pas płynący w stronę miasta. Pasy słabo lśniły pod nogami, po obu stronach biegły w tył krzewy i drzewa. Daleko w przodzie płonęła na niebie błękitna luna – tam było miasto. Kondratiew nagle poczuł straszny głód.

Zszedł przy werandzie ze stolikami, tej samej, gdzie stał drogowskaz „Żółta Fabryka – 1 km”. Na werandzie paliło się światło, było gwarno, unosił się apetyczny aromat i... wszystkie stoliki były zajęte. Tu się nie da zjeść kolacji, pomyślał rozczarowany Kondratiew, ale mimo wszystko wszedł po schodkach i zatrzymał się na progu. Praprawnukowie pili, jedli, śmiali się, rozmawiali, przekrzykiwali i nawet śpiewali.

Siergiej poczuł, że ciągnie go za rękaw jakiś długonogi praprawnuk z najbliższego stolika.

– Niech pan siada, towarzyszu – powiedział, wstając.

– Dziękuję – wymamrotał Kondratiew. – A pan?

– Nic nie szkodzi! Ja już jadłem, proszę się nie martwić.

Kondratiew usiadł i położył ręce na kolanach. Siedzący naprzeciwko niego ogromny, śniady mężczyzna, jedzący coś apetycznego z głębokiego talerza, zerknął i zadał dziwne pytanie:

– No, jak tam? Ciągną?

– Co ciągną? – nie zrozumiał Kondratiew.

Teraz już wszyscy przy stoliku mu się przyglądali.

Śniady przechylił głowę, przełknął i powiedział:

– Pan z Aniudina?

– Nie.

Przysadzisty młodzieniec siedzący po lewej stronie radośnie zawołał:

– A ja wiem, kim pan jest! Jest pan nawigatorem z „Tajmyra”!

Wszyscy się ożywili. Śniady natychmiast uniósł w górę prawą dłoń i przedstawił się:

– Moskiczew. Joann. Obecnie Iwan.

– Zawadzka. Jelena Władimirowna – powiedziała młoda kobieta siedząca po prawej.

Przysadzisty rzucił, szurając nogami pod stołem:

– Basewicz. Meteorolog. Sasza.

Malutka jasnowłosa kobieta, wciśnięta pomiędzy meteorologa i Joannę, wesoło pisnęła, że ma na imię Marina.

Eksnawigator Kondratiew podniósł się i uklonił.

– Nie od razu pana poznałem – wyjaśnił śniady Moskiczew. Znacznie lepiej pan teraz wygląda. A my tu siedzimy i czekamy. Jedyne, co możemy zrobić, to siedzieć i jeść *sacywi*. Dzisiaj zaproponowano nam dwanaście miejsc na tankowcu... myśleli, że się nie zgodzimy. Z głupoty zaczęliśmy ciągnąć losy, a w tym czasie na tankowiec załadowała się grupa z Workuty. Same potężne chłopy! Na dwanaście miejsc ledwie wcisnęli dziesięć osób, a pozostała piątka siedzi tutaj... – zachichotał nieoczekiwanie. – Siedzi i je *sacywi*! A może by tak wziąć jeszcze jedną porcję? Pan już jadł kolację?

– Nie – powiedział Kondratiew.

Moskiczew wysunął się zza stołu.

– W takim razie panu też przyniosę.

– Będę wdzięczny – powiedział Kondratiew.

Iwan Moskwiczew oddalił się, lawirując pomiędzy stolikami.

– Niech się pan napije wina – zaproponowała Zawadzka, podsuwając Kondratiewowi swoją szklanę.

– Dziękuję, nie piję – odparł odruchowo Kondratiew i w tym momencie przypomniał sobie, że nie jest już kosmonautą i nigdy nim nie będzie. – Przepraszam. Z przyjemnością.

Wino było aromatyczne, lekkie i smaczne. Nektar, pomyślał Kondratiew. Bogowie piją nektar i jedzą *sacywi*. Dawno nie próbowałem *sacywi*...

– Leci pan z nami? – zapiszczała Marina.

– Nie wiem – rzekł Kondratiew. – Może. A dokąd?

Praprawnuki popatrzyły na siebie.

– Lecimy na Wenus – powiedział Sasza. – Rozumie pan, Moskwiczew koniecznie musi przemienić Wenus w drugą Ziemię.

Kondratiew postawił szklanę na stole.

– Wenus? – spytał z niedowierzaniem. Dobrze pamiętał, czym jest Wenus. – A wasz Moskwiczew był kiedyś na Wenus?

– Pracuje tam – wyjaśniła Zawadzka. – Ale to nieważne. Problem w tym, że nie zapewnił nam statków. Czekamy już trzeci dzień.

Kondratiew przypomniał sobie, jak trzydzieści trzy dni kręcił się wokół Wenus na planetolocie pierwszej klasy i nie mógł się zdecydować, żeby wylądować.

– Tak – powiedział – to straszne tak długo czekać...

Z przerażeniem popatrzył na białowłosą Marinę i wyobraził ją sobie na Wenus. Radioaktywne pustynie, pomyślał, czarne burze.

Wrócił Moskwiczew i gruchnął na stół tacę zastawioną talerzami. Wśród nich była pękata butelka z długą szyjką.

– Proszę – powiedział – proszę, niech pan je, towarzyszu Kondratiew. To właśnie *sacywi*, poznaje pan? Tu jest sos, jeśli pan chce. Proszę pić to... a tu jest lód... Piegów znowu rozmawiał z Aniudinem, obiecują planetolot jutro o szóstej.

– Wczoraj też obiecywali planetolot jutro o szóstej – powiedział Sasza.

– Nie, teraz już na pewno. Wracają astronauty. D-kosmoloty. To nie jakieś tam tankowce. Sześciuset ludzi na jeden rejs, pojutrze będziemy na miejscu.

Kondratiew napił się z kielicha i wziął za jedzenie. Jego nowi znajomi cały czas się kłócili. Sądząc po tym, co mówili, wszyscy prócz Moskwiczewa byli ochotnikami i lecieli na Wenus. Moskwiczew natomiast reprezentował mieszkańców Wenus, gnębionych ciężkimi warunkami naturalnymi. Z nim sprawa była jasna; to on dawał Ziemi siedemdziesiąt pięć procent energii, osiemdziesiąt pięć procent rzadkich metali i żył jak więzień, całymi miesiącami nie oglądając błękitnego nieba i całymi tygodniami czekając w kolejce, żeby poleżeć w oranżerii na trawce. Praca w takich warunkach była nieznośnie ciężka, z tym Kondratiew zgadzał się w zupełności.

Ochotnicy też byli co do tego zgodni. Wszyscy pragnęli znaleźć się na Wenus, ale każdy miał inny cel. Na przykład piszcząca Marina okazała się operatorem ciężkich systemów i leciała na Wenus, ponieważ na Ziemi jej ciężkie systemy nie miały rozmachu. Nie chciała więcej przenosić z miejsca na miejsce domków ani ryc kotlin dla fabryk. Pragnęła budować domy na bagnach. Marzyła o burzach i podziemnych wybuchach, i o tym, żeby potem powiedzieli: „Te domy budowała Marina Czerniak!” Cóż, trudno było znaleźć jakieś argumenty przeciw tym pomysłom. Z Mariną Kondratiew też się zgadzał, chociaż wolałby,

żeby Marinie dali trochę podrosnąć i za pomocą specjalnych treningów lepiej dopasowali ją do bagien, burz i podziemnych wybuchów.

Natomiast meteorolog Sasza był zakochany w Marinie Czerniak. Ale to nie wszystko. Kiedy Marina po raz trzeci poprosiła go, żeby przestał dowcipkować, zaczął rozsądnie i logicznie udowadniać, że my, Ziemianie, mamy tylko dwa wyjścia: skoro na Wenus tak ciężko pracować, to trzeba albo się wycofać, albo sprawić, żeby Wenus nie przeszkadzała w pracy. Czy możemy odejść z miejsca, na którym choć raz stanęła nasza noga? Nie możemy, ponieważ istnieje wielka misja ludzkości i odpowiedzialność Ziemianina ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Kondratiew i z tym się zgadzał, choć mocno podejrzewał, że Sasza nadal żartuje.

Z najbardziej nieoczekiwanymi pomysłami leciała na Wenus Jelena Władimirowna Zawadzka. Po pierwsze, okazało się, że jest członkiem Rady Światowej i oburzają ją warunki, w jakich pracował Moskwickzew i dwadzieścia tysięcy jego towarzyszy. Była kategoryczną przeciwniczką domów na bagnach, podziemnych wybuchów i nowych mogił, nad którymi czarne burze będą śpiewać legendy o bohaterach. Krótko mówiąc, leciała na Wenus, żeby uważnie zbadać miejscowe warunki i podjąć odpowiednie środki w celu dekolonizacji planety. Misja Ziemianina polegała, jej zdaniem, na stawianiu na obcych planetach automatycznych fabryk. Moskwickzew o tym wszystkim wiedział. Zawadzka wisiała nad nim jak nożyce Parki, grożąc wszystkim jego perspektywom. Ale Zawadzka była również chirurgiem-embriomechanikiem; mogła pracować bez gabinetu, w każdych warunkach, po pas w bagnie. Takich chirurgów Ziemia miała niewielu, a na Wenus byli niezastąpieni. Więc Moskwickzew siedział cicho, mając nadzieję, że jakoś to będzie. Kondratiew doszedł do wniosku, że argumenty Zawadzkiej są nie do odparcia, wstał i po cichu wyszedł na werandę.

Noc była jasna, chociaż bezksiężycowa. Nad czarnym bezkształtnym ogromem lasu wisiała nisko jasna Wenus. Kondratiew długo na nią patrzył. Może tam spróbować? – myślał. Jako kopacz, kierowca, miner... wszystko jedno. Niemożliwe, żebym się do niczego nie nadawał...

– Patrzy pan? – rozległ się głos w ciemności. – Ja też patrzę. Czekam, aż zajdzie, i idę spać. – Głos był spokojny i zmęczony. – Wie pan, myślę i myślę.. Gdyby tak posadzić na Wenus sady... prześwidrować Księżyc ogromnym świdrem. Ostatecznie sensem naszego istnienia jest tracenie energii... najlepiej, wie pan, tak, żeby i dla ciebie było interesująco, i dla innych z korzyścią. A na Ziemi teraz coraz trudniej tracić energię. Wszystko mamy, jesteśmy zbyt potężni. Sprzeczność, jeśli pan chce... Oczywiście, jest wielu ludzi, którzy pracują z pełnym oddaniem: naukowcy, pedagodzy, lekarze profilaktycy, ludzie sztuki... Agrotechnicy, asenizatorzy... I zawsze będzie ich dużo. Ale co mają zrobić pozostali? Inżynierowie, operatorzy, lekarze... Są tacy, co biorą się za sztukę, ale większość szuka w niej nie ucieczki, lecz natchnienia. Ci cudowni młodzi ludzie... a tymczasem tak mało dla nich miejsca! Oni chcą burzyć, przerabiać, budować... I to nie dom, lecz przynajmniej świat. Dziś Wenus, jutro Mars, pojutrze jeszcze co innego... I zaczyna się Międzyplanetarna Ekspansja Ludzkości, rozładowywanie wielkich akumulatorów... Zgadza się pan ze mną, towarzyszu?

– Zgadzam się – powiedział Kondratiew.

## Powrót

Siergiej Iwanowicz Kondratiew wrócił do domu w południe. Cały ranek spędził w Małym Informatorium: chciał sobie znaleźć nowy zawód. W domu było chłodno, cicho

i bardzo pusto. Kondratiew przeszedł się po wszystkich pokojach, napił się wody mineralnej, stanął przed pustym biurkiem i zaczął się zastanawiać, jak zabić dzień.

Za oknem świeciło słońce, ćwierkał jakiś ptak, a w krzakach bzu słychać było metaliczny terkot i szczęknięcie. Najwidoczniej krzątał się tam jeden z tych wielonogich pracowitych potworów, odbierających uczciwemu człowiekowi możliwość zajęcia się, na przykład, Ogrodnictwem.

Eksnawigator westchnął i zamknął okno. Może pójść do Żeni? Nie warto, na pewno nie ma go w domu. Poobwieszał się najnowszymi dyktafonami i nosi go po całym Uralu: w głowie trzydzieści trzy problemy, nie licząc drobnych zadań. „Braki w wiedzy – oświadczył – należy nadrabiać nadmiarem energii”. Sheila to wspaniała dziewczyna, wszystko rozumie, ale nigdy nie ma jej w domu pod nieobecność Żeni. Nawigator poczłapał do stołowego, wypił jeszcze jedną szklankę wody. Może coś zjeść? Niezła myśl, można by zjeść obiad, i to nawet wykwinął. Tylko jeść się nie chce...

Podszedł do okienka linii dostaw, wystukał na chybił trafił szyfr i z ciekawością czekał, co się stanie. Nad okienkiem zapłonęła zielona lampka – zamówienie zrealizowane. Nawigator z pewną obawą odsunął pokrywkę. Na dnie obszernego pudełka stał kartonowy talerzyk. Siergiej postawił go na stole. Na talerzyku leżały dwa twarde małosolne ogórki. O, wziąć by takie ogórki i na „Tajmyr” pod koniec drugiego roku... A może pójść do Protosa? Protos to wspaniały człowiek. Ale ten miły stary Protos jest przecież bardzo zajęty. Wszyscy ludzie są czymś zajęci.

Kondratiew z roztargnieniem zjadł ogórek. Potem zjadł drugi i wrzucił talerzyk do zsypu. Może znowu pokreć się między ochotnikami? – zastanowił się. – Albo pojechać do Valparaiso... W Valparaiso jeszcze nie byłem...

Rozmyślania nawigatora przerwała melodyjka sygnału: ktoś prosił o pozwolenie wejścia. Sierioża ucieszył się; na ogół nikt do niego nie przychodził. Najwidoczniej praprawnuki z fałszywej skromności nie chciały go niepokoić. W ciągu całego tygodnia tylko raz odwiedziła go osiemdziesięcioletnia czerstwa kobieta ze staromodnym węzłem czarnych włosów na karku. Oznajmiła, że jest starszym operatorem piekarni mechanicznej i w ciągu dwóch godzin cierpliwie uczyła go wybierać cyfry na panelu linii dostaw. Serdeczna rozmowa jakoś się im nie kleiła, chociaż staruszka bez wątpienia była wspaniałym człowiekiem. Prócz niej kilka razy bez zaproszenia zjawiały się bardzo młode praprawnuki, najwidoczniej całkowicie pozbawione fałszywej skromności. Wizyty te były podyktowane czysto egoistycznymi względami. Jeden przyszedł, żeby przeczytać nawigatorowi swoją odcę Na powrót „Tajmyra”, z której nawigator zrozumiał tylko pojedyncze słowa – Tajmyr i kosmos; oda była w suahili. Drugi pracował nad biografią Edgara Allana Poe i bez zbytniej nadziei prosił o jakieś mało znane szczegóły z życia wielkiego amerykańskiego pisarza. Kondratiew przekazał mu pogłoski o spotkaniach Poego z Puszkinem i poradził zwrócić się do Jewgienija Sławina.

Pozostali młodzieńcy i dziewczęta zjawiali się w sprawie, którą w terminach XXI wieku Sierioża określiłby jako „zbieranie autografów”. Ale nawet młodzi łowcy autografów byli lepsi niż nikt, więc śpiew sygnału ucieszył Kondratiewa.

Wyszedł do przedpokoju i krzyknął: „Proszę!” Wszedł człowiek dość wysoki, w luźnej szarej kurtce i długich niebieskich spodniach, jakby od pizamy. Cicho zamknął za sobą drzwi, przechylił głowę i zaczął się przyglądać nawigatorowi. Jego fizjonomia żywo przypominała Sierioży oglądane niegdyś fotografie kamiennych posągów na wyspie Rapa Nui – wąska, pociągła twarz z wysokim czołem i potężnymi łukami brwiowymi, z zapadniętymi oczami



i długim, ostrym nosem. Twarz była ciemna, ale w rozpiętym kołnierzu kurtki widać było niespodziewanie jasną skórę. Na łowcę autografów mężczyzna zdecydowanie nie wyglądał.

– Pan do mnie? – spytał z nadzieją Kondratiew.

– Tak – odparł cicho i smutno nieznajomy. – Do pana.

– W takim razie proszę wejść.

Siergiej był nieco rozczarowany smutnym tonem nieznajomego. Chyba jednak zbieracz autografów, pomyślał. Trzeba go ciepło przyjąć.

– Dziękuję – powiedział jeszcze ciszej nieznajomy.

Garbiąc się, ominął nawigatora i zatrzymał się pośrodku stołowego pokoju.

– Niech pan siada – powiedział Kondratiew.

Nieznajomy stał, w milczeniu spoglądając na sofę. Sierioża z pewnym niepokojem też na nią popatrzył. To była wspaniała rozkładana sofa, szeroka, miękka, ze sprężynującymi, jasnozielonymi poduchami, porowata jak gąbka.

– Nazywam się Gorbowski – powiedział cicho nieznajomy, nie spuszczać wzroku z sofy. – Przyszedłem porozmawiać z panem jak astronauta z astronautą.

– Coś się stało? – spytał przestraszony Kondratiew. – Coś z „Tajmyrem?” Proszę, niech pan siada!

Gorbowski stał dalej.

– Z „Tajmyrem?” Nie sądzę... zresztą, nie wiem – powiedział. – Ale przecież „Tajmyr” jest w Muzeum Kosmogacji. Co może się z nim jeszcze stać?

– No tak – przyznał Sierioża z uśmiechem. – Rzeczywiście, dla niego to już chyba koniec.

– Koniec – zgodził się Gorbowski i też się uśmiechnął. Jak wielu brzydkich mężczyzn uśmiech miał miły i dziwnie dziecinny.

– Dlaczego stoimy? – wykrzyknął raźnie nawigator. – Siadajmy!

– Wie pan co, Siergieju Iwanowiczu? – zaczął nagle Gorbowski. – Pozwoli pan, że się położę?

Kondratiew się zakrztusił.

– P..proszę – wymamrotał. – Źle się pan czuje?

Gorbowski już leżał na sofie.

– Ach, Siergieju Iwanowiczu! Jest pan taki sam jak wszyscy. Czy jeśli człowiek chce chwilę położyć, to musi być z nim źle? W czasach starożytnych niemal wszyscy leżeli... nawet przy jedzeniu.

Kondratiew nie odwracając się wymacał za plecami fotel i usiadł.

– Już w tamtych czasach – ciągnął Gorbowski – krążyło powiedzenie, którego sens był taki, że lepiej leżeć niż siedzieć. A ja właśnie wróciłem z rejsu. Sam pan wie, Siergieju Iwanowiczu, jakie są leżanki na statkach. Okropne, twarde urządzenia. Ale czy tylko na statkach? Te niewyobrażalne ławki na stadionach i w parkach! Składane, wywrotne krzesła w kawiarniach i okropne kamienie w morskich kąpieliskach! Nie, Siergieju Iwanowiczu, sztuka tworzenia prawdziwie komfortowych legowisk została bezpowrotnie utracona w naszej surowej epoce embriomechaniki i D-zasady.

No, no! – pomyślał Kondratiew, który ujrzał problem „legowisk” w zupełnie nowym świetle.

– Wie pan – powiedział – pamiętam czasy, kiedy w Ameryce Północnej działały tak zwane firmy i monopole. Najdłużej utrzymała się firma, która zbiła bajeczny kapitał na materacach. Produkowała jakieś specjalne jedwabne materace; w małych ilościach, ale

potwornie drogie. Podobno miliarderzy bili się o nie. To były wspaniałe materace. Na nich niczego nie można było sobie odleżeć.

– Ich sekret zginął razem z imperializmem? – spytał Gorbowski.

– Prawdopodobnie – odpowiedział Kondratiew. – Wyruszyłem w rejs na „Tajmyrze” i więcej o nich nie słyszałem.

Zamilkli. Kondratiew rozkoszował się rozmową. Protos i Żenia też byli niezłymi rozmówcami, ale Protos bardzo lubił opowiadać o operacjach wątroby, a Żenia przeważnie uczył go prowadzenia pterocara i karcił za społeczną bierność.

– No cóż – powiedział Gorbowski – my też mamy doskonałe legowiska. Ale prócz mnie nikt się nimi nie interesuje.

Przekręcił się na bok i podparł policzek pięścią.

– Ach, drogi Siergieju Iwanowiczu! I po co pan lądował na Planecie Niebieskich Piasków?

Nawigator znowu się zakrztusił. Planeta Niebieskich Piasków z całą wyrazistością stanęła mu przed oczami. Dziecię innego słońca. Absolutnie obca. Pokryta oceanami drobnego niebieskiego pyłu, w których były przypyływy i odpływy, silne sztormy, tajfuny, a nawet, zdaje się, jakieś życie. Wokół zasypanego „Tajmyra” wirowały korowody zielonych ogni, błękitne wydmy wyły różnymi głosami, pyłowe chmury pelzły po białym niebie jak gigantyczne ameby. Planeta Niebieskich Piasków nie odkryła ludziom ani jednej ze swych tajemnic. Nawigator podczas pierwszego wypadu złamał nogę, cyberzwiadowcy wszyscy, co do jednego, gdzieś zabłądzili, a na koniec, mimo kompletnego braku wiatru, nadleciała prawdziwa burza. Wspaniałego, dobrego Koniga, który nie zdążył wrócić na statek, rzuciło razem z podnośnikiem na pierścień reaktora, rozgniotło, zmiążdżyło i porwało tysiące kilometrów w głąb pustyni, gdzie pośród błękitnych fal gigantyczne zapadliny wsasyły miliardy ton pyłu w nieosiągalne wnętrze planety...

– Pan by nie wyszedł ze statku? – spytał ochryple Kondratiew.

Gorbowski milczał.

– Dobrze wam teraz mówić, na tych waszych D-statkach... Dzisiaj jedno słońce, jutro drugie, a pojutrze trzecie... A dla mnie, dla nas, to była pierwsza obca planeta, rozumie pan? Cudem tam trafiliśmy... nie mogłem nie wyjść... W przeciwnym razie po co to wszystko?

Kondratiew przerwał. Nerwy, pomyślał. Muszę się uspokoić. Wszystko minęło.

– Po panu – powiedział w zadumie Gorbowski – na Planetę Niebieskich Piasków prawdopodobnie to ja dotarłem pierwszy. Poleciałem na desantowym statku i wziąłem ją od bieguna. Ach, Siergieju Iwanowiczu, jak było ciężko! Pół miesiąca tam krążyłem. Dwanaście sond! A ile automatów straciliśmy! Klasyczna wściekła atmosfera, Siergieju Iwanowiczu. A pan rzucił się na planetę od strony równika. Bez zwiadu. I to jeszcze na starym „żółwiu”.

Gorbowski zarzucił ręce za głowę i wpatrzył się w sufit. Kondratiew nie wiedział, czy go krytykują, czy chwala.

– Nie mogłem inaczej, Leonidzie Andriejewiczu – spróbował jeszcze raz. – Powtarzam, to był pierwszy obcy układ planetarny. Niech pan się postara mnie zrozumieć. Trudno mi wymyślić zrozumiałą dla pana analogię.

– Tak – mruknął Gorbowski. – Zapewne. Ale i tak było to bardzo ryzykowne.

I znowu Kondratiew nie rozumiał, czy go chwala, czy gania. Gorbowski głośno kichnął i nagle usiadł, spuszczać nogi z sofy.

– Przepraszam – powiedział i znowu kichnął. – Znowu się przeziębilem. Poleżysz jedną

noc na brzegu i od razu katar.

– Na jakim brzegu? – spytał nawigator.

– Jak to, Siergieju Iwanowiczu, nie wie pan? Staw, trawka, rybka tak przyjemnie pluszcze w zatoce... – Gorbowski znowu kichnął. Przepraszam. I księżyc na wodzie... „droga do szczęścia”, jak mówią?

– „Droga do szczęścia” najlepsza jest na morzu – powiedział Kondratiew marząco.

– No, nie wiem. Sam jestem z Torżka, mamy tam rzeczkę malutką, ale bardzo czystą. A w zatoce lilie wodne. Pięknie!

– Rozumiem – uśmiechnął się Kondratiew. – W moich czasach nazywało się to „tęsknotą za błękitem nieba”.

– Teraz też się tak nazywa. A na morzu... wczorajszej nocy siedziałem nad morzem, fenomenalny księżyc, gdzieś śpiewają dziewczyny i nagle z wody wyszli tacy dziwni... w rogatych kostiumach...

– Kto?!

– No ci, sportowcy... – Gorbowski machnął ręką i znowu się położył. – Ja przecież często latam. Na Wenus i z powrotem, wożę ochotników. Wspaniali ludzie. Tylko strasznie hałaśliwi, bardzo dużo jedzą i ciągle się rwą do samobójczych czynów.

– I co pan sądzi o tym projekcie, Leonidzie Andriejewiczu? – zainteresował się Kondratiew.

– Bardzo dobry projekt – zapewnił Gorbowski. – Sam go tworzyłem. Nie ja jeden, oczywiście, ale brałem udział. W młodości miałem do czynienia z Wenus. Zła planeta. Zresztą sam pan na pewno wie...

– Moim zdaniem, to nudne wozić ochotników na D-kosmolotach – zauważył Kondratiew.

– Oczywiście, D-kosmoloty mają zupełnie inne przeznaczenie.

Kiedy się to wszystko skończy, na swoim „Tarielu” ruszę na EN 17... to na granicy, dwanaście parseków. Jest tam taka planeta Władysław, z dwoma obcymi sztucznymi satelitami. Będziemy na niej szukać miasta. Szukanie obcych miast jest niezwykle interesujące, Siergieju Iwanowiczu!

– Co znaczy „obce”?

– Obce... Siergieju Iwanowiczu, pana, jako astronautę, interesuje zapewne, czym się teraz zajmujemy. Przygotowałem nawet specjalnie krótki tekst, i jeśli pan chce, mogę go wygłosić.

– To ogromnie ciekawe. – Sierioża odchylił się na oparcie fotela. – Bardzo proszę.

Gorbowski utkwiał wzrok w suficie i zaczął:

– W zależności od własnych gustów, nasi astronauta zajmują się głównie trzema zadaniami, ale mnie interesuje czwarte. Wielu uważa je za zbyt specjalistyczne, a nawet beznadziejne, ale moim zdaniem, człowiek z wyobraźnią łatwo znajdzie w nim swoje przeznaczenie. Są wprawdzie ludzie, którzy twierdzą, że to w żaden sposób nie usprawiedliwia strat paliwa. Tak mówią snobi i utylitaryści. A my odpowiadamy im na to...

– Przepraszam – przerwał Kondratiew. – Na czym właściwie polega to czwarte zadanie? A także pozostałe trzy?

Gorbowski popatrzył na Kondratiewa i zamrugał.

– Tak – powiedział w końcu. – Zdaje się, że wykład się nie udał. Zacząłem od środka, pierwsze trzy zadania to, po pierwsze, badania planetologiczne, astrofizyczne i kosmogeniczne. Następnie jest sprawdzanie i dalsze opracowywanie D-zasady, co wygląda

tak, że bierze się nowy D-kosmolot i przegania go przy barierze światła, aż do wykończenia. I wreszcie próby, na razie daremne, nawiązania kontaktu z innymi cywilizacjami w kosmosie. Moje ulubione Zadanie również łączy się z innymi cywilizacjami. Tylko że my nie szukamy kontaktu, lecz śladów, śladów obecności obcych astronautów na różnych planetach. Niektórzy twierdzą, że to zadanie w żadnych warunkach nie znajduje usprawiedliwienia. Ale może to już mówiłem?

– Mówił pan – przytaknął Kondratiew. – A co to za ślady?

– Widzi pan, Siergieju Iwanowiczu, każda cywilizacja powinna zostawiać mnóstwo śladów. Weźmy choćby nas, ludzkość. Jak oswajamy nową planetę? Dodajemy jej sztuczne satelity, od Słońca do niej ciągniemy długi łańcuch boi radiowych, po dwie, trzy boje na rok świetlny, no i latarnie morskie, pelengatory... Jeśli uda nam się wysiąść na takiej planecie, budujemy bazy naukowe, miasta...

A przecież nie zabieramy tego wszystkiego, gdy odchodzimy! Podobnie inne cywilizacje.

– Znalezliście już coś? – spytał Kondratiew.

– Jasne! Phobos i Deimos, to pan na pewno wie, podziemne miasta na Marsie, sztuczne satelity przy Władysławie... Bardzo interesujące satelity... tak... Tym się właśnie zajmujemy, Siergieju Iwanowiczu.

– Ciekawe – rzekł Kondratiew. – Ale ja mimo wszystko wybrałbym badanie D-zasady.

– To rzecz gustu i skłonności. Teraz zresztą wszyscy wozimy ochotników, nawet dumni badacze D-zasady. Jak w waszych czasach woźnice tramwajów...

– W naszych czasach nie było tramwajów – powiedział z westchnieniem Kondratiew. – No i tramwaje prowadzili nie woźnice, tylko... eee... No, to się jakoś inaczej nazywało. Niech pan posłucha, Leonidzie Andriejewiczu, jadł pan obiad?

Gorbowski kichnął, przeprosił i usiadł.

– Chwileczkę, Siergieju Iwanowiczu – rzekł, wyciągając z kieszeni kwiciastą chusteczkę do nosa. – Chwileczkę... Czy ja panu powiedziałem, po co właściwie przyszedłem?

– Żeby porozmawiać jak astronauta z astronautą.

– Prawda. I nic więcej nie powiedziałem?

– Nie. Od razu bardzo pana zainteresowała sofa.

– Aha. – Gorbowski wysmarkał się w zamyśleniu. – Nie zna pan przypadkiem oceanologa Zwancewa?

– Znam tylko lekarza Protosa – odparł ze smutkiem Kondratiew. – I teraz pana poznałem.

– Doskonale. Pan zna Protosa, Protos świetnie zna Zwancewa, a ja znam i Protosa, i Zwancewa. Zresztą Zwancew zaraz tu przyjdzie. Nikołaj Jewgieniewicz.

– Pięknie – zaczął powoli Kondratiew. Zrozumiał, że w tym jest jakiś haczyk. Rozległa się melodia sygnału.

– To on – powiedział Gorbowski i znowu się położył.

Oceanolog Zwancew był człowiekiem potężnym i barczystym. Miał szeroką twarz i miodową cerę; gęste, ciemne, krótko ostrzyżone włosy, wielkie stalowe oczy i małe usta.

– Przepraszam na chwilę – powiedział Kondratiew. – Pójdę zamówić obiad. Co pan lubi, Nikołaju Jewgieniewiczu?

– Wszystko lubię – odparł Zwancew. – On też wszystko lubi.

– Tak, wszystko lubię – potwierdził Gorbowski. – Tylko, proszę, bez owsianego kisielu.

– Dobrze – powiedział Kondratiew i poszedł do jadalni.

– I bez kalafiora! – krzyknął za nim Gorbowski.

Wybierając cyfry przy okienku linii dostaw, Kondratiew myślał „Nie przyszli tu ot, tak sobie. To mądrzy ludzie, więc nie przywiodła ich pusta ciekawość. Pewnie chcą mi pomóc. Są energiczni i konkretni, więc nie zamierzają też mnie pocieszać. Ale jak mieliby mi pomóc? Potrzebne mi tylko jedno...” Kondratiew zamknął oczy i przez chwilę stał nieruchomo, opierając się o daszek okienka dostawy.

– Znowu leżysz, Leonid – usłyszał z pokoju gościnnego. – Masz w sobie coś z mimikrodona.

– Trzeba leżeć – odrzekł z głębokim przekonaniem Gorbowski.

– To filozoficzna konieczność. Bezmyślne poruszanie rękami i nogami nieuchronnie zwiększa entropię wszechświata. Chciałbym powiedzieć światu: „Ludzie! Więcej leżcie! Strzeżcie się udaru ciepłego!”

– Dziwię się, że jeszcze nie przeszedłeś do pełzania.

– Myślałem o tym, ale tarcie jest zbyt wielkie. Z punktu widzenia entropii wygodniej jest przemieszczać się w pozycji pionowej.

– Pustosłowio – powiedział Zwancew. – Wstawaj!

Kondratiew odchylił pokrywkę i nakrył stół.

– Obiad podano! – zawołał nienaturalnie wesołym głosem. Czuł się jak przed egzaminem.

W gościnnym zaczął się ruch i Gorbowski odkrzyknął:

– Zaraz mnie przyniosą!

Ale pojawił się w pozycji pionowej.

– Proszę mu wybaczyć, Siergieju Iwanowiczu – powiedział Zwancew. – On wszędzie się wyleguje. Najpierw na trawie, a potem brudny wali się na sofę.

– Gdzie na trawie? Gdzie? – oburzył się Gorbowski i zaczął się rozglądać.

Kondratiew uśmiechał się z trudem.

– Do rzeczy – powiedział Zwancew, siadając przy stole. – Po waszej minie, Siergieju Iwanowiczu, widzę, że wstęp nie jest potrzebny. Przyszliśmy tu, żeby zwerbować pana do pracy.

– Dziękuję – powiedział cicho Kondratiew.

– Jestem oceanologiem i od dawna pracuję w organizacji zwanej Strażą Oceaniczną. Hodujemy plankton na proteiny i pasimy wieloryby, bo to mięso, tłuszcz, skóry i chemia. Lekarz Protos powiedział nam, że kategorycznie zabroniono panu opuszczać planetę. A my ciągle potrzebujemy ludzi, zwłaszcza teraz, gdy wielu odchodzi do projektu „Wenus”. Zapraszam pana do nas.

Zapadła cisza. Gorbowski, na nikogo nie patrząc, zawzięcie jadł zupę. Zwancew też zaczął jeść. Kondratiew kruszył chleb.

– Jest pan pewien, że dam sobie radę? – spytał.

– Jestem – odparł Zwancew. – Mamy wielu byłych astronautów.

– Jestem „były” w stopniu wyższym – powiedział Kondratiew. – Takich nie macie.

– Wyjaśnij bardziej szczegółowo – wtrącił Gorbowski – czym Siergiej Iwanowicz mógłby się u was zajmować.

– Można być dozorcą na plantacji listownicy – zaczął Zwancew. – Można pracować przy ochronie plantacji planktonu. Można też w patrolu, ale tam potrzebny jest wysoki stopień kwalifikacji, to przyjdzie z czasem. A najlepiej być pasterzem wielorybów. – Odłożył

widelec i nóż. – Nie ma pan pojęcia, jakie to wspaniałe, Siergieju Iwanowiczu!

Gorbowski patrzył na oceanologa z ciekawością.

– Wcześniej rano... cichy ocean... różowe niebo na wschodzie... Wyływasz na powierzchnię, otwierasz luk, wychodzisz na wieżyczkę i siedzisz, siedzisz, siedzisz... woda pod nogami czysta, zielona, z głębin wyływa meduza i znika pod łodzią podwodną... leniwie przyplynie wielka ryba... Życie nie umierać!

Kondratiew popatrzył na jego twarz, rozmarzoną i szczęśliwą, i nagle tak mocno zaprzagnął pójść natychmiast nad ocean, na to słone powietrze, że aż wstrzymał oddech.

– A kiedy wieloryby przechodzą na nowe pastwiska... – ciągnął Zwancew. – Wie pan, jak to wygląda? Z przodu i z tyłu idą stare samce, po dwa, po trzy w stadzie, ogromne, czarne; wygląda to tak, jakby to nie one płynęły, tylko woda je opływała... Idą prosto, a młode i ciężarne samice za nimi... Stare są oswojone, prowadzą, gdzie chcemy, ale trzeba im pomagać. Zwłaszcza gdy w stadzie podrastają młode samce. Te zawsze próbują rozbić stado i zabrać część ze sobą. Wtedy właśnie wkraczamy, wtedy zaczyna się prawdziwa praca. Albo nagle orki atakują...

Ocknął się i popatrzył na Kondratiewa zupełnie przytomnie.

– Jednym słowem, tutaj jest wszystko. I przestrzenie, i głębiny, i wielki pożytek dla ludzi, i dobrzy towarzysze... i przygody... jeśli pan zechce.

– Tak – powiedział z uczuciem Kondratiew.

Zwancew uśmiechnął się.

– Gotów – wtrącił Gorbowski. – Do licha z tymi gwiazdolotami! Chcę tak jak ty, na tej wieżyczce... i żeby meduzy...

– Teraz – powiedział konkretnie Zwancew – odwiezę pana do Władywostoku. Zajęcia na kursach przekwalifikowania zaczynają się za dwa dni. Zjadł pan już obiad?

– Zjadłem – odrzekł Kondratiew. Praca, pomyślał. To właśnie prawdziwa praca!

– W takim razie jedźmy – powiedział Zwancew, wstając.

– Dokąd?

– Na lotnisko.

– Już teraz?

– Oczywiście, że teraz. A na co mamy czekać?

– Właściwie nie ma na co – przyznał stropiony Kondratiew. Tylko...

Spostrzegł się i zaczął szybko sprzątać naczynia. Gorbowski, dojadając banan, pomógł mu.

– Jedźcie – powiedział. – Ja tu zostanę. Poleżę, poczytam. Mam rejs o dwudziestej trzydziestej.

Wyszli do gościnnego. Nawigator rozejrzył się. Z pełną jasnością uświadomił sobie, że obojętnie, gdzie się zechce osiedlić na tej planecie, wszędzie będzie miał taki spokojny domek, dobrych sąsiadów, książki i sad za oknem...

– Jedźmy – powiedział. – Do widzenia, Leonidzie Andriejewiczu. Dziękuję.

Gorbowski już mościł się na sofie.

– Do widzenia, Siergieju Iwanowiczu. Jeszcze nieraz się spotkamy.

### Rozdział 3

#### Dobrze urządzona planeta

#### Duchowa udręka

Gdy wcześniej rano Paul Gniedych wszedł na ulice fermy Wołga Jednoróg, ludzie odwracali się za nim i długo patrzyli. Paul specjalnie się nie ogolił i był boso. Na ramieniu niósł sękaty kij, na którego końcu kołysały się związane sznurkiem zakurzone buty. Obok wieży stacji mikropogodowej do Paula przyczepił się cybersprzątacznik. Za ażurowym ogrodzeniem jednego z domków rozległy się śmiechy, a śliczna dziewczynka stojąca na ganku z ręcznikiem w ręku spytała na całą ulicę: „Ze świętych miejsc idziecie, pielgrzymie?” Z drugiej strony ulicy natychmiast padło pytanie: „Nie macie przypadkiem opium dla narodu?” Pomysł chyba się udał. Paul wyprostował się i głośno zaśpiewał:

*Nie straszny mi, zuchowi,  
Ni ziąb, ni mróz  
Ja buty na kiju,  
W papierku, w koszyczku,  
Przez tysiąc kilometrów  
Wydeptaną ścieżką  
Do szewca, do naprawy  
Tyriam-pampam  
Zaniosłem!*

W zdumionej ciszy nagle rozległ się wystraszony głos: „z nim?” Paul zatrzymał się, odepchnął nogą cybera i zapytał w przestrzeń:

– Nie wiecie, gdzie mogę znaleźć Aleksandra Kostylina?

Kilka głosów wyjaśniło, że Sasza najpewniej jest w laboratorium, o, w tamtym budynku.

Paul podziękował uprzejmie i ruszył dalej. Budynek laboratorium był niski, okrągły i błękitny. W drzwiach stał oparty o futrynę jasnowłosy piegowaty młodzieniec w białym fartuchu, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Paul wszedł po stopniach. Jasnowłosy popatrzył na niego spokojnie.

– Czy mogę zobaczyć się z Kostylinem? – spytał Paul.

Młodzieniec obejrzał Paula, zajrzał mu przez ramię na buty, popatrzył na cybersprzątacznika, który kiwał się stopień niżej, chciwie wyciągając manipulatory, a wreszcie odwrócił głowę i zawołał niegłośno:

– Sasza! Wyjdź na minutę. Jakiś poszkodowany do ciebie.

– Niech wejdzie – zahuczał z wnętrza laboratorium znajomy bas.

Jasnowłosy znowu obejrzał Paula.

– Nie może, jest silnie septyczny.

– To go zdezynfekuj – dobiegło ze środka. – Poczekam.

– Długo byś musiał czekać... – zaczął młodzieniec.

– Juhuu, Sasza! To ja, twój Polly! – zawołał Paul.

W laboratorium coś z hukiem upadło, z drzwi wionęło chłodnym powietrzem, jasnowłosego młodzieńca odrzuciło na bok i na progu pojawił się Aleksander Kostylin,

wielki, barczysty, w gigantycznym białym fartuchu. Jego rozcapierzone palce były czymś wymazane; trzymał ręce rozstawione na boki jak chirurg podczas operacji.

– Juhuu, Polly! – ryknął. Oszołomiony cyber spadł z ganku i pognął w dół ulicy.

Paul rzucił swój kij i runął w objęcia białego fartucha. Poczul, jak trzeszcza mu kości. To mój koniec, pomyślał i wychrypiał:

– Żegnaj... drogi... Sasza...

– Polly... mały Polly! – gruchał basem Kostylin, miażdżąc Paula łokciami. – Jak wspaniale, że cię widzę!

Paul walczył jak lew i w końcu udało mu się uwolnić. Jasnowłosey młodzieniec, ze strachem obserwujący scenę powitania, odetchnął z ulgą, podniósł kij z butami i podał Paulowi.

– No, co tam? – spytał Kostylin, uśmiechając się szeroko.

– Dziękuję, nieźle – odparł Paul. – Żyję.

– A my, jak widzisz, gospodarujemy – powiedział Kostylin. Karmimy was, darmozjadów.

– Masz bardzo przekonujący wygląd – zauważył Paul.

Kostylin popatrzył na swoje ręce.

– Zapomniałem! – Odwrócił się do jasnowłosego. – Fiedia, dokończ sam. Widzisz, do mnie przyjechał Polly. Mały Liber Polly...

– Może damy spokój? – spytał jasnowłosey Fiedia. – Przecież widać, że nic nie wychodzi.

– Nie, trzeba dokończyć – rzekł Kostylin. – Zrób to, bardzo cię proszę.

– Dobrze – powiedział z niechęcią Fiedia i wszedł do laboratorium.

Kostylin chwycił Paula za ramiona i przyjrzał mu się z odległości wyciągniętych rąk.

– Wcale nie urosłeś – powiedział czule. – Karmę macie tam kiepską, czy co? Poczekaj no... – spochmurniał. – Pterocar ci się zepsuł? Jak ty wyglądasz?

Paul uśmiechnął się zadowolony.

– Nie – powiedział. – Odgrywam Pielgrzyma. Idę od Wielkiej Drogi.

– Oho! – Na twarzy Kostylina pojawił się szacunek. – Trzysta kilometrów! No i jak?

– Wspaniale – rzekł Paul. – Tylko wszedłbym do wanny. I zmienił ubranie.

Kostylin uśmiechnął się szczęśliwy i zgarnął Paula z ganku.

– Chodźmy – powiedział. – Zaraz wszystko będzie... i wanna, i mleko...

Kroczył środkiem ulicy, wlokąc za sobą potykającego się Paula, i gadał, wymachując butami na kiju:

– I czysta koszula... i całe spodnie... i masaż... i prysznic jonowy... i dwa razy po karku za to, żeś nie pisał... i pozdrowienia od Atosa. I dwa listy od nauczyciela...

– Świetnie! – wykrzykiwał Polly. – Wspaniale!

– Tak, tak, wszystko będzie... i o błędnych ognikach... pamiętasz błędne ogniki? I jak się omal nie ożeniłem... i jak się za tobą stęskniłem...

Na fermie zaczynał się dzień pracy. Ulica pełna była ludzi, chłopców i dziewcząt, ubranych pstrokato i niewyszukanie. Przed Kostylinem i Pauliem wszyscy się rozstępowali. Słychać było wesołe okrzyki zdumienia:

– Pielgrzyma prowadzą!

– Na wiwisekcję, chorego!

– To nowa hybryda?

– Sasza, poczekaj, daj popatrzeć!



W tłumie krążyły plotki, że nocą w pobliżu laboratorium Kostylina wylądował drugi „Tajmyr”.

– Z osiemnastego wieku – zapewniał ktoś. – A załogę rozdają pracownikom do celów anatomii porównawczej.

Kostylin opędział się kijem, a Paul wesoło szczyrzył zęby. – Lubię rozgłos – powtarzał i podśpiewywał: *Nie straszny mi, zuchowi, ni ziąb, ni mróz...*

Pielgrzym Paul siedział na drewnianej ławie przy szerokim drewnianym stole w krzakach porzeczek. Poranne słońce przyjemnie grzało jego sterylnie czyste plecy. Był uszczęśliwiony. W ręku trzymał ogromny kubek z żurawinowym napojem. Naprzeciwko siedział, spoglądając na niego czule, Aleksander Kostylin, też rozebrany do pasa i z mokrymi włosami.

– Zawsze twierdziłem, że Atos to wielki człowiek – mówił Paul, machając energicznie kubkiem. – Miał najbardziej otwartą głowę i najlepiej z nas wiedział, czego chce.

– Nie – powiedział Kostylin delikatnie. – Najlepiej widział cel Kapitan. I szedł najprostszą drogą.

Paul napił się i zastanowił.

– Może i tak – przyznał. – Kapitan zawsze chciał zostać astronautą i został nim.

– Właśnie – przytaknął Kostylin. – Atos mimo wszystko jest bardziej biologiem niż astronautą.

– Za to jakim biologiem! – Paul podniósł palec. – Słowo honoru, jestem dumny, że się z nim przyjaźniłem w szkole.

– Ja też się tym chwale – zgodził się Kostylin. – Poczekaj z pięć lat, a będziemy się chwalić przyjaźnią z Kapitanem.

– A ja się miotam jak płachta na wietrze. Wszystkiego chciałbym spróbować. Miałeś pretensje, że nie pisałem... – z westchnieniem odstawił kubek. – Gdy jestem czymś zajęty, nie mogę pisać. Wtedy pisanie mnie nie interesuje. Gdy pracuję nad tematem, nie chce mi się pisać, bo wszystko przed tobą. A gdy kończę, nie chce mi się, bo wszystko już za mną... I nie wiem, co dalej. Wiesz, Lin, jakoś mi to głupio wychodzi. Cztery lata pracowałem nad teoretyczną serwomechaniką. Razem z pewną dziewczyną rozwiązywaliśmy problem Czebotariewa... pamiętasz, jak nam nauczyciel opowiadał? Rozwiązaliśmy, zbudowaliśmy dwa dobre regulatory... W tej dziewczynie się, niestety, zakochałem... A potem wszystko się skończyło... i już.

– Nie pobraliście się? – spytał ze współczuciem Lin.

– Nie o to chodzi. Innym ludziom podczas pracy zawsze pojawiają się nowe pomysły, a mnie nie. Kiedy skończę, dłużej mnie to nie interesuje. W ciągu dziesięciu lat cztery razy zmieniłem specjalność. Pomyślałem sobie w końcu, poszukam Saszki...

– I słusznie! – zahuczał basem Lin. – Dam ci dwadzieścia pomysłów!

– Daj – zgodził się bez entuzjazmu Paul. Sposepniał i schował nos w kubku.

Lin popatrzył na niego z ciekawością.

– Nie zająłbyś się endokrynologią? – zaproponował.

– Mogę i endokrynologią – powiedział Paul. – Tylko to bardzo trudne słowo. I w ogóle te wszystkie pomysły to tylko duchowa udręka.

Lin odezwał się nagle bez widocznego związku:

– Wkrótce się żenię.

– Wspaniale! – rzekł Paul ze smutkiem. – Tylko daruj sobie opowieści o szczęśliwej

miłości. – Ożywił się. – Szczęśliwa miłość jest okropnie nudna – oznajmił. – Już starożytni o tym wiedzieli, żadnego prawdziwego mistrza szczęśliwa miłość nie pociągała. Nie szczęśliwa była dla wielkich dzieł celem samym w sobie, a szczęśliwa w najlepszym razie tłem.

Lin z powątpiewaniem przytaknął.

– Prawdziwa głębia uczuć właściwa jest jedynie nieodwzajemnionej miłości – ciągnął Paul w natchnieniu. – Nieszczęśliwa miłość czyni człowieka aktywnym, a szczęśliwa kastruje duchowo.

– Nie martw się, Polly – powiedział Lin. – To minie. Przecież główną zaletą nieszczęśliwej miłości jest to, że zazwyczaj nie trwa długo... Daj, doleję ci soku.

– Nie, Sasza. Myślę, że to jeszcze potrwa. Już minęły dwa lata. Ona mnie pewnie nie pamięta, a ja... – popatrzył na Lina. – Wybacz, Sasza, wiem, że to nieprzyjemne, jak ci ktoś płacze w kamizelkę... Ale to wszystko jest takie beznadziejne. Naprawdę, nie mam szczęścia w miłości.

Lin skinął głową.

– Chcesz, połączę się z nauczycielem? – zaproponował niezdecydowanie.

Paul pokręcił głową.

– Nie. Nie chcę się z nim widzieć w takim stanie. Wstyd...

– Taak – powiedział Lin i pomyślał: „Co prawda, to prawda. Nauczyciel nie cierpi nieszczęśliwców...” Popatrzył podejrzliwie na Paula. Czy ten sprytny Polly przypadkiem nie udaje skrzywdzonego? Jadł z apetytem, aż przyjemnie było popatrzeć, i rozgłos lubi tak jak dawniej...

– A pamiętasz projekt „Październik”?

– No pewnie! – Paul znowu się ożywił. – A zrozumiałeś, dlaczego plan runął?

– No, jak by to powiedzieć... młodzi byliśmy...

– Ech, ty! – powiedział rozweselony Paul. – Przecież nauczyciel specjalnie nas na Waltera poszczu! A potem ściał na egzaminie..

– Na jakim egzaminie?

– Hej, Saszka! – krzyknął zachwycony Paul. – Kapitan miał rację. Ty jeden niczego nie zrozumiałeś!

Do Kostylina powoli docierało.

– Tak, oczywiście... – powiedział. – Nie, dlaczego? Po prostu zapomniałem. A pamiętasz, jak Kapitan sprawdzał nas na przeciążeniach?

– To wtedy, kiedy się objadłeś czekoladą? – spytał zjadliwie Paul.

– A pamiętasz, jak testowaliśmy paliwo do rakiet? – przypomniał sobie szybko Lin.

– Tak – powiedział marząco Paul. – Ale huknęło!

– Szramę mam do tej pory – rzekł z dumą Lin. – O, pomagaj odwrócił się do Paula plecami.

Paul z przyjemnością pomacał.

– Fajne z nas były chłopaki – powiedział. – Klasa. A pamiętasz, jak na apelu udawaliśmy stado rakopajaków?

– Ech, było głośno! – wykrzyknął Lin.

Miło było powspominać.

Paul nagle się zerwał i z niezwykłą werwą zaczął udawać rakopajaka.

Ohydne, ochryple wycie wielonogiego potwora przebijającego się przez dżungłę strasznej Pandory zalało okolicę. Jakby w odpowiedzi rozległo się basowe westchnienie. Paul

przestraszony zamarł.

– A to co? – spytał.

Lin zachichotał.

– Ech ty, pająku! To krowy!

– Jakie znowu krowy? – zainteresował się Paul.

– Różne – wyjaśnił Lin. – Zdumiewająco smaczne, pieczone oraz gotowane.

– Posłuchaj, Lin – zachwycił się Paul – oto godni przeciwnicy. Chcę na nie popatrzeć.

I w ogóle chcę zobaczyć, co się tu u was dzieje.

Mina Lina wyrażała znudzenie.

– Daj spokój, Polly. Krowy jak krowy. Posiedźmy jeszcze trochę. Przyniosę ci soku.

Chcesz?

Ale było już za późno. Paul poczuł przyływ energii.

– Niewiadome wzywa! Naprzód, do mięsnych krów, rzucających wyzwanie rakopająkom! Gdzie moja koszula? Jakiś rasowy byk obiecał mi czystą koszulę!

– Polly, Polly! – przekonywał Lin. – Dlaczego się uparłeś na te krowy? Chodźmy lepiej do laboratorium.

– Jestem septyczny – oznajmił Paul. – Nie chcę do laboratorium. Chcę do krów.

– Wezmą cię na rogi – powiedział Lin i ugryzł się w język. To był błąd.

– Naprawdę? – ucieszył się Paul. – Koszulę. Czerwoną. Urządzą corridę.

Lin w rozpaczy klepnął się dłońmi po udach.

– Że też ktoś taki mi się zwałił na głowę! Rakomatador!

Wstał i poszedł w stronę domu. Gdy przechodził obok Paula, przyjaciel stanął na palcach, wygiął się i z wielkim kunsztem zrobił mostek. Lin zamruczał i ubódł go w brzuch.

Gdy tylko Paul zobaczył krowy, od razu zrozumiał, że corridy nie będzie. Pod jasnym gorącym niebem, w szeregu ciągnącym się aż po horyzont przez gęstą, wysoką, soczystą trawę, powoli sunęły ogromne plamiste ciała. Wgryzały się w miękką zieleń równiny, pozostawiając za sobą czarną parującą ziemię bez jednego źdźbła. Nad wszystkim wisiał zapach ozonu, gorącego czarnoziemiu, trawy i świeżego nawozu.

– Hej – wyszeptał Paul i usiadł na pagórku. Szereg krów przesunął się obok niego. Szkoła, w której Paul się uczył, znajdowała się w okręgu zbożowym i o hodowli bydła Paul wiedział niewiele, a to, co wiedział, i tak dawno zapomniał. O rzeźnych krowach nigdy nie rozmyślał, po prostu jadł wołowinę. A teraz obok niego, z nieprzerwanym szuraniem, chrzęszcząc i przeżuwając, z rozdierającymi duszę westchnieniami, przechodziło zorganizowane stado żywego mięsa. Od czasu do czasu jakaś krasula uniosła znad trawy ogromną, zaślinioną, oblepioną trawą mordę i wydawała z siebie głęboki ryk.

Następnie Paul zobaczył cybery. W pewnej odległości za krowami szły żwawe, płaskie maszyny na szerokich, miękkich gąsienicach.

Co chwila zatrzymywały się i zostawały w tyle, grzebały w ziemi i zaraz podbiegały do przodu. Było ich najwyżej piętnaście.

Z szaloną szybkością pędziły wzdłuż szeregu, wyrzucając spod gąsienic wilgotne mokre skiby.

Nagle ciemna chmura zasłoniła słońce i spadł ciepły, gruby deszcz. Paul obejrzał się na osiedle, na białe domki, rozrzucone w ciemnej zieleni lasów. Wydawało mu się, że siatkowe paraboloidy synoptycznych kondensatorów na ażurowej wieży mikropogodowej stacji wpatrują się wprost w niego. Deszcz szybko się skończył, chmura popłynęła w ślad za

stadem. Paul zainteresował się niewyraźnymi sylwetkami, które nieoczekiwanie pojawiły się nad horyzontem, ale nagle poczuł, że coś go gryzie. Okazało się, że to małe, szare, brzydkie owady. Paul uznał je za muchy. Może nawet gnojowe. Zerwał się na równe nogi i pobiegł w stronę osiedla. Muchy za nim nie leciały.

Przeszedł przez rzekę, zatrzymał się na brzegu i zastanowił się: wykąpać się czy nie? Zdecydował, że nie warto, i zaczął iść ścieżką w stronę osiedla. Dobrze, że zmokłem, myślał. Takie muchy wiedzą, na kim siadać... Dobrze mi tak, pasożytowi. Wszyscy pracują, wszyscy. Kapitan lata, Atos łowi pchły na błękitnych gwiazdach, Lin, szczęściarz, leczy krowy... Ale dlaczego ja, uczciwy człowiek pracy, mam się czuć jak pasożyt? Szedł ścieżką i przypominał sobie, jak dobrze było tej nocy, gdy dopadł jednak rozwiązanie problemu Czebotariewa, zerwał z łóżka Lidę i zmusił ją, żeby sprawdziła, a gdy okazało się, że wszystko się zgadza, ona pocałowała go w policzek... Paul dotknął policzka i westchnął. Dobrze by teraz było dać nura w jakiś porządny problem w rodzaju twierdzenia Fermata! Ale w głowie miał tylko dźwięczącą pustkę, w której od czasu do czasu rozlegało się głupie zdanie: „Wyciągnijmy z czegoś pierwiastek kwadratowy...”

Na obrzeżach osiedla Paul znowu się zatrzymał. Pod rozłożystą czereśnią leżał na skrzydle jednoosobowy pterocar. Obok z żalną miną siedział w kucki piętnastoletni chłopiec. Przed nim, monotonnie brzęcząc, kręcił się po trawie długonogi cybersprzątac. Cybersprzątac najwyraźniej źle się czuł.

Cień Paula padł na chłopca. Dzieciak podniósł głowę i wstał.

– Wylądowałem na nim pterocarem – wyjaśnił z dobrze znajomą miną winowajcy.

– I teraz bardzo ci przykro, co? – spytał Paul tonem nauczyciela.

– Ja nie chciałem – rzucił mały gniewnie.

Przez jakiś czas w milczeniu obserwowali ewolucje uszkodzonego cybera. Paul przykucnął.

– Popatrzmy, co my tu mamy – powiedział i złapał cybera za manipulator. Cyber zapiszczał.

– Boli chłopczyka – powiedział czule Paul, wkładając palce w system regulacji. – Łapkę złamali biedakowi, łapkę... – Cyber znowu zapiszczał, szarpnął się i ucichł. Chłopiec odetchnął z ulgą i też przykucnął.

– Jak on krzyczał, gdy wyszedłem z pterocar! –

– Krzyczeliśmy – gruchał Paul, odkręcając pancierz. – Akustykę, mamy dobrą, głośną... system AKU-6, z wibracją osiową... Modulowana piłokształtnie... Taak... – Paul zdjął pancierz i ostrożnie położył go na trawie. – A jak się nazywamy?

– Fiedia – odparł chłopiec. – Fiedia Skworcow.

Z zawiścią obserwował zręczne palce Paula.

– Znam cybera wujka Fiedię, silnego jak dwa niedźwiedzie wyrecytował Paul, wyciągając z wnętrza cybera blok regulacji. Znam tu jednego Fiedię. Przyjemny taki, piegowaty. Bardzo aseptyczny młody człowiek. To nie twój krewny?

– Nie – powiedział chłopiec wesoło. – Jestem tu na praktyce.

A pan jest cybernetykiem?

– Jesteśmy tu przejazdem – powiedział Paul. – W poszukiwaniu pomysłów. Nie masz jakiegoś luźnego pomysłu?

– Ja... ja... w naszym laboratorium mamy mnóstwo pomysłów, ale nic nam nie wychodzi.

– Rozumiem – mamrotał Paul, grzebiąc w bloku regulacji. – Stado pomysłów bez sensu

latało w powietrzu... Wtem myśliwy wbiega i w rakopająka strzela...

– To pan i na Pandorze był? – spytał z zawiścią chłopiec.

Paul obejrzał się i wydał z siebie wycie rakopająka chwytającego zdobycz.

– Nieźle! – pochwalił Fiedia.

Paul złożył cybera i klepnął go po wyszmelcowanym tyłku. Cyber pobiegł na słońce gromadzić energię.

– Wspaniale – rzekł Paul i wytarł ręce o spodnie. – Teraz zobaczymy, co tam z pterocarem.

– Nie, nie, bardzo proszę – powiedział szybko Fiedia. – Pterocar ja sam, słowo honoru...

– Aha, sam... W takim razie pójdę umyć ręce. A kim jest twój nauczyciel?

– Moim nauczycielem jest Mikołaj Kuzmicz Wiewiórka, oceanolog – powiedział chłopiec i zjeżył się.

Paul nie zaryzykował dowcipu, w milczeniu poklepał chłopca po ramieniu i poszedł swoją drogą. Czuł się znacznie lepiej. Minał dwie pierwsze ulice osiedla, gdy nad nim z szelestem przeleciał znajomy pterocar i chłopięcy głos, bardzo nieudolnie, udał wycie rakopająka doganiającego zdobycz.

Zadumany Paul wpadł na dwugłowego cielaka. Zwierzę uskoczyło w bok i utkwilo w Paulu dwie pary oczu. Potem sięgnęło lewą głową do trawy pod nogami, a prawą do gałązki bzu, wiszącej nad drogą. Wtedy ktoś smagnął go różgą i cielak pobrykał dalej.

Dwugłowego cielaka poganiała bardzo sympatyczna dziewczyna w kwiecistym sarafanie i słomianym kapeluszu na bakier. Paul oszołomiony wymamrotał:

– „Pasterka młodziutka rankiem się spieszyła...”

– Co? – spytała dziewczyna, zatrzymując się.

To nie była po prostu sympatyczna dziewczyna. Była bardzo ładna. Tak ładna, że musiała być mądra, bardzo mądra; tak ładna, że musiała być wspaniała, tak wspaniała, że... Paul zapragnął stać się wysokim, barczystym mężczyzną o jasnym czole i spokojnych oczach. Przez głowę jak błyskawica przemknęła mu myśl: Przynajmniej muszę się okazać dowcipny.

– Nazywam się Paul – przemówił.

– A ja Irina – odparła dziewczyna. – Co pan powiedział, Paul?

Paul spocił się. Dziewczyna czekała, nerwowo zerkając na oddalającego się cielaka. Myśli w głowie Paula biegle trzymały torami:

Wyciągnąć kwadratowy pierwiastek... Amor strzela z dwururki...

Zaraz pomyśli, że ze mnie jąkała. O! Jąkała – niezła myśl.

– Ppani się, jak wwidzę, sspieszysz – powiedział jąkając się z całych sił. – Znnajdę ppanią wwieczorem. Mmogę? Wwieczorem.

– Oczywiście – dziewczyna wyraźnie się ucieszyła.

– Ddo wwieczora – powiedział Paul i poszedł dalej. A tom sobie pogadał, myślał. Co za feeria dowcipu. Wyobraził sobie, jak musiał wyglądać podczas tej rozmowy, i aż sapnął z przykrości.

Tymczasem w pobliżu ryknął głośnik:

– Wszystkich wolnych anestezjologów prosi się o przybycie do laboratorium numer trzy! Wzywa Potapienko. Jest pomysł. Wszystkich wolnych anestezjologów prosi się o przybycie do laboratorium numer trzy. I nie pchajcie się jak poprzednio do budynku głównego. Do laboratorium numer trzy! Laboratorium numer trzy!

Dlaczego nie jestem anestezjologiem? – pożałował Paul. Już ja bym się nie pchał do

głównego budynku... Obok, środkiem ulicy, pędem przeleciały dwie dziewczyny w krótkich spodniach – prawdopodobnie anestezjolożki.

Osiedle było ciche i puste. Na idealnie czystym skrzyżowaniu siedział w słońcu samotny cybersprzątac. Paul z litości rzucił mu garść liści. Cyber od razu się ożywił i wziął za robotę. W żadnym mieście nie widziałem tylu cybersprzątaczy, pomyślał Paul. Zresztą to farma hodowli bydła, wszystko się może zdarzyć...

Z tyłu rozległ się stukot kopyt. Paul obejrzał się przestraszony, a obok niego pędem przebiegły cztery spienione konie. Na pierwszym, przywarty do grzywy, mknął opalony prawie na czarno, lśniący od potu chłopak w krótkich białych spodniach. Pozostałe konie były bez jeźdźców. Przed niskim budynkiem, dwadzieścia metrów od Paula, chłopak w pełnym pędzie zeskoczył z konia prosto na schodki werandy, przeraźliwie gwizdnął i skrył się za drzwiami. Konie, chrapiąc i zadzierając głowy, opisały półkole i wróciły do werandy. Paul nie zdążył nawet porządnie pozazdrościć, gdy z niskiego budynku wybiegło trzech chłopców i dziewczyna. Nie zatrzymując się, wskoczyli na konie i tym samym szalonym cwałem przemknęli obok Paula kierując się w drogę powrotną. Już skręcali za róg, gdy na werandę wyskoczył chłopak w białych spodenkach i krzyknął za nimi:

– Wzorce weźcie prosto na stację! Aloszka!

Na ulicy już nikogo nie było. Chłopak postać chwilę, wytarł czoło i wrócił do budynku. Paul westchnął i poszedł dalej.

Na progu laboratorium Kostylina zatrzymał się, nasłuchując. Dobiegające z budynku odgłosy wydawały mu się dziwne. Głuche uderzenie. Ciężkie westchnienie. Coś się poruszyło. Nudny głos powiedział: „Zgadza się”. Cisza. Znowu głuche uderzenie. Paul obejrzał się na zalany słońcem plac przed laboratorium. Głos Kostylina powiedział: „Kłamiesz. Stawaj”. Głuche uderzenie. Paul wszedł do przedpokoju i zobaczył białe drzwi z napisem „Laboratorium chirurgiczne”. Za drzwiami nudny głos powiedział: „Właściwie dlaczego przez cały czas bierzemy z biodra? Można brać z pleców”. Kostylin zahuczał: „Sybiracy próbowali i nic im nie wyszło”. Znowu głuche uderzenie.

Paul podszedł do drzwi, które otworzyły się bezszelestnie. Pod ścianami zalanego światłem laboratorium lśniły matową bielą dziwne na pierwszy rzut oka urządzenia, ciemniały wmontowane w ścianę szerokie szyby.

– Septyczny może wejść? – spytał Paul.

Nikt mu nie odpowiedział. W laboratorium było dziesięć osób, wszyscy ponurzy i zadumani. Trzech siedziało rzędem w milczeniu na długiej, niskiej ławie. Patrzyli na Paula bez wyrazu. Dwaj ulokowali się plecami do drzwi pod odległą ścianą; nachyleni do siebie coś czytali. W kącie półkolem zebrali się pozostali. Pośrodku półkola twarzą do ściany stał Saszka Lin. Prawą ręką zakrywał twarz, lewą dłoń wysunął do tyłu pod prawą pachą. Stojący w półkolu piegowaty Fiedia z rozmachem trzasnął go w tę dłoń. Koledzy z półkola wyrzucili do przodu pięści ze sterczącym wielkim palcem. Kostylin w milczeniu odwrócił się i wskazał jednego mężczyznę. Ten w milczeniu pokręcił głową i Kostylin przyjął poprzednią pozycję.

– To co, może wejść septyczny? – spytał znowu Paul. – A może nie w porę?

– Pielgrzym – powiedział jeden z siedzących na ławie monotonnym głosem. – Wejdz, Pielgrzymie. Wszyscy jesteśmy septyczni.

Paul wszedł. Człowiek o monotonnym głosie powiedział w przestrzeń:

– Proponuję jeszcze raz przejrzeć analizy. Może jednak za mało białka.

– Białka to jest nawet więcej, niż liczyliśmy – powiedział ktoś z grających w tę dziwną grę.

Zapanowała przygnębiająca cisza. Słyszeć było tylko odgłosy uderzeń i powtarzane od czasu do czasu: „Kłamiesz, nie zgadłeś”.

Oho, pomyślał Paul, coś kiepsko z tym laboratorium chirurgicznym.

Kostylin nagle rozepchnął grających i wyszedł na środek pokoju.

– Propozycja – oznajmił rażno. Wszyscy, nawet ci, którzy siedzieli nad notatkami, odwrócili się w jego stronę. – Chodźmy się wykapać.

– Chodźmy – powiedział zdecydowanie człowiek o monotonnym głosie. – Trzeba zacząć myśleć od początku.

Nikt więcej na propozycję nie zareagował.

Kostylin podszedł do Paula i objął go.

– Chodźmy, Polly – rzekł ze smutkiem. – Chodź, stary. Nie będziemy się martwić, no nie?

– No pewnie, Lin – rzekł Paul. – Nie wychodzi dziś, wyjdzie pojutrze.

Wyszli na słoneczną ulicę.

– Nie krępuj się, Lin – powiedział Paul. – Nie krępuj się, popłacz mi w kamizelkę. No, śmiało.

Na planecie było około stu tysięcy ferm hodowli zwierząt. Hodowano w nich krowy, świnię, słonie, antylopy, kozy, lamy, owce.

W średnim biegu Nilu działały dwie farmy, w których próbowano hodować hipopotamy.

Na planecie było też około dwustu tysięcy ferm zbożowych, gdzie uprawiano żyto, pszenicę, kukurydzę, grykę, proso, ryż, gaolan. Były farmy specjalistyczne, jak Wołga-Jednoróg, i takie o szerokim profilu. Wszystkie razem tworzyły podstawę obfitości – gigantyczny, całkowicie zautomatyzowany kombinat produkcji artykułów żywnościowych, poczynając od wieprzowiny i ziemniaków, a kończąc na ostrygach i mango. Żadne klęski żywiołowe, żadne katastrofy nie zagrażały teraz planecie nieurodzajem czy głodem.

Raz na zawsze ustanowiony system produkcji podtrzymywany był automatycznie i rozwijał się tak szybko i prężnie, że trzeba było podejmować specjalne kroki w celu uniknięcia nadprodukcji. Problem żywności przestał istnieć, tak jak nigdy nie istniał problem oddychania.

Do wieczora Paul miał już wyobrażenie, na razie bardzo ogólne, czym zajmują się hodowcy bydła. Ferma Wołga-Jednoróg była jedną z kilkunastu tysięcy ferm hodowlanych w umiarkowanej strefie planety.

Można się tu było zajmować genetyką praktyczną, embriomechaniczną weterynarią, spożywczą gałęzią statystyki ekonomicznej, zoopsychologią i agrologiczną cybernetyką. Paul spotkał tu również jednego gruntologa, najwidoczniej bez zajęcia: gruntolog pił świeże mleko i podrywał pewną śliczną zootechniczkę, namawiając ją, by pojechała z nim na bagna Amazonki, gdzie szanujący się gruntolog znalazłby jeszcze coś dla siebie.

W stadzie fermy Wołga-Jednoróg było około sześćdziesięciu tysięcy sztuk. Paulowi szczególnie podobała się całkowita autonomia stada – od rana do wieczora wszystkie krowy razem wzięte i każdą z osobna obsługiwały wyłącznie cybery i automaty. Natomiast stado obsługiwało kombinat przetwórczy linii dostaw z jednej i nieustannie rosnące naukowe potrzeby hodowców z drugiej strony.

Można było na przykład połączyć się z dyspozytornią i zażądać od dyżurnego pastucha krowy urodzonej siedemset dwadzieścia dwa dni temu, o takiej to a takiej maści, odpowiadającej takim to a takim parametrom, wiodącej ród od rasowego byka Mikołaja

Drugiego.

Pół godziny później żądane zwierzę będzie czekać w towarzystwie oblepionego nawozem cybera w boksie, powiedzmy, laboratorium genetyki.

Laboratorium genetyki zajmuje się najbardziej szalonymi eksperymentami i stanowi nieustanne źródło starć pomiędzy fermą a kombinatem.

Pracownicy kombinatu, skromni, choć zawzięci strażnicy światowej gastronomii, dostawali szału, znajdując w kolejnej partii bydła sztukę z wyglądu i, co najważniejsze, w smaku przypominającą oceanicznego kraba.

Na fermie natychmiast zjawiał się przedstawiciel kombinatu, od razu szedł do laboratorium i żądał wydania „autora tej nieapetycznej sztuki”. Zawsze zgłaszali się wszyscy pracownicy laboratorium genetyki (sto osiemdziesiąt osób, nie licząc praktykantów). Przedstawiciel spokojnie przypominał, że przeznaczeniem fermy i kombinatu jest zaopatrywanie linii dostaw w wołowinę w każdej postaci, a nie w żabie udka i meduzy w konserwach. Stu osiemdziesięciu progresywnie nastawionych genetyków jednogłośnie protestowało przeciwko takiemu wąskiemu podejściu do problemu zaopatrzenia.

Im, genetykom, wydaje się dziwne, że taki doświadczony i mądry pracownik, jak wyżej wymieniony przedstawiciel, tkwi w tak konserwatywnych poglądach i nie przywiązuje żadnego znaczenia do reklamy, która, jak wiadomo, istnieje po to, by zmieniać i doskonalić smak ludności.

Przedstawiciel kombinatu przypominał, że żaden nowy produkt spożywczy nie może zostać wypuszczony na linię dostaw bez aprobaty Akademii Ochrony Zdrowia. (Okrzyki z tłumu genetyków:

„Konserwatyci od przewodu pokarmowego!” „Towarzystwo przyjaciół wyrostka robaczkowego!”) Przedstawiciel rozkładał ręce i dawał do zrozumienia, że nie jest w stanie pomóc. Okrzyki przechodziły w głuche warczenie i wkrótce milkły: autorytet Akademii Ochrony Zdrowia jest naprawdę potężny. Następnie przedstawiciela prowadzono do laboratorium, żeby pokazać mu „ostatnią nowinkę”.

Przedstawiciel bladł, odsuwał się gwałtownie i żądał złożenia przysięgi, że „to wszystko” jest kompletnie niejadalne. W odpowiedzi dostawał do degustacji mięso nie wymagające żadnych przypraw; mięso, którego nie trzeba solić, które rozpuszcza się w ustach jak lody, specmieśo dla kosmonautów i techników jądrowych, dla przyszłych matek, a nawet mięso, które można jeść na surowo. Przedstawiciel kombinatu degustował, wykrzykiwał zachwycony: „Ale dobre! Wspaniałe!” i żądał złożenia przysięgi, że „to wszystko” wyjdzie poza eksperymenty w przyszłym roku. Kompletnie uspokojony zęgnął się, odjeżdżał, a po miesiącu wszystko zaczynało się od początku.

Zgromadzone w ciągu dnia informacje uskrzydliły Paula. Poczuł pewność, że tutaj człowiek miałby się czym zająć.

Na początek przejdę do cybernetyków, potem będę pasł krowy, rozmyślał, siedząc na odsłoniętej werandzie kawiarni i z roztargnieniem patrząc na szklanke gazowanego zsiadłego mleka. Połowę cybernetyków wygonię na pole. Niech łapią muchy. Wieczorami będę pracował z genetykami. Dobrze by było, gdyby Irina okazała się genetykiem. Oczywiście, przydzieliliby mnie do niej. Każdego ranka posyłałbym jej przez cybera bukiet kwiatów. I każdego wieczoru.

Napił się mleka i popatrzył w dół, na czarne pole za rzeką, gdzie już słabo zieleniła się młoda trawka.

Sprytnie wykombinowane, pomyślał. Jutro cybery zawrócą stado i popędzą je



z powrotem. Rotacyjne pastwiska. Ale to rutyna, brak nowych pomysłów. Ja i Irina wyhodujemy krowy, które będą jeść ziemię. Jak dżdżownice. Ale będzie wesoło! Tylko ta Akademia Ochrony Zdrowia...

Na werandę, dyskutując głośno o sensie życia, wtargnęła duża grupa i od razu zaczęła zsuwać stoliki.

– Człowiek umiera – mówi ktoś – i mu obojętne, spadkobiercy czy nie spadkobiercy, potomkowie czy nie...

– To bykowi Mikołajowi Drugiemu jest wszystko jedno...

– Co tu ma do rzeczy byk? Tobie też jest wszystko jedno! Odszedłeś, znikłeś, rozpuściłeś się... nie ma cię, rozumiesz?

– Poczekajcie... W tym jest pewna logika. Sens życia interesuje tylko żywych...

– Ciekawe, gdzie byś teraz był, gdyby twoi przodkowie uważali tak samo. Do tej pory byś ziemię sochą orał...

– Bzdura! Co tu ma do rzeczy sens życia? To po prostu prawo rozwoju środków produkcji...

– A co ma do rzeczy prawo?

– A to, że chcesz czy nie, środki produkcji się rozwijają. Najpierw była socha, potem traktor, a po traktorze cyber...

– Dobra, powiedzmy, że potomkowie nie mają tu nic do rzeczy. Ale co z ludźmi, których sens życia polegał na wymyśleniu traktora?

– Dlaczego to mieszacie? Nie mówimy o tym, po co każdy pojedynczy człowiek żyje, tylko po co istnieje ludzkość! Niczego nie zrozumieliście i...

– To ty niczego nie zrozumiałeś!

– Słuchajcie, słuchajcie mnie! Rolnicy! Wszystko wam wyjaśnię! Hej!

– Dajcie mu powiedzieć!

– To złożony problem. Jak długo istnieją ludzie, zawsze kłócą się o sens swojego...

– Krócej!

– ...o sens swojego istnienia. Po pierwsze, potomkowie nie mają tu nic do rzeczy. Życie dane jest człowiekowi niezależnie od tego, czy chce czy nie...

– Streszczaj się!

– No to sam opowiadaj.

– Alan, dawaj krócej.

– Proszę bardzo! – Życie jest interesujące i dlatego żyjemy. A kogo nie interesuje, cóż... w Sniegiriewie jest fabryka nawozów...

– Dobrze mu tak, Alan!

– Nie... W tym też jest logika...

– To kuchenna filozofia! Co znaczy „interesujące”, „nieinteresujące”? Po co jesteście – oto pytanie!

– A po co jest przesunięcie peryhelium? Albo prawo Newtona?

– „Po co”? Najgłupsze pytanie. Po co słońce wstaje na wschodzie?

– Oho, ho! Jeden głupek stawia pytanie, żeby zapędzić w ślepią uliczkę tysiące mędrców.

– Głupek? Taki ze mnie głupek, jak z was mędrcy...

– Przestańcie, pomówmy lepiej o miłości!

– „Miłość – cóż takiego! I cóż takiego ta miłość?”

– Po co jest miłość? Oto pytanie!

– Po co, Zora?

– Wiecie co, rolnicy... patrzę tak na was w laboratorium, cóż... ludzie jak ludzie. A jak zaczynacie filozofować... miłość, życie...

Paul wziął swoje krzesło i wcisnął się do towarzystwa. Poznali go.

– A, Pielgrzym! Pielgrzymie, czym jest miłość?

– Miłość – zaczął Paul – to specyficzna właściwość wysoko zorganizowanej materii.

– Dlaczego zorganizowanej i dlaczego materii!

– Przestańcie...

– Pielgrzymie, są jakieś nowe kawały?

– Są – odparł Paul. – Tylko mało dowcipne...

– My sami jesteśmy mało dowcipni.

– Niech opowie. Opowiedz mi kawał, a powiem ci, kim jesteś.

Paul zaczął:

– Jeden cybernetyk wynalazł predyktor, maszynę przepowiadającą przyszłość, taki agregat na sto pięter. Na początek zadał predyktorowi pytanie: „Co będę robił za trzy godziny?” Predyktor brzęczał do rana i wreszcie oznajmił: „Będziesz siedział i czekał na moją odpowiedź”.

– Taak – powiedział ktoś.

– O co chodzi? – spytał z zimną krwią Paul. – Sami prosiłście.

– Słuchajcie, dlaczego wszystkie cyberkawały są takie ciężkie?

– Najważniejsze, po co? Oto pytanie!

– Pielgrzymie, jak ci na imię?

– Paul – wymamrotał Paul.

Na werandę wyszła Irina. Była piękniejsza od wszystkich dziewczyn siedzących przy stole. Była tak piękna, że Paul przestał słuchać. Uśmiechnęła się, coś powiedziała, komuś pomachała ręką i usiadła obok długonosego Zory. Zora nachylił się do niej i o coś zapytał, pewnie: po co? Paul złapał oddech i zauważył, że sąsiad po jego prawej stronie żali się:

– Po prostu nie umiemy, nie nauczyliśmy się. Saszka w żaden sposób nie może tego zrozumieć. Takich rzeczy nie robi się zrywami.

Paul poznał sąsiada – to był Wasia, człowiek o monotonnym głosie, ten sam, z którym w południe się kąpali.

– Takich rzeczy nie robi się zrywami. My nie przystosowujemy Natury, tylko rąbiemy ją na drzazgi.

– A... eee... właściwie, o czym mowa? – spytał Paul ostrożnie. Nie miał bladego pojęcia, skąd i kiedy pojawił się Wasia.

– Przecież mówię – powiedział cierpliwie Wasia. – Przestrzajanie żywego organizmu bez zmiany genetyki.

Paul nie odrywał wzroku od Iriny. Długonosy Zora nalewał jej szampana. Irina coś szybko mówiła, postukując w kielich smagłymi palcami.

– Aha! Zakochałeś się w Irinie! Szkoda – zauważył Wasia.

– W jakiej Irinie? – wymamrotał Paul.

– Ta dziewczyna to Irina Jegorowa. Pracowała u nas w dziale biologii ogólnej.

Paulowi wydawało się, że spada.

– Jak to pracowała?

– Przecież mówię, że szkoda – powiedział Wasia spokojnie. Wyjeżdża w tych dniach.

Paul widział tylko jej profil oświetlony słońcem.

- Dokąd? – spytał.
- Na Daleki Wschód.
- Nalej mi wina, Wasia – powiedział Paul. Zaszło mu w gardle.
- Będziesz u nas pracował? – spytał Wasia. – Saszka mówił, że masz otwartą głowę...
- Otwarta głowa – wymamrotał Paul – wysokie czoło, spokojne oczy...

Wasia roześmiał się.

- Nie martw się – powiedział – mamy tylko dwadzieścia pięć lat.
- Nie – powiedział Paul, potrząsając w rozpaczy głową. – Po co miałbym tu zostać?

Oczywiście, że nie zostanę... Pojadę na Daleki Wschód...

Ciężka ręka spadła mu na ramię i potężny bas Lina zapytał:

- Kto tu jedzie na Daleki Wschód?
- Lin, Lin, słuchaj – powiedział Paul żałośnie. – Dlaczego ja mam takiego pecha?
- Irina – rzekł Wasia i wstał.

Lin usiadł na jego miejscu i przysunął sobie talerz z zimnym mięsem. Miał zmęczoną twarz.

Paul patrzył na niego ze strachem i nadzieją, zupełnie jak w dawnych czasach, gdy sąsiedzi z piętra urządzali ogólnoszkolną obławę, żeby złapać sprytnego Liber Polly i oduczyć go bycia sprytnym.

Lin przeżuł ogromny kawał mięsa i jego bas zagłuszył hałas na werandzie:

– Chłopi! Przyszedł nowy katalog wydawnictw w języku rosyjskim. Wszyscy zainteresowani proszeni są o udanie się do klubu.

Odwrócili się do niego.

- Co przyszło?
- Mironow jest, Saszka?
- Jest – odparł Lin.
- A *Żelazna wieża*?
- Jest, już wziąłem.
- A *Czysty jak śnieg*?

– Jest. To osiemdziesiąt sześć tytułów, nie pamiętam wszystkiego.

Weranda zaczęła szybko pustoszeć. Wyszedł Alan, wyszedł Wasia. Wyszła Irina z długonosym Zora. Nic nie wiedziała. Nawet nie zauważyła. I, oczywiście, nic nie pamiętała. I nigdy sobie nie przypomni. Zorę sobie przypomni, zdecydował Paul. Dwugłowego cielaka. A mnie nie...

– Nieszczęsna miłość aktywizuje – odezwał się Lin. – Ale jest krótka, Polly. Zostaniesz tutaj. Już ja cię przypilnuję.

– Może jednak pojadę na Daleki Wschód?

– Po co? Będziesz jej tylko przeszkadzać i płątać się pod nogami. Znam Irinę i znam ciebie. Jesteś o pięćdziesiąt lat głupszy od jej bohatera.

– A może...

– Nie – uciął Lin. – Zostaniesz ze mną. Czy twój Lin cię kiedyś okłamał?

Paul posłuchał. Czule poklepał Lina po szerokich plecach, wstał i podszedł do balustrady. Słońce zaszło, na fermę opadł ciepły, przezroczysty zmierzch. Gdzieś niedaleko ktoś grał na pianinie i bardzo ładnie śpiewano na dwa głosy. Paul przeskoczył przez balustradę i cichutko zawył: gigantyczny rakopająk, który stracił trop.

## Desantowcy

Satelita w kształcie torusa był ogromny: dwa kilometry średnicy i rozdzielony wewnątrz na wiele pomieszczeń masywnymi grodziami. W pierścieniowych korytarzach było pusto i jasno, trójkątne luki prowadzące do równie pustych, jasnych pomieszczeń były otwarte na oścież. Satelita został opuszczony bardzo dawno, może nawet milion lat temu, ale chropawa żółta podłoga była czysta. August Bader powiedział, że nie widział tu ani jednego pyłka.

Bader szedł przodem, jak przystało odkrywcy i gospodarzowi.

Gorbowski i Valkenstein widzieli jego odstające uszy i jasny sterzący kosmyk na czubku głowy.

– Spodziewałem się tu pewnego zapuszczenia – opowiadał niespiesznie Bader. Mówił po rosyjsku, starannie wymawiając każdą głoskę. – Ten satelita zainteresował nas przede wszystkim. To było dziesięć lat temu. Zobaczyłem, że zewnętrzne luki są otwarte i powiedziałem sobie: „Auguście, zaraz zobaczysz brud i nieporządek”.

Nawet kazałem żonie zostać na statku. Bałem się, że zobaczę tu martwe ciała, sami rozumiecie.

Zatrzymał się przed jednym z luków i Gorbowski omal na niego nie wpadł. Valkenstein, który został nieco w tyle, dogonił ich i zatrzymał się zasepiony.

– *Aber* było tu pusto – kontynuował Bader. – Było jasno, bardzo czysto i absolutnie pusto. Proszę, zajrzyjcie. – Zrobił ręką płynny gest. – Jestem skłonny sądzić, że tu mieściła się dyspozytornia satelity.

Wcisnęli się do pomieszczenia, z sufitem w kształcie kopuły i niską półokrągłą platformą na środku. Ściany były jaskrawożółte, matowe i rozjaśnione wewnętrznym światłem. Gorbowski pomacał ścianę. Była gładka i chłodna.

– Przypomina bursztyn – powiedział. – Zobacz, Mark.

Valkenstein też pomacał i kiwnął głową.

– Wszystko zdemontowane – mówił Bader. – Ale w ścianach, grodziach i toroidalnej powłoce satelity zostały ukryte przed nami źródła światła. Jestem skłonny sądzić...

– Wiemy – wtrącił szybko Valkenstein.

– Tak? – Bader popatrzył na Gorbowskiego. – A co czytaliście? Pan, Marku, i pan, Leonidzie?

– Czytaliśmy serię pańskich artykułów, Auguście – odparł Gorbowski. – Sztuczne satelity Władysławy.

Bader przechylił głowę.

– *Sztuczne, niezemskie pochodzenia satelity planety Władysławy gwiazdy EN 17* – poprawił. – Tak. W takim razie, oczywiście, nie muszę prezentować wam mojego stanowiska na temat źródeł światła.

Valkenstein przeszedł się wzdłuż ściany, przyglądając się jej uważnie.

– Dziwny materiał – rzucił z daleka. – Metaloplast, zapewne.

Ale nigdy takiego nie widziałem.

– To nie jest metaloplast – zaprotestował Bader. – Nie zapominajcie, gdzie jesteście. Pan, Marku, i pan, Leonidzie.

– Nie zapominamy – powiedział Gorbowski. – Byliśmy na Phobosie i tam rzeczywiście użyli innego materiału.

Phobos był satelitą Marsa, przez długi czas uważanym za naturalny. Okazał się jednak czterometrowym torusem, oplecionym metaliczną, antymeteorytową siecią. Gęstą sieć zeżarła meteorytowa korozja, miejscami została przerwana, ale sam satelita ocalał. Jego zewnętrzne

luki były otwarte i gigantyczny precel był w środku tak samo pusty, jak ten tutaj. Opierając się na zużyciu antymeteorytowej sieci obliczono, że satelitę wprowadzono na orbitę Marsa co najmniej dziesięć milionów lat temu.

– O, Phobos! – Bader pokręcił głową. – Phobos to jedno, Leonidzie, a Władysława to zupełnie co innego.

– Dlaczego? – zainteresował się Valkenstein, podchodząc.

– Na przykład dlatego, że od Słońca i Phobosa do Władysławy, gdzie znajdujemy się teraz, jest trzysta jednostek astronomicznych.

– Pokonałiliśmy tę odległość w ciągu pół roku – powiedział gniewnie Valkenstein. – Oni mogli zrobić to samo. Poza tym satelity Władysławy i Phobos mają wiele wspólnego.

– To jeszcze trzeba udowodnić – rzekł Bader.

Gorbowski uśmiechnął się leniwie.

– Próbuujemy to właśnie zrobić.

Po chwili zastanowienia Bader wygłosił:

– Phobos i ziemskie satelity też mają wiele wspólnego.

Ta odpowiedź była dokładnie w jego stylu – bardzo poważna i nie całkiem na temat.

– No dobrze – powiedział Gorbowski – jest tu coś jeszcze prócz dyspozytorni?

– Na tym satelicie – odparł pouczającym tonem Bader – znajduje się sto sześćdziesiąt pomieszczeń, od piętnastu do pięciuset metrów kwadratowych. Możemy obejrzeć je wszystkie. Ale są puste.

– Skoro są puste – powiedział Valkenstein – to lepiej wracajmy na „Tariela”.

Bader popatrzył na niego i znowu odwrócił się do Gorbowskiego.

– Tego satelitę nazywamy Władzia. Jak wam wiadomo, Władysława ma jeszcze jednego, mniejszego satelitę, też sztucznego, niezemskiego pochodzenia. Nazywamy go Sława. Rozumiecie? Planeta nazywa się Władysława. To naturalne nazwać jej satelity Władzia i Sława, prawda?

– Oczywiście – zgodził się Gorbowski. Znał już ten błyskotliwy wywód, słyszał go po raz trzeci. – Bardzo dowcipna propozycja.

– Auguście. Władzia i Sława. Władysława. Pięknie.

– U nas na Ziemi – ciągnął Bader bez pośpiechu – satelity te są nazywane „Igrek 1” i „Igrek 2”, odpowiednio Władzia i Sława. Ale my, my nazywamy je inaczej. Nazywamy je Władzia i Sława.

Popatrzył surowo na Valkensteina. Valkensteinowi drgnęły mięśnie twarzy. Z tego, co wiedział, „my” oznaczało tylko Badera.

– Co się zaś tyczy składu tego złotego materiału, który bynajmniej nie jest metaloplastem, a który ja nazywam bursztynem...

– Bardzo trafnie – wtrącił Valkenstein.

– Tak... nieźle... no więc ten skład jest na razie nieznaną. Pozostaje tajemnicą.

Zapadła cisza. Gorbowski w roztargnieniu oglądał pomieszczenie. Próbował wyobrazić sobie tych, którzy budowali satelitę i pracowali tu dawno temu. To byli inni ludzie. Przybyli do Systemu Słonecznego i odeszli zostawiając na Marsie opuszczone kosmiczne laboratoria i wielkie miasto w pobliżu bieguna północnego. Satelity były puste, miasto również. Pozostały tylko dziwne budowle, schodzące na wiele pięter pod ziemię. Następnie (a może przedtem?) przeszli do systemu gwiazdy EN 17, zbudowali przy Władysławie dwa sztuczne satelity i też odeszli. Na Władysławie również powinno być porzucone miasto. Skąd i po co tu przybyli? Dlaczego i dokąd odeszli? Zresztą to jasne, dlaczego. Byli wielkimi badaczami.

Wysłannikami innego świata.

– A teraz – powiedział Bader – pójdziemy i obejrzymy pomieszczenie, w którym znalazłem przedmiot nazwany przeze mnie umownie guzikiem.

– Jest tam teraz? – ożywił się Valkenstein.

– Kto? – spytał Bader.

– Przedmiot.

– Guzik – rzekł z naciskiem Bader – znajduje się w tym momencie na Ziemi, w dyspozycji komisji do spraw badania śladów działań obcej inteligencji w kosmosie.

– Aha – powiedział Valkenstein – u tropicieli. Ale gdy zbierałem materiały o Władysławie, nie pokazano mi pańskiego guzika.

Bader zadarł podbródek.

– Odesłałem go z kapitanem Antonem Bykowem półtora lokalnego roku temu.

A więc minęli się z Bykowem, który powinien przybyć na Ziemię siedem miesięcy po starcie „Tariela” ku gwiazdzie EN 17.

– Trudno – powiedział Gorbowski. – W takim razie oględziny guzika trzeba odłożyć na później.

– Ale za to obejrzymy pomieszczenie, w którym go znalazłem – rzekł Bader. – Niewykluczone, Leonidzie, że w hipotetycznym mieście na powierzchni planety Władysławy znajdziecie analogiczne przedmioty.

Wszedł do luku.

– Mam go dosyć, Leonidzie Andriejewiczu... – powiedział przez zęby Valkenstein.

– Musimy wytrzymać – uspokoił go Gorbowski.

Do pomieszczenia, w którym Bader znalazł guzik, było pół kilometra. Bader wskazał miejsce, gdzie leżał guzik, i szczegółowo opowiedział, jak go znalazł – mianowicie nadepnął na niego. Zdaniem Badera, guzik był akumulatorem, z półprzeźroczystego, srebrzystego materiału, bardzo miękkiego. Średnica – trzydzieści osiem i szesnaście setnych milimetra... masa... waga... odległość od najbliższej ściany...

W pokoju naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza, wśród rozstawionych na podłodze przyrządów siedziało dwóch młodych mężczyzn w niebieskich robotniczych kurtkach. Pracowali, spoglądając w stronę Gorbowskiego i Valkensteina, i rozmawiając półgłosem.

– Desantowcy. Przylecieli wczoraj.

– Uhm. Ten wysoki to Gorbowski.

– Wiem.

– A ten drugi, jasnowłosy?

– Mark Jefremowicz Valkenstein. Nawigator.

– Aha, słyszałem.

– Jutro zaczynają.

Bader wreszcie przestał tłumaczyć i zapytał, czy wszystko jasne.

– Wszystko – powiedział Gorbowski i usłyszał chichot w pokoju naprzeciwko.

– Teraz wrócimy do domu – rzekł Bader.

Wyszli na korytarz i Gorbowski skinął chłopakom w niebieskich kurtkach.

Chłopcy wstali i ukłonili się z uśmiechem.

– Powodzenia – powiedział jeden.

Drugi uśmiechnął się w milczeniu, obracając w rękę motek kolorowego kabla.

– Dziękuję – powiedział Gorbowski.

Valkenstein też powiedział „dziękuję”.

Gdy odeszli na kilkadziesiąt metrów, Gorbowski odwrócił się. Mężczyźni w niebieskich kurtkach stali na korytarzu i patrzyli na nich.

Czas w „Imperium Badera” (jak kpiąco nazywano cały system sztucznych i naturalnych satelitów Władysławy – obserwatoria, warsztaty, stacje paliwowe, czarne cysterny, plantacje chlorelli, oranżerie, hodowle, szklane sady odpoczynku i puste torusy niezemskiego pochodzenia) liczone w cyklach trzydziestogodzinnych. Pod koniec trzeciego cyklu, gdy D-statek „Tariel” – sześciokilometrowy gigant, przypominający z oddali lśniący kwiat – wyszedł na merydionalną orbitę wokół Władysławy, Gorbowski podjął pierwszą próbę poszukiwań. D-statek nie był przystosowany do lądowania na masywnych planetach, zwłaszcza takich, które miały atmosferę. Były za kruche. Lądowanie przeprowadzano na szalupach pomocniczych z atomowo-impulsowym lub fotonowym napędem lub planetolotami lżejszego typu z nieustalonym środkiem ciężkości. Rejsowy statek przewozi jedną taką szalupę, desantowy – od dwóch do czterech. „Tariel” miał na pokładzie dwie fotonowe szalupy. W jednej z nich Gorbowski podjął pierwszą próbę wycięcia atmosfery Władysławy. „Żeby zobaczyć, czy warto” – powiedział do Badera.

Bader osobiście przybył na „Tariela”. Dużo kiwał głową i mówił: „O tak” – a kiedy szalupa Gorbowskiego oderwała się od „Tariela”, usiadł na krześle przy pulpicie obserwacyjnym i zaczął cierpliwie czekać.

Desantowcy zebrali się przy pulpicie, śledząc niewyraźne rozbłyski na szarym monitorze oscylografu – ślady impulsów sygnałowych, przesyłanych przez automatyczny nadajnik szalupy. Desantowców było trzech, nie licząc Badera. Wszyscy milczeli i myśleli o Gorbowskim, każdy po swojemu.

Valkenstein myślał, że Gorbowski wróci za godzinę. Nie znosił niewyjaśnionych sytuacji i bardzo chciał, żeby Gorbowski już tu był, chociaż wiedział, że pierwszy zwiad przebiega zazwyczaj pomyślnie, zwłaszcza jeśli szalupę prowadzi taki fachowiec. Valkenstein przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Gorbowskim. Właśnie wrócił ze skoku na Neptuna – w dodatku bez strat. Był z tego bardzo dumny i bardzo się chwalił. To było na Cyfei, satelicie Księżyca, skąd zazwyczaj startowały fotonowe statki. Gorbowski podszedł do niego w stołówce: „Przepraszam pana bardzo, czy przypadkiem nie nazywa się pan Mark Jefremowicz Valkenstein?” Valkenstein skinął głową i spytał: „Czym mogę...?” Gorbowski miał bardzo nieszczęśliwą minę. Usiadł obok, poruszył długim nosem i powiedział prosząco „Niech pan posłucha, Mark, nie wie pan przypadkiem, gdzie można tu dostać harfę?” Tutaj – znaczyło w odległości trzystu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów od Ziemi, w bazie statków kosmicznych. Valkenstein zakrztusił się zupą. Gorbowski przyglądał mu się ciekawie, wreszcie się przedstawił i powiedział: „Niechże się pan uspokoi, Mark, to nic pilnego. Właściwie chciałem się dowiedzieć, w jakim trybie wchodził pan w egzosferę Neptuna”. To był styl Gorbowskiego – podejść człowieka, zwłaszcza nieznanego, zadać zaskakujące pytanie i zobaczyć, jak on z tego wybrnie.

Biolog Percy Dickson, czarny, kędzierzawy, też myślał o Gorbowskim. Percy Dickson zajmował się kosmopsychologią i kosmofizjologią człowieka. Był stary, dużo wiedział i przeprowadził ze sobą i z innymi mnóstwo szalonych eksperymentów. Doszedł do wniosku, że człowiek, który był w przestrzeni w sumie ponad dwadzieścia lat, odzwyczajają się od Ziemi i przestaje uważać ją za dom.

Pozostając Ziemianinem, przestaje być człowiekiem Ziemi. Percy Dickson sam stał się kimś takim i nie rozumiał, dlaczego Gorbowski, który „przelatał” pięć i pół parseka, był na

kilkudziesięciu księżycach i planetach, od czasu do czasu wznosi smutne oczy i mówi z westchnieniem: „Na polankę bym chciał. Na trawkę. Poleżeć i żeby rzeczka płynęła”.

Riu Baseda, fizyk atmosferyczny, też myślał o Gorbowskim. Rozmyślał o jego pożegnalnych słowach: „Popatrzę, czy warto”. Baseda bardzo się bał, że po powrocie Gorbowski powie: „Nie warto”. Już nieraz tak było. Baseda zajmował się badaniem groźnych atmosfer, był wiecznym dłużnikiem Gorbowskiego i za każdym razem wydawało mu się, że wysyła go na pewną śmierć. Kiedyś powiedział o tym Gorbowskiemu i ten z całą powagą odrzekł: „Jeszcze się nie zdarzyło, żebym nie wrócił”.

Generalny pełnomocnik Rady Kosmogacji, dyrektor transkosmicznej bazy statków i laboratorium „Władysława” EN 17, profesor i desantowiec August Johann Bader też myślał o Gorbowskim. Przypomniało mu się, jak piętnaście lat temu na Cyfei Gorbowski żegnał się ze swoją matką. Gorbowski i Bader wyruszali na Transplutona. Pożegnanie z rodziną przed rejsem kosmicznym zawsze jest bardzo smutnym momentem. Bader miał wrażenie, że Gorbowski pożegnał się z matką jakoś niedbale; jako kapitan statku uznał za swój obowiązek zwrócić mu na to uwagę. „W takim momencie powiedział surowo, ale ciepło – pańskie serce powinno bić unisono z sercem pańskiej matki. Najwyższa cnota każdego człowieka polega na tym...” Gorbowski słuchał w milczeniu, a gdy Bader skończył go karcić, powiedział dziwnym głosem: „Auguście, ma pan mamę?” Tak właśnie powiedział: mamę! Nie matkę, nie *mutter*, tylko mamę.

– ...wyszedł na tamtą stronę – powiedział Baseda.

Valkenstein popatrzył na ekran. Rozbłyśki niewyraźnych plam znikły. Zerknął na Badera, który siedział wbity w siedzenie krzesła i wyglądał, jakby go mdliło. Podniósł oczy na Valkensteina i uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem.

– Jedna rzecz – powiedział, starannie wymawiając głoski – gdy ty sam. *Aber* zupełnie co innego, gdy ktoś inny.

Valkenstein odwrócił się. Jego zdaniem, nie miało znaczenia, kto wykonuje zadanie. Wstał i wyszedł na korytarz. Przed kesonowym lukiem zobaczył nieznanego młodego człowieka z ogoloną, opaloną twarzą i ogoloną lśniącą czaszką. Valkenstein zatrzymał się i obejrzał go od stóp do głów.

– Kim pan jest? – spytał nieprzyjaźnie. Nieznajomy człowiek na „Tarielu” był ostatnią rzeczą, jaką spodziewał się zobaczyć.

Młody człowiek uśmiechnął się krzywo.

– Moje nazwisko Sidorow – powiedział. – Jestem biologiem i chcę się widzieć z towarzyszem Gorbowskim...

– Gorbowski jest w zwiadzie – wyjaśnił Valkenstein. – Jak się pan dostał na statek?

– Przywiózł mnie dyrektor Bader.

– A... – powiedział Valkenstein. Bader przybył na statek dwie godziny temu.

– I zapewne o mnie zapomniał.

– Nic dziwnego – stwierdził Valkenstein. – To całkiem naturalne, jeśli chodzi o dyrektora Badera. Jest bardzo zdenerwowany.

– Rozumiem – Sidorow popatrzył na noski swoich butów. Chciałbym się widzieć z towarzyszem Gorbowskim.

– Będzie pan musiał trochę poczekać – powiedział Valkenstein.

– Wkrótce wróci. Chodźmy, zaprowadzę pana do mesy.

Zaprowadził Sidorowa, położył przed nim plik ostatnich ziemskich czasopism i wrócił na mostek. Desantowcy uśmiechali się.



Bader ocierał pot z czoła i też się uśmiechał. Na ekranie znowu pulsowały rozbłyski.

– Wraca – poinformował go Dickson. – Powiedział, że jedno okrążenie wystarczy.

– Oczywiście, że wystarczy – przyznał Valkenstein.

– Absolutnie wystarczy – dodał Baseda.

Po kwadransie Gorbowski wydostał się z kesonu, w biegu rozpinął kombinezon pilota. Był roztargniony i patrzył ponad ich głowami.

– No i co? – spytał niecierpliwie Baseda.

– Wszystko w porządku – oznajmił Gorbowski. Zatrzymał się na środku korytarza i zaczął wychodzić z kombinezonu. Uwolnił jedną nogę, nadepnął na rękaw i omal nie upadł.

– To znaczy, głupstwa mówię. Wszystko do chrzanu.

– A co w szczególności? – spytał Valkenstein.

– Głodny jestem – oświadczył Gorbowski. Wydostał się w końcu z kombinezonu i poszedł do mesy, wlokąc za sobą kombinezon za rękawy. – Idiotyczna planeta.

Valkenstein wziął od niego kombinezon i szedł obok.

– Idiotyczna planeta – powtórzył Gorbowski.

– To bardzo trudna planeta do lądowania – potwierdził Bader, starannie artykułując.

– Dajcie mi coś do zjedzenia – upomniał się znowu Gorbowski.

W mesie z jękiem ulgi zwałił się na kanapę. Na jego widok Sidorow zerwał się na równe nogi.

– Niech pan siedzi – powiedział dobrodusznie Gorbowski.

– Więc co się stało? – nie ustępował Valkenstein.

– Nic szczególnego – powiedział Gorbowski. – Nasze szalupy nie mogą wylądować.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Fotonowe statki się do tego nie nadają. Psuje się regulacja magnetycznych pułapek w reaktorze.

– Atmosferyczne pola magnetyczne – powiedział atmosferyczny fizyk i zatarł ręce.

– Możliwe – przyznał Gorbowski.

– Cóż – odezwał się niespiesznie Bader. – Dam wam raketę impulsową. Albo jonolot.

– Niech pan da, Auguste – zgodził się Gorbowski. – Niech pan nam da jonolot. Ale najpierw dajcie mi coś zjeść.

– Mój Boże – westchnął Valkenstein. – Już nie pamiętam, kiedy ostatnio sterowałem raketą impulsową.

– To nic – machnął ręką Gorbowski. – Przypomnisz sobie. Posłuchajcie... – zaczął łagodnie. – Dacie mi dzisiaj coś do zjedzenia?

– Już – powiedział Valkenstein.

Przeprosił Sidorowa, zdjął ze stołu czasopisma i nakrył stół chlorowinyłową serwetą. Postawił na stole chleb, masło, mleko i kaszę gryczaną.

– Stół nakryty, Leonidzie Andriejewiczu.

Gorbowski niechętnie wstał z kanapy.

– Zawsze musi się wstawać, kiedy trzeba coś zrobić – powiedział.

Siadł przy stole, wziął w obie ręce filiżankę z mlekiem i wypił jednym haustem. Potem, również obiema rękami, przysunął do siebie talerz z kaszą i wziął widelec. Wtedy stało się jasne, dlaczego używał obu rak: trzęsły mu się tak mocno, że dwa razy chybił, próbując nabrać końcem widelca kawałek masła. Bader wyciągnął szyję i patrzył na dłonie Gorbowskiego.

– Postaram się dać panu najlepszą impulsową raketę, Leonidzie – zapewnił. –

Najbardziej dobrą.

– Proszę dać, Auguście – rzekł Gorbowski. – Najlepszą. A kim jest ten młody człowiek?

– To Sidorow – wyjaśnił Valkenstein. – Chciał z panem pomówić.

Sidorow znowu wstał. Gorbowski popatrzył na niego życzliwie.

– Proszę, niech pan siada.

– O – powiedział Bader. – Zupełnie zapomniałem. Proszę mi wybaczyć. Leonidzie, towarzysze, pozwólcie, że wam przedstawię...

– Nazywam się Sidorow – odezwał się gość i uśmiechnął się speszony, bo teraz wszyscy na niego patrzyli. – Michaił Albertowicz. Biolog.

– *Welcome*, Michaił Albertowicz – powiedział kudłaty Dickson.

– W porządku – odezwał się Gorbowski. – Zjemy, Michaił Albertowiczu, i pójdziemy do mojej kajuty. Tam jest kanapa. Tutaj też jest kanapa – zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu – ale na niej rozsiadł się Bader, a on jest dyrektorem.

– Proszę nawet nie myśleć o zabranii go – powiedział po japońsku Valkenstein. – Nie podoba mi się...

– Dlaczego? – spytał Gorbowski.

Gorbowski leżał na kanapie, Valkenstein i Sidorow siedzieli przy stole. Na blacie leżały lśniąca szpule videofonogramów.

– Nie radzę – dorzucił Valkenstein.

Gorbowski założył ręce za głowę.

– Nie mam krewnych – powiedział Sidorow. Gorbowski popatrzył na niego ze współczuciem. – Nikt nie będzie po mnie płakał.

– Dlaczego płakał? – spytał Gorbowski.

Sidorow sposepniał.

– Chcę powiedzieć, że wiem, na co się decyduję. Potrzebuję informacji. Na Ziemi na mnie czekają. Siedzę nad Władysławą już rok. Prawie całkiem stracony rok...

– Tak, to przykre – przyznał Gorbowski.

Sidorow zacisnął dłoń.

– Bardzo przykre, Leonidzie Andriejewiczu. Myślałem, że szybko wylądujemy na Władysławie. Nie pragnę być odkrywcą, po prostu potrzebuję informacji. Rozumie mnie pan?

– Rozumiem – powiedział Gorbowski. – Oczywiście. Zdaje się, że jest pan biologiem...

– Tak. Prócz tego skończyłem kurs pilota-kosmogatora... dostałem dyplom z wyróżnieniem. To pan mnie egzaminował, Leonidzie Andriejewiczu, ale oczywiście pan nie pamięta. Ale przede wszystkim jestem biologiem i nie mogę dłużej czekać. Kvipa obiecał, że mnie ze sobą weźmie, ale po dwóch próbach lądowania zrezygnował. Potem przyleciał String. To był prawdziwy śmiałek, ale też mnie nie zabrał. Nie zdążył. Zdecydował się na lądowanie przy drugim podejściu i nie wrócił.

– Co za dziwak – Gorbowski wpatrywał się w sufit. – Na takiej planecie trzeba zrobić przynajmniej dziesięć prób. Jak się nazywał? String?

– String.

– Dziwak – powtórzył Gorbowski. – Niemądry dziwak.

Valkenstein popatrzył na Sidorowa i warknął:

– Otóż to. Z tego też bohater.

– Mów po rosyjsku – powiedział surowo Gorbowski.

– Po co? Przecież on zna japoński.

Sidorow poczerwieniał.

– Tak – przyznał. – Znam. Ale ja nie jestem bohaterem. String był. A ja jestem tylko biologiem i potrzebuję informacji.

– I co, dużo informacji dostał pan od Stringa? – spytał Valkenstein.

– Od Stringa? Żadnych – zdumiał się Sidorow. – Przecież on zginął.

– To czemu się pan nim tak zachwyca?

Sidorow wzruszył ramionami. Nie rozumiał tych dziwnych ludzi – Gorbowskiego, Valkensteina ani ich przyjaciół. Nazwać tego wspaniałego, odważnego Stringa niemądrym dziwakiem... Przypomniawszy sobie wysokiego, barczystego mężczyznę, jego beztrudny śmiech i pewne ruchy. I to, co String powiedział Baderowi: „Ostrożni siedzą na Ziemi, Auguście Johannowiczu. Specyfika pracy, Auguście Johannowiczu!” I pstryknął mocnymi palcami. „Niemądry dziwak...”

Cóż, pomyślał Sidorow, to ich sprawa. Ale co ze mną? Znowu mam siedzieć z założonymi rękami i nadawać na Ziemię, że kolejna grupa cyberzwiadowców spłonęła w atmosferze, kolejna próba wylądowania się nie powiodła, a kolejny oddział badaczy-astronautów odmawia zabrania mnie ze sobą? Że znowu pokłóciłem się z Baderem i Bader jeszcze raz potwierdził, że statku mi nie powierzy, a za „systematyczną bezczelność” usunie mnie z „powierzonego mu odcinka Przestrzeni”?

I znowu stary, dobry Rudolf Kraitzer w Leningradzie, trzęsąc akademickim biretem, będzie przytaczał swoje intuicyjne sądy na korzyść istnienia życia w systemie błękitnych gwiazd, a wściekły Hadżibekow będzie go gnębił wypróbowanymi dowodami. Rudolf będzie znowu mówił o osiemnastu bakteriach znalezionych przez ekspedycję Kvippy w atmosferze planety Władysława, a Hadżibekow podważy związek pomiędzy bakteriami a atmosferą planety, powołując się na skomplikowany proces identyfikacji w konkretnym eksperymencie.

I znowu Akademia Kosmobiologii zostawi kwestię życia w systemach błękitnych gwiazd otwartą. A to życie istnieje, na pewno, trzeba tylko po nie sięgnąć. Sięgnąć do Władysławy, planety błękitnych gwiazd EN 17.

Gorbowski popatrzył na Sidorowa i powiedział łagodnie:

– W końcu nie musi pan koniecznie lecieć z nami. Mamy swojego biologa, wspaniałego Percy’ego Dicksona. Jest trochę szalony, ale dostarczy panu wzory, jakich pan zechce, i w dowolnych ilościach...

Sidorow machnął ręką.

– Słowo honoru – ciągnął Gorbowski. – Panu i tak by się u nas nie spodobało. A tak wszystko będzie w porządku. Wylądujemy i dostarczymy panu, co pan zechce. Proszę nam tylko dać instrukcje.

– A wy zrobicie wszystko na odwrót – stwierdził Sidorow. Kvippa też prosił mnie o instrukcje, a potem przywiózł mi dwa kontenery penicyliny. Zwykłej ziemskiej pleśni. Nie znacie warunków pracy na Władysławie. Nie będziecie tam pamiętać o moich instrukcjach.

– Co racja, to racja – westchnął Gorbowski. – Warunków nie znamy. Będzie pan musiał jeszcze trochę poczekać, Michaile Albertowiczu.

Valkenstein usatysfakcjonowany skinął głową.

– Dobrze – powiedział Sidorow i zamknął oczy. – W takim razie weźcie przynajmniej instrukcje.

– Obowiązkowo – obiecał Gorbowski. – Bez dwóch zdań.

W ciągu następnych czterdziestu cykli Gorbowski wykonał szesnaście rozpoznań.

Pracował na wspaniałym impulsowym statku „Scyt-Aleve”, udostępnionym przez Badera. Pierwsze pięć zwiadów przeprowadził w pojedynkę, badając egzosferę Władysławy na biegunach, równiku i różnych szerokościach. W końcu upodobał sobie rejon północnego bieguna i zaczął zabierać ze sobą Valkensteina. Raz za razem zanurzali się w atmosferę czarno-pomarańczowej planety i raz za razem wyskakiwali z niej jak korki z wody. Ale za każdym razem zanurzali się głębiej.

Bader podłączył do pracy desantowców trzy obserwatoria, nieprzerwanie informujące Gorbowskiego o ruchach frontów meteorologicznych w atmosferze Władysławy. Na rozkaz Badera wznowiono produkcję atomowego wodoru – paliwa dla „Scyt-Aleve”, bo zużycie paliwa okazało się niespodziewanie bardzo duże. Badania składu chemicznego atmosfery sondami bombowymi z mezonowymi promiennikami zostały przerwane.

Valkenstein i Gorbowski po zwiadach wracali wykończeni i chciwie rzucali się na jedzenie. Potem Gorbowski walił się na kanapę i długo leżał, zabawiając przyjaciół różnymi sentencjami.

Sidorow na zaproszenie Gorbowskiego został na „Tarielu”. Pozwolono mu założyć na próbnikowych wpustach „Scyt-Aleve” kontenery-pułapki na biowzorce oraz biologiczne ekspresowe laboratorium, co spowodowało ścieśnienie przestrzeni zajmowanej przez atmosferycznego fizyka Riu. Ale kontenery wracały puste, a zapisków laboratorium nie sposób było rozszyfrować. Oddziaływanie pól magnetycznych burzliwej atmosfery na przyrządy zmieniało się chaotycznie i laboratorium wymagało ręki człowieka. Gorbowski, na widok lśniącej czaszki Sidorowa, która była pierwszą rzeczą, jaką widział, wychodząc z kesonu, w milczeniu klepał się w czoło. Kiedyś powiedział biologowi: „Sęk w tym, Michaile Albertowiczu, że cała biologia wylatuje mi z głowy na sto dwudziestym kilometrze. Po prostu ją wyrzuca. Zbyt tam strasznie”.

Czasem Gorbowski brał ze sobą Dicksona. Po każdym takim zwiadzie kudłaty biolog długo leżał. W odpowiedzi na nieśmiałą prośbę Sidorowa o dopilnowanie przyrządów Dickson odpowiedział otwarcie, że nie ma zamiaru zajmować się żadnymi postronnymi sprawami. „Tam po prostu nie ma na to czasu, chłopcze...”

Nikt nie zamierza zajmować się postronnymi sprawami, myślał z goryczą Sidorow. Gorbowski i Valkenstein szukają miasta, Valkenstein i Riu są zajęci atmosferą, a Dickson bada boskie pulsę wszystkich trzech. A oni zwlekają, zwlekają i zwlekają z lądowaniem... dlaczego się nie spieszą? Czy im wszystko jedno?

Sidorow miał wrażenie, że nigdy nie zrozumie tych dziwnych ludzi zwanych desantowcami. W całym ogromnym wszechświecie wszyscy znali desantowców i byli z nich dumni. Być osobistym przyjacielem desantowca uważano za honor. A jednocześnie okazywało się, że nikt ich dokładnie nie znał. Z jednej strony desantowiec był to ktoś nadzwyczaj odważny, ale z drugiej haniebnie ostrożny: oni zawsze wracali i zawsze umierali własną śmiercią. Mówiono: „Desantowiec to ktoś, kto dokładnie potrafi wyliczyć moment, kiedy można sobie pozwolić na zapomnienie o wyliczeniach”, „Gdy desantowiec ginie, przestaje być desantowcem”. Mówiono: „Desantowiec idzie tam, skąd nie wracają maszyny” i „Można powiedzieć: on żył i umarł jako biolog. Ale należy mówić: żył jako desantowiec i zginął jako biolog”. Wszystkie te wypowiedzi były bardzo emocjonalne, ale absolutnie niczego nie wyjaśniały. Wielu znamienitych uczonych i badaczy było desantowcami. W swoim czasie Sidorow też się nimi zachwycał. Ale co innego zachwycać się, siedząc w szkolnej ławce, a zupełnie co innego patrzeć, jak Gorbowski w żółwym tempie pokonuje kilometry, które można przebyć jednym skokiem, ryzykownym, ale błyskawicznym.

Wracając z szesnastego zwiadu, Gorbowski oznajmił, że ma zamiar przystąpić do zbadania ostatniego, najbardziej skomplikowanego odcinka drogi do powierzchni Władysławy.

– Zostało jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów kompletnie niezbadanej warstwy – powiedział, mrugając sennie oczami i patrząc w przestrzeń. – To bardzo niebezpieczne kilometry i będę się posuwał z wyjątkową ostrożnością. Z Valkensteinem zrobimy jeszcze przynajmniej dziesięć, może nawet piętnaście rozpoznaj. Jeśli, oczywiście, dyrektor Bader zapewni nam paliwo.

– Dyrektor Bader zapewni wam paliwo – rzekł Bader majestatycznie. – Może się pan o to nie martwić, Leonidzie.

– Wspaniale! – ucieszył się Gorbowski. – A że zamierzam być wyjątkowo ostrożny, uważam, że mam prawo wziąć ze sobą Sidorowa.

Sidorow zerwał się. Wszyscy patrzyli na niego.

– No i doczekałeś się, chłopcze – rzekł Dickson.

– Trzeba dać szansę nowym – dodał Bader.

Baseda tylko się uśmiechnął, kiwając kształtną głową. Valkenstein też się nie odezwał, chociaż wyglądał na niezadowolonego.

Nie lubił bohaterów.

– To będzie sprawiedliwe – rzekł Gorbowski. Zrobił krok do tyłu i nie oglądając się, z godną zazdrości precyzją usiadł na kanapie. – Niech będzie nowy – uśmiechnął się i położył. – Niech pan szykuje kontenery, Michaił Albertowiczu, bierzemy pana ze sobą.

Sidorow zerwał się i wybiegł z mesy. Valkenstein powiedział:

– Błąd.

– Nie bądź egoistą, Mark – rzekł Gorbowski leniwie. – Chłopak siedzi tu rok. A chce tylko wziąć bakterie z atmosfery.

Valkenstein pokręcił głową.

– Błąd. To bohater.

– Nie szkodzi – rzekł Gorbowski. – Przypominam sobie teraz, że studenci nazywali go Atos. Poza tym czytałem jego książkę. To dobry biolog i nie będzie szarżował. Sam też kiedyś byłem bohaterem. I ty też. I Riu. Prawda, Riu?

– Prawda, dowódcu – odparł Baseda.

Gorbowski skrzywił się i pomasażował ramię.

– Boli – powiedział żałośnie. – Taki straszny zakręt. I jeszcze strumień z naprzeciwka. A jak twoje kolano, Mark?

Valkenstein podniósł nogę, kilka razy zgiął i wyprostował. Wszyscy z uwagą obserwowali jego ruchy.

– „Ach niestety, rzepka wyskoczyła” – powiedział śpiwnie.

– A ja panu zaraz zrobię masaż – rzekł Dickson i ciężko wstał.

„Tariel” poruszał się po merydionalnej orbicie i przechodził nad północnym biegunem Władysławy co trzy i pół godziny. Pod koniec cyklu statek z Gorbowskim, Valkensteinem i Sidorowem odłączył się od „Tariela” i runął w dół, w sam środek czarnego spiralnego wiru, powoli zwijającego się w pomarańczowej mgłę, okrywającej północny biegun Władysławy.

Po dłuższym milczeniu odezwał się Gorbowski:

– Oczywiście, wylądowali na północnym biegunie.

– Kto? – spytał Gorbowski.

– Oni – wyjaśnił Gorbowski. – I jeśli zbudowali gdzieś miasto, to właśnie na biegunie

północnym.

– W miejscu, gdzie wówczas był północny biegun – uściślił Valkenstein.

– Tak, naturalnie. Jak na Marsie.

Sidorow w napięciu patrzył na ekran, na którym rozbiegały się ze środkowego punktu pomarańczowe ziarenka i czarne plamy. Po chwili plamy zwolniły, „Scyt-Aleve” przyhamował. Teraz spadał w pionie.

– Ale mogli też wylądować na południowym biegunie – zauważył Valkenstein.

– Mogli – przyznał Gorbowski.

Sidorow pomyślał, że jeśli Gorbowski nie znajdzie osiedla obcych przy północnym biegunie, to zacznie tak samo metodycznie grzebać przy południowym, a potem będzie przeczesywał całą planetę, aż coś znajdzie. Nawet zrobiło mu się żal Gorbowskiego i jego towarzyszy. Zwłaszcza towarzyszy.

– Michaile Albertowiczu – odezwał się nagle Gorbowski.

– Tak?

– Michaile Albertowiczu, widział pan kiedyś taniec elfów?

– Elfów?

Obejrzał się. Gorbowski siedział odwrócony do niego bokiem i zerkał spode łba. Valkenstein siedział plecami do Sidorowa.

– Elfów? – powtórzył Sidorow. – Jakich elfów?

– Ze skrzydełkami. No, wie pan, takie... – Gorbowski zdjął ręce z klawiszy i poruszał palcami. – Nie widział pan? Szkoda. Ja też nie widziałem. Mark też nie. Nikt nie widział. A miło byłoby popatrzeć.

– Niewątpliwie – rzekł sucho Sidorow.

– Leonidzie Andriejewiczu – odezwał się Valkenstein. – Dlaczego nie zdemontowali powłoki stacji?

– Nie było takiej potrzeby – odparł Gorbowski.

– To nieekonomiczne – powiedział Valkenstein.

– A więc byli nieekonomiczni.

– Rozrzutni zwiadowcy – powiedział Valkenstein i zamilkł.

Statkiem szarpnęło.

– Poszło, Mark – powiedział Gorbowski nieswoim głosem.

Statkiem zaczęło potwornie trząść. Trudno było sobie wyobrazić, jak w ogóle można znieść takie wstrząsy. „Scyt-Aleve” wszedł w atmosferę, w której ryczały wściekle pionowe strumienie, ciągnące za sobą długie czarne pasy krystalicznego pyłu; lokatory natychmiast tutaj ślepy, a w szczelnej mgłę pojawiały się błyskawice niezwyklej mocy. Potężne, niewyjaśnione rozbłyski pola magnetycznego psuły przyrządy i rozszczępiały sznur plazmy w reaktorze rakiet fotonowych. Fotonowe rakiety tu wysiadały, ale atomowemu statkowi pierwszej klasy „Scyt-Aleve” też było nielekkko.

Gorbowski, przypięty do fotela pasami, skulił się nad pulpitem. Czarne włosy spadały mu na oczy, przy każdym podrzucie szczyrzył zęby. Wstrząsy trwały nieprzerwanie i wydawało się, że Gorbowski się śmieje. Ale to nie był śmiech. Sidorow nigdy by nie przypuszczał, że Gorbowski może wyglądać tak obco. Przypominał mu diabła. Wisiał nad pulpitem atmosferycznych rejestratorów z wyciągniętą szyją.

Było zdumiewająco cicho. Ale strzałki przyrządów, zielone zygzaki i łaty na fluorescencyjnych ekranach, czarne i pomarańczowe plamy na ekranie peryskopu – wszystko miało się i wirowało w wesołym tańcu. Podłoga szarpała.

- Cybernawigator – powiedział ochryple Valkenstein.
- Za wcześnie – odparł Gorbowski i znowu się wyszczerzył.
- Znosi... dużo pyłu.
- Za wcześnie, do licha – powiedział Gorbowski. – Idę na biegun.

Odpowiedzi Valkensteina Sidorow nie usłyszał – zaczęło pracować ekspresowe laboratorium. Zapłonęła lampka sygnalizacyjna i pod przezroczystym plastikiem popęzła taśma zapisu. „Aha!” krzyknął Sidorow. Za burtą było białko. Żywa protoplazma. Było jej z każdą sekundą coraz więcej. Samopisowi brakowało szerokości taśmy i przyrząd automatycznie przełączał się na poziom zerowy.

Następnie lampka zgasła i taśma się zatrzymała. Sidorow krzyknął, zerwał plombę i obie ręce zanurzył w mechanizmie przyrządu. Dobrze go znał, uczestniczył w jego konstrukcji i nie rozumiał, co się zepsuło. W ogromnym napięciu, starając się zachować równowagę, macał bloki drukowanych obwodów. Mogły nawalić od drgań. Kompletnie o tym zapomniał. Podczas poprzednich zwiadów mogły się uszkodzić ze dwadzieścia razy. Żeby się tylko nie popsuly, pomyślał. Żeby tylko były całe.

Statkiem potwornie trzęsło i Sidorow kilka razy uderzył czołem o plastikowy panel. Raz wyrznął nosem i na kilka chwil oślepl od łez. Bloki najprawdopodobniej były całe. Wtedy „Scyt-Aleve” gwałtownie położył się na boku.

Sidorowa wyrzuciło z fotela. Przeleciał przez cały mostek, ściskając w rękach wyrwane części panelu. Nawet nie od razu sobie uświadomił, co się stało. Gdy zrozumiał, nie uwierzył.

- Trzeba się było przypiąć – powiedział Valkenstein. – Pilotcie.

Sidorow na czworakach dotarł do swojego fotela, przypiął się pasami i utkwiał wzrok w rozgrzebanych wnętrznościach przyrządu.

Statkiem zatrzęsło, jakby wpadł na skałę. Sidorow otworzył wyschnięte usta i łapczywie oddychał. Na mostku było bardzo cicho.

- Cybernawigator – wychrypiał Valkenstein.

Wtedy znowu drgnęły ściany. Gorbowski milczał.

- Nie ma zasilania – dodał Valkenstein niespodziewanie spokojnie.

- Widzę – odparł Gorbowski. – Rób swoje.

- Nie ma ani kropli. Spadamy. Zamknęło...

- Włączam awaryjną, ostatnią. Wysokość czterdzieści pięć... Sidorow!

- Tak – powiedział Sidorow, odchrząkując.

– Pańskie kontenery się zapełniają – Gorbowski odwrócił do niego pociągłą twarz z suchymi błyszczącymi oczami. Sidorow nigdy nie widział u niego takiego wyrazu twarzy, gdy leżał na kanapie. – Kompresory pracują. Ma pan szczęście, Atos!

- Mam ogromne szczęście – powiedział Sidorow.

Teraz uderzyło z tyłu. Sidorow poczuł, że jego usta wypełniają się gorzką śliną.

- Poszło paliwo! – krzyknął Valkenstein.

- Dobrze... wspaniale! Zajmij się swoją robotą, na Boga. Sidorow! Ej, Misza...

- Tak – powiedział ochryple Sidorow z zaciśniętymi zębami.

- Nie ma pan zapasowego kompletu?

- Aha – powiedział Sidorow. Czuł się otępiaty.

- Co „aha”? – krzyknął Gorbowski. – Jest czy nie ma?

- Nie ma.

- Pilot – rzucił Valkenstein. – Bohater.

Sidorow zgrzytnął zębami i zaczął patrzeć na ekran peryskopu. Z prawej strony na lewą

pędziły mętne pomarańczowe pasy. Wyglądało to strasznie i powodowało mdłości. Sidorow zamknął oczy.

– Wylądowali tutaj! – krzyknął Gorbowski. – Tam jest miasto, na pewno!

Na mostku w strasznej ciszy coś cieniutko brzęczało i nagle Valkenstein zaryczał ciężkim przerywanym basem:

*Strasliwych wichrów dziki prąd  
I ryk błyskawic stu  
Straciłeś już tak wiele sond  
Lecz jeśli dziś zawrócisz stąd,  
Kto jutro przyjdzie tu?*

Ja przyjdę, pomyślał Sidorow. Idiota, osioł. Trzeba było poczekać, aż Gorbowski zdecyduje się na lądowanie. Zabrakło cierpliwości. Gdyby dzisiaj lądował, miałbym w nosie ekspresowe laboratorium.

*A Valkenstein ryczał dalej:  
Wzgardliwe twarze widzisz w krąg  
Szepty jak z koszmarne snu  
„Wstyd!” – mówią jedni, drudzy: „Błąd!”  
Lecz gdybyś dziś nie wrócił stąd,  
Czy ktoś by jutro przyszedł tu?*

– Wysokość dwadzieścia jeden! – krzyknął Gorbowski. – Przechodzę do poziomu!

A teraz niekończące się minuty lotu poziomego, myślał Sidorow. Potworne minuty lotu poziomego, szarpanie, mdłości, póki oni nie nacieszą się swoimi badaniami. A ja będę siedział jak ślepiec ze swoją idiotyczną rozbitą maszyną.

Statkiem wstrząsnęło. Uderzenie było silniejsze; pociemniało mu w oczach. Tracąc oddech, zobaczył, że Gorbowski z rozmachem wali się na pulpit, a Valkenstein z rozrzuconymi rękami wyskakuje z fotela i powoli, jak to się zdarza we śnie, osuwa się na podłogę. Został tak, leżąc twarzą do ziemi. Kawatek pasa, który pękł w dwóch miejscach, płynnie niczym jesienny liść zsunął mu się z pleców. Przez kilka sekund statek poruszał się siłą rozpędu i Sidorow, wczepiony w zamek pasów, poczuł, że wszystko leci. Ale już po chwili ciało znowu stało się ciężkie.

Rozpiął pas i stanął na słabych nogach. Patrzył na przyrządy. Strzałka wysokościomierza pełzła w górę, zielone zygzaki systemu kontrolnego miały się w błękitnych okienkach, zostawiając gasnące powoli ślady. Cybernawigator odciągał statek od Władysławy. Sidorow przeszedł nad Valkensteinem i podszedł do pulpitu. Gorbowski leżał z głową na klawiszach. Sidorow obejrzał się na Valkensteina. Siedział już, opierając się rękami o podłogę. Oczy miał zamknięte. Sidorow ostrożnie podniósł Gorbowskiego i położył go na oparciu fotela. W nosie mam ekspresowe laboratorium, pomyślał. Włączył Cybernawigator i położył palce na wilgotnych klawiszach. „Scyt-Aleve” zaczął skręcać i nagle spadł o sto metrów. Sidorow uśmiechnął się. Usłyszał, jak z tyłu Valkenstein wściekle chrypi:

– Ani mi się...

Atos nawet się nie odwrócił.



– Jest pan dobrym pilotem i dobrze pan wylądował. Moim zdaniem, jest pan również świetnym biologiem – powiedział Gorbowski. Całą twarz miał obandażowaną. – Wspaniałym biologiem. Prawdziwym entuzjastą. Prawda, Mark?

– Niewątpliwie – skinął głową Valkenstein. – Wylądował dobrze. Ale to nie on oderwał potem statek od powierzchni planety.

– Wie pan – mówił Gorbowski z wielkim przejęciem – czytałem pańską monografię o pierwotniakach. Cudowna rzecz. Ale nam nie po drodze.

Sidorow z trudem przełknął ślinę i zapytał:

– Dlaczego?

Gorbowski popatrzył na Valkensteina, potem na Badera.

– Nie rozumie.

Valkenstein kiwnął głową. Nie patrzył na Sidorowa. Bader też skinął głową i spojrzał na Sidorowa z jakimś nieokreślonym żalem.

– No? – spytał wyzywająco Sidorow.

– Za bardzo lubi pan napór – powiedział Gorbowski miękko. Wie pan, *Sturm und Drang*, jakby powiedział dyrektor Bader.

– Burza i napór – przetłumaczył z godnością Bader.

– Właśnie – ciągnął Gorbowski. – Za bardzo. A to niepotrzebne. To parszywa cecha. To krew i kości. I nawet pan tego nie rozumie.

– Moje laboratorium przepadło – odezwał się Sidorow. – Nie mogłem inaczej.

Gorbowski westchnął i popatrzył na Valkensteina, który powiedział wzgardliwie:

– Chodźmy, Leonidzie Andriejewiczu.

– Nie mogłem inaczej – powtórzył uparcie Sidorow.

– A trzeba było zupełnie inaczej – rzekł Gorbowski. Odwrócił się i poszedł korytarzem.

Sidorow stał pośrodku korytarza i patrzył, jak odchodzą. Bader i Valkenstein podtrzymywali Gorbowskiego pod łokcie. Potem popatrzył na swoją rękę i zobaczył czerwone krople na palcach. Poszedł do oddziału medycznego, przytrzymując się ściany, bo kołysało nim na boki. Chciałem jak najlepiej, myślał. Przecież lądowanie było najważniejsze... no i przywiozłem kontenery z mikrofauną. To bardzo cenne. Nawet dla Gorbowskiego. Wcześniej czy później będzie musiał wylądować i jeździć po Władysławie. A jeśli nie unieszkodliwi się bakterii, one go zabiją. Zrobiłem, co należało. Na Władysławie, na błękitnej planecie, jest życie. Zrobiłem to, co trzeba. Wyszepotał kilka razy: „Zrobiłem to co trzeba”, ale czuł, że nie całkiem o to chodzi. Po raz pierwszy poczuł to na dole, gdy stali obok statku, po pas w bulgoczącej ropie. Na horyzoncie widać było ogromne słupy gejzerów, a Gorbowski zapytał: „I co ma pan zamiar teraz przedsięwziąć, Michaile Albertowiczu?” Valkenstein powiedział coś w niezrozumiałym języku i zawrócił do planetolotu. Poczul to znowu, gdy „Scyt-Aleve” trzeci raz oderwał się od powierzchni strasznej planety i plusnął w naftowe błoto, strącony uderzeniem burzy. Poczul to także teraz.

– Chciałem jak najlepiej – odezwał się do Dicksona, który pomagał mu położyć się na stole.

– Słucham? – spytał Dickson.

– Musiałem wylądować – wyjaśnił Sidorow.

– Proszę leżeć – odparł Dickson. – Pierwotny entuzjizm... warknął.

Sidorow zobaczył, że z sufitu zsuwa się wielka, biała gruszka. Gruszka zawisła nad jego twarzą, przed oczami przesunęły się ciemne plamy. Poczul, że ma zatkane uszy, ale usłyszał

jeszcze Valkensteina, który nagle zaśpiewał basem:

*...Lecz gdybyś dziś nie wrócił stąd,  
Czy ktoś by jutro przyszedł tu?*

– Każdy... – powiedział z uporem Sidorow, nie otwierając oczu.

– Każdy by poszedł...

Dickson stał obok i obserwował, jak cieniutka błyszcząca igła cyberchirurga wchodzi w okaleczoną rękę. Jak dużo krwi, pomyślał. Gorbowski wyciągnął ich w samą porę. Gdyby spóźnili się o pół godziny, chłopak już nigdy nie wróciłby do zdrowia. Tak, Gorbowski zawsze wraca na czas. Tak trzeba. Desantowcy powinni wracać, inaczej nie byłiby desantowcami. A każdy desantowiec był kiedyś taki jak ten Atos...”

### **Głębinowy zwiad**

Kabinę, obliczono na jednego człowieka i teraz było w niej za ciasno. Akiko siedziała po prawej stronie Kondratiewa, na futerale ultradźwiękowego lokatora. Żeby nie przeszkadzać, przywarła do ściany, opierając się nogami o podstawę pulpitu. Było jej niewygodnie, ale fotel przed pulpitem to miejsce sterującego. Bielowski też było niewygodnie. Siedział w kucki pod lukiem i od czasu do czasu ostrożnie prostował na przemian zdętwiałe nogi. Prostując prawą, kopał Akiko w plecy, wzdychał i basem przeproszał po angielsku. Akiko i Bielowski byli stażystami. Stażyści-oceanolodzy musieli pogodzić się z niewygodami jednoosobowych łodzi podwodnych Straży Oceanicznej.

Jeśli nie liczyć westchnień Bielowskiego i szumu przegrzanej pary w reaktorze, w kabinie było cicho. Ciasno, cicho i ciemno. Czasem o spektrolit iluminatora uderzały krewetki i przestraszone wydzielały obłoczki świecącego śluzu. Przypominało to malutkie, różowe, bezgłośne wybuchy. Jakby ktoś strzelał miniaturowymi pociskami.

W czasie wybuchów można było zobaczyć poważną twarz i błyszczące oczy Akiko.

Teraz patrzyła na ekran. Od początku, przyciśnięta bokiem do ściany, zaczęła patrzeć, chociaż wiedziała, że szukać będą długo, może nawet całą noc. Ekran znajdował się pod iluminatorem pośrodku pulpitu, więc żeby go widzieć, musiała wyciągać szyję. Ale wpatrywała się w niego bez przerwy. Milczała. To był jej pierwszy głębinowy zwiad.

Była mistrzem pływania w stylu wolnym, miała wąskie biodra i szerokie męskie ramiona. Kondratiew lubił na nią patrzeć; teraz też miał ochotę pod pierwszym lepszym pretekstem włączyć światło.

Mógł przecież chcieć ostatni raz przed zejściem sprawdzić zamek luku. Ale nie włączył. I tak pamiętał Akiko: szczupła i kanciasta jak nastolatek, w płóciennym bluzie z podwiniętymi rękawami i szerokich, krótkich spodniach.

Na ekranie pojawił się wyraźny, jasny sygnał. Ramię Akiko przywarło do ramienia Kondratiewa; poczuł, jak dziewczyna wyciąga szyję, żeby lepiej widzieć ekran. Poczuł zapach jej perfum i ledwo wyczuwalny zapach wody oceanu. Akiko zawsze pachniała oceanem – w końcu spędzała w nim przynajmniej dwie trzecie swojego czasu.

– Rekiny. Cztery metry – powiedział.

Sygnał zadrzał, rozpadł się na malutkie plamki i znikł. Akiko odsunęła się. Jeszcze nie umiała odczytywać sygnałów ultradźwiękowego lokatora. Bielowski umiał, przeszedł roczną praktykę na „Kunaszyrze”, ale siedział z tyłu i nie widział ekranu.

– Rekiny to draństwo – dodał. – *Beg you pardon*, Akiko-san.

Nie musiał mówić po angielsku, Akiko pięć lat studiowała w Chabarowsku i doskonale znała rosyjski.

– Nie trzeba się było tak objadać – powiedział gniewnie Kondratiew. – I nie należało pić. Przecież wiesz, jak to bywa.

– To tylko jedna pieczona kaczka na dwóch – usprawiedliwiał się Bielów – i po dwa kieliszki. Nie mogłem odmówić. Sto lat się nie widzieliśmy, a on odlatuje dziś w nocy. Już pewnie wyleciał. Tylko po dwa kieliszki... Czuć?

– Czuć.

Ohyda, pomyślał Bielów. Wysunął dolną wargę i pociągnął nosem.

– Ja czuję tylko perfumy.

Głupiec, pomyślał Kondratiew. Odezwała się stropiona Akiko:

– Nie wiedziałam, że to takie ważne. Nie używałabym perfum.

– Perfumy to nic takiego – uspokoił ją Bielów. – Nawet przyjemnie.

Niepotrzebnie go brałem, pomyślał Kondratiew. Bielów stuknął się głową o zamek luku i zasyczał z bólu.

– Co się stało? – spytał.

Bielów westchnął, usiadł po turecku i podniósł rękę, obmacując zamek. Był zimny, miał ostre, twarde kanty. Przyciskał do luku ciężką pokrywę. Nad pokrywą była woda. Sto metrów wody do powierzchni.

– Kondratiew! – odezwał się Bielów.

– Tak?

– Słuchaj, dlaczego idziemy pod wodą? Może byśmy wypłynęli i otworzyli luk? Świeże powietrze i tak dalej.

– Na górze teraz pięć stopni – odparł Kondratiew.

To prawda, pomyślał Bielów. Pięć stopni, rzucanie, fale, woda zaleje otwarty luk. Ale sto metrów nad głową to nic przyjemnego.

Wkrótce zacznie się zejście i będzie dwieście, trzysta, pięćset metrów. Może nawet kilometr. Albo i trzy. Niepotrzebnie się tu pchałem. Trzeba było zostać na „Kunaszyrze” i pisać artykuł.

Jeszcze jedna krewetka stuknęła o iluminator – kolejny malutki różowy wybuch. Bielów wpatrzył się w ciemność, gdzie na moment pojawił się zarys ostrzyżonej głowy Kondratiewa.

Kondratiew oczywiście o takich rzeczach nawet nie myśli. Kondratiew jest zupełnie innym człowiekiem. Po pierwsze, pochodzi z ubiegłego wieku. Po drugie, nerwy ma stalowe jak ten przeklęty zamek. Po trzecie, ma gdzieś niezbadane tajemnice głębin. Pograżony jest w metodach dokładnego obliczania pogłowia i w wariantach utrzymania odpowiedniej ilości proteiny na hektar planktonowego pola.

Niepokoi go drapieznik, który rozszarpał młode wieloryby. Szesnaście młodych wielorybów w ciągu kwartału, i to same najlepsze, chluba wielorybiej hodowli Oceanu Spokojnego.

– Kondratiew!

– Tak?

– Nie gniewaj się.

– Nie gniewam się – rzekł gniewnie Kondratiew. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Wydawało mi się, że się gniewasz. Kiedy zaczniemy schodzić?

– Niedługo.

Pok... pok-pok-pok-pok... całe stadko krewetek. Zupełnie jak fajerwerki na Nowy Rok. Bielów ziewnął rozdzierająco i szybko zamknął usta. O, już wie, co zrobi: będzie przez cały czas trzymał usta zamknięte.

– Akiko-san – powiedział. – *How do you feel?*

– Dziękuję, dobrze – odpowiedziała uprzejmie Akiko.

Po głosie wyczuł, że się nie odwróciła. Też się gniewa, pomyślał. A wszystko dlatego, że jest zakochana w Kondratiewie. Kondratiew się gniewa, to i ona też. Wpatrzona w Kondratiewa, a zwraca się do niego wyłącznie „towarzyszu kapitanie łodzi podwodnej”.

Bardzo go szanuje, prawie czci. Jest w nim zakochana po uszy, to jasne. Kondratiew też pewnie o tym wie. Tylko ona sama jeszcze nie wie. Biedaczka, ale jej się trafiło. Przecież to człowiek o stalowych nerwach, ołowianych mięśniach i miedzianej twarzy. Monumentalny człowiek z tego Kondratiewa. Człowiek-Budda. Człowiek-pomnik samego siebie. Swojego wieku. I całej bohaterkiej przeszłości.

O drugiej w nocy Kondratiew włączył światło i wyjął mapę. Łódź podwodna wisiała nad środkiem rowu, osiem mil na południowy zachód od dryfującego „Kunaszyra”. W rozróżnieniu przesunął po mapie paznokciem i oznajmił:

– Zaczniemy zejście.

– Nareszcie – warknął Bielów.

– Towarzyszu kapitanie łodzi podwodnej – odezwała się Akiko. – Będziemy schodzić w pionie?

– Nie jesteśmy w batyskafie – odparł sucho Kondratiew. – Będziemy schodzić po spirali.

Sam nie wiedział, skąd ten suchy ton. Może dlatego, że znowu zobaczył Akiko. Myślał, że dobrze ją pamięta, ale okazało się, że przez te kilka godzin w ciemności obdarzył ją rysami kobiet, które kiedyś mu się podobały – specjalistek, z którymi pracował, aktorek z różnych filmów. W świetle te rysy znikły i Akiko wydała mu się szczuplejsza, subtelniejsza i smaglejsza, niż sobie wyobrażał. Przypominała kilkunastoletniego chłopca. Siedziała potulnie obok niego, opuszczone ręce położyła na gołych kolanach. Dziwne, pomyślał. Nigdy wcześniej nie zauważyłem, żeby pachniała perfumami.

Wyłączył światło i poprowadził łódź na dół. Dziób nachylił się mocno, więc Bielów zaparł się kolanami w oparcie fotela. Teraz przez ramię Kondratiewa widział świecące cyferblaty i ekran ultradźwiękowego lokatora w górnej części pulpitu. Na ekranie zapalały się i gasły drżące iskry, pewnie sygnały głębinowych ryb, zbyt dalekich, żeby można je było zidentyfikować. Bielów przeniósł wzrok na cyferblaty, odszukał wskaźnik głębokości. Batymetr był ostatni po lewej stronie. Czerwona strzałka powoli dopęłzła do dwustu. Potem tak samo powoli będzie pełznąć do trzystu i czterystu... Pod nimi jest trzykilometrowa przepaść, a łódź to maleńka kruszynka w niewyobrażalnej masie wody. Bielów nagle poczuł, że coś przeszkadza mu oddychać. Ciemność kabiny wydała mu się szczelna i bezlitosna, jak zimna słońca woda za burtą. Zaczyna się, pomyślał.

Nabrał powietrza i zatrzymał je w płucach. Zamknął oczy, wczepił się obiema rękami w oparcie fotela i zaczął liczyć w myśli. Gdy przed zamkniętymi oczami popłynęły kolorowe plamy, głośno wypuścił powietrze i przesunął dłonią po mokrym czole.

Czerwona strzałka minęła dwieście. Wyglądało to ładnie i złowieszczo zarazem: czerwona strzałka i zielone cyfry w ciemności. Rubinowa strzałka i szmaragdowe cyfry.

Dwieście, trzysta, tysiąc, trzy tysiące... Nie mam bladego pojęcia, dlaczego zostałem oceanologiem, zastanawiał się Bielów. Dlaczego nie metalurgiem albo sadownikiem? Potworna głupota. Na sto osób tylko jedna narażona jest na chorobę głębinową. I ta jedna właśnie jest oceanologiem, bo lubi zajmować się głowonogami. Cephalopody, żeby je szlag. Dlaczego nie zajmę się czymś innym? Na przykład królikami. Albo dżdżownicami. Dżdżownice w mokrej ziemi, pod gorącym słońcem. Nie ma ani ciemności, ani strachu przed słońcą otchłaniają. Tylko ziemia i słońce.

– Kondratiew!

– Tak?

– Słuchaj, chciałbyś zajmować się dżdżownicami?

Kondratiew nachylił się, wymacując coś po ciemku. Rozległo się ciche szcęknięcie i w twarz Bielowa uderzył strumień lodowatego tlenu. Zaczął go wdychać łapczywie, ziewając i krztusząc się.

– Wystarczy – powiedział. – Dziękuję.

Kondratiew wyłączył tlen. No tak, miał gdzieś dżdżownice. Czerwona strzałka minęła trzysta. Bielów znowu zawołał:

– Kondratiew!

– Tak?

– Jesteś pewien, że to kalmar?

– Nie rozumiem.

– Że to kalmar rozerwał wieloryby.

– Najprawdopodobniej kalmar.

– A może to orka?

– Może.

– Albo kaszalot?

– Może i kaszalot. Chociaż kaszalot napada zazwyczaj na samice, a w stadzie było niewiele samic. A orki atakują samotników.

– Nie, to ika – powiedziała Akiko cienkim głosem. – Oo-ika.

Oo-ika – gigantyczny głębinowy kalmar. Okrutny i błyskawiczny. Ma potężny tułów, dziesięć chwytliwych macek i twarde mądre oczy. Atakuje wieloryba od dołu i momentalnie przegryza mu wnętrzości. Potem powoli opada z trupem na dno – ani jeden rekin, nawet najgłodniejszy, nie śmie się do niego zbliżyć. Kalmar, zartyty w muł ucztuje nie niepokojony. Jeśli trafi na niego łódź podwodna Straży Oceanicznej, nie ustępuje, przyjmuje bój. A rekiny gromadzą się, czatując na strzępy mięsa. Mięso gigantycznego kalmara jest twarde jak guma, ale rekinom to nie przeszkadza.

– Tak – powiedział Bielów. – To chyba jednak kalmar.

– Najpewniej – rzekł Kondratiew.

Wszystko jedno, czy to kalmar, czy nie, pomyślał. W takich rozpadlinach mogą żyć stworzenia straszniejsze od kalmarów. Trzeba je znaleźć i zniszczyć, bo nie ustąpią, skoro raz spróbowały wielorybiego mięsa.

Potem pomyślał, że jeśli rzeczywiście natrafia na coś nieznanego to stażyści na pewno położą mu się na plecach, błagając, żeby pozwolił im się lepiej przyjrzeć. Stażystom łódź podwodna zawsze się myli z batyskafem badawczym.

– Czteryście metrów.

– W kabinie było bardzo duszno. Jonizatory nie wyrabiały. Kondratiew słyszał, jak za jego plecami ciężko dyszy Bielów. Za to Akito zupełnie nie słyszał: jakby jej nie było. Dał

jeszcze trochę tlenu i zerknął na kompas. Silny prąd znosił łódź w poprzek kursu.

– Bielów – polecił – zaznacz: ciepły strumień, głębokość czterysta czterdzieści, kierunek south, south, west, prędkość dwa metry na sekundę.

Bielów skrzytnął pokrętem dyktafonu i coś wymamrotał słabym głosem.

– Prawdziwy Gólsztrom – rzekł Kondratiew. – Malutki Gólsztrom.

– Temperatura? – spytał Bielów tym samym słabym głosem.

– Dwadzieścia cztery.

– Dziwna temperatura, niezwykła – powiedziała nieśmiało Akiko.

– Jeśli gdzieś pod nami jest wulkan – jęknął Bielów – to zapowiada się interesująco.

*Have you ever tasted* ucztę z kalmarów, Akiko-san?

– Uwaga – powiedział Kondratiew. – Zaraz będę wychodził z prądu. Trzymajcie się czegoś.

– Łatwo powiedzieć – warknął Bielów.

– Dobrze, towarzyszu kapitanie łodzi podwodnej – powiedziała Akiko.

Może się pani trzymać mnie, chciał jej zaproponować Kondratiew, ale nie śmiał. Ostro położył łódź na lewej burcie i spadł w dół.

„Och” – powiedział Bielów i upuścił dyktafon Kondratiewowi na kark. Potem Kondratiew poczuł, że w jego ramiona wczepiły się palce Akiko, ale się ześliznęły.

– Proszę mnie objąć za ramiona – polecił.

W tym momencie palce znowu się ześliznęły i dziewczyna omal nie upadła policzkiem na krawędź pulpitu. Kondratiew ledwie zdążył podstawić rękę; uderzyła twarzą o jego łokieć.

– Przepraszam – powiedziała.

– Och, spokojniej – jęczał Bielów. – Spokojniej, Kondratiew!

Wrażenie było takie, jakby zerwała się winda. Kondratiew zdjął rękę z pulpitu, pomacał z prawej strony i wyczuł puszyste włosy Akiko.

– Uderzyła się pani?

– Nie. Dziękuję.

Nachylił się i pomógł jej wstać.

– Dziękuję – powtórzyła. – Dziękuję... ja sama.

Puścił ją i spojrzał na batymetr. Sześćset pięćdziesiąt... pięćdziesiąt pięć... sześćset sześćdziesiąt.

– Spokojnie, Kondratiew – poprosił Bielów stłumionym głosem. – Wystarczy już.

Sześćset osiemdziesiąt metrów. Kondratiew wypoziomował łódź. Bielów głośno czknął i oderwał się od oparcia fotela.

– Koniec – powiedział Kondratiew i włączył światło.

Akiko zasłaniała nos ręką. Po policzkach płynęły jej łzy.

– Iskry z oczu – uśmiechnęła się z trudem.

– Przepraszam, Akiko-san – rzekł Kondratiew.

Poczuł się winny. Nie było potrzeby tak ostro pikować. Po prostu znudziło mu się schodzenie bez końca po spirali. Otarł pot z twarzy i obejrzał się. Bielów siedział skulony, nagi do pasa; przy ustach trzymał zmiętą koszulę. Twarz miał mokrą i szarą, oczy czerwone.

– Pieczona kaczka – powiedział Kondratiew. – Zapamiętaj, Bielów.

– Zapamiętam. Daj jeszcze tlenu.

– Nie. Otrujesz się.

Kondratiew miał ochotę dorzucić kilka słów o kieliszkach, ale powstrzymał się i wyłączył światło. Łódź znowu poszła po spirali. Nikt się nie odzywał, nawet Bielów.

Siedemset metrów, siedemset pięćdziesiąt... osiemset...

– To on – wyszeptała Akiko.

Przez ekran bez pośpiechu przesuwała się wąska niewyraźna plama. Zwierzę było jeszcze zbyt daleko, by je rozpoznać. To mógł być kalmar, kaszalot, wieloryb samotnik albo wielki rekin czy inne nieznanne zwierzę. W głębinie jest jeszcze wiele stworzeń nieznanymi lub mało znanych człowiekowi. Straż Oceaniczna otrzymywała doniesienia o gigantycznych żółwiach z długimi szyjami i ogonami, o smokach, o pająkach mających swoje siedziby na południe od Bonin, o malutkich, drapieźnych rybkach, wielotysięcznymi stadami płynących na głębokości półtora kilometra i niszczących wszystko na swojej drodze. Na razie nie było ani możliwości, ani specjalnej potrzeby sprawdzania tych pogłosek.

Kondratiew powoli obracał łódź, żeby nie stracić zwierzęcia z pola widzenia.

– Blżej – poprosił Bielów. – Podejdź bliżej!

Głośno dyszał Kondratiewowi w ucho. Łódź zbliżała się powoli.

Kondratiew włączył celownik i na ekranie zapłonęły przecinające się nici. Wąska plama płynęła obok przecięcia.

– Poczekaj, Kondratiew, nie spiesz się.

Kondratiew się rozgniewał. Nachylił się, wymacał pod nogami dyktafon i podał go przez ramię w ciemność.

– O co chodzi? – spytał niezadowolony Bielów.

– Dyktafon – rzekł Kondratiew. – Zaznacz: głębokość osiemset, cel znaleziony.

– Zdążymy.

– Proszę dać mnie – powiedziała Akiko.

– *Beg you pardon* – odkaslnął Bielów. – Kondratiew! Nie strzelaj do niego. Najpierw trzeba popatrzeć.

Odległość pomiędzy łodzią a zwierzęciem zmniejszała się. Było jasne, że to gigantyczny kalmar. Gdyby nie stażyści, Kondratiew nie zwlekałby dłużej. Pracownik Straży Oceanicznej nie ma do tego prawa. Ani jedno morskie zwierzę nie wyrządziło hodowli wielorybów takich szkód, jak ten kalmar. Z tego względu podlegał natychmiastowej likwidacji podczas spotkania z dowolną łodzią podwodną. Sygnał wprowadzano w celownik na ekranie, a łódź posyłała torpedę. Dwie torpedy. Czasem, dla pewności, trzy. Torpedy mknęły po ultradźwiękowym promieniu i wybuchały obok celu. Na huk wybuchów ze wszystkich stron zlatywały się rekiny.

Kondratiew z żalem zdjął palec ze spustu aparatu torpedowego.

– Patrz – powtórzył.

Ale na razie nie było na co patrzeć. Granica jasności wizualnej nawet w najczystszej wodzie oceanu wynosiła maksymalnie trzydzieści metrów i tylko ultradźwiękowy lokator pozwalał na odnalezienie celu w odległości pół kilometra.

– Żeby tak szybciej – powiedział podekscytowany Bielów.

– Nie Spiesz się.

Łodzie Straży Oceanicznej przeznaczone są do ochrony planktonu przed wielorybami i wielorybów przed morskimi drapieźnikami. Łodzie podwodne nie nadają się do celów badawczych, są zbyt głośne. Jeśli kalmar nie zechce się zapoznać z łodzią bliżej, odejdzie, zanim można będzie włączyć reflektory i go obejrzyć. A gonić go nie sposób, gigantyczne głowonogi mogą rozwijać prędkość trzy razy większą niż najszybsza łódź podwodna. Kondratiew liczył tylko na zdumiewającą odwagę i okrucieństwo kalmara, które czasem pchały zwierzę do walki z wściekłymi kaszalotami i stadami orek.

– Ostrożnie, ostrożnie – powtarzał Bielów błagalnie.

– Może tlenu? – spytał Kondratiew wściekle.

Akiko dotknęła leciutko jego ramienia. Od kilku minut stała pochylona nad ekranem, a jej włosy łaskotały ucho i policzek Kondratiewa.

– Ika nas widzi – powiedziała.

Bielów krzyknął:

– Nie strzelaj!

Plama na ekranie, teraz większa i niemal okrągła, szybko ruszyła w dół. Kondratiew uśmiechnął się zadowolony. Kalmar schodził pod łódź, szykując się do ataku. Nie miał zamiaru uciekać. Sam narzucał walkę.

– Nie strać go – szepnął Bielów.

Akiko powiedziała:

– Ika odchodzi.

Stażyści jeszcze nie rozumieli, co się dzieje. Kondratiew zaczął opuszczać dziób łodzi. Ślad kalmara znowu wypłynął na celowniku. Wystarczyło nacisnąć na spust i godzinę rozerwałoby na strzępy.

– Nie strzelaj – powtarzał Bielów. – Tylko nie strzelaj.

Ciekawe, gdzie się podziała jego choroba głębinowa? – pomyślał Kondratiew, a na głos powiedział:

– Kalmar będzie teraz pod nami. Postawię łódź na dziób. Przygotujcie się.

– Dobrze, towarzyszu kapitanie łodzi podwodnej – rzekła Akiko.

Bielów w milczeniu zaczął się kręcić, szukając wygodnej pozycji. Łódź podwodna obracała się powoli. Sygnał na ekranie stał się większy i przybrał zarysy wieloramiennej gwiazdy z migoczącymi promieniami. Łódź nieruchomo zawisała dziobem w dół.

Kalmara najwidoczniej zdumiało zachowanie ofiary, ale wahał się tylko kilka sekund, po czym ruszył do ataku. Szybko i pewnie, jak robił to tysiące razy w swoim niewyobraźalnie długim życiu.

Sygnał zajął cały ekran.

Kondratiew włączył jednocześnie wszystkie reflektory: dwa po obu stronach luku i jeden pod dnem. Światło było bardzo jasne. Przezroczysta woda wydawała się żółtozielona. Akiko krótko westchnęła. Kondratiew zerknął na nią. Siedziała w kucki nad iluminatorem ściskając ręką brzeg pulpitu. Spod ręki sterczało nagie podrapane kolano.

– Patrzcie – powiedział ochryple Bielów. – Patrzcie, to on! Patrzcie!

Świecąca mgła za iluminatorem wisiała nieruchomo, ale po chwili poruszyły się w niej jakieś cienie. Mignęło coś długiego i zwinnego, a sekundę później zobaczyli kalmara – szerokie, blade ciało, dwoje uważnych oczu w dolnej części paszczy, a pod oczami, niczym potworne wąsy, dwie kępki grubych, poruszających się kończyn. Wszystko to w jednej chwili runęło na iluminator, zasłaniając światło reflektora. Łódź silnie zakołysała i coś nieprzyjemnie, jak nożem po szkłe, zgrzytnęło po powłoce.

– No i tak – powiedział Kondratiew. – Zadowoleni z oględzin?

– Jaki ogromny – odezwał się z czcią Bielów. – Akiko-san, zauważyła pani, jaki on ogromny?

– Oo-ika – odparła Akiko.

– Nigdy nawet nie słyszałem o tak gigantycznych osobnikach nie mógł się uspokoić Bielów. – Odległość pomiędzy oczami oceniam na ponad dwa metry. Jak myślisz, Kondratiew?



– Mniej więcej.  
– A pani, Akiko-san?  
– Półtora, dwa metry – odpowiedziała Akiko po chwili milczenia.  
– Co w zwykłych proporcjach daje... – szeptał Bielów, zaginając palce – daje długość tułowia co najmniej trzydzieści metrów, a wagę...  
– Słuchajcie – przerwał niecierpliwie Kondratiew. – Napatrzyliscie się już?  
– Nie, nie, poczekaj. Trzeba się jakoś od niego oderwać i sfotografować w całości.  
Łódź znowu się zakołysała i dał się słyszeć zgrzyt rogowych szczęk o metal.  
– To nie wieloryb, kochany – wymamrotał złośliwie Kondratiew. – Z własnej woli się od nas nie odczepi, będzie teraz szorować po łodzi co najmniej dwie godziny. Jak go teraz strąsnę, to wpadnie pod strumień wrzątku z turbin. Wtedy szybko skrećimy, zrobimy zdjęcie i rozstrzelamy go. Zgoda?

Łódź kołysała się coraz silniej. Najwidoczniej kalmar rozzłościł się i próbował zgiąć ją w pół. Na kilka sekund w iluminatorze pokazało się jedno z jego ramion – fioletowa kieszka grubości słupa telegraficznego, oblepiona poruszającymi się chciwie przyssawkami. Czarne haczyki, sterczące z przyssawek, zgrzytnęły po spektrolicie.

– Cudo – gruchał Bielów. – Słuchaj, Kondratiew, nie można by z nim wypłynąć na powierzchnię?

Kondratiew przechylił głowę, zmrużył oczy i popatrzył na Bielowa.

– Na powierzchnię? Może... Teraz się od nas nie odczepi. Ile on, mówisz, może ważyć?

– Siedemdziesiąt ton – powiedział Bielów niepewnie.

Kondratiew gwizdnął i znowu odwrócił się do pulpitu.

– Ale to na powietrzu – dodał szybko Bielów. – A w wodzie...

– I tak co najmniej dziesięć – rzekł Kondratiew. – Nie wyciągniemy. Szykujcie się, będziemy się przekrecać.

Akiko pospiesznie przysiadła w kucki, nie spuszczać wzroku z iluminatora. Bardzo się bała przepuścić coś interesującego. Gdyby nie stażyści, pomyślał Kondratiew, już dawno załatwiłbym tego głowonoga i zaczął szukać jego krewnych. Nie wątpił, że na dnie rozpadliny kryją się dzieci, wnuki i prawnuki potwora, potencjalni, a może już aktywni piraci grasujący na trasach migracyjnych wielorybów.

Łódź podwodna wróciła do poziomu.

– Duszno – warknął Bielów.

– Trzymajcie się mocno – powiedział Kondratiew. – Gotowi? Naprzód!

Przesunął dźwignię prędkości. Cała naprzód, trzydzieści węzłów. Przenikliwie zawyły turbiny, z tyłu coś stuknęło, dało się słyszeć słaby jęk. Biedny Bielów, pomyślał Kondratiew. Zmniejszył prędkość i zakreślił kołem sterowym. Łódź podwodna zatoczyła półkole i wróciła do kalmara.

– Teraz patrzcie – powiedział Kondratiew.

Kalmar wisiał dwadzieścia metrów przed dziobem łodzi, blady, płaski, z obwisłymi, skurczonymi ramionami i obwisłym tułowiem. Przypominał przypalonego zapalniczką pająka. Oczy miał skierowane w bok, jakby w zadumie nad czymś rozmyślał. Kondratiew nigdy przedtem nie widział żywego kalmara z tak bliska; patrzył na niego z ciekawością i wstrętem. To był rzeczywiście nieprawdopodobnie wielki osobnik, może jeden z największych na świecie. Ale w tym momencie nie wyglądał na potężnego, groźnego drapieżnika. Kondratiewowi przypominał sterty wielorybich wnętrzności wymoczonych w ogromnych kadziach w ubojni wielorybów w Pietropawłowsku.

Minęło kilka minut. Bielów leżał na plecach Kondratiewa i strzelał aparatem. Akiko coś mamrotała do dyktafonu, chyba po japońsku, nie odrywając wzroku od kalmara. Kondratiewowi zdrętwiała szyja. Poza tym bał się, że kalmar ochłonie i ucieknie albo znowu rzuci się na łódź i wszystko trzeba będzie zaczynać od początku.

– Długo jeszcze? – zainteresował się.

– Bardzo – odpowiedział Bielów ochryple i bez sensu.

Kalmar dochodził do siebie. Przez jego łapy przebiegł dreszcz. Ogromne, wielkości piłki nożnej oczy obróciły się jak przeguby w gniazdach i wpatrzyły w światło reflektorów. Potem wyciągnęły się macki, jakby chciały się znowu zacisnąć, a bladofioletowa skóra pociemniała. Kalmar był oszołomiony, ogłuszony, ale szykował się już do nowego skoku. Nie miał zamiaru się wycofywać.

– No? – spytał Kondratiew niecierpliwie.

– Dobrze – odparł niezadowolony Bielów. – Możesz.

– Złaż ze mnie.

Bielów zszedł i położył podbródek na prawym ramieniu Kondratiewa. Najwidoczniej zapomniał o chorobie głębinowej. Kondratiew zerknął na ekran i położył palec na spuście.

– Za blisko – wymamrotał. – No, nic. Wystrzał!

Łódź podwodna drgnęła.

– Wystrzał!

Łódź drgnęła jeszcze raz. Kalmar powoli rozkładał macki, gdy pod jego oczami jedna za drugą eksplodowały dwie torpedy z wysokoazotową nitrocelulozą. Dwa mętne wybuchy i dwa łoskoty: bombr, bombr. Kalmara przesłoniła czarna chmura, łódź odskoczyła do tyłu, przechyliła się na lewą burtę i zaczęła tańczyć w miejscu.

Gdy wszystko się uspokoiło, reflektory oświetliły brunatnoszarą masę, z której odrywały się wirując bezkształtne, dymiące strzępy. Niektóre jeszcze się wiły i drgały w świetle, rzucając w żółtozielonej wodzie cienie, a potem znikwały w mroku. Na ekranie lokatora pojawiło się jeden za drugim cztery, pięć, siedem, sygnałów, niecierpliwych i wyczekujących.

– Rekiny – powiedział Kondratiew. – Już są.

– Rekiny to draństwo – rzekł ochryple Bielów. – Ale kalmara szkoda... Taki okaz! Barbarzyńca z ciebie, Kondratiew... A może był rozumny?

Kondratiew bez słowa włączył światło. Akiko siedziała oparta o ścianę, głowę miała przechyloną na ramię, oczy przymknięte, usta uchylone. Czoło, policzki, szyja, nagie ręce i nogi lśniły od potu.

Dyktafon leżał pod jej nogami. Kondratiew podniósł go, Akiko otworzyła oczy i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Zaraz wracamy – powiedział Kondratiew i pomyślał: „Jutro w nocy zejść i wybije resztę”.

– Bardzo duszno, towarzyszu kapitanie łodzi podwodnej – powiedziała Akiko.

– Nic dziwnego – rzekł gniewnie Kondratiew. – Koniak, perfumy...

Akiko spuściła głowę.

– No, nic – powiedział Kondratiew. – Zaraz będziemy wracać. Bielów!

Oceanolog nie odpowiedział. Kondratiew odwrócił się i zobaczył, że podnosi ręce i obmacuje zamek luku.

– Co robisz, Bielów? – spytał Kondratiew spokojnie.

Bielów odwrócił do niego szarą twarz.

– Duszno. Trzeba otworzyć.

Kondratiew uderzył go pięścią w piersi. Bielów upadł na wznak, ostrą grdyką do góry. Kondratiew pospiesznie odkręcił zawór tlenu, wstał i nachylając się nad oceanologiem, obejrzał zamek. W porządku. Tknął Bielowa palcem pod żebra. Akiko obserwowała ich błyszczącymi oczami.

– Towarzysz Bielów? – spytała.

– Pieczona kaczka – wyjaśnił gniewnie Kondratiew. – I na dokładkę choroba głębinowa.

Bielów westchnął i wstał. Popatrzył sennymi oczami na Kondratiewa i Akiko i zapytał:

– Co się stało, przyjaciele?

– Omal nas nie utopiłeś, żarłoku – powiedział Kondratiew.

Podniósł dziób łodzi do pionu i zaczął wynurzenie. Była czwarta rano. „Kunaszyr” już powinien podejść do punktu spotkania. W kabinie nie było czym oddychać. To nic, wkrótce się skończy. Gdy w kabinie pali się światło, strzałka batymetru wydaje się różowa, a cyfry – białe. Sześćset metrów, pięćset osiemdziesiąt, pięćset pięćdziesiąt...

– Towarzyszu kapitanie łodzi podwodnej – powiedziała Akiko. – Mogę o coś zapytać?

– Możesz.

– To chyba sukces, że tak szybko znaleźliśmy ika?

– To on nas znalazł. Zapewne ciągnął się za nami z dziesięć kilometrów i przyglądał się. Kalmary zawsze tak robią.

– Kondratiew – zajęczał Bielów. – Nie można szybciej?

– Nie można – rzekł Kondratiew. – Cierp.

Dlaczego jemu nic nie jest? – pomyślał Bielów. Może naprawdę jest z żelaza? A może to przyzwyczajenie? Boże, żeby tylko zobaczyć niebo. Zobaczyć niebo... Już nigdy nie pójde na głębinowy zwiad. Żeby tylko zdjęcia się udały. Ja się zmęczyłem, a on wcale.

Siedzi prawie do góry nogami i nic się z nim nie dzieje. A mnie od samego widoku zaczyna mdlić.

Trzysta metrów.

– Kondratiew – odezwał się znowu Bielów. – Co będziesz robił jutro?

– Rano przychodzi Czang Czoł i Walcew ze swoimi łodziami podwodnymi, a wieczorem przeczeszemy rozpadlinę i wybijemy pozostałe.

Jutro wieczorem znowu zejdzie do tej mogiły, zdumiał się Bielów. I mówi to z takim spokojem i zadowoleniem.

– Akiko-san...

– Tak, towarzyszu Bielów?

– *What are you going to do tomorrow?*

Kondratiew zerknął na batymetr. Dwieście metrów. Akiko westchnęła.

– Nie wiem – odparła.

Zapadła cisza. Milczeli, póki łódź nie wypłynęła na powierzchnię.

– Otwórz luk – powiedział Kondratiew.

Łódź zakołysała się na lekkiej fali.

Bielów podniósł ręce, przesunął zatrask zamku i pchnął pokrywę.

Pogoda zmieniła się, wiatru już nie było, chmur też nie. Gwiazdy były małe i jasne, a na niebie wisiał sierp księżyca. Ocean leniwie gnał nieduże lśniące fale, które pluskały i szemrały przy wieżycze luku.

Bielów pierwszy wydostał się na zewnątrz, za nim wyszła Akiko i Kondratiew.

– Jak dobrze! – powiedział Bielów.  
– Dobrze – zawtórowała Akiko.  
Kondratiew też potwierdził, że dobrze i po chwili namysłu dodał:  
– Po prostu wspaniale.  
– Proszę o pozwolenie wykąpania się – powiedziała Akiko.  
Kondratiew się zgodził.  
Akiko rozebrała się, złożyła ubranie na brzegu luku i dotknęła nogą wody.  
Czerwony kostium kąpielowy wydawał się czarny, a nogi i ręce dziewczyny nienaturalnie białe. Bezszelestnie zsunęła się do wody.  
– Ja też pójdę – powiedział Bielów.  
Rozebrał się i zsunął do wody. Woda była ciepła. Podpłynął do rufy.  
– Masz rację, Kondratiew. Rzeczywiście jest wspaniale.  
Ale po chwili przypomniał sobie fioletowe ramię grubości słupa telegraficznego i pospiesznie wdrapał się na łódź. Podszedł do luku, na którym siedział Kondratiew.  
– Woda ciepła jak świeże mleko. Wykąpałbyś się.  
Siedzieli w milczeniu, gdy Akiko się pluskała. Jej głowa kołysała się jak czarna plama na tle jasnych fal.  
– Jutro wybijemy wszystkie – odezwał się Kondratiew. – Wszystkie, jakie tam zostały. Trzeba się spieszyć. Wieloryby idą za tydzień.  
Bielów westchnął i nic nie odpowiedział. Akiko podpłynęła i chwyciła się krawędzi luku.  
– Towarzyszu kapitanie łodzi podwodnej, czy jutro też mogę pójść z panem? – spytała z rozpaczliwą determinacją.  
– Oczywiście – odparł Kondratiew powoli.  
– Dziękuję, towarzyszu kapitanie łodzi podwodnej.  
Na południu nad horyzontem wzbił się w niebo promień reflektora. Sygnał z „Kunaszyra”.  
– Idziemy – powiedział Kondratiew wstając. – Niech pani wychodzi, Akiko-san.  
Podał jej rękę i lekko wyciągnął z wody. Bielów pośepnie oznajmił:  
– Zobaczę, jaka jest klisza. Jeśli kiepska, też zejść z wami.  
– Tylko tym razem żadnego koniaku – zastrzegł Kondratiew.  
– I żadnych perfum – dodała Akiko.  
– Albo lepiej wproszę się do Czang Czoło – powiedział Bielów. – We troje w tych kabinach jest za ciasno.

### **Zagadka tylnej nogi**

– Pańska pierwsza książka mi się nie spodobała – powiedział Parnkala. – Nie ma w niej niczego, co mogłoby pobudzić wyobraźnię poważnego człowieka.  
Leżeli na kanapach pod wyblakłym nagrzanym baldachimem, na werandzie posterunku Cold Creeck – biotechnik gibsonowskiego skansenu Jean Parnkala i korespondent Europejskiego Centrum Informacyjnego Jewgienij Sławin. Na niskim stoliku pomiędzy kanapami stał spotniały pięciolitrowy syfon. Posterunek Cold Creeck znajdował się na szczycie wzgórza i z werandy odsłaniał się piękny widok na upalną zieloną dolinę Zachodniej Australii.  
– Książka powinna pobudzać wyobraźnię – ciągnął Parnkala.

– W przeciwnym razie to nie książka, lecz kiepski podręcznik. Właściwie można by powiedzieć, że przeznaczeniem książki jest pobudzenie wyobraźni czytelnika. Pańska pierwsza książka powinna spełnić również drugie, nie mniej ważne zadanie: przekazać nam punkt widzenia człowieka waszej heroicznej epoki. Wiele się spodziewałem po tej książce, lecz cóż, najwidoczniej w procesie tworzenia zatracił pan ten punkt widzenia. Jest pan zbyt uczuciowy, Żenia!

– To nie o to chodzi, Jean – powiedział Żenia leniwie. – Nie o to. Po prostu nie chciałem stanąć przed ludzkością jako taki Campanella na odwrót. Poza tym wszystko się zgadza, książczyna jest szara...

Zwiesił się z kanapy i nalał do wąskiego kielicha pieniącego się kokosowego mleka z syfonu. Kielich natychmiast spotniał.

– Tak – rzekł Parnkala. – Bardzo pan nie chciał być Campanellą na odwrót. Zbyt się pan spieszył, by zmienić swoją psychikę i przestać tu być obcym. Niepotrzebnie. Powinien pan zostać obcy: mógłby pan wtedy dostrzec wiele rzeczy, których my nie zauważamy. Czy to nie najważniejsze zadanie każdego pisarza: zauważać to, czego nie widzą inni? To budzi wyobraźnię i zmusza do myślenia.

– Prawdopodobnie – przyznał Żenia.

Zamilkli. Wokół panował głęboki spokój. Lekki podmuch wiatru, szum trawy. Z oddali dobiegły przenikliwe dźwięki – krzyczały emu. Żenia nagle usiadł i wyciągnął szyję.

– Co to? – spytał.

Obok posterunku, nurkując w wysokiej trawie, przemknęła dziwna maszyna – długa pionowa żerdź, najwidoczniej na kołach, z błyszczącą, poruszającą się tarczą na końcu. Maszyna wyglądała tu wyjątkowo nie na miejscu. Podskakując i kołysząc się, odjechała na południe.

Parnkala podniósł głowę i popatrzył.

– A, to – mruknął. – Zapomniałem panu powiedzieć. To pokraki.

– Jakie pokraki?

– Nikt tego nie wie – wyjaśnił spokojnie Parnkala.

Żenia zerwał się i podbiegł do balustrady. Dziwna długa żerdź oddalała się szybko i po chwili zniknęła. Żenia odwrócił się do Parnkala.

– Jak to możliwe, że nikt nie wie? – spytał.

Parnkala pił kokosowy sok.

– Ano, nikt – powtórzył, ocierając wargi. – To bardzo zabawna historia, spodoba się panu. Po raz pierwszy pojawiły się półtorej dekady temu; takie żerdzie na jednym kółku i pełzające talerze. Często widuje się je na pustkowiach pomiędzy Cold Creek a Roald, a przedwczoraj jedna żerdź przebiegła główną ulicą Gibson. Jeden talerz rozdeptały moje emu. Oglądałem go... mnóstwo odłamków kiepskiego plastiku i resztki aparatury radiowej na beznadziejnej ceramice. Wygląda na szkolne modele. Łączyliśmy się z Gibson, ale tam nikt o niczym nie wie. Potem się okazało, że w ogóle nikt nic nie wie.

Parnkala znowu podniósł kielich do ust

– Zdumiewająco spokojnie pan o tym mówi, Jean! – nie wytrzymał Żenia. W jego wyobraźni pojawiały się obrazy, jeden bardziej fantastyczny od drugiego.

Parnkala uśmiechnął się.

– Niech pan siada, Żenia. Nie ma żadnych podstaw do niepokoju. Szkody nikomu nie przynoszą, emu i kangury się ich nie boją, poza tym nie dał mi pan dokończyć. Już się nimi zajmują towarzysze w Jackoy. Oni... Dokąd pan idzie, Żenia?

Żenia zbierał się pośpiesznie, wsuwał do kieszeni dyktafon, futerały z mikroksiążkami i swoje wyszargane notesy.

– Jackoy, to, zdaje się, centrum australijskiej cybernetyki? Zbudowano tam podobno jakąś interesującą maszynę.

– Tak, maszynę KRJ – odparł urażony Parnkala.

Był bardzo zmartwiony, że korespondent Sławin odjeżdża tak szybko. Rozmowa z Żenią była szalenie interesująca – dziennikarz lubił słuchać.

– Dlaczego KRI?

– Kolektor rozproszonej informacji. Maszyna-archeolog, jak słyszałem.

Żenia zatrzymał się.

– Może pokraki są stamtąd?

– Przecież mówię, że nic nie wiadomo – powiedział z pretensją Parnkala. – Nikt nic nie wie. Ani w Jackoy, ani w Gibson, ani na całym świecie... Niech pan chociaż weźmie ze sobą kolację, Żenia...

– Nie, dziękuję, bardzo się śpieszę. No, drogi Jean, dziękuję za gościnę. Jeszcze się zobaczymy. – Żenia jednym tchem dopił swój kielich, wesoło skinął głową, przeskoczył przez balustradę i zbiegł ze wzgórza do swojego pterocara.

Naukowe osiedle Jackoy leżało w cieniu ogromnych czarnych akacji o koronach czterdziestometrowej średnicy. Nieopodal, na brzegu błękitnego jeziora o przezroczystej wodzie, białe ruiny fermy jakiegoś dawnego przesiedleńca. Pomiedzy osiedlem a ruinami wyznaczony był wyraźny prostokąt lądowiska. Maszyn na lądowisku nie było. Ludzi też nie.

Zresztą pterocarowi lądowisko nie było potrzebne. Żenia obleciał akacje, wybierając miejsce jak najbliżej osiedla. Pół kilometra dalej dostrzegł niezwykle ożywienie. Najpierw wydało mu się, że to mecz rugby. W trawie poruszało się i turlało mnóstwo splecionych czarnych i białych ludzkich ciał. Ze sterty dobiegały wielogłose okrzyki. Wspaniale! – pomyślał Żenia. Doskonałe zgranie! W tym momencie płatanina ciał rozpadła się, odsłaniając coś okrągłego, czarnego i błyszczącego. Jeden z graczy odturlał się na bok, gdzie pozostał skulony, trzymając się rękami za brzuch. Oho, to nie gra, pomyślał Żenia. Spod gałęzi akacji wynurzyło się jeszcze trzech ludzi, w biegu zrzucając kurtki. Żenia pośpiesznie zszedł do lądowania.

Gdy wyskoczył z kabiny, skulony człowiek już siedział i ciągle trzymając się za brzuch, głośno krzyczał:

– Uważajcie na tylną nogę! Hej! Uważajcie na tylną nogę!

Żenia przebiegł obok niego. Ze sterty kotłujących się ciał dobiegały okrzyki po rosyjsku i angielsku:

– Nogi do ziemi! Przyciskajcie do ziemi!

– Anteny! Nie łamcie anten!

– Pomóżcie, chłopaki! Zakopuje się!

– No, trzymajcie w końcu, do licha!

– Percy, puść moją głowę!

– Zakopuje się!

Złapali jakiegoś szczura, przemknęło przez głowę Żeni i w tym momencie zobaczył nogę. Czarna, błyszcząca, przypominająca nogę gigantycznego żuka, ze straszną siłą skrobała ziemię, zostawiając głębokie bruzdy. Było tam jeszcze wiele innych nóg – czarnych, brązowych i białych, które też wierzgały, podrygiwały i zapierały się, ale mimo wszystko

były to zwykłe ludzkie nogi. Przez kilka sekund Żenia oszołomiony obserwował tylną nogę, która raz po raz składała się, głęboko ryjąc ziemię i z wysiłkiem prostowała. Za każdym razem wrzeszcząca sterta ciał przemieszczała się o półtora metra.

– Hej! – krzyknął straszonym głosem Żenia, obiema rękami wczepił się w tylną nogę tuż pod stawem i szarpnął do siebie.

Rozległ się głośny chrzęst. Noga oderwała się z nieoczekiwaną lekkością i Żenia upadł na plecy.

– Nie łamać! – zagrzmiął czyjś głos. – Zabierzcie tego durnia!

Żenia leżał chwilę, trzymając tylną nogę w objęciach, po czym powoli wstał.

– Jeszcze trochę! Jeszcze odrobinę, Joe! – grzmiał ten sam głos.

– Przepuść moją rękę... Ha! Ha! Tu jesteś, kochaniutki!

Coś żałośnie zabrzęczało i zapadła cisza. Sterta ciał zamarła, słychać było tylko ciężkie, urywane oddechy, a następnie wszyscy jednocześnie zaczęli mówić i się śmiać, wstając, wycierali spocone twarze. W pomiętej trawie widniał nieruchomy czarny wzgórek.

– Znowu to samo! – powiedział ktoś z rozczarowaniem.

– Żółw! Siedmionóg!

– Zakopał się!

– Jeszcze trochę i by uciekł...

– Tak, dał nam pieprzu z papryką...

– A gdzie tylna noga?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Żenię. Żenia śmiało powiedział:

– Oto tylna noga. Oderwała się. Nie spodziewałem się, że tak łatwo puści.

Obstąpili go, przyglądając mu się z ciekawością. Ogromny półnagi dryblas z grzywą rozczochranych jasnych włosów i bródką słomianego koloru wyciągnął potężną, podrapaną dłoń.

– Proszę dać to tutaj.

W drugiej ręce dryblas trzymał fragment lśniącego kabla. Żenia z radością oddał nogę.

– Nazywam się Jewgienij Sławin – powiedział. – Jestem korespondentem Europejskiego Centrum Informacyjnego. Przyleciałem tu, ponieważ powiedziano mi, że u was dzieje się wiele ciekawych rzeczy.

Dryblas kilka razy w zadumie zgiął i rozgiął czarną kolankową dźwignię. Noga poskrzypywała.

– Jestem zastępcą dyrektora KRI. Paweł Rudak – przedstawił się dryblas. – A to – tknął dźwignię w stronę pozostałych – to słudzy Wielkiego KRI. Z nimi pozna się pan później, jak już odniosą żółwia.

– Warto? – spytał mały kędzierzawy Australijczyk. – Mamy już dwa takie same. Niech sobie tu leży.

– Takie same, nie takie same, Tappi – powiedział Rudak. U tego tylna noga ma tylko jeden staw.

– Naprawdę? – Tappi wyrwał Rudakowi nogę i też kijka razy zgiął i rozgiął. – Rzeczywiście. Szkoda, że złamana.

– Nie wiedziałem – usprawiedliwił się Żenia.

Ale nikt go już nie słuchał. Wszyscy obstąpili Tappiego, a potem razem podeszli do czarnego wzgórka w trawie i pochylili się nad nim. Rudak i Żenia zostali sami.

– Co to za Siedmionóg? – spytał Żenia.

– Jedna z pokrak wielkiego KRI – odparł Rudak.

– Aha – powiedział rozczarowany Żenia. – Więc to jednak wasze pokraki?

– To nie takie proste, towarzyszu Sławin. Nie powiedziałem, że to nasze pokraki, tylko że to pokraki Wielkiego KRI... – pochylił się, pomacał w trawie i podniósł kilka kamyczków.

– My na nie polujemy. W ostatniej dekadzie niczym innym się nie zajmujemy. Muszę panu powiedzieć, że przyjechał pan w samą porę, towarzyszu korespondencie...

Zaczął celnie rzucać kamyczkami w nieszczęsnego żółwia, którego niesiono do osiedla. Kamyczki z brzękiem odbijały się od twardego pancerza.

– Paul! Rudak! – wrzeszczał ktoś z niosących. – To okropnie ciężkie! Gdzie twoje silne ręce?

– Co za ofermy! – zawołał Rudak. – Moje silne ręce będą nieść tylną nogę! Tappi, gdzie ją podziałeś?

– W trawie! Szukaj w trawie, Paul!

– Proszę dać, ja poniosę – powiedział Żenia. – Oderwałem, to poniosę.

– Proszę – pozwolił wesoło Rudak. – A ja pomogę chłopakom.

Dwoma susami dogonił „ofermy”, rozepchnął ich, wszedł pod żółwia, wydał okrzyk i zarzucił go sobie na plecy.

– Gońcie mnie! – huknął i pogalopował do osiedla.

„Ofermy”, pokrzykując, rzucili się za nim. Żenia podniósł nogę, powiesił sobie na szyi jak nosidła i pobiegł za nimi. Noga była kanciasta i dość ciężka.

– Założę się o tylną nogę – powiedział Paweł Rudak, pojawiając się w drzwiach laboratorium – ba, jestem gotów iść o zakład o własną tylną nogę, że korespondent usycha z pragnienia!

Żenia siedział pod ścianą laboratorium, cicho wzdychał i wachlował się czymś słomianym kapeluszem. Szyja mu płonęła.

– Wygrał pan – jęknął.

– A gdzie słudzy? Jak śmieli porzucić tak czcigodnego gościa? Hańba wobec całego Europejskiego Centrum Informacyjnego!

– Pańscy słudzy czczą tylną nogę w budynku naprzeciwko – odparł Żenia, wstając. – Poprosili, żebym tu poczekał, powiedzieli, że pan wróci za minutkę. Było to jakieś pół godziny temu.

– Skandal! – Rudak nieco się zawstydził. – Chodźmy, towarzyszu Sławin, postaram się zmasać ich winę. Ugaszę pańskie pragnienie i otworzę przed panem podwoje lodówek.

– Byle szybciej!

Rudak wziął go pod rękę i powlókł przez ulicę do białego domku, gdzie było czysto i chłodno. Posadził Żenię przy stole, postawił przed nim szklanekę, karafkę i miskę z lodem, czyniąc honory gospodarza.

– Linii dostaw tu nie ma – wyjaśnił. – Gotujemy sami. Na cyberkuchniach.

– UKM-297? – spytał Żenia.

– Nie, mamy amerykański system.

Żenia nie jadł. Pił i patrzył, jak Rudak wymiata talerze i rondelki.

– Nie musi pan tak się na mnie gapić – upomniał go Paul. – To moja wczorajsza kolacja, dzisiejsze śniadanie i obiad.

Żenia ukradkiem przeliczył naczynia i pomyślał: „Chyba także dzisiejsza kolacja”.

– Miał pan szczęście – ciągnął Rudak. – U nas naprawdę jest ciekawie. A szczególnie ciekawie będzie dziś wieczorem, jak wróci profesor Lomba, dyrektor KRI.

– Widziałem profesora Lombę – powiedział Żenia.



Rudak przestał jeść i szybko spytał:

– Kiedy?

– Dzisiaj rano w Gibson. Udzielał konsultacji jednemu mojemu znajomemu. Tylko nie wiedziałem, że on jest dyrektorem KRI.

Rudak spuścił oczy i znowu wziął się za jedzenie.

– I co pan o nim sądzi? – zapytał po chwili milczenia. – Wesoły staruszek, prawda?

– Jakby to powiedzieć... – zastanowił się Sławin. – Wydał mi się raczej posępny...

– Taak – powiedział przeciągle Rudak i odsunął talerz. – Dzisiaj wieczorem będzie bardzo interesująco. – Westchnął. – Cóż, towarzyszu Sławin, można już zadawać pytania.

Żenia szybko załadował dyktafon.

– Przede wszystkim – zaczął – czym jest wielki KRI?

– Chwileczkę. – Rudak odchylił się na oparcie fotela i założył ręce za głowę. – Mimo wszystko, najpierw ja zapytam. Jakie ma pan wykształcenie?

– Ukończyłem instytut medyczny, instytut dziennikarstwa i kursy lekarza kosmonauty.

– A wszystko półtora wieku temu – uściślił Rudak. – Nic więcej?

– Zjeździłem całą planetę jako korespondent, stary praktyk pióra... dziedzina zainteresowań naukowych językoznawstwo porównawcze.

– Aha. I nie słyszał pan o siedmiu zasadach Komacuwary?

– Nie.

– Ani o algebrze pól informacyjnych, prawda?

– Nie.

– Albo o fundamentalnym twierdzeniu rozproszenia informacji?

Żenia milczał. Rudak po chwili zastanowienia powiedział:

– Dobrze. Sytuacja jest dla rady jasna. Postaramy się zrobić wszystko, co w naszej mocy. Tylko proszę słuchać bardzo uważnie, a jak się zapędzę, niech mnie pan łapie za tylną nogę.

Oto, co zrozumiał Żenia: kolektor rozproszonej informacji służył, jak sama nazwa wskazywała, przede wszystkim do zbierania informacji. Chodziło o rozproszone w czasie i przestrzeni ślady dowolnych zdarzeń i zjawisk. Pierwsza zasada Komacuwary (jedyna dostępna dla Żeni) głosiła, że nic w przyrodzie, a tym bardziej w społeczeństwie, nie mija bez śladu. Przeważająca większość tych śladów ma postać niezwykle rozproszonych informacji, które w ostatecznym rozrachunku są energią w tej lub innej postaci. Zbieranie ich bardzo utrudnia fakt, że w ciągu milionów lat pierwotne postacie poddawane były wielokrotnym zmianom. Innymi słowy, ślady nakładają się na siebie, mieszają i częściowo ulegają zatarciu przez ślady następnych zdarzeń i zjawisk. Teoretycznie każdy ślad można odszukać i odnowić – zarówno ślad zderzenia kwantu światła z molekułą w skórze brontozaura, jak i ślad zębów brontozaura na paprotnikach. Do odszukania, sortowania, porównywania tych śladów i przetwarzania ich w pierwotne formy informacji – na przykład w obraz – skonstruowano Wielki KRI.

O tym, jak działa Wielki KRI, Żenia miał dość niejasne pojęcie. Najpierw wyobraził sobie miliardy cybernetycznych infuzoriów-mikroinformatorów, które chmurami płyną po całym świecie, sięgając do gwiazd, zbierając rozproszone ślady danej przeszłości i ściągając je do bezdennych magazynów mechanicznej pamięci. Potem wyobraźnia narysowała mu pajęczynę kabli i przewodów, oblepiających całą planetę, naciągniętych na gigantyczne wieże, które setkami porzrucano po wyspach i lądach, od bieguna do bieguna. Krótko mówiąc, nic nie zrozumiał, ale nie prosił o dodatkowe wyjaśnienia. Postanowił w wolnej

chwili przesłuchać kilka razy nagranie na dyktafonie, mając przed sobą odpowiednie książki. Wtedy wszystko zrozumie. A kiedy Rudak zaczął opowiadać o rezultatach pracy, Żenia zapomniał nawet o pokrakach.

– Udało nam się otrzymać bardzo interesujące obrazy, nawet całe epizody – mówił Rudak. – Oczywiście, większość materiałów to setki i tysiące kadrów, nałożonych na siebie. Filtr informacji po prostu wysiada przy próbie rozdzielania ich. Ale coś niecoś widzieliśmy. Byliśmy świadkami wybuchu supernowej w pobliżu Słońca sto milionów lat temu. Widzieliśmy walki dinozaurów i epizody z bitwy pod Poitiers, statki kosmitów i jeszcze coś dziwnego i nieodgadnionego. Na razie nie mamy tego z czym porównać.

– A można będzie popatrzeć? – spytał z drzeniem Żenia.

– No pewnie, ale wróćmy na razie do tematu dnia.

Wielki KRI był nie tylko kolektorem rozproszonych informacji. To była niezwykle złożona i samodzielna maszyna matematyczno-logiczna. Jej obudowa, oprócz miliardów komórek pamięci i logicznych elementów, wszelkiego rodzaju przetwarzaczy i filtrów informacji, zawierała warsztaty, którymi maszyna sama zarządzała. W razie konieczności podstrajała się, tworzyła nowe elementy, budowała modele i wypracowywała własne informacje. Dawało to szerokie możliwości wykorzystania jej nie tylko w podstawowym celu. Teraz na przykład prowadziła dodatkową kalkulację australijskiej strefy ekonomicznej, rozwiązywała liczne zadania z dziedziny cybernetyki ogólnej, wypełniała funkcje diagnostyka, mając przy tym filie w większych miastach planety w niektórych okołoziemskich bazach. Prócz tego Wielki KRI wziął się za „przepowiadanie przyszłości”.

Obecny dyrektor KRI, uczeń Komacuwały, Kongijczyk Augustos Lomba zaprogramował kilka sposobów przepowiadania zachowań żywego organizmu. Z żądaniami dotyczącymi determinizmu zachowania bezkręgowców KRI dawała sobie radę łatwo, a dwa lata temu Lomba zaprogramował i wprowadził do maszyny zadanie niezwykle złożone.

– Otrzymało nazwę „Baran Buridana”. Z młodego merynosa zdjęto kod genetyczny według metody Kasparo-Karpowa w momencie, gdy znajdował się pomiędzy dwoma korytami. Kod w połączeniu z pewnymi dodatkowymi danymi o baranach w ogóle został wprowadzony do KRI. Od maszyny zażądano wytypowania koryta, które baran wybierze, oraz podania psychofizjologicznego uzasadnienia wyboru.

– A co z wolnością wyboru? – zainteresował się Żenia.

– Tego właśnie chcemy się dowiedzieć – odparł Rudak. – Może w ogóle jej nie ma. W kontrolnym eksperymencie baran wybrał prawe koryto. Właściwie zadanie sprowadzało się do pytania: dlaczego? Maszyna zastanawiała się dwa lata. Potem zaczęła budować modele. Efektorowe maszyny często rozwiązują zadania na modelach. Swego czasu, kiedy KRI rozwiązywał zadanie o dżdżownicy, zbudował wspaniały model. Ukradliśmy mu pomysł i zaczęliśmy konstruować zdumiewające maszyny, wykorzystywane do rycia w ziemi.

Rudak zamyślił się. Żenia niecierpliwie poruszył się na fotelu.

– Niewygodnie panu? – spytał Rudak.

– Nie, po prostu bardzo mnie to interesuje.

– Pana również? Jakby to panu opowiedzieć, żeby nie skłamać?

Coś kręci, pomyślał Żenia.

– Zapewne widziałem jeden z tych modeli, o których pan opowiada – powiedział. – Taka żerdź z lustrem. Ale to raczej nie był model barana. Nawet Buridana.

– W tym rzecz – powiedział z westchnieniem Rudak. – Nikt nie wierzy, że to model barana. Papa Lomba też nie uwierzył. Zabrał wszystkie materiały dotyczące programu

i pojechał do Centrum, żeby sprawdzić. – Rudak znowu westchnął. – I dzisiaj wieczorem przyjedzie.

– A na czym właściwie polega problem? – spytał Żenia.

– Na tym, że KRI robi żerdzie na kółkach i siedmionogie żuki.

I czasem jeszcze takie płaskie talerze bez kończyn, ale z żyroskopem. I nikt nie rozumie, jak to się ma do barana.

– Rzeczywiście – powiedział w zadumie Żenia. – Po co baranowi tyle nóg?

Rudak popatrzył na niego podejrzliwie.

– Właśnie, po co? – powiedział z nienaturalnym entuzjazmem.

Przez jakiś czas milczeli, patrząc na siebie. Ale kręci! – pomyślał Żenia.

Rudak zręcznie wstał na jednej nodze.

– A teraz chodźmy, towarzyszu Sławin, przedstawię pana kierownicze filmoteki.

– Jeszcze jedno pytanie. – Żenia zmienił wkład w dyktafonie. Gdzie się znajduje ten wasz Wielki KRI?

– Siedzi pan na nim. Za chwilę będzie pan po nim chodził. Jest pod ziemią, dwadzieścia osiem piętér, sześć hektarów. Mózg, warsztaty, energogeneratory, wszystko. Chodźmy.

Filmoteka KRI znajdowała się na drugim końcu osiedla, w niskim pawilonie. Na jego dachu błyszcząły siatkowe tarcze stereocineramowego projektora. Za pawilonem zaczynał się step.

Wewnątrz budynku pachniało ozonem i mlekiem kokosowym.

Kierowniczka filmoteki, śliczna, dwudziestopięcioletnia Thaitanka siedziała przy stole i badała przez binokularny mikroskop zdjęcie stawu tylnej nogi.

– Dzień dobry – zagruchał czule Rudak.

Kierowniczka oderwała się od mikroskopu i rozkwitła w uśmiechu.

– Dzień dobry, Paul.

– To korespondent Europejskiego Centrum, towarzyszu Sławin – przedstawił Rudak. – Przyjmij go miło. Pokaż mu kadry dwieście sześćdziesiąt siedem, trzysta piętnaście i siedem tysięcy pięćset dwanaście...

– Jeśli to oczywiście nie kłopot – dodał z galanterią Żenia.

Kierowniczka bardzo przypominała mu Sheilę.

– Z przyjemnością – powiedziała. – Ale czy towarzyszu Sławin jest przygotowany moralnie?

– Eee... Jest pan przygotowany?

– W zupełności – rzekł z przekonaniem Żenia.

– W takim razie zostawiam was – oznajmił Rudak. – Pokraki czekają.

Pomachał ręką i wyszedł. Za drzwiami ryknął: „Akitada! Przywieźliście sprzęt?” Odpowiedzi nie było słychać. Kierowniczka westchnęła.

– Proszę wziąć składane krzesło, towarzyszu Sławin, i chodźmy.

Żenia wyszedł na zewnątrz i usiadł pod ścianą pawilonu. Kierowniczka rzeczowo oceeniła wysokość słońca, coś przeliczyła, poruszając wargami, i wróciła do pawilonu.

– Kadr dwieście sześćdziesiąt siedem – oznajmiła przez otwarte okno.

Światło słoneczne przygasło i Żenia zobaczył ciemnofioletowe nocne niebo z jasnymi, obcymi gwiazdami. Niskie, płaskie obłoki przesunęły się nad horyzontem; pojawiły się sylwetki dziwnych drzew, przypominających palmy albo gigantyczne kalafiory. Odblaski gwiazd migotały w czarnej wodzie. Pod obłokami zapaliła się biała luna. Jaśniała coraz mocniej; potworne cienie prześliznęły się po czarnej oleistej powierzchni wody i nagle zza

horyzontu wyłoniło się oślepiająco białe pulsujące światło. Przemknęło po niebie, gasząc gwiazdy. Pomiędzy pniami dziwnych drzew przepląnęła szara mgła, zamigotały tęcze błyski i wszystko znikło. Przed Żenią znowu pojawił się zalany słońcem step.

– Dalej są już tylko zakłócenia – wyjaśniła kierowniczką.

– Co to było? – spytał Żenia, nieco zawiedziony.

– Wschód supernowej, ponad sto milionów lat temu. Potem zrodziły się dinozaury. Teraz kadr trzysta piętnaście, pięćdziesiąt milionów lat później. To nasza duma.

Znowu znikł step. Żenia zobaczył szarą, pokrytą wodą równinę.

Wokół sterczały mięsiste źdźbła jakichś roślin. Przez równinę po płytkiej wodzie brnęło długie szare zwierzę. Żenia nie od razu zrozumiał, gdzie ono ma głowę. Mokry, wrzecionowaty tułów, oblepiony zieloną trawą, równomiernie zwężał się ku obu końcom, przechodząc w giętki ogon i szyję. Dopiero po chwili Żenia dostrzegł małą płaską głowę z ropuszą paszczą bez warg. W zachowaniu potwora było coś kurzego – co chwila zanurzał głowę w wodę, natychmiast ją wyciągając. Za każdym razem mełł w paszczy jakąś zieleninę.

– Diplodok – powiedziała kierowniczką. – Długość dwadzieścia cztery metry.

Teraz Żenia zobaczył drugiego potwora, który żmijowymi ruchami sunął obok pierwszego, zostawiając za sobą pas spienionej wody.

W pewnym momencie ledwo umknął przed kolumnową nogą diplodoka i Żenia zobaczył ogromną zębatą paszczę. Coś z tego będzie, pomyślał. To było znacznie bardziej interesujące od wybuchu supernowej. Diplodok najwidoczniej nie podejrzewał obecności zębatego towarzysza albo po prostu nie zwracał na niego uwagi. A ten, lawirując zrecznie wokół jego nóg, podpłynął z przodu do olbrzyma, jednym skokiem wyprysnął z wody, błyskawicznie odgryzł diplodokowi głowę i zanurkował.

Żenia zamknął gwałtownie usta, aż szczęknęły zęby. Obraz był bardzo wyraźny. Na sekundę diplodok zatrzymał się, potrzęsął pozbawioną głowy szyją i... poszedł dalej, tak samo powoli, zanurzając broczący krwią kikut w mętnej wodzie. Dopiero po kilku krokach ugięły mu się przednie nogi. Tylne nadal kroczyły, a ogromny ogon beztrząsco podrygiwał. Szyja ostatni raz wzniosła się w niebo i bezsilnie plusnęła w wodę. Przednia część tułowia zaczęła przewalać się na bok, a zadnia nadal podążała do przodu. Ale oto ugięły się tylne nogi... a z mętnej, spienionej wody wynurzyły się dziesiątki wyszczerzonych, zębiastych pysków.

– Coś takiego! – Żenia otarł pot z czoła. – Straszny widok...

– Typowe polowanie drapieżnych dinozaurów na wielkiego diplodoka – wyjaśniła rzeczowo kierowniczką. – Ciągłe się pożerały. Niemal wszystkie informacje z tej epoki to nieprzerwane pożeranie się nawzajem. A jak się panu podobała jakość obrazu, towarzyszu Sławin?

– Jakość doskonała – odparł Żenia. – Tylko przez cały czas migocze...

Nad koronami akacji z łoskotem przeleciała sześćośmigłowa pękata maszyna. Kierowniczką wybiegła z pawilonu.

– Sprzęt! – krzyknęła. – Chodźmy, towarzyszu Sławin, przywieźli aparaturę!

– Przepraszam – upomniał się Żenia. – Obiecała mi pani pokazać coś jeszcze!

– Nie warto, naprawdę nie warto! – przekonywała go kierowniczką, pospiesznie składając krzesło. – Nie wiem, co Paulowi przyszło do głowy. Siedem tysięcy pięćset dwanaście to rzeź w Konstantynopolu... piętnasty wiek. Jakość obrazu wspaniała, ale... bardzo nieprzyjemne widowisko. Naprawdę nie warto, towarzyszu Sławin... Lepiej chodźmy popatrzeć, jak Paul będzie łapał pokraki.

Ogromny sześćośmigłowy helikopter wylądował nieopodal miejsca, w którym Żenia zostawił swój pterocar. Teraz trwał wylądunek sprzętu. Z otwartych ładowni wytaczano platformy na wysokich kołach, załadowane żółtymi skrzyniami. Skrzynie składano u podnóża jednej z akacji. Niezmordowany Rudak stał w rozwidleniu pomiędzy dwoma potężnymi korzeniami i kierował akcją. Jego dźwięczny głos niósł się daleko w wieczornym powietrzu.

Kierowniczka filmoteki przeprosiła i dokądś pobiegła. Żenia zataczał niepewne kręgi wokół Rudaka. Zaczynało go to Wszystko ciekawić. Platformy na wysokich kołach podłączano, rozładowywano i odstawiano. „Słudzy KRI” – chłopcy i dziewczęta ustawiali i montowali żółte skrzynki i pod akacją można już było dostrzec zarys ogromnego kanciastego urządzenia. Rudak był gdzieś w jego wnętrzu, huczał, gwizdał i pokrzykiwał. Było głośno i wesoło.

- Strong i Joey, zajmijcie się intrawizjerem!
- Tram-tara-ram-taram-pam-pam! Dajcie zamykającą!
- Zasilacze! Gdzie się podziały zasilacze?
- O la la! Jeszcze bardziej w prawo! O tak...
- Frost, na wylądunek!

Żenię co chwila potrącano, wreszcie poproszono, żeby odszedł na bok. Ogromny helikopter, kiedy go wreszcie rozładowano, z hukiem wystartował, unosząc w wirze powietrznym kawałki trawy.

Wycofał się z akcji na lądowisko. Spod zmontowanego urządzenia wyczołgał się na czworakach Rudak, wstał, otrzepał dłonie i powiedział:

- No, można zaczynać. Wszyscy na miejsca.

Wskoczył na platformę i stanął przy niewielkim pulpicie sterowniczym. Platforma stęknęła.

- Módl się, wielki KRI! – ryknął Rudak.
- Stanisław jeszcze nie wrócił! – krzyknął ktoś.
- O rany! – Rudak zszedł z platformy.
- A profesor Lomba wie? – zapytała nieśmiało chudziutka, ostrzyżona na chłopaka dziewczyna.

- Dowie się – rzekł z przekonaniem Rudak. – Gdzie jest Stanisław?

Na polance pod akacją wybrzuszyła się i pękła ziemia. Żenia podskoczył na metr. Wydawało mu się, że z trawy wysuwa się błada, zębata paszcza dinozaura.

– Nareszcie! – powiedział Rudak. – Już zacząłem się niepokoić. Tlen mu się skończył minutę albo i dwie temu...

Spod ziemi powoli wysuwało się metaliczne urządzenie półmetrowej grubości, przypominające gigantyczną dżdżownicę. Pełzło i pełzło, i nie wiadomo było, ile segmentów kryje się jeszcze pod ziemią, gdy nagle przednia część zaczęła się szybko odkręcać i upadła na trawę. Z czarnego otworu wysunęła się purpurowa, mokra twarz z szeroko otwartymi ustami.

- Ohoho! – ryknął Rudak. – Przyjemnej łaźni, Stanisławie!

Twarz wysunęła się jeszcze dalej, splunęła i wychrypiała:

- On ma tam cały arsenał. Całe armie pełzających talerzy. Wyciągnijcie mnie stąd...

Robał wysuwał się spod ziemi, a czerwone zachodzące słońce migotało na jego metalicznych bokach.

- Zaczynamy – oznajmił Rudak i znowu wszedł na platformę.

Zrobił groźną minę do stojących na dole dziewcząt i gestem pianisty położył ręce na pulpicie. Pulpit zapłonął indykatorowymi lampkami.

Na polanie zapanowała cisza. Żenia podniósł kamerę, z niepokojem obserwując, jak kilku ludzi pospiesznie wspina się na akacje i rozsiada na gałęziach. Dziewczęta przysunęły się do platformy.

Sławin na wszelki wypadek zrobił to samo.

– Strong i Joey, przygotować się! – powiedział donośnie Rudak.

– Przygotowani! – odkrzyknęły dwa głosy.

– Śpiewam na głównej częstotliwości. Wy śpiewajcie w skrzydłach i róbcie jak najwięcej hałasu.

Żenia spodziewał się, że wszyscy zaczną śpiewać i walić w bębny, ale zrobiło się jeszcze ciszej. Minęła minuta.

– Zwiększyć napięcie – polecił półgłosem Rudak.

Minęła kolejna minuta. Słońce zaszło, na niebie zapłonęły duże gwiazdy. Gdzieś leniwie krzyknęło emu. Dziewczyna stojąca obok Żeni spazmatycznie westchnęła. Nagle na górze, w gałęziach akacji ktoś się poruszył i drżący z podniecenia głos krzyknął:

– To przecież one! Tam, na polanie! Hej, patrzycie nie w tę stronę!

Żenia nie wiedział, gdzie trzeba patrzeć; nie miał pojęcia, kim są „one” i czego się można po nich spodziewać. Podniósł kamerę i znowu się cofnął, jeszcze bardziej przyciskając do platformy dziewczyny. Wtedy zobaczył. Najpierw pomyślał, że ma przywidzenia, że szwankują zmęczone oczy. Czarna pod gwiazdami polana poruszała się. Pojawiły się niej szare cienie, milczące i złowieszcze, zaszleściła trawa, coś zaskrzypiało, dało się słyszeć tykanie, brzęk i trzaski. W jednej chwili cisza wypełniła się niezrozumiałymi odgłosami.

– Światło! – ryknął Rudak. – Idą żołnierzyki!

Z akacji odpowiedziało mu radosne pohukiwanie. Posypały się suche liście i gałązki. Nad polaną zapłonął oślepiający blask.

Przez polanę kroczyła armia Wielkiego KRI. Szła, żeby się poddać. Takiej parady mechanicznych potworków Żenia nie widział jeszcze nigdy w życiu. Najwidoczniej słudzy Wielkiego KRI też widzieli coś takiego po raz pierwszy. Akacją wstrząsnął homeryczny śmiech.

Konstruktorzy, doświadczeni bojownicy o mechaniczną perfekcję, szaleli. Spadali z gałęzi i tarzali się po polanie.

– No nie, popatrz! Tylko popatrz!

– Siedemnasty wiek! Kulisy Watta!

– Gdzie Robinson? Robinson, sądziłeś, że KRI jest od ciebie mądrzejszy?

– Niech żyje Robinson! W górę Robinsona!

– Chłopaki, podeprzyjcie czymś te koła! Nie dojadą do nas!

– Hej, hej, patrzcie! Maszyna parowa!

– Autor! Autor!

W stronę polany jechały straszdyła. Przekrzywione trzykołowe rowery na parę. Łoskoczące blachą talerzowate aparaty, z którymi leciały iskry i śmierdziało spalenizną. Znajome zółwie, wściekle pobrzękujące słynną tylną nogą. Pająkowate mechanizmy na długich, płaczących się nogach. Z tyłu, chybocząc, podjeżdżały żerdzie na kółkach zakończone lustrami. Wszystko to poruszało się, toczyło i stukało, łamiąc się po drodze, syjąc iskry i wypuszczając parę.

Żenia z zapalem przesunął kamerę.

– Nie będę już więcej sługą! – ryczał ktoś z akacji.

– Ja też nie!

– A ile tylnych nóg!

Pierwsze szeregi mechanicznych potworów dojechały do polany i zatrzymały się. Te z tyłu najeżdżały na nie i stawały, rozstawiając pokraczne kończyny. Z góry, łamiąc się na pół, spadały na nie żerdzie na kółkach. Jedno kółko brzęcząc sprężynami podtoczyło się do platformy, zakręciło się i spoczęło u nóg Żeni. Żenia obejrzał się na Rudaka, który stał na platformie, podpierając się rękami pod boki. Jego broda drgała.

– Ludzie! Oddaję je wam do rozbiórki. Teraz zapewne dowiemy się, jak i dlaczego tykają.

Zwycięzcy rzucili się na poległą armię.

– Czy Wielki KRI zbudował to wszystko, żeby zbadać zachowanie barana? – spytał ze zgrozą Żenia.

– Dlaczego nie? – spytał Rudak. – To nawet bardzo prawdopodobne. – Mrugnął chytrze.

– Generalnie widać, że coś tu jest nie w porządku.

Dwóch silnych konstruktorów ciągnęło za tylną nogę niewielkiego metalowego żuka. Akurat naprzeciwko platformy noga oderwała się i konstruktorzy padli na trawę.

– Wandale – burknął Rudak.

– Przecież mówiłam, że słabo się trzyma – powiedział Żenia.

W wesoły zgielk wbił się ostry starczy głos.

– Co tu się dzieje?

Zapadła cisza.

– Ajajaj! – szepnął Rudak, schodząc ze swojej platformy. Był jakby oklapnięty.

Podchodził do nich, kulejąc, stary siwy Murzyn w białym fartuchu. Żenia poznał go. To był profesor Lomba.

– Gdzie jest mój Paul? – pytał złowieszczą czułym tonem. Dzieci, kto mi powie, gdzie mój zastępca?

Rudak milczał. Lomba szedł prosto na niego. Rudak cofnął się, wpadł plecami na platformę i stanął.

– Co się tu dzieje, Paul, synku? – spytał Lomba podchodząc bardzo blisko.

– Przejęliśmy sterowanie KRJ... i zagnaliśmy pokraki na jedną kupę... – odparł smutno Rudak.

– Ach, pokraki? – powiedział miło Lomba. – Ważny problem!

Bardzo ważny problem! Skąd się bierze siódma noga? Bardzo ważny problem, moje dzieci!

Nieoczekiwanie chwycił Rudaka za brodę i pociągnął na środek polany przez rozstępujący się tłum.

– Przyjrzyjcie mu się, dzieci! – wrzasnął triumfalnie. – Dziwimy się! Łamiemy sobie głowy! Wpadamy w rozpacz! Wyobrażamy sobie, że KRI nas przechytrzył!

Przy każdym „my” szarpał Rudaka za brodę, jakby ciągnął za sznur dzwonu. Głowa Rudaka pokornie się chwiała.

– Co się stało, nauczycielu? – spytała nieśmiało jedna z dziewczyn. Jej twarz wyrażała współczucie dla Rudaka.

– Co się stało, córeńko? – Lomba puścił w końcu Rudaka. Stary Lomba jedzie do Centrum, odrywa od pracy najlepszych specjalistów i czego się dowiaduje? O wstydzie! Czego się dowiaduje, rudy parszywcu? – Znowu chwycił Rudaka za brodę i Żenia

pospiesznie zaterkotał kamerą. – Ze starego Lombi kpią. Stary Lomba staje się pośmiewiskiem wszystkich cybernetyków. O starym Lombie opowiadają już anegdoty! – Puścił brodę i walnął kościstą pięścią w szeroką pierś Rudaka. – No i co, wieżo obłącznicza? Ile nóg ma zwykły australijski merynos? A może zapomniałeś?

Żenia zauważył, że przy tych słowach kilku młodych ludzi zaczęło się cofać, najwidoczniej chcąc zmieszać się z tłumem.

– Nie wypuszczać programistów – polecił Lomba, nie odwracając głowy.

W tłumie zahuczało i młodych ludzi wypchnięto na środek polany.

– I co robią ci intelektualni piraci? – spytał Lomba, odwracając się do nich gwałtownie.

– Pokazują w programie, że baran ma siedem nóg...

Tłum zahuczał.

– Pozbawiają barana mózdzku...

W tłumie rozległ się chichot, który Żenia uznał za aprobujący.

– Biedny, sumienny, pracowity KRI! – Lomba wznosił ręce do nieba. – Tworzy idiotyzm za idiotyzmem! Czy mógł przewidzieć, że jego rudobrody pan wymyśli mu zadanie o pięciokątnym trójkącie?

– Więcej nie będę. Słowo honoru, nie będę – powiedział posepnie Rudak.

Tłum ze śmiechem łomotał programistów w plecy.

Żenia nocował u Rudaka. Gospodarz pościelił mu w gabinecie, starannie rozczesał brodę i poszedł z powrotem pod akację. Przez otwarte okno zaglądał ogromny pomarańczowy księżyc, pokreślony szarymi kwadratami D-kosmodromów. Żenia patrzył na niego i wesoło chichotał, przywołując w pamięci niedawne wydarzenia.

Bardzo lubił takie dni, które nie mijały na próżno, kiedy udawało się poznać nowych wspaniałych, wesołych czy po prostu dobrych ludzi. Takich jak wnikliwy Parnkala, wspaniały Rudak czy Lomba-gromodzierzca...

Na pewno o tym napiszę, pomyślał. Na pewno. O tym, jak weseli, mądry chłopcy na własne ryzyko wprowadzili specjalnie bezsensowny program do niezwykle skomplikowanej, mądrej maszyny, żeby popatrzeć, jak maszyna się zachowa. I o tym, jak ona starannie próbowała stworzyć model barana z siedmioma nogami i bez mózgu. I o pochodzie przez czarną, ciepłą noc armii koszmarnych modeli, która szła się poddać rudobrodemu piratowi. I jak intelektualnego pirata ciągnięto za brodę – pewnie nie pierwszy i nie ostatni raz... Bo pirata pasjonują zadania o pięciokątnych trójkątach i kwadratowych kołach, raniące godność uczciwej, sumiennej maszyny...

Tak, może z tego wyjść całkiem niezłe opowiadanie o intelektualnym piractwie...

Żenia zasnął i obudził się o świcie. Ze stołówki dobiegał cichy brzęk naczyń i prowadzona półgłosem rozmowa:

– Teraz wszystko pójdzie jak po maśle. Ojczulek Lomba uspokoił się i zainteresował.

– No pewnie, taki materiał o teorii błędów maszyn!

– Chłopcy, ale jednak KRI okazał się dość prymitywny. Spodziewałem się po nim większej inteligencji.

Ktoś nagle zachichotał i powiedział:

– Siedmionogi baran bez najmniejszych oznak organów równowagi! Biedny KRI!

– Ciszej, obudzisz korespondenta!

Po długiej przerwie, gdy Żenia znowu zapadł w drzemkę, ktoś nagle powiedział



z zalem:

- Szkoda, że to wszystko już za nami! A tak było ciekawie!
- O, siedmionogi baranie! Jak smutno, że nie ma już twojej zagadki!

### Świece przy pulpicie

O północy spadł deszcz. Szosa zrobiła się śliska i Zwancew zwolnił. Było ciemno i nieprzyjemnie, luna świateł miasta została za czarnymi wzgórzami i Zwancewowi wydawało się, że jadą przez pustynię. Przed nimi na mokrym betonie tańczyły białe światła reflektorów.

Nie mijaly ich żadne samochody. Ostatni Zwancew widział przed zakrętem na szosę prowadzącą do Instytutu. Kilometr przed zakrętem było osiedle. O dziwo, mimo późnej godziny niemal we wszystkich oknach paliło się światło, a przy drodze na werandzie dużej kawiarni było pełno ludzi. Zwancew miał wrażenie, że wszyscy w milczeniu na coś czekają.

Akiko obejrzała się.

– Wszyscy patrzą za nami – powiedziała.

Zwancew nie odpowiedział.

– Pewnie myślą, że jesteśmy lekarzami.

– Pewnie tak.

To było ostatnie oświetlone osiedle, jakie widzieli. Za zakrętem zaczęła się mokra ciemność.

– Gdzieś tutaj powinna być fabryka sprzętu domowego – powiedział Zwancew. – Nie zauważyłaś?

– Nie.

– Ty nigdy niczego nie widzisz.

– To pan siedzi za kierownicą. Proszę puścić mnie, to będę wszystko zauważać.

– Lepiej nie.

Ostro zahamował i samochodem zarzuciło. Reflektory oświetliły drogowskazy. Świateł nie było, wyblakły napis na drogowskazie głosił: „Nowosybirski Instytut Kodów Biologicznych – 21 km”. Pod spodem widniała przekrzywiona tablica z dykty z pochyłym napisem:

„Uwaga! Włączyć wszystkie neutralizatory! Zmniejszyć prędkość! Blokada!” Pod spodem to samo po angielsku i francusku. Deszcz rozmazywał ogromne litery.

– Oho – wymamrotał Zwancew, sięgnął pod kierownicę i włączył neutralizatory.

– Jaka blokada? – spytała Akiko.

– Tego nie wiem – odpowiedział Zwancew. – Ale wygląda na to, że powinnaś była zostać w mieście.

– Nie.

Gdy samochód ruszył, spytała ostrożnie:

– Myśli pan, że nas nie przepuszczą?

– Myślę, że ciebie nie przepuszczą.

– To poczekam – powiedziała spokojnie Akiko.

Samochód powoli, bezszelestnie jechał po szosie. Zwancew odezwał się patrząc przed siebie:

– Mimo wszystko wolałbym, żeby cię przepuścili.

– Ja też – rzekła Akiko. – Bardzo chcę się z nim pożegnać...

Zwancew w milczeniu patrzył na drogę.

– Rzadko się ostatnio widywaliśmy – ciągnęła Akiko. – Bardzo go kocham. Nie znam drugiego takiego człowieka. Nawet ojca nigdy tak nie kochałam. Nawet płakałam...

Tak, płakała, pomyślał Zwancew. Ocean był czarno-niebieski, niebo niebieskie, a jego twarz spuchnięta i sina, gdy z Kondratiewem ostrożnie prowadziliśmy go do konwertoplanu. Pod nogami skrzypiał rozpalony koralowy piasek, było mu ciężko iść i co chwila zwiślał nam na rękach, ale za nic nie chciał się zgodzić, żebyśmy go nieśli. Oczy miał zamknięte i mamrotał: „Gokuro-sama, gokuro-sama...” Z tyłu i z boku w milczeniu kroczyli oceanolodzy. Akiko szła obok Siergieja, trzymając w obu rękach, niczym tacę, słynny na cały ocean biały kapelusz i gorzko płakała. To był pierwszy straszny atak choroby, sześć lat temu, na bezimiennej wysepce piętnaście mil na południe od rafy Octopus...

– ...znam go dwadzieścia lat. Od dzieciństwa. I tak bym chciała się z nim pożegnać.

Z wilgotnej ciemności wypłynął i przesunął się nad ich głowami łuk mikropogodowej stacji. Była nieoświetlona. Stacja nie działa, pomyślał Zwancew. Nic dziwnego, że to draństwo pada z nieba.

Zerknął na Akiko. Nogi położyła na siedzeniu, patrzyła prosto przed siebie. Na jej twarz padał odbłask cyferblatów na pulpicie.

– Co się tu dzieje? – zastanawiał się Zwancew. – Jakaś martwa strefa.

– Nie wiem. – Akiko poruszyła się i usiadła wygodniej. Uderzyła go kolanem w bok i nagle zamarła, wpatrując się w niego błyszczącymi w półmroku oczami.

– O co chodzi? – spytał.

– Może on już...

– Bzdura – powiedział zdecydowanie Zwancew.

– I wszyscy poszli do Instytutu...

– Bzdura – powtórzył zdecydowanie Zwancew. – Bzdura.

Daleko przed nimi zapalił się słaby czerwony ogień, migocząc jak gwiazdka na pogodnym niebie. Na wszelki wypadek Zwancew znowu zmniejszył prędkość. Słychać było teraz szmer deszczu.

W świetle reflektorów pojawiły się trzy postacie w lśniących mokrych płaszczach. Stały na środku szosy, a w poprzek drogi leżała potężna kłoda drzewa. Człowiek stojący po prawej stronie trzymał nad głową wielką kopczą pochodnię, którą powoli wymachiwał.

Zwancew podjechał bliżej i zatrzymał się. Ale blokada, pomyślał.

Człowiek z pochodnią krzyknął coś, co zagłuszył szum deszczu i wszyscy trzej szybko, mimo ciężkich mokrych płaszczy, podeszli do samochodu. Człowiek z pochodnią dalej krzyczał gniewnie. Zwancew wyłączył długie światła i otworzył drzwiczki.

– Silnik! – wrzasnął ten z pochodnią, podchodząc bardzo blisko. – Niech pan wreszcie wyłączy silnik!

Zwancew zrobił to i wyszedł na szosę, na drobny gęsty deszcz.

– Jestem oceanologiem, nazywam się Zwancew – wyjaśnił. Jadę do akademika Okady.

– Proszę wyłączyć światła w samochodzie! – powiedział człowiek z pochodnią. – Szybko!

Zwancew odwrócił się. Światło w kabinie już zgasło.

– Kto jedzie z panem?

– Oceanolog Kondratiewa – odparł gniewnie Zwancew. – Mój współpracownik.

Trzej mężczyźni w płaszczach milczeli.

– Możemy jechać dalej?

– Jestem operator Michajłow – przedstawił się człowiek z pochodnią. – Wysłano mnie

tu, żebym pana zatrzymał i powiedział, że do akademika Okady teraz nie można.

– O tym będę mówił z profesorem Kasparo – powiedział Zwancew. – Proszę mnie do niego zaprowadzić.

– Profesor Kasparo jest bardzo zajęty. Nie chcielibyśmy, żeby go pan niepokoił.

Jacy my? – chciał spytać Zwancew, ale się powstrzymał. Michajłow mówił monotonnym głosem śmiertelnie zmęczonego człowieka.

– Muszę przekazać akademikowi nadzwyczaj ważną wiadomość – powiedział Zwancew. – Proszę mnie zaprowadzić do Kasparo.

Trzej mężczyźni milczeli; czerwone migoczące światło płonęło na ich mokrych, zapadniętych twarzach.

– No? – warknął Zwancew niecierpliwie i nagle zauważył, że Michajłow śpi. Ręka z pochodnią drżała, opadając coraz niżej. Oczy miał zamknięte.

– Tola – powiedział cicho jeden z jego towarzyszy i trącił go w ramię.

Michajłow ocknął się, pomachał pochodnią i wpatrzył się w Zwancewa spuchniętymi oczami.

– Co? – spytał ochryple. – A, wy do akademika... Do akademika nie można. Na teren instytutu w ogóle nie można. Proszę odjechać.

– Muszę przekazać akademikowi Okadzie niezwykle ważną informację – powtórzył cierpliwie Zwancew. – Jestem oceanolog Zwancew, a w samochodzie siedzi oceanolog Kondratiewa. Wieziemy bardzo ważną wiadomość.

– Jestem operator Michajłow – powiedział człowiek z pochodnią. – Do Okady teraz nie można. On umrze w ciągu najbliższych kilku godzin i możemy nie zdążyć. – Ledwie poruszał ustami. – Profesor Kasparo jest bardzo zajęty i prosił, żeby go nie niepokoić. Proszę odjechać...

Nagle odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Chłopcy – powiedział z rozpaczą. – Dajcie mi jeszcze dwie tabletki.

Zwancew stał na deszczu i myślał, co jeszcze można powiedzieć temu człowiekowi, który zasypia na stojąco. Michajłow stał do niego bokiem, odchyłał głowę i coś łykał.

– Dziękuję, chłopcy, lecę z nóg – powiedział w końcu. – U was mimo wszystko pada deszcz, jest chłodno, a u nas wszyscy padają, jeden po drugim, wstają i znowu padają... Wtedy wynosimy – mamrotał niewyraźnie.

– To nic, ostatnia noc...

– Dziewiąta – rzekł Michajłow.

– Dziewiąta.

– A może dziesiąta? Głowę mam jak z ołowiu. – Michajłow odwrócił się do Zwancewa. – Przepraszam, towarzyszu...

– Oceanolog Zwancew – powiedział Zwancew po raz trzeci. Towarzyszu Michajłow, musi nas pan przepuścić. Właśnie przylecieliśmy z Filipin. Mamy dla akademika bardzo ważną informację. Czekał na nią całe życie. Niech mnie pan zrozumie, znam go trzydzieści lat i lepiej wiem, czy on może bez tego umrzeć, czy nie. To niezwykle ważna informacja.

Akiko wyszła z samochodu i stanęła obok niego. Operator milczał, kuląc się pod płaszczem.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Tylko jest was za dużo. Dokładnie tak powiedział: „Za dużo”. – Niech idzie jeden.

– Dobrze – zgodził się Zwancew.

– Tylko że według mnie to nie ma sensu – powiedział Michajłow. – Kasparo nie dopuści

pana do akademika. Akademik jest odizolowany. Może pan zepsuć całe doświadczenie, jeśli zakłóci pan izolację, a poza tym...

– Wolę porozmawiać z Kasparo sam – przerwał Zwancew. Proszę mnie zaprowadzić.

– Dobrze – powiedział operator. – Chodźmy.

Zwancew obejrzał się na Akiko. Z jej twarzy spływały duże i małe krople.

– Niech pan idzie, Mikołaju Jewgieniewiczu – powiedziała.

Potem odwróciła się do ludzi w płaszczach.

– Niech mu któryś da płaszcz, a sami wejdźcie do samochodu. Można go postawić w poprzek szosy.

Zwancewowi dano płaszcz. Akiko chciała wsiąść do samochodu i zawrócić, ale Michajłow nie pozwolił włączyć silnika. Stał i świecił swoją kopczą pochodnią, a jego towarzysze ręcznie odwrócili samochód i ustawili w poprzek drogi. Potem blokada w pełnym składzie wsiadła do samochodu. Zwancew zajrzał do środka. Akiko siedziała skulona na przednim siedzeniu. Towarzysze Michajłowa już spali, oparci o siebie głowami.

– Proszę mu przekazać... – zaczęła Akiko.

– Oczywiście.

– Proszę mu powiedzieć, że będziemy czekać.

– Jasne – zgodził się Zwancew. – Powiem.

– Niech pan już idzie.

– Sayonara, Aki-san.

– Proszę iść...

Zwancew ostrożnie zatrzęsął drzwiami i podszedł do operatora.

– Chodźmy.

– Chodźmy – odezwał się operator nowym, rzeźkim głosem. Tylko szybko, mamy do przejścia siedem kilometrów.

Szli żwawym krokiem po mokrym chropowatym betonie.

– Co się tam u was dzieje? – spytał operator.

– Gdzie u nas?

– No, u was... W wielkim świecie. Od pół miesiąca nic nie wiemy. Co w Radzie? Jak z projektem Wielkiej Kopalni?

– Jest bardzo wielu ochotników, ale brakuje anihilatorów. Brakuje ochładzaczy. Rada zamierza przerzucić na projekt trzydzieści procent energii. Z Wenus odwołano niemal wszystkich specjalistów głębinienia szybu.

– Słusznie – powiedział operator. – Na Wenus nie mają teraz nic do roboty. A kogo wybrali na naczelnika projektu?

– Nie mam pojęcia – rzekł gniewnie Zwancew.

– Nie Sztinnera czasem?

– Nie wiem.

Zamilkli na chwilę.

– Draństwo, prawda? – zapytał operator.

– Co?

– Pochodnie. Takie świństwo! Czujecie pan, jak śmierdzi?

Zwancew pociągnął nosem i odsunął się na dwa kroki.

– Tak – przyznał. Pochodnia cuchnęła naftą. – A po co to?

– Polecenie Kasparo. Żadnych elektrycznych urządzeń, żadnych lamp. Staramy się zminimalizować wszystkie niekontrolowane zakłócenia... Pali pan?

– Palę.  
Operator zatrzymał się.  
– Poproszę o zapalniczkę – powiedział. – I o pański radiofon. Ma pan radiofon?  
– Mam.  
– Proszę mi dać. – Michajłow rozładował urządzenie i wyrzucił akumulatory do rowu. – Przepraszam, ale to konieczne. Tu w promieniu dwudziestu kilometrów nie pracuje ani jedno urządzenie elektryczne.  
– Więc o to chodzi...  
– Tak. Rozgrabiliśmy wszystkie pasieki wokół Nowosybirsk i robimy teraz woskowe świece. Słyszał pan o świecach?  
– Nie.  
Znowu szli pod nieprzerwanym deszczem.  
– Świece to też draństwo, ale lepsze od pochodni. Albo na przykład od łuczywa. Słyszał pan o tym?  
– Nie.  
– Ja zawsze myślałem, że łuczywo to jakiś generator.  
– Teraz już rozumiem, skąd ten deszcz – mruknął Zwancew po chwili milczenia. – To znaczy rozumiem, dlaczego wyłączono mikropogodowe urządzenia.  
– Nie, nie – zaprotestował operator – to znaczy urządzenia też, ale deszcz gnają do nas specjalnie z Wietrznego Kriaża. Tam jest kontynentalne urządzenie.  
– A po co?  
– Zasłaniamy się przed bezpośrednim promieniowaniem słonecznym.  
– A ładunki w chmurach?  
– Chmury przychodzą puste, rozładowuje się je po drodze. Okazało się, że to doświadczenie na znacznie większą skalę niż początkowo sądziliśmy. Zebrali się u nas wszyscy specjaliści od biokodów z całego świata. Pięciuset ludzi i wszystko za mało. I cały północny Ural pracuje na nas.  
– Na razie wszystko przebiega pomyślnie?  
– Nie mogę nic powiedzieć – rzekł Michajłow niechętnie. Mamy nadzieję, że wszystko idzie jak należy. Zasady są niby sprawdzone, ale to pierwsze doświadczenie z człowiekiem. Sto dwadzieścia trylionów megabajtów informacji, a pomyłka w jednym bajcie może bardzo wiele zmienić.  
Michajłow zamilkł i długo szli, nie mówiąc ani słowa. Zwancew nie od razu zauważył, że idą przez osiedle. Wokół było pusto. Słabo połyskiwały matowe ściany domków i ciemne okna. Za ażurowymi ogrodzeniami, w mokrych krzakach czerniały gdzieś tam otwarte bramy garaży.  
Operator zapomniał o Zwancewie. Jeszcze sześć godzin i będzie po wszystkim, myślał. Wróć do domu i rzucę się spać. Wielkie Doświadczenie dobiegnie końca. Wielki Okada umrze i stanie się nieśmiertelny. Wspaniale! Ale teraz nikt nie może powiedzieć, czy doświadczenie się udało. Nawet sam Kasparo. Wielki Kasparo, Wielki Okada, Wielkie Doświadczenie, Wielkie Kodowanie. Michajłow potrząsnął głową. Ołowiany ciężar znowu zaczął się nasuwać na oczy, otulając mózg. Nie, nie, trzeba myśleć. Walerio Kasparo powiedział, że trzeba zacząć myśleć już teraz. Wszyscy powinni myśleć, nawet operatorzy, chociaż my zbyt mało wiemy. Kasparo powiedział, że myśleć powinni wszyscy. Walerio Kasparo, Walerij Konstantynowicz. Czasem bywa zabawny; pracuje, pracuje i nagle woła na całą salę: „Wystarczy! Posiedźmy teraz chwilę, „jątrząc tępo przed siebie...” Gdzieś to zdanie

wyczytał. Gdyby w tym momencie ktoś chciał go o coś zapytać, powie: „Młody człowieku, przecież pan widzi. Proszę mi nie przeszkadzać patrzeć tępo przed siebie”... Znowu myślę nie o tym, co trzeba! Więc najpierw trzeba postawić zadanie. Kompleks fizjologicznych stanów neuronowych (czyli żywy mózg) jest kodowany według trzeciego systemu Kasparo-Karpowa na krystaliczną quasi-biomasę. Z odpowiednią izolacją twardego kodu na krystalicznej quasi-biomacie zachowuje się – przy normalnym poziomie szumów – dość długo; czas relaksacji kodu stanowi orientacyjnie dwanaście tysięcy lat. To wystarczająco dużo. Trzeba tylko znaleźć sposób przeniesienia kodu biomasy na żywy mózg, czyli kompleks fizjologicznych funkcjonujących neuronów w stanie zerowym. Do tego potrzebny jest jeszcze żywy mózg w stanie zerowym. Chętni do tego ludzie zawsze się znajdowali i znajdują, na przykład ja... Ech, wszystko jedno, i tak nie pozwolą. O żywym mózgu Kasparo nawet słyszeć nie chce. Dziwak! Siedź teraz i czekaj, aż tamci z Leningradu stworzą sztuczny. No, krótko mówiąc, zakodowaliśmy mózg Okady na krystalicznej biomacie. Mamy szyfr mózgu Okady, szyfr jego myśli, jego, „ja”... I teraz trzeba znaleźć sposób, żeby przenieść ten szyfr na inny mózg. Niechby nawet sztuczny. Wtedy Okada ożyje. Zaszyfrowane, „ja” Okady znowu stanie się czynną, prawdziwą osobowością... Pytanie tylko, jak to zrobić? jak?... Kasparo myśli o tym od ćwierć wieku. Dobrze by było, gdyby ktoś wymyślił to właśnie teraz, można by ucieszyć staruszkę. Człowiek przybiegłby wtedy do niego mokry jak Archimedes i zawołał: „Eureka!”

Michajłow potknął się, omal nie upuszczając pochodni.

– Co z panem? – spytał Zwancew. – Znowu pan zasypia?

Michajłow popatrzył na niego. Zwancew miał kaptur na głowie, ręce wsunął pod płaszcz. Jego twarz w czerwonym migoczącym świetle wydawała się duża i twarda.

– Nie. Myślę. Nie śpię.

Przed nimi zamajaczył jakiś ciemny duży przedmiot. Szli szybko i wkrótce dogonili wielką ciężarówkę, powoli sunącą po szosie.

Zwancew nie od razu zrozumiał, że ciężarówkę z wyłączonym silnikiem ciągną dwa potężne, mokre wielbłądy.

– Ej, Sańka! – krzyknął operator.

Szczęknęły drzwi kabiny, wysunęła się głowa, popatrzyła błyszczącymi oczami i schowała się.

– Czego chcesz? – dobiegło z kabiny.

– Daj czekoladkę – powiedział Michajłow.

– Weź sam, nie chce mi się wychodzić. Mokro.

– A wezmę – powiedział rześko Michajłow i skrył się razem z pochodnią.

Zrobiło się bardzo ciemno. Zwancew szedł obok ciężarówki równo z wielbłądami. Zwierzęta ledwie powłóczyły nogami.

– Nie mogą szybciej? – warknął.

– Nie chcą, parszywce – powiedział głos z kabiny. – Próbowałem łąć je pałką, ale tylko pluja. – Po chwili milczenia głos dodał: Cztery kilometry na godzinę i cały płaszcz opluty.

Kierowca ciężko westchnął i nagle ryknął:

– Ej, chwaty! No, noo, jak was tam!

Wielbłądy pogardliwie zarzęziły.

– Niech pan raczej odejdzie na bok – poradził kierowca. – Chociaż teraz chyba nie będą pluły.

Zapachniało naftą i obok znowu pojawił się Michajłow. Jego pochodnia dymiła i potrzaskiwała.

– Chodźmy – powiedział. – Teraz już blisko.

Bez trudu wyminęli zaprzęg. Wkrótce po obu stronach drogi pojawiły się niewysokie ciemne budynki. W ciemności Zwancew wypatrzył ogromny gmach, czarną wyrwę w czarnym niebie.

W oknach słabo migotały żółte ogniki.

– Niech pan patrzy – powiedział szeptem Michajłow. – Widzi pan te bloki po obu stronach drogi?

– No? – spytał Zwancew też szeptem.

– W nich jest quasi-biomasa. Tutaj będzie przechowywany.

– Kto?

– Mózg – wyszeptał Michajłow. – Mózg!

Znowu skręcili i znaleźli się przy wejściu do budynku instytutu. Michajłow odsunął ciężkie drzwi.

– Niech pan wchodzi – powiedział. – Tylko po cichu.

W holu było ciemno, chłodno i dziwnie pachniało. Na wielkim stole pośrodku migotało kilka grubych świec, stały brudne talerze i wielki rondel z zupą. W koszyczku leżały wyschnięte kawałki chleba. Świece dawały niewiele światła. Zwancew zrobił kilka kroków i zaczepił płaszczem o krzesło, przewracając je z hukiem.

– Ojej! – krzyknął ktoś z tyłu. – Tola, to ty?

– Ja – powiedział Michajłow.

Zwancew obejrzał się. W kącie holu panował czerwony półmrok. Gdy Michajłow podszedł tam z pochodnią, Zwancew zobaczył dziewczynę o bladej twarzy. Leżała na kanapie, okutana w coś czarnego.

– Przyniosłeś coś dobrego? – spytała dziewczyna.

– Sańka wiezie – odparł Michajłow. – Chcesz czekoladkę?

– Chcę.

Michajłow stał, szukając w kieszeni płaszcza, pochodnia podrygiwała.

– Idź zmienić Zinę – powiedziała dziewczyna. – Niech przyjdzie spać tutaj. Teraz w dwunastce śpią chłopaki. Na dworze pada?

– Pada.

– Dobrze. Już niedużo zostało.

– Masz tu czekoladkę – powiedział Michajłow. – A ja pójdę.

– Ten towarzysz do akademika.

– Do kogo?

– Do akademika.

Dziewczyna cichutko gwizdnęła.

Zwancew ruszył przez hol i obejrzał się niecierpliwie. Michajłow szedł za nim, a dziewczyna siedziała na kanapie i rozwijała czekoladkę. W świetle świec widać było tylko jej małą bladą twarz i dziwny srebrzysty kitel z kapturem. Michajłow zrzucił płaszcz i Zwancew zobaczył, że on też jest w srebrzystym kitlu. W nierównym świetle pochodni wyglądał jak zjawa.

– Towarzyszu Zwancew – polecił – niech pan tu chwilę zaczeka. Pójdę przynieść panu kitel. Tylko proszę na razie nie zdejmować płaszcza.

– Dobrze. – Zwancew przysiadł na krześle.

W gabinecie Kasparo było ciemno i chłodno. Deszcz szumiał usypiająco. Michajłow wychodząc, powiedział, że zawoła Kasparo. Pochodnię zabrał, świec w gabinecie nie było.

Najpierw Zwancew siedział w fotelu dla petentów, przy wielkim pustym stole. Potem wstał, podszedł do okna i zaczął patrzeć w noc, opierając się czołem o zimną szybę. Kasparo nie przychodził.

Będzie bardzo ciężko bez Okady, pomyślał Zwancew. Mógłby żyć jeszcze dwadzieścia lat... trzeba go było bardziej oszczędzić. Należało już dawno zabronić mu podwodnych zwiadów. Jeśli człowiek ma ponad sto lat, z czego sześćdziesiąt spędził na głębokości tysiąca metrów... Tak się właśnie pracuje na paraliż, niech będzie przeklęty!

Zwancew odsunął się od okna, podszedł do drzwi i wyrzwał na korytarz. W długim korytarzu wzdłuż ścian paliły się świece. Usłyszał głos powtarzający ciągle to samo z równomiernością metronomu. Zwancew wsłuchał się ale nie zrozumiał ani słowa. Potem z czerwonego mroku w końcu korytarza wypłynęły dwie białe postacie i minęły bezszelestnie go, jakby płynąc w powietrzu. Zwancew zobaczył pod srebrzystymi kapturami zapadnięte ciemne twarze.

– Chcesz jeść? – spytał jeden.

– Nie. Spać.

– Ja chyba coś zjem...

– Nie, nie... Spać. Najpierw spać.

Mówili niezbyt głośno, ale w korytarzu dźwięk niósł się daleko.

– Jane omal nie zniszczyła swojego sektora.

Kasparo chwycił ją za rękę.

– O kurczę!

– Tak. Miał taką twarz...

– O kurczę! Jakiego sektora?

– Dwanaście tysięcy sześćset trzy. Orientacyjnie: skojarzenia słuchowe.

– Coś podobnego...

– Kasparo wysłał ją spać. Siedzi teraz w szesnastce i płacze.

Dwóch w bieli znikło. Było słyhać, jak rozmawiają, schodząc po schodach, ale Zwancew już nie rozumiał słów. Zamknął drzwi i wrócił na fotel.

Więc jakaś Jane o mało nie zniszczyła sektora skojarzeń słuchowych. Brzydka dziewczynka! Kasparo złapał ją za rękę. A gdyby nie złapał? Zwancew zacisnął ręce i zamknął oczy. Niewiele wiedział o Wielkim Doświadczeniu. Orientował się tylko, że jest wielkie i że jest najbardziej złożonym problemem, jakim kiedykolwiek zajmowała się nauka. Zakodować rozkład impulsów w każdej z miliardów komórek mózgu, zakodować połączenia pomiędzy impulsami, połączenia pomiędzy połączeniami... Najmniejsza pomyłka grozi niewyobrażalnymi zniekształceniami. Dziewczyna omal nie zniszczyła całego sektora... Zwancew przypomniał sobie, że był to sektor dwanaście tysięcy sześćset trzy i poczuł strach. Nawet jeśli prawdopodobieństwo pomyłki lub zniekształcenia podczas przeniesienia kodu jest bardzo małe... Dwanaście tysięcy sektorów, tryliony jednostek informacji. Kasparo ciągle nie przychodził.

Zwancew znowu wyszedł na korytarz. Zaczął iść od świecy do świecy w stronę dziwnego monotonnego głosu. Zobaczył otwarte na oścież drzwi, i teraz głos zabrzmiał mocniej. Za drzwiami była ogromna sala, migotały setki płomyków. Zwancew zobaczył ciągnące się wzdłuż ścian panele z cyferblatami, przy których siedziało kilkuset ludzi, wszyscy ubrani na biało. Powietrze w sali było ciężkie i gorące, pachniało rozgrzanym woskiem. Zwancew zrozumiał, że system wentylacji i klimatyzacji jest wyłączony. Wszedł do sali i rozejrzał się. Szukał Walerija Kasparo, ale pomyślał, że gdyby nawet tu był, nie sposób



byłoby go rozpoznać wśród setek ludzi w jednakowych srebrzystych kitlach z nisko nasuniętymi kapturami.

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dwadzieścia dwa wypełniony – powiedział głos.

W sali było nieznośnie cicho – tylko głos i szelest ruchów. Na środku Zwancew wypatrzył stół i kilka foteli. Podeszedł bliżej.

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dwadzieścia trzy wypełniony.

W jednym z foteli, naprzeciwko Zwancewa, siedział z głową opartą na dłoniach barczysty człowiek. Spał, głośno wzdychając przez sen.

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dwadzieścia cztery wypełniony.

Zwancew popatrzył na zegarek – trzecia w nocy. Do sali wszedł człowiek w białym kitlu i znikł w półmroku, wśród migoczących płomyków.

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dwadzieścia pięć wypełniony.

Do stołu podeszedł człowiek ze świecą, postawił ją w kałuży wosku i usiadł. Położył na stole plik papierów, przewrócił stronę i natychmiast usnął. Jego głowa opuszczała się coraz niżej, wreszcie opadła na papier.

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dwadzieścia sześć wypełniony...

Zwancew znowu zerknął na zegarek. Wypełnienie dwóch sektorów zajęło ponad półtorej minuty. Wielkie Kodowanie trwa już dziesięć dób i wypełniono niecałe dwadzieścia tysięcy sektorów...

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dwadzieścia siedem wypełniony...

I tak przez dziesięć dni. Czyjaś silna ręka spoczęła na ramieniu Zwancewa.

– Dlaczego pan nie śpi?

Zwancew podniósł głowę i zobaczył pod kapturem zmęczoną twarz. Poznał tego człowieka.

– Spać... natychmiast...

– Profesorze Kasparo... – Zwancew wstał.

– Spać, spać... – Kasparo patrzył mu w oczy. – Jeśli nie może pan spać, proszę kogoś zastąpić.

Szybko odszedł na bok, zatrzymał się i znowu popatrzył uważnie na oceanologa.

– Nie poznaję pana – powiedział. – Wszystko jedno... spać!

Odwrócił się plecami i szybko ruszył wzdłuż rzędów ludzi przed pulpitemi. Zwancew usłyszał oddalający się ostry głos:

– Pół podziału... Uważnij, Leonid, półtora podziału... Dobrze, doskonale... też dobrze... podział... Johnson, proszę bardziej uważać... Dobrze, dobrze...

Zwancew wstał i poszedł za nim, starając się nie stracić go z oczu. Nagle Kasparo krzyknął:

– Towarzysze! Wszystko idzie doskonale! Bądźcie bardziej uważni! Pilnujcie stabilizatorów, a wszystko będzie dobrze...!

Zwancew wpadł na długi stół, przy którym spało kilkoro ludzi. Nikt się nie odwrócił, ani jeden ze śpiących nie podniósł głowy. Kasparo znikł. Zwancew poszedł na chybił trafił wzdłuż żółtego łańcucha płomyków przed pulpitemi.

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt wypełniony...

Zwancew zrozumiał, że zablądził i teraz nie wie, gdzie jest wyjście ani gdzie się podział Kasparo. Siadł na pierwszym lepszym krześle, oparł łokcie o kolana, położył podbródek na dłoniach i utkwiał wzrok w stojącej przed nim migoczącej świecy. Świeca topiła się powoli.

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt osiem wypełniony... siedemset

dziewięćdziesiąt dziewięć...osiemset... zapełniony, zapełniony...

– Aaa! – rozległ się przeciągły, straszny krzyk.

Zwancew podskoczył. Zobaczył, że nikt się nawet nie odwrócił, ale wszyscy jednocześnie zastygli w napięciu. Dwadzieścia metrów dalej, przy jednym z foteli operatorów stał wysoki człowiek i krzyczał, chwytając się za głowę:

– Z powrotem, z powrotem! Aaa!

Skądś wyszedł szybkim krokiem Kasparo i rzucił się do pulpitu. W sali zrobiło się cicho, słychać było tylko syk wosku.

– Przepraszam – powiedział wysoki mężczyzna. – Przepraszam... Przepraszam... – powtarzał.

Kasparo wyprostował się i krzyknął:

– Słuchajcie mnie! Sektory osiemnaście tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt sześć, siedemset dziewięćdziesiąt siedem, siedemset dziewięćdziesiąt osiem, siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć, osiemset... Odnowa!

Zwancew zobaczył, jak setki ludzi w bieli jednocześnie podnoszą prawe ręce i grzebią przy pulpitych. Płomienie świec zakołysały się.

– Przepraszam... przepraszam! – powtarzał człowiek.

Kasparo delikatnie pchnął go w plecy.

– Spać, Henry – powiedział.– Szybko spać. Niech się pan uspokoi, nic strasznego się nie stało...

Człowiek poszedł wzdłuż pulpitych powtarzając ciągle: „Przepraszam, przepraszam...” Nikt nie reagował. Jego miejsce już zajął inny.

– Sektor osiemnaście tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt sześć zapełniony... – rozległ się rażny głos.

Kasparo powstał chwilę, po czym powoli, mocno zgarbiony, wyminął Zwancewa. Gdy Zwancew się zatrzymał, by go przepuścić, zobaczył twarz Kasparo. Profesor podszedł do niewielkiego stojącego osobno pulpitu, opadł na fotel i siedział tak przez kilka sekund. Potem otrząsnął się i pochylony do przodu, wsunął twarz w otwór wielkiego peryskopu, umocowanego w podłodze.

Zwancew stał nieopodal przy długim stole i patrzył na zmęczone, zgarbione plecy.

Przez cały czas widział twarz Kasparo w chwiejnym świetle świecy. Przypomniawszy sobie, że on nie jest już młody, ledwie kilka lat młodszy od Okady. Ile lat zabrało ze sobą te dziesięć dni! Wszystko się na nim odbija, i to bardzo szybko.

Do Kasparo podeszło dwóch ludzi, jeden zamiast kaptura miał na głowie okrągły przezroczysty hełm.

– Nie zdążymy – powiedział cicho człowiek w hełmie.

Mówił do pleców Kasparo.

– Ile? – zapytał Kasparo nie odwracając się.

– Śmierć kliniczna nastąpi za dwie godziny. Plus minus dwadzieścia minut.

Kasparo odwrócił się.

– Ale on tak dobrze wygląda... Niech pan spojrzy – wskazał palcem peryskop.

Człowiek w hełmie pokręcił głową.

– Paraliż nerwów – powiedział bardzo cicho drugi. Popatrzył wypukłymi oczami na Zwancewa i nachylając się nad Kasparo, szepnął mu coś na ucho.

Zwancew poznał go. To był profesor Iwan Krasnow.

– Dobrze – rzekł Kasparo. – Zrobimy tak...

Dwaj mężczyźni odwrócili się jednocześnie i szybko poszli w ciemność.

Zwancew wymacał krzesło, usiadł i zamknął oczy. Konie, pomyślał. Nie zdążą. Umrze. Umrze do końca.

– Sektor dziewiętnaście tysięcy zero zero dwa wypełniony. Sektor dziewiętnaście tysięcy zero zero trzy wypełniony...

Zwancew prawie nic nie wiedział o kodowaniu nerwowych połączeń; wydawało mu się, że Okada leży na stole w śmiertelnie białym świetle, cienka igła powoli pełźnie po zagłębieniach jego obnażonego mózgu, a na długiej taśmie znak po znaku pojawiają się sygnały impulsów. Doskonale rozumiał, że w rzeczywistości przebiega to zupełnie inaczej, ale wyobraźnia rysowała mu właśnie taki obraz: błyszcząca igła sunąca po mózgu i niekończąca się taśma z tajemniczymi znaczkami zapisującymi pamięć, przyzwyczajenia, skojarzenia, doświadczenia...

A skądś nadciąga śmierć, niszcząc komórkę za komórką, połączenie za połączeniem. I trzeba ją wyprzedzić.

Zwancew nie miał wprawdzie pojęcia o kodowaniu nerwowych połączeń, ale wiedział, że do tej pory nieznane są granice obszarów mózgu, zawiadujących określonymi procesami myślowymi. Że Wielkie Kodowanie możliwe jest tylko w najgłębszej izolacji i uwzględnieniem wszystkich nieregularnych pól. Stąd świece i pochodnie, wielbłądy na szosie, puste osiedla i czarne okna stacji mikropogodowej, i zatrzymanie ruchomych dróg... Zwancew wiedział, że do tej pory nie znaleziono sposobu kontroli kodowania niezniekształcającego kodu, że Kasparo działa do pewnego stopnia na ślepo i może w pierwszej kolejności koduje wcale nie to, co należy. Ale wiedział również, że Wielkie Kodowanie to droga do nieśmiertelności ludzkiego „ja”. Człowiek to nie tylko ręce i nogi. Człowiek to pamięć, nawyki, skojarzenia, mózg. MÓZG.

– Sektor dziewiętnaście tysięcy dwieście szesnaście wypełniony...

Zwancew otworzył oczy, wstał i podszedł do Kasparo, który siedział, patrząc przed siebie.

– Profesorze Kasparo – powiedział. – Jestem oceanolog Zwancew. Muszę pomówić z akademikiem Okadą.

Kasparo podniósł oczy i długo patrzył na Zwancewa. Jego przymknięte oczy były mętne.

– To niemożliwe.

Przez jakiś czas w milczeniu patrzyli na siebie.

– Akademik Okada czekał na tę informację całe życie.

Kasparo nie odpowiedział. Odwrócił wzrok i znowu patrzył przed siebie. Zwancew rozejrzał się. Półmrok. Płomyki świec. Białe srebrzyste kitle z kapturami.

– Sektor dziewiętnaście tysięcy dwieście dziewięćdziesiąt dwa wypełniony...

Kasparo wstał i oświadczył:

– To wszystko. Koniec.

Zwancew zobaczył małą czerwoną lampkę migoczącą obok okularu peryskopu. Lampka, pomyślał. Więc to już naprawdę koniec.

– Sektor dziewiętnaście tysięcy dwieście dziewięćdziesiąt cztery wypełniony...

Z ciemności sali wybiegła nieduża dziewczyna w rozwianym fartuchu. Rzuciła się ku Kasparo, odpychając Zwancewa.

– Waleriju Konstantynowiczu – powiedziała z rozpaczą. – Został już tylko jeden wolny sektor...

– Więcej nie potrzeba – rzekł Kasparo. Wstał i wpadł na Zwancewa. – Kim pan jest? – spytał zmęczonym głosem.

– Jestem Zwancew, oceanolog – powiedział Zwancew cicho. Chciałem pomówić z akademikiem Okadą.

– To niemożliwe. Akademik Okada umarł.

Przechylił się nad pulpitem i jeden po drugim przekręcił cztery wyłączniki. Pod sufitem ogromnej sali zapłonęło oślepiające światło.

Było już zupełnie widno, gdy Zwancew zszedł do holu. Przez ogromne okna wlewał się szary świat mglistego poranka, ale czuło się, że zaraz wyjrzy słońce i dzień będzie pogodny. W holu nikogo nie było. Na kanapie wałała się pomięta narzuta. Kilka świec dopalało się na stole między puszkami a talerzami z jedzeniem. Zwancew obejrzał się na schody. Na górze słychać było głosy. Gdzieś tam był Michajłow, który obiecał go odprowadzić.

Zwancew podszedł do kanapy i usiadł. Po schodach zeszło trzech młodych ludzi. Jeden podszedł do stołu i zaczął łączyćwie jeść rękami. Przesuwał talerze, upuścił butelkę z lemoniadą, złapał ją i zaczął pić z butelki. Drugi spał, idąc, podtrzymywany pod ramię przez trzeciego, który mówił podekscytowany:

– ...Kasparo mówił do Krasnowa. Tylko tyle powiedział i staruszek padł prosto na pulpit. Podnieśliśmy go i zanieśliśmy do gabinetu, a tam śpi Sierioża Krugłow. I teraz tak leżą obok siebie.

– Aż się wierzyć nie chce – powiedział pierwszy z pełnymi ustami. – Naprawdę dużo zdążyliśmy?

– Do licha, ile razy mam ci powtarzać! Dziewięćdziesiąt osiem procent, z jakimiś dziesiętymi, ale nie zapamiętałem.

– Naprawdę dziewięćdziesiąt osiem?

– Ty chyba jesteś kompletnie otepiały. Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi!

– Rozumiem, tylko nie mogę uwierzyć. – Ten, który jadł, nagle usiadł, podsuwając sobie puszkę konserw. – Nie chce mi się wierzyć. Wydawało się, że już całkiem kiepsko...

– Chłopcy – wymamrotał senny. – Chodźcie, nie mam siły...

Trzej mężczyźni zaczęli się spieszyć. Po schodach schodziło coraz więcej ludzi, sennych, ale podekscytowanych, ledwie powłóczących nogami, ze spuchniętymi oczami, zachrypniętymi od długiego milczenia głosami.

Na pogrzeb to nie wygląda, pomyślał Zwancew. Wiedział, że Okada umarł, ale nie przyjmował tego do wiadomości. Wydawało się, że akademik po prostu zasnął, tylko nikt nie wie, jak go obudzić. To nic, dowiedzą się. Dziewięćdziesiąt osiem procent, pomyślał. Całkiem nieźle. Nie miał poczucia straty. Nie czuł smutku. Czuł tylko coś na kształt niezadowolenia; myślał, że pewnie trzeba będzie jeszcze długo czekać, zanim Okada wróci. Jak kiedyś, gdy Okada wyjeżdżał na długo na ląd.

Michajłow dotknął jego ramienia. Był bez płaszcza i bez kitla.

– Chodźmy, oceanologu Zwancewie.

Zwancew wstał i poszedł za nim do drzwi. Ciężkie skrzydła rozsunęły się same, bezszelestnie i miękko.

Słońce jeszcze nie wstało, ale było widno i po szarobłękitnym niebie szybko płynęły obłoki. Zwancew zobaczył płaskie kremowe budowle i ulice pomiędzy nimi, zasypane czerwonymi opadłymi liśćmi. Ludzie wychodzili z instytutu i rozchodzili się po ulicach, grupkami, po dwoje, po troje.

– Towarzysze z Kostromy odpoczywają w korpusie numer sześć, piętra pierwsze i drugie! – krzyknął ktoś.

Wzdłuż ulic szeregami sunęli długonodzy cybersprzątacze, zostawiając za sobą suchy czysty beton.

– Chce pan czekolady? – spytał Michajłow.

Zwancew pokręcił głową. Szli w stronę szosy pomiędzy rzędami przysadzistych żółtych budynków bez drzwi i okien.

Budynków było dużo, cała ulica. To wszystko bloki z quasi-biomasa. Skarbnica mózgu Okady – dwadzieścia tysięcy sektorów biomasy, dwadzieścia przysadzistych budynków z trzydziestometrowymi fasadami, uchodzących pod ziemię na sześć pięter.

– Na początek nieźle – powiedział Michajłow. – Dłużej tak nie można. Dwadzieścia budynków na jednego człowieka to zbyt dużo.

Gdyby każdemu z nas dać do dyspozycji tyle pomieszczeń... – zaśmiał się i rzucił paperek po czekoladce na beton.

Kto wie, pomyślał Zwancew, dla ciebie może wystarczyłaby jedna walizka. Dla mnie zresztą też. W stronę rzuconego papierka niespiesznie kuśtykał cybersprzątac, stukając po betonie szcudłowatymi nogami.

– Hej, Sańka! – krzyknął nagle Michajłow.

Ciężarówka, która ich wyminęła, zatrzymała się i ze środka wysunął się wczorajszy kierowca o błyszczących oczach. Wsiadł do kabiny.

– Gdzie twoje wielbłądy? – spytał Michajłow.

– Gdzieś się pasą – odparł kierowca. – Mam ich dosyć. Znowu mnie opluły, jak je wyprzęgałem.

Michajłow już spał z głową na ramieniu Zwancewa.

Kierowca, mały, czarnooki mężczyzna, szybko prowadził ciężką maszynę, cichutko podśpiewując, niemal nie poruszając przy tym wargami. To była jakaś stara, na wpół zapomniana piosenka. Zwancew najpierw się przysłuchiwał, potem zainteresowały go lecące nisko nad szosą helikoptery. Było ich sześć. Pomyślał, że teraz w martwej strefie znowu zacznie kipieć życie. Ruszyły ruchome drogi. Ludzie spieszą do swoich domów. Zaczęły działać stacje mikropogodowe i sygnalizacja na szosie. Ktoś oderwał od słupa tablicę z krzywymi literami. Radio nadało, że Wielkie Kodowanie przebiegło pomyślnie i zostało zakończone. Helikopterami lecieli zapewne dziennikarze – będą przekazywać na cały świat obraz przysadzistych żółtych budynków i stopionych świec przed wyłączonymi pulpitemi. Któryś oczywiście poleci budzić Kasparo, a inni będą go odciągać za spodnie, może nawet w zapale dadzą mu po karku. Wkrótce cały świat się dowie, że niedługo człowiek stanie się wieczny. Nie ludzkość, lecz człowiek, każdy pojedynczy człowiek, każda osobowość. Powiedzmy, że na początek będą to ci najlepsi... Zwancew popatrzył na kierowcę.

– Towarzyszu – zapytał z uśmiechem – chciałby pan żyć wiecznie?

– Chciałbym – kierowca też się uśmiechnął. – I będę.

– Ja też chcę – powiedział Zwancew.

### **Przyrodznawstwo w świecie duchowym**

Laborant Koczyn podszedł na palcach do drzwi i zajrzał do sypialni. Reader\* [\*Reader – w literaturze SF człowiek zdolny bezpośrednio odbierać i odszyfrowywać cudze myśli.] spał. Był dość stary i miał bardzo nieszczęśliwą twarz.

Leżał na boku, z dłońmi pod policzkiem. Gdy Koczyn uchylił drzwi, zacmokał i wyraźnie powiedział:

– Jeszcze się nie wyspałem. Chcę spać.

Koczyn podszedł do łóżka i dotknął jego ramienia.

– Już czas, towarzyszu Peters. Niech pan wstanie...

Peters otworzył mętne oczy.

– Jeszcze pół godzinki! – poprosił żałośnie.

Koczyn zmartwiony pokręcił głową.

– Nie można, towarzyszu Peters. Jeśli będzie pan spał zbyt długo...

– Tak – westchnął reader. – Otepieję. – Siadł i przeciągnął się. – Wiesz, co mi się teraz śniło, George? Że jestem u siebie na farmie, na Jukonie. I że wrócił z Wenus mój syn, a ja pokazuję mu park bobrów. Wiesz, jakie u mnie są bobry, George? Całkiem jak ludzie.

Reader wstał z łóżka i zaczął się gimnastykować. Koczyn wiedział, że syn Petersa dwa lata temu zginął na Wenus; że Peters bardzo tęskni za swoją żoną, nie dowierza swoim młodym pomocnikom na fermie i bardzo się niepokoi o bobry, że mu tu smutno i nudno, i bardzo mu się nie podoba to, czym się zajmuje.

– To nic! – powiedział Peters energicznie, odwracając gęsto owłosiony tors. – Nie trzeba mnie żałować, Georgie! Rozumiem, że skoro trzeba, to trzeba i nic się na to nie poradzi...

Koczyn poczerwieniał. Chyba już nigdy nie nauczy się panować nad sobą w towarzystwie readera. Ciągłe wynikają jakieś gafy.

– Dobry z ciebie chłopak, Georgie – powiedział czule Peters. Ludzie zazwyczaj nie lubią, gdy czyta się ich myśli. Dlatego my, readerzy, wolimy odosobnienie, a jak już jesteśmy wśród ludzi, staramy się jak najwięcej mówić, bo nasze milczenie bardzo często odbierane jest jako działalność umysłowa. Jeden młody kogucik od was w moim towarzystwie przez cały czas powtarza sobie matematyczne wzory. I co? Nie rozumiem ani jednego wzoru, za to wyraźnie czuję jego strach, żebym się nie domyślił, że on coś czuje do pewnej młodej osoby.

Peters wziął ręcznik i poszedł do łazienki. Koczyn pospiesznie otarł pokryte zimnym potem czoło. Chwała Bogu, że nie jestem w nikim zakochany! – pomyślał fałszywie. Katia mogłaby się obrazić. Wspaniali ludzie z tych readerów! Ciekawe, czy on coś „słyszy” przez drzwi łazienki? Jasne, porządnie mu dokuczamy naszymi doświadczeniami, ale i on nie pozostaje nam dłużny... Młody kogucik to pewnie Pietka Bystrow. Ciekawe, do kogo on czuje miętę?

– Tego to już panu nie powiem – oznajmił Peters, pojawiając się w drzwiach łazienki. Naciągał sweter. – Dobrze, Georgie, jestem gotów. Gdzie dzisiaj? Znowu do celi tortur?

– Znowu – powiedział Koczyn. – Jak zawsze. Może zje pan śniadanie? Mamy jeszcze kwadrans.

– Nie. Od jedzenia też tepieję. Proszę mi tylko dać glukozę.

Podwinął rękaw. Koczyn wyciągnął z kieszeni płaskie pudełko z ampułkami aktywowanej glukozy. Wziął jedną, przycisnął ją ssawką do nabrzmiałej żyły na ręce Petersa. Gdy glukoza została wessana, Peters stracił pustą ampułkę i opuścił rękaw.

– Chodźmy pocierpieć – powiedział z westchnieniem.

Instytut Fizyki Przestrzeni powstał dwadzieścia lat temu na wyspie Kotlin w Zatoce Fińskiej. Stary Kronsztad ostatecznie zburzono – zostały tylko szare omszałe mury starożytnych fortów, a w parku miasteczka naukowego złocisty pomnik uczestników Wielkiej

Rewolucji. Na zachód od Kotlina stworzono sztuczny archipelag, na którym znajdowały się raketodromy, lotniska, odbiorniki energii i energostacje instytutu. Dalej na zachód wyspy archipelagu były zabudowane tak zwanymi głośnymi laboratoriami – od czasu do czasu rozlegały się tam huki i łoskoty albo wybuchały pożary. Teoretyczne prace i „ciche” eksperymenty prowadzono w długich płaskich budynkach właściwego instytutu na Kotlinie.

Instytut pracował na pierwszej linii nauki. Zasięg prac był niezwykle szeroki. Problemy ciężenia, derytrynitacja, zagadnienia nowej aksjomatyki fizycznej, teoria dyskretnej przestrzeni i wiele znacznie bardziej specjalistycznych kwestii. Nierzadko instytut brał się za rozpracowanie problemów, które wydawały się – i ostatecznie takie się też okazywały – beznadziejnie skomplikowane i niedostępne. Eksperymentalne podejście do tych problemów wymagało nierzadko ogromnych wydatków energetycznych. Kierownictwo instytutu cały czas niepokoilo Radę Światową prośbami o godzinną, dwugodzinną, a czasem dobową energię planety. W pogodny dzień mieszkańcy Leningradu mogli zobaczyć nad głowami błyszczące kule gigantycznych odbiorników energii, ustawionych na najbardziej wysuniętych wyspach kotlińskiego archipelagu. Jakiś dowcipniś (z Komitetu Resursów) nazwał te odbiorniki beczką Danaidy; miał na myśli to, że energia planety wpływa do nich jak w bezdenne beczki, bez widocznego efektu. Wielu członków Rady dość zjadliwie wyrażało się o działalności instytutu, ale energię dawano zawsze – uważano, że ludzkość jest na tyle bogata, że może pozwolić sobie na wydatki na zapewnienie lepszego jutra. Nawet w czasie prac Wielkiej Kopalni, drążącej do środka planety.

Cztery lata temu grupa pracowników instytutu przeprowadziła doświadczenie, mające na celu zmierzenie podziału energii podczas sigmaderytrynitacji. Na obrzeżach systemu słonecznego, daleko za orbitą Transplutonu, dwa sprzężone automatyczne gwiazdoloty rozpędzono do prędkości relatywnej i doprowadzono do zderzenia przy prędkości względnej dwieście dziewięćdziesiąt pięć tysięcy kilometrów na sekundę. Wybuch był potworny, masa obu statków niemal całkowicie zamieniła się w energię, statki znikły w oślepiającym wybuchu, zostawiając po sobie obłok metalicznej pary. Po zakończeniu obliczeń pracownicy spostrzegli pewien niedobór: stosunkowo mała, ale zauważalna część energii znikła. Ze strony jakościowej w takim wyniku doświadczenia nie było nic dziwnego. Zgodnie z teorią sigmaderytrynitacji, określona część energii powinna zniknąć w danym punkcie przestrzeni, żeby wydzielić się w innej postaci w jakimś punkcie, może nawet bardzo oddalonym od miejsca eksperymentu. Na tym właśnie polegała istota sigma-D-zasady; coś podobnego zdarzyło się w swoim czasie ze słynnym „Tajmyrem”. Ale od strony ilościowej niedobór energii przewyższył spodziewaną wartość. Znaczna jej część znikła nie wiadomo gdzie. W celu wyjaśnienia tej sprzeczności z prawami zachowania wysunięto dwie hipotezy. Jedna z nich głosiła, że energia wydzielona się w nieokreślonej na razie postaci, na przykład jako nieznanie nauce pole, do wykrycia którego jeszcze nie stworzono przyrządów. Drugą była teoria wzajemnie przenikających się przestrzeni.

Teoria ta została opracowana na długo przed opisanym eksperymentem i przedstawiała świat w postaci nieskończonej sumy przenikających się wzajemnie przestrzeni o zróżnicowanych właściwościach fizycznych. Właśnie ta różnica we właściwościach pozwalała przestrzeniom na fizyczne współistnienie, bez konieczności oddziaływania na siebie w zauważalny sposób. Ogólnie mówiąc, była to abstrakcyjna teoria, która nie doprowadziła do konkretnych wniosków, sprawdzalnych doświadczalnie. Wynikało z niej jednak, że różne formy materii mają niejednakową zdolność przenikania z jednej przestrzeni do sąsiedniej. Dowiedziono również, że przeniknięcie odbywa się tym łatwiej, im większa

jest koncentracja energii. Koncentracja energii pola elektromagnetycznego w doświadczeniu z gwiazdolotami była ogromna. To pozwalało założyć, że „wyciek” energii można by wyjaśnić przejściem energii z jednej przestrzeni do sąsiedniej. Danych było mało, ale sam pomysł tak kuszący, że w instytucie od razu znaleźli się jego stronnicy.

Za eksperymentalne rozpracowanie teorii przenikających się wzajemnie przestrzeni zabrali się pracownicy wydziału fizyki dyskretnej przestrzeni. Od razu zrezygnowali z pracochłonnych, niebezpiecznych i niezbyt dokładnych doświadczeń, związanych z pochłanianiem i wydzielaniem ogromnej ilości energii. Poza tym w takich doświadczeniach nadal pozostawała otwarta kwestia nieznanymi pól. Badania przenikania przestrzennego planowano prowadzić nad najróżniejszymi polami: grawitacyjnymi, elektromagnetycznymi i jądrowymi. Ale zasadniczym atutem i główną nadzieją była błyskotliwa idea pewnego pracownika, który zauważył niesłychane podobieństwo psychodynamicznego pola ludzkiego mózgu do hipotetycznego „pola łączności”, którego ogólny matematyczny opis powstał dzięki teorii przenikających się przestrzeni jeszcze w czasach, gdy badacze psychodynamiki nie mieli matematycznego aparatu. Hipotetyczne „pole łączności” miało zgodnie z teorią, maksymalną zdolność przenikania z danej przestrzeni do sąsiedniej. Ponieważ nie istniały wystarczająco czujne sztuczne odbiorniki psychodynamicznego pola, do walki rzucono readerów.

Na Planecie było dziesięć miliardów ludzi i tylko stu dwudziestu dwóch zarejestrowanych readerów. Readerzy „czytali” myśli. Zagadka tej niezwyklej właściwości była na razie daleka od rozwiązania. Jasne było tylko to, że readerzy są zdumiewająco czuli na psychodynamiczne promieniowanie ludzkiego mózgu, a czułość ta jest wrodzona. Jedni readerzy, o wyjątkowej mocy, odbierali myśli człowieka oddalonego o tysiące kilometrów; inni wyczuwali psychodynamiczne sygnały jedynie w promieniu kilku kroków. Parapsycholodzy spierali się, czy readerzy są pierwszą jaskółką zwiastującą pojawienie się na ewolucyjnej drabinie nowego typu człowieka, czy to po prostu atawizm, pozostałość tajemniczego szóstego zmysłu, pomagającego naszym przodkom orientować się w nieprzebytych lasach. Najpotężniejsi readerzy pracowali na stacjach dalekosiężnej łączności, dublując łączność radiową z odległymi ekspedycjami. Wielu readerów zostawało lekarzami, sporo też było takich, którzy pracowali w dziedzinach w żaden sposób niezwiązanych z czytaniem myśli.

Pracownicy Instytutu Fizyki Przestrzeni mieli nadzieję, że readerzy zdołają przynajmniej podsłuchać „pole łączności”. Byłoby to wspaniałym potwierdzeniem teorii przenikających się wzajemnie przestrzeni. Na zaproszenie instytutu na Kotlin zjechali się najlepsi readerzy Planety. Zamysł doświadczenia był prosty. Jeśli „pole łączności” pomiędzy sąsiadującymi przestrzeniami istnieje, to zgodnie z teorią powinno przypominać dynamiczne pole ludzkiego mózgu, i, co za tym idzie, być odbierane przez readerów. Jeśli umieści się readera w specjalnej celi, odizolowanej od świata zewnętrznego (w tym również od ludzkich myśli) grubą warstwą mezosubstancji, w celi zostanie tylko pole grawitacyjne ziemi, obojętne na pole psychodynamiczne i hipotetyczne „pole łączności”, przychodzące z sąsiadujących przestrzeni. Oczywiście, takie ustawienie doświadczenia dalekie było od ideału. Decydujący mógł być tylko wynik pozytywny. Rezultat negatywny ani nie potwierdzał teorii, ani nie obalał. Jednak w tej chwili była to jedyna możliwość. Readerów aktywizowano neutronowym promieniowaniem, potęgującym czułość mózgu, umieszczano w celach i zostawiano, by słuchali.



Peters i Koczyn powoli szli główną ulicą naukowego miasteczka. Poranek był mglisty, szary, słońce jeszcze nie wzeszło, ale daleko przed nimi, na ogromnej wysokości świeciły różowo wieże odbiorników energii. Peters kroczył z rękami założonymi za plecy i nucił *Johnny coming down to hailou, poor old man*, Koczyn z niezależną miną szedł obok i starał się o niczym nie myśleć. Przed jednym z domków Peters nagle przestał śpiewać i zatrzymał się.

– Poczekajmy – powiedział.

– Dlaczego? – Zainteresował się Koczyn.

– Siverson prosi mnie, żebym poczekał – Peters kiwnął głową w stronę domku. – Już wkłada płaszcz.

Raz, dwa, trzy, pionierami jesteśmy my, wyrecytował w myśli Koczyn. Dwóch readerów to dokładnie dwa razy... pięć razy pięć równa się jedenaście czy coś w tym stylu.

– Siverson jest sam? Nie ma przewodnika? – powiedział głośno.

– Pięć razy pięć to dwadzieścia pięć – rzekł mrukliwie Peters. I nie wiem, dlaczego nie daliście Siversonowi przewodnika.

W drzwiach domku pojawił się Siverson.

– Proszę nie przeklinać, młody człowieku – powiedział surowo do Koczyna. – My w pana wieku byliśmy uprzejmiejsi...

– No, no, Siverson, mój stary – skarcił go Peters. – Sam wiesz, że tak nie myślisz... Dziękuję, spałem dobrze. I wiesz – śniły mi się bobry. Jakby mój Harry przyleciał z Wenus...

Siverson zszedł na chodnik i wziął Petersa pod rękę.

– Chodźmy – powiedział. – Bobry... ostatnio sam czuję się jak bóbr. Tobie przynajmniej coś się śni, a mnie... Opowiadałem ci, że urodziła mi się wnuczka, Peters? Opowiadałem... I nie mogę jej zobaczyć nawet we śnie, bo jeszcze nie widziałem na jawie. Jest mi wstyd, Peters. Na stare lata zajmować się takimi bzdurami! Oczywiście, że to bzdury, nie sprzeciwiaj mi się...

Koczyn szedł za parą starych readerów i powtarzał w myśli: Całka z zera do nieskończoności; e w stopniu minus x kwadrat, pierwiastek z d, dzielony na pół... Okręgiem nazywa się miejsce geometryczne wszystkich punktów płaszczyzny, w jednakowej odległości...

– Jestem lekarzem – mówił dalej stary Siverson – w swojej miejscowości znam wszystkich i mnie wszyscy znają... Całe życie słuchałem ludzkich myśli. Przez całe życie codziennie przychodziłem komuś z pomocą, ponieważ słyszałem jego myśli... A teraz mi wstyd siedzieć w kompletnej samotności w tych idiotycznych: kazamatach i słuchać – czego? – szeptów widm! Szeptów wymyślonych duchów, zrodzonych przez czyjąś chorobę wyobraźni! Nie zaprzeczaj, Peters, jestem dwa razy starszy od ciebie!

Niepisany kodeks readerów zabraniał im myślowej rozmowy w obecności zwykłych ludzi. Koczyn nie był readerem i był obecny. Powtarzał w myślach: Wartość oczekiwana sumy przypadkowych wielkości równa jest sumie ich wartości oczekiwanych... Powiedziałbym mu parę słów... Sumie ich wartości oczekiwanych... wartości oczekiwanych...

– Oderwali nas od naszej pracy – zrzucił dalej Siverson. Zagnali w tą szarą mgłę... Nie sprzecznij się, Peters, właśnie zagnali! Mnie zagnali! Nie mogłem odmówić prośbie, ale i tak uważam to za gwałt zadany jednostce... Nie sprzecznij się, Peters, jestem dwa razy starszy od ciebie. Nigdy w życiu nie żałowałem, że jestem readerem. A ty żałowałaś? Tak? No, to twoja sprawa. Jasne, bobrom reader niepotrzebny. A ludziom chorym i cierpiącym potrzebny...

– Zaczekaj, mój stary – przerwał mu Peters. – Jak widzisz, readerzy potrzebni są również zdrowym. Zdrowym, ale cierpiącym.

– Kto tu niby jest zdrowy? – wykrzyknął Siverson. – Ci fizycy-alechemicy? A jak myślisz, dlaczego do tej pory stąd nie odjechałem? Nie mogę ich, niech to licho porwie, zmartwić! Nie, młody człowieku – zatrzymał się nagle i odwrócił do Koczyna. – Takich jak ja jest niewielu! Takich starych i doświadczonych readerów! Może pan nie mamrotać swojej abrakadabry i tak wyraźnie słyszę, dokąd mnie pan posyła! Peters, nie broń tego żółtodzioba, wiem, co mówię! Jestem starszy od was obu pomnożonych przez siebie!

Sześćdziesiąt dwa pomnożyć przez dwadzieścia jeden, obliczał z uporem Koczyn, czerwony i spocony ze złości. To będzie... to będzie... Kłamiesz, stary, nie możesz mieć tyle lat... I w ogóle... „Po niebie północy anioł leciał...” Kto to napisał? Lermontow.

Nad miasteczkiem rozległo się chrypienie głośnika: „Uwaga, towarzysze! Nadajemy ostrzeżenie miejscowej stacji mikropogodowej. Od dziewiątej trzydzieści rano do dziesiątej pięć wieczorem nad wschodnimi krańcami wyspy Kotlin spadnie niezbyt intensywny deszcz. Zachodnia granica strefy deszczu – obrzeża parku”.

– Jesteś przezorny, Siverson – powiedział Peters. – Założyłeś płaszcz.

– Nie – warknął Siverson – po prostu poznałem decyzję synoptyków już o szóstej rano, gdy jeszcze ją omawiali...

To jest coś! – pomyślał z zachwytem Koczyn.

– Jesteś bardzo silnym readerem – rzekł Peters z wielkim szacunkiem.

– Brednie! – warknął Siverson. – Dwadzieścia trzy kilometry. Też byś wziął tę myśl, tylko spałeś. A mnie na tej mglistej wyspie dręczy bezsenność.

Gdy wyszli na obrzeża miasta, dogonił ich trzeci reader. Ten był młody, miał reprezentacyjny wygląd i wypielegnowaną, pewną siebie twarz, a na sobie modną złotą togę. Towarzyszył mu Pietia Bystrow.

Gdy readerzy wymienili się bezgłośnymi powitaniem, Pietia Bystrow popatrzył na nich ukradkiem, przesunął dłonią po szyi i powiedział samymi wargami:

– Jak mi ciężko!

Koczyn rozłożył ręce.

Początkowo readerzy szli w milczeniu.

Koczyn i Bystrow przygarbieni sunęli za nimi w odległości kilku metrów. Nagle Siverson ryknął falsetem:

– Proszę mówić na głos, McConty! Proszę mówić słowami w obecności młodych ludzi, którzy nie są readerami!

– Siverson, mój stary! – westchnął Peters, patrząc na niego z wyrzutem.

McConty machnął połą togi i powiedział z wyższością:

– Cóż, mogę to powtórzyć słowami! Nie mam nic do ukrycia: nie mogę nic wziąć w tych idiotycznych celach. Zapewniam was, tam nie ma absolutnie nic do wzięcia.

– To nie pańska sprawa, młody człowieku! – zaklekotał Siverson. – Jestem od pana starszy, a jednak siedzę tu i nie skarżę się, i będę siedzieć dopóty, dopóki będzie to potrzebne uczonym! Skoro uczeni nas o to proszą, to znaczy, że mają ku temu ważne powody! – Siverson, mój stary – odezwał się znowu Peters. – Tak, to bez wątpienia mniej zajmujące niż sterczenie na skrzyżowaniach w złotej chlamidzie i podsłuchiwanie cudzych myśli! I zdumiewanie dziewcząt! Proszę nie zaprzeczać, McConty, wiem, że pan to robi!

McConty oklapł i przez jakiś czas wszyscy szli w milczeniu. Wreszcie odezwał się Peters:

– Niestety, McConty ma rację. To znaczy, oczywiście nie w tym, że podsłuchuje cudze myśli. Ja też nic nie mogę wziąć w tej celi. I ty też, Siverson, mój stary. Boję się, że eksperyment zakończy się fiaskiem.

Siverson mruknął coś niezrozumiałego.

Ciężka płyta tytanicznej stali pokryta z obu stron błyszczącą warstwą mezosubstancji opuściła się powoli i Peters został sam. Usiadł w fotelu naprzeciwko pustego stolika i przygotował się na dziesięciogodzinną nudę. Zgodnie z warunkami eksperymentu nie mógł ani czytać ani pisać. Trzeba było siedzieć i słuchać ciszy. Absolutnej ciszy. Mezoochrona nie przepuszczała z zewnątrz ani jednej myśli. W tej celi Peters po raz pierwszy w życiu odczuwał zdumiewająco nieprzyjemne wrażenie głuchoty. Konstruktorzy celi nie podejrzewali nawet, jak bardzo sprzyja eksperymentowi taka cisza.

Reader, który ma wrażenie, że „ogłuchł”, mimo woli zaczyna z coraz większym napięciem nasłuchiwać, starając się złowić choćby cień sygnału. Konstruktorzy nie wiedzieli też zapewne, jakie męki cierpi reader, przyzwyczajony do nieustannego szumu ludzkich myśli, siedząc w głuchej celi przez dziesięć godzin. Peters nazwał ten pokój całą tortur i wielu readerów podchwyciło tę nazwę.

Odsiedzialem tu już sto dziesięć godzin, myślał Peters. Dzisiaj pod koniec dnia będzie sto dwadzieścia. I nic. Żadnych śladów słynnego „pola łączności”, o którym tak wiele myślą nasi fizycy. Sto godzin to przecież dużo. Na co oni liczą? Stu readerów, licząc po sto godzin każdy, to dziesięć tysięcy godzin. Biedni fizycy! I biedni readerzy! Pete Balantine, ten smarkacz, nieopierzony zoolog, na pewno się spóźni z dokarmianiem. I to co najmniej o dekadę. Trzeba będzie jeszcze dzisiaj wieczorem dać radiogram. Ale on jest uparty jak osioł, nie chce nawet słyszeć o specyfice Jukonu... Winter to też smarkacz! – rozgniewał się Peters. Yujin, zarozumiała idiotka... Bobry trzeba kochać czule, całym sercem! Żeby same wychodziły do ciebie na brzeg i wtykały mordki w twoje dłonie. Mają takie śliczne, pocieszne mordki! A ci... hodowcy... mają tylko jeden problem: jak z jednego bobra zdjąć dwie skóry i jeszcze zmusić go, żeby wyhodował trzecią... Ech, nie ma ze mną Harry'ego... Harry, synu, żebyś ty wiedział, jak mi bez ciebie ciężko!

Pamiętam jak dziś, przyszedł do mnie... Kiedy to było? W styczniu... Nie, w lutym... W sto dziewiętnastym. Przyszedł do mnie i mówi, że idzie jako ochotnik na Wenus. Tak właśnie powiedział: „Wybacz, ojcze, ale nasze miejsce jest tam”. Potem przyleciał jeszcze dwa razy – w sto dwudziestym pierwszym i w sto dwudziestym piątym... Stare bobry go pamiętały, a on też pamiętał je wszystkie. Mnie ciągle mówił, że przyjechał, bo się stęsknił, ale ja wiedziałem, że przyjeżdża się leczyć. Ach, Harry, Harry, moglibyśmy teraz zabrać wszystkie nasze bobry i stworzyć niezłą fermę na Wenus. Teraz już można, teraz wozi się tam wiele zwierząt... A ty tego nie dożyłeś.

Peters wyciągnął chusteczkę, otarł oczy, wstał i zaczął chodzić po celi. Przekłeta, bezsensowna klatka! Długo jeszcze będą nas w niej trzymać? Pomyślał, że teraz pewnie miota się cała setka readerów, każdy w swojej klatce. Stary, krzykliwy Siverson, jednocześnie zgorzkniały i dobry. I zarozumiały idiota McConty. Skąd się biorą tacy jak on? Widocznie zdarzają się jedynie wśród readerów. A wszystko dlatego, że „readeryzm” to anomalia. Przynajmniej na razie. Na szczęście tacy jak McConty to rzadkość, nawet wśród readerów. Wśród zawodowców takich w ogóle nie ma. Na przykład Jura Rusakow, reader dalekosiężnej łączności. Na stacjach wielu jest takich jak on, ale mówią, że Jura ma największą moc. Podobno to najsilniejszy reader na świecie. On nawet „bierze” kierunek, a to się zdarza bardzo rzadko. Jest readerem od najwcześniejszego dzieciństwa i od najwcześniejszego

dzieciństwa o tym wie. A jednak to wesoły chłopak. Dobrze go wychowali, nie zrobili z niego geniusza ani dziwoląga. Najstraszniejsze dla dziecka to nadmiernie kochający rodzice. Ale jego wychowała szkoła i wyrósł na wspaniałego człowieka. Podobno płakał, gdy odbierał ostatnie sygnały „Poszukiwacza”. Na „Poszukiwacza” po katastrofie został tylko jeden żywy człowiek – młody stażysta Walter Saronian. Bardzo utalentowany chłopak i człowiek o żelaznej woli. Ranny, nawet umierający zaczął szukać przyczyny katastrofy i znalazł ją!

Peters skoncentrował się. Wydało mu się, że coś ledwie zauważalnym cieniem prześliznęło się przez jego świadomość. Nie, to tylko echo od ścian. Ciekawe, jak powinno to wyglądać, gdyby istniało? Georgie twierdzi, że teoretycznie powinno być odbierane jako szum. A przy tym nie może, oczywiście, wyjaśnić, czym właściwie jest ten szum, bo gdy próbuje, natychmiast schodzi na matematykę albo przywołuje niepewne analogie z zepsutym odbiornikiem radiowym. Fizycy teoretycznie wiedzą, czym jest szum, ale nie mają o nim intuicyjnego pojęcia, a readerzy nie mając pojęcia o teorii, może słyszą ten szum dwadzieścia razy dziennie i nawet tego nie podejrzewają. Jaka szkoda, że nie ma ani jednego fizyka readera! – pomyślał Peters. No, może Jura Rusakow zostanie pierwszym. Albo któryś z tych młodych ze stacji dalekosiężnej łączności. Dobrze, że my intuicyjnie odróżniamy cudze myśli od swoich i tylko przypadkiem możemy przyjąć echo za postronny sygnał...

Peters usiadł i wyciągnął nogi. Zabawną rzecz wymyślili ci fizycy – łowić duchy z innego świata. Naprawdę, przyrodoznawstwo w świecie duchów. Popatrzył na zegarek. Minęło dopiero trzydzieści minut. Cóż, duchy to duchy. Będziemy słuchać.

Dokładnie o siedemnastej zero zero Peters podszedł do drzwi. Ciężka tytanowa płyta uniosła się i w świadomość Petersa wdarł się wicher obcych myśli. Jak zawsze zobaczył napięte, wyczekujące twarze fizyków i jak zawsze pokręcił przecząco głową. Było mu ogromnie żal tych młodych, mądrych ludzi. Wiele razy wyobrażał sobie, jak to będzie cudownie, gdy od samego progu uśmiechnie się i powie: „Jest pole łączności, wziąłem wasze pole”. Ale co można zrobić, skoro tego „pola łączności” albo nie ma, albo nie poddaje się readerom.

– Nic – powiedział głośno i poszedł w stronę korytarza.

– Wielka szkoda – rzucił jeden z fizyków, bardzo zdenerwowany. Zawsze mówił to samo.

Peters podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Niech pan posłucha – powiedział. – Może już wystarczy? Może popełniście jakiś błąd?

– Ależ skąd, towarzyszu Peters! Doświadczenia dopiero się zaczęły. Na początek nie spodziewaliśmy się niczego innego. Zwiększymy aktywowanie... żebyście tylko wy zgodzili się kontynuować...

– Musimy zebrać duży materiał statystyczny – dodał drugi fizyk. – Wtedy dopiero będziemy mogli wyciągnąć jakieś wnioski...

Bardzo na was liczymy, towarzyszu Peters, na pana osobiście i na pańskich przyjaciół...

– Tak – odparł Peters. – Oczywiście.

Doskonale wiedział, że oni na nic już nie liczą. Może tylko na cud. Ale... w końcu wszystko jest możliwe.

## O podróżujących i pielgrzymujących

Woda w głębinie nie była bardzo zimna, ale i tak zmarzłem. Siedziałem na dnie pod samym urwiskiem i całą godzinę kręciłem głową, wpatrując się w zielonkawy mrok. Trzeba było siedzieć nieruchomo, bo tropiciele to zwierzęta czujne i nieufne, może je odstraszyć nawet najśłabszy dźwięk czy gwałtowniejszy ruch. Wtedy odejdą i wrócą dopiero nocą, a nocą lepiej się do nich nie zbliżać.

Pod nogami kręcił się węgorz, nadęty pasiasty okoń z dziesięć raz przepływał obok mnie tam i z powrotem. Za każdym razem zatrzymywał się i wytrzeszczał na mnie bezmyślne okrągłe oczy. Wystarczyło, że odpłynął, by pojawiało się stadko srebrzystych malutkich rybek, które urządziły sobie nad moją głową pastwisko. Kolana i ramiona zdrętwiały mi zupełnie. Niepokoiłem się, że Maszka nie może się na mnie doczekać i w końcu wejdzie do wody, żeby mnie szukać i ratować. Zobaczyłem bardzo wyraźnie, jak siedzi sama na brzegu i czeka, i boi się o mnie, i bardzo chce skoczyć mi na ratunek. Już postanowiłem wypłynąć, kiedy wreszcie z zarośli, dwadzieścia metrów po prawej stronie, wypłynął głowonóg.

To był duży egzemplarz. Pojawił się bezszelestnie, od razu, jak zjawa, okrągłym szarym tułowiem do przodu. Biały płaszcz pulsował miękko i bezwolnie, pobierając i wypychając wodę; septopod kołysał się lekko z boku na bok. Końce podkurczonych ramion, przypominające strzępy starej szmaty, wlokły się za nim. Mętnie świeciła w mroku szczelina przesłoniętego powieką oka. Płynął bardzo powoli, jak zawsze w ciągu dnia, w dziwnym stanie odrętwienia. Zmierzał nie wiadomo dokąd i po co. Prawdopodobnie kierowały nim najbardziej prymitywne i ciemne instynkty, takie same, jakie sterują ruchami ameby.

Powoli i płynnie uniosłem trasownik i poruszyłem łufą, celując we wzdęty odwłok. Srebrzysty drobiazg zatrzepotał i znikł. Wydawało mi się, że potężna powieka nad ogromnym szklistym okiem drgnęła. Zwolniłem spust i natychmiast odbiłem się od dna, ratując się przed żrącą sepią. Po chwili septopoda już nie było widać, został po nim tylko czarny obłoczek, który rozpływał się po wodzie, zasnuwając dno. Wynurzyłem się na powierzchnię i podpłynąłem do brzegu.

Dzień był gorący i jasny, niebo puste i białe; nad wodą wisały błękitne opary, zza lasu wystawały niczym wieże nieruchome siwe chmury.

Na trawie przed naszym namiotem siedział jakiś obcy człowiek w kolorowych slipach i z opaską na czole. Był opalony i nie tyle muskularny, co żyłasty, jakby pod skórą splatały mu się zwoje lin. Od razu było widać, że jest niewiarygodnie silny. Przed nim stała moja Maszka w niebieskim kostiumie kąpielowym – długonoga, śniada, ze spłowiałymi włosami do ramion. Więc wcale nie siedziała nad wodą, wypatrując z niepokojem swojego ojca! Właśnie coś z zapalem opowiadała temu żyłastemu facetowi, gestykulując energicznie. Nawet zrobiło mi się przykro, że nie zauważyła mojego powrotu. Ale facet zauważył. Szybko odwrócił głowę, przypatrzył mi się, uśmiechnął i pomachał otwartą dłońią. Maszka odwróciła się i zawołała radośnie:

– A, jesteś!

Wyszedłem na trawę, zdjąłem maskę i otarłem twarz. Facet przyglądał mi się z uśmiechem.

– Ile oznakowałeś? – spytała rzeczowo Maszka.

– Jednego – szczęki z trudem mi się rozwierały.

– Ech, ty – powiedziała Maszka. Pomogła mi zdjąć akwastat; wyciągnąłem się na trawie. – Wczoraj dwa – wyjaśniła facetowi. Przedwczoraj cztery. Jeśli tak dalej pójdzie, to już lepiej od razu przenieść się nad inne jezioro. – Wzięła ręcznik i zaczęła rozcierać mi plecy. – Wyglądasz jak mrożona gęś – powiedziała. – To Leonid Andriejewicz Gorbowski.

Astroarcheolog. A to, Leonidzie Andriejewiczu, mój tata Stanisław Iwanowicz.

Żyłasty Leonid Andriejewicz skinął głową, ciągle się uśmiechając.

– Zmarł pan – powiedział. – A u nas tak pięknie... słońce, trawka...

– Zaraz mu przejdzie – usprawiedliwiła mnie Maszka, rozcierając mnie z całych sił. – Zawsze jest bardzo wesoły, tylko teraz zmarł...

Było jasne, że naopowiadała o mnie różności i teraz usilnie stara się podtrzymać moją reputację. Niech podtrzyma, ja nie mam na to czasu. Szczękałem zębami.

– Oboje z Maszą bardzo się o pana niepokoiłiśmy – powiedział Gorbowski – nawet chcieliśmy nurkować za panem, ale ja nie umiem. Pewnie trudno panu sobie wyobrazić człowieka, który jeszcze ani razu nie nurkował. – Położył się na plecach, potem przewrócił na bok i podparł ręką. – Jutro wylatuję – oznajmił ufnie. – Nie wiem, kiedy znowu uda mi się położyć na trawce nad jeziorem, w dodatku mając możliwość nurkowania z akwastatem.

– Proszę bardzo – zaproponowałem.

Uważnie obejrzał akwastat i dotknął go.

– Koniecznie – powiedział i położył się na plecach.

Podłożył ręce pod głowę i patrzył na mnie, powoli mrugając rzadkimi rzęsami. Było w nim coś nieodparcie sympatycznego. Nawet nie wiem, co to takiego. Może oczy – ufne i trochę smutne. A może ucho, które zabawnie odstawało, przyciśnięte opaską. Gdy już się na mnie napatrzył do woli, odwrócił wzrok i zaczął obserwować ważkę, kołyszącą się na żdźble trawy. Ułożył wargi w trąbkę.

– Ważka – powiedział. – Ważka. Niebieska... piękna... Siedzi sobie i patrzy, kogo by tu zjeść. – Wyciągnął rękę, ale ważka zerwała się i łukiem poleciała w trzciny. Odprowadził ją wzrokiem i znowu się położył. – Jakie to skomplikowane, przyjaciele – powiedział. Maszka od razu usiadła i wpiła się w niego okrągłymi oczami. Taka doskonała i ze wszystkiego zadowolona! Zjadła muchę, rozmnożyła się, no i pora umierać. Prosto, elegancko i racjonalnie. Nie przeżywa ani duchowego zamętu, ani miłosnych mąk, ani sensu istnienia...

– Maszyna – odezwała się nagle Masza – nudny cyber.

I to moja Maszka! Omal nie parsknąłem śmiechem, ale się powstrzymałem i tylko sapnąłem. Masza popatrzyła na mnie z niezadowoleniem.

– Nudny – zgodził się Gorbowski. – Właśnie. A teraz proszę sobie wyobrazić, towarzysze, ważkę w jadowitym zielonożółtym kolorze, z czerwonymi paskami, rozpiętość skrzydeł siedem metrów, na szczękach obrzydliwy czarny śluz... wyobraziliście sobie? Uniósł brwi i popatrzył na nas. – Widzę, że nie. Leciałem kiedyś za taką ważką, a przecież miałem broń... i pytam się, co nudne cybery mają z tym wspólnego?

– Ta zielona – powiedziałem – to zapewne z innej planety?

– Bez wątplenia.

– Z Pandory?

– Z Pandory.

– Co mają wspólnego?

– Tak. Co?

– Przecież to jasne: jednakowy poziom przetwarzania informacji. Reakcja na poziomie instynktu.

Westchnął.

– Słowa – powiedział. – Proszę się nie gniewać, ale to tylko słowa. To mi nie pomoże. Mam szukać inteligencji w całym Wszechświecie, a nie potrafię określić, co to takiego. Mówi mi się o różnych poziomach przetwarzania informacji. Niby wiem, że ten poziom jest inny

u mnie i inny u ważki, ale przecież to intuicja. Powiedzmy, że znalazłem kopce termitów. Czy to są ślady inteligencji, czy nie? Na Marsie i Władysławie znaleźliśmy budynki bez okien i drzwi. Czy to ślady inteligencji? Czego mam szukać? Ruin? Napisów? Zardzewiałego gwoźdźca? Nakrętki? Skąd mam wiedzieć, jakie oni zostawiają ślady? A może celem ich życia jest niszczenie atmosfery wszędzie, gdzie się pojawiają? Albo budowanie atmosfery, albo tworzenie pierścieni wokół planety? A może hybrydyzowanie życia? Albo tworzenie życia? A może ta ważka jest właśnie uruchomionym w niepamiętnych czasach i nastawionym na autoreprodukcję aparatem cybernetycznym? Już nie mówię o samych nosicielach inteligencji. Przecież można dwadzieścia razy przejść obok śliskiego straszdyła chrząkającego w kałuży i tylko odwrócić się z niesmakiem. A straszdyło patrzy na ciebie oczami o żółtych białkach i rozmyśla: „Interesujące. Nowy gatunek. Trzeba będzie tu wrócić z ekspedycją i złapać choćby jeden egzemplarz...”

Gorbowski zasłonił oczy dłonią i zanucił jakąś melodię. Maszka pożerała go wzrokiem i czekała. Ja też czekałem, myśląc ze współczuciem: Źle się pracuje, gdy zadanie nie zostało precyzyjnie postawione. Ciężko. Błądzisz jak we mgle i nie masz żadnej satysfakcji z pracy. Słyszałem o tych astroarcheologach. Nie można było poważnie ich traktować. Zresztą nikt ich tak nie traktował.

– A inteligencja w kosmosie jest – powiedział nagle Gorbowski. – Bez wątpienia. Teraz wiem już na pewno, że jest. Ale nie taka, jak myślimy. Nie taka, na jaką czekamy. I szukamy jej nie tam, gdzie trzeba. Albo nie tak, jak trzeba. A może po prostu nie wiemy, czego szukamy...

Właśnie, pomyślałem. Nie taka, nie tam, nie tak... To niepoważne, towarzysze... Dziecinada...

– Na przykład Głos Pustki – ciągnął Gorbowski. – Słyszeliście? Na pewno nie. Pięćdziesiąt lat temu o tym pisali, teraz już nie piszą. Dlatego, że badania nie posuwają się naprzód, a skoro się nie posuwają to może i Głosu nie ma? Mamy pod dostatkiem takich urzędasów. Nie mają pojęcia o nauce, na skutek lenistwa albo złego wykształcenia, ale słyszeli, że człowiek jest wszechmogący. Wszechmogący, a Głosu Pustki rozgryźć nie może. Jaki wstyd, tak nie można, nie będziemy... Nic innego, tylko tani antropocentryzm...

– A co to takiego ten Głos Pustki? – spytała Maszka cichutko.

– To taki ciekawy efekt, występujący na niektórych trasach w kosmosie. Jeśli włączy się pokładowy odbiornik na automatyczne dostrajanie, wcześniej czy później sam się nastroi na dziwną audycję. Jest to głos, spokojny i obojętny, powtarzający jedno i to samo zdanie w dziwnym języku. Astronaucci łapią go od wielu lat, a on od wielu lat powtarza to samo. Ja go słyszałem, wielu ludzi go słyszało, tylko niewielu o tym opowiada. To nieprzyjemne wspomnienie. Niewyobrażalna odległość od ziemi, pusty eter, nie ma nawet zakłóceń, tylko słabe szmery. I nagle rozlega się ten głos. A ty jesteś na wachcie sam. Wszyscy śpią, głucha cisza i ten głos. Nieprzyjemnie, słowo honoru. Istnieją nawet nagrania tego głosu. Wielu uczonych męczyło się i do dziś się męczy nad deszyfracją, ale moim zdaniem bez sensu... Są też inne zadania. Kosmonaucci dużo mogliby opowiedzieć, tylko nie lubią... – zamilkł i dodał dziwnie smutno: – To trzeba zrozumieć. To nie takie proste. My przecież nie wiemy, czego się spodziewać. Tamci mogą się z nami spotkać w każdej chwili. Twarzą w twarz. I w dodatku, sami rozumiecie, może się okazać, że stoją znacznie wyżej niż my. Są zupełnie inni i w dodatku stoją niepomierne wyżej. Dyskutuje się o spotkaniach i kontaktach, o różnym rozumieniu humanitaryzmu i dobra ludzkości, a ja boję się czegoś innego. Boję się niebywałego poniżenia człowieka, gigantycznego psychologicznego szoku. Jesteśmy tacy

z siebie dumni. Stworzyliśmy taki wspaniały świat, wiemy tak dużo, wyrwaliśmy się w Wielki Wszechświat. Odkrywamy w nim, badamy, studiujemy... ale co? Dla nich ten Wszechświat to ojczysty dom. Mieszkają w nim od milionów lat, jak my na naszej Ziemi, i tylko się dziwią: skąd się wzięli tacy wśród gwiazd?

Nagle zamilkł i zerwał się, nasłuchując. Wzdrygnąłem się.

– To grzmot – powiedziała cichutko Masza. Patrzyła na niego z rozchyłonymi ustami. – Grzmot. Będzie burza...

Gorbowski przez cały czas nasłuchiwał, wodząc oczami po niebie.

– Nie, to nie grzmot – powiedział w końcu i usiadł. – To liniowiec. Widzicie? – Na tle szarych chmur błysnął i znikł lśniący pasek. I znowu rozległ się słaby łoskot.

– Siedź teraz i czekaj – powiedział niezrozumiale. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się. W oczach miał smutek i napięte oczekiwanie. Po chwili to wszystko znikło, a jego oczy stały się takie jak przedtem, ufne. – A czym pan się zajmuje, Stanisławie Iwanowiczu?

Pomyślałem, że chce zmienić temat, i zacząłem opowiadać o septopodach. Że należą do podgromady dwuskrzelnych, gromady głowonogów i reprezentują szczególnie, nieznanym wcześniej gatunek z rzędu ośmiornic. Charakteryzują się redukcją trzeciego lewego ramienia parzystego w stosunku do trzeciego prawego hektokotylizowanego, trzema rzędami ssawek na ramionach, niezwykle silnym rozwojem serca, maksymalną dla głowonogów koncentracją centralnego systemu nerwowego oraz kilkoma innymi, mniej istotnymi cechami. Odkryto je niedawno, gdy pierwsze pojedyncze osobniki pojawiły się przy południowo-wschodnich i wschodnich brzegach Azji. Po roku zaczęto na nie natrafiać w dole wielkich rzek Mekongu, Jangcy, Huang-Ho i Amuru; a także w jeziorach, w znacznym oddaleniu od brzegu oceanu, na przykład w tym jeziorze. To było zdumiewające, ponieważ głowonogi są stworzeniami słonowodnymi i nawet unikają arktycznych wód ze względu na za niskie zasolenie. I właściwie nigdy nie wychodzą na ląd. Ale fakt pozostaje faktem: septopody czują się wspaniale w słodkiej wodzie i często ją opuszczają. Wchodzą na łódki i mosty, a jakiś czas temu dwa osobniki znaleziono w lesie, trzydzieści kilometrów stąd...

Maszka mnie nie słuchała. Jej już to wszystko opowiadałem. Poszła do namiotu, przyniosła radio i włączyła automatyczne dostrajanie. Najwidoczniej nie mogła się doczekać, żeby złapać Głos Pustki.

Gorbowski natomiast przysłuchiwał się bardzo uważnie.

– Te dwa były żywe? – spytał.

– Nie, znaleziono je martwe. W lesie jest skansen; septopody zostały zdeptane i do połowy zjedzone przez dzikie knury. Ale trzydzieści kilometrów od wody nadal żyły! Ich skóra była nabita wilgotnymi wodorostami. Widocznie w ten sposób septopody zapewniają sobie zapas wody na wędrówki po lądzie. Wodorosty pochodziły z jeziora, a septopody oddalały się od tych jezior na południe, w głąb lądu. Musi pan wiedzieć, że wszystkie złapane do tej pory osobniki były dorosłymi samcami. Ani jednej samicy, ani jednego młodego. Najwidoczniej samice i młode nie mogą żyć w słodkiej wodzie i wychodzić na ląd. To bardzo interesujące – mówiłem dalej. – Przecież na ogół zwierzęta oceaniczne zmieniają swój styl życia jedynie w okresie rozmnażania. Wtedy instynkt zmusza je do odwiedzania najbardziej nietypowych miejsc. Ale tutaj nie może być mowy o rozmnażaniu. Widocznie w grę wchodzi jakiś inne instynkty, bardziej pierwotne i potężniejsze. Teraz najważniejszą sprawą jest prześledzenie drogi ich migracji. Dlatego siedzę w tym jeziorze pod wodą po dziesięć godzin dziennie. Dzisiaj oznakowałem jednego. Jeśli mi się uda, do wieczora oznakuję jeszcze dwa. Nocą stają się niezwykle aktywne i chwytają wszystko, co się do nich zbliży. Były nawet



przypadki atakowania ludzi. Ale tylko nocą.

Maszka włączyła odbiornik na pełny regulator i rozkoszowała się głośnymi dźwiękami.

– Ciszej, Masza – poprosiłem.

Ściszyła.

– A więc pan je znakuje – powiedział Gorbowski. – Zabawne. Czym?

– Generatorami ultradźwięku. – Wyciągnąłem z trasownika magazynek i pokazałem ampulkę. – Takimi pociskami. Zawierają generator, słyhać go pod wodą na dwadzieścia, trzydzieści kilometrów.

Wziął ostrożnie ampulkę i uważnie obejrzał. Twarz mu posmutniała i postarzała się.

– Inteligentne – wymamrotał. – Proste i inteligentne...

Przez cały czas obracał ampulkę w palcach, jakby obmacywał, w końcu położył przede mną na trawie i wstał. Poruszał się wolno i niepewnie. Podszedł do swojego ubrania, rozrzucił je, znalazł spodnie i zastygł trzymając je przed sobą.

Obserwowałem go, czując niejasny niepokój. Maszka trzymała trasownik w pogotowiu, żeby opowiedzieć, jak się nim posługiwać i też obserwowała Gorbowskiego. Kąciki jej warg żałośnie opadły. Już dawno zauważyłem, że gdy na kogoś patrzy, jej twarz przybiera taki wyraz.

Leonid Andriejewicz nagle zaczął mówić, cicho i z kpina w głosie:

– Słowo daję, to naprawdę zabawne... niesłychana analogia. Przez całe wieki siedziały w głębinach, a teraz wynurzyły się i wyszły w obcy, wrogi świat. Co takiego je tu pcha? Pierwotny instykt? Sposób przetwarzania informacji, który urósł do poziomu nieznośnej ciekawości? A przecież powinny siedzieć u siebie, w słonej wodzie, ale coś je ciągnie na brzeg... – Wzdrygnął się i zaczął wkładać staromodne, długie spodnie. Podskakiwał przy tym na jednej nodze. – Stanisławie Iwanowiczu, czy dobrze mi się wydaje, że to nie są zwykłe głowonogi?

– W swoim rodzaju, oczywiście – przyznałem.

Nie słuchał. Odwrócił się do odbiornika i wpatrzył w niego. Ja i Maszka też utkwiliśmy wzrok w radiu. Emitowało głośne sygnały, przypominające zakłócenia od aparatu rentgenowskiego. Maszka odłożyła trasownik.

– Sześć i osiem setnych metra – powiedziała stropiona. – Jakaś stacja obsługi czy co?

Gorbowski wsłuchał się w sygnały, przechylając głowę na bok.

– To nie stacja obsługi – powiedział. – To ja.

– Co?

– To ja. Leonid Andriejewicz Gorbowski.

– Jak to?

Zaśmiał się niewesoło.

– Rzeczywiście, jak to? Bardzo chciałbym wiedzieć, jak? Wkładał koszulę. – Po co ktoś miałby uczynić trzech pilotów i ich statek, wracający z rejsu EN 101-EN 2657, źródłem fal radiowych o długości sześć i osiemdziesiąt trzy tysięczne?

Oboje z Maszką milczeliśmy. Gorbowski zamilkł na chwilę, zapinając sandały.

– Badali nas lekarze. Badali fizycy... – mówił i otrząpywał spodnie z piasku i trawy. – I wszyscy doszli do tego samego wniosku: to niemożliwe. Można było umrzeć ze śmiechu, patrząc na ich miny. Ale nam było nie do śmiechu. Tola Obozow zrezygnował z urlopu i poleciał na Pandorę. Oświadczył, że woli promieniować jak najdalej od Ziemi. Valkenstein znalazł pracę na stacji podwodnej. I tylko ja teraz chodzę i promieniuję. I na coś przez cały czas czekam. Czekam i boję się. Rozumiecie mnie?

– Nie wiem – odparłem, zerkając na Maszę.

– Macie rację. – Podniósł odbiornik i w zadumie przyłożył go do odstającego ucha. – Nikt nie wie. To już tak od miesiąca. Nie słabnie i nie cichnie. Ua-ui... ua-ui... Dniem i nocą. Czy się cieszymy, czy martwimy. Czy jesteśmy głodni czy syci. Pracujemy czy odpoczywamy... Ua-ui... A promieniowanie „Tariela” spada. „Tariel” to mój statek. Teraz jest na orbicie. Na wszelki wypadek. Jego promieniowanie zakłócają jakieś agregaty na Wenus. Stamtąd przesyłają pytania, denerwują się... Jutro przeprowadzę go dalej. Wyprostował się i klepnął długimi rękami po biodrach. – No, na mnie czas. Do widzenia. Życzę wam powodzenia. Do widzenia, Maszeńka. Nie łam sobie nad tym głowy. To naprawdę nie jest prosta zagadka.

Uniósł otwartą dłoń, skinął głową i poszedł. Patrzyliśmy na tego wysokiego, kanciastego mężczyznę bez słowa. Przy namiocie Gorbowski przystanął:

– Wiecie co? Radziłbym spróbować jakoś delikatniej z tymi septopodami... Co z tego, że je znakujecie, skoro oznakowany ma z tego same nieprzyjemności.

I poszedł. Leżąc na brzuchu, zerknąłem na Maszę. Ciągle patrzyła za nim. Od razu było widać, że Leonid Andriejewicz zrobił na niej wrażenie. Na mnie nie. Wcale się nie przejąłem, że kosmiczni nosiciele inteligencji mogą stać niepomiernie wyżej od nas. Proszę bardzo. Moim zdaniem, im będą wyżej, tym mniej szans, że znajdziemy się na ich drodze. To tak jak płotki, które nie przejmują się siecią z wielkimi okami... Jeśli chodzi o dumę, poniżenie, szok... Prawdopodobnie jakoś to przeżyjemy. Ja bym przeżył. A że odkrywamy dla siebie i badamy dawno zamieszkały Wszechświat – cóż z tego! Dla nas on nie jest zamieszkały. A oni są tylko częścią przyrody, którą też trzeba odkryć i zbadać, niechby nawet stali trzy razy wyżej od nas... Są dla nas obcy. Chociaż... gdyby na przykład chcieli mnie oznakować tak, jak ja znakuję septopody...

Spojrzałem na zegarek i szybko usiadłem. Pora wracać do pracy. Zapisałem numer ostatniej ampułki. Sprawdziłem akwastat. Wszedłem do namiotu, znalazłem ultradźwiękowy lokator i włożyłem do kieszeni kąpielówek.

– Pomóż mi, Masza. – Wstałem, żeby naciągnąć akwastat.

Maszka ciągle siedziała przed odbiornikiem i słuchała niemilknącego „ua-ui”. Pomogła mi włożyć akwastat i razem weszliśmy do wody. Pod wodą włączyłem lokator. Zaśpiewały sygnały – to moje oznakowane głowonogi snuły się sennie pojeziorze. Popatrzyliśmy na siebie znacząco i wynurzyliśmy się. Maszka wypluła wodę, odsunęła z czoła mokre włosy i powiedziała:

– Przecież jest chyba różnica pomiędzy statkiem kosmicznym a mokrą trzcina w worku skrzelowym...

Kazałem jej wrócić na brzeg i znowu zanurkowałem. Na miejscu Gorbowskiego nie denerwowałbym się tak. To wszystko jest zbyt niepoważne, tak samo jak ta jego astroarcheologia. Ślady idei... Psychologiczny szok... Nie będzie żadnego szoku. Prawdopodobnie nawet się nie zauważymy. W końcu nie jesteśmy dla nich aż tak interesujący...

### **Dobrze urządzona planeta**

Riu stał po pas w soczystej zielonej trawie i patrzył na lądujący helikopter. Od wiatru podniesionego wirnikiem szły po trawie szerokie fale, srebrzyste i ciemnozielone. Riu miał wrażenie, że helikopter opuszcza się zbyt powoli, niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

Było bardzo gorąco i duszno. Malutkie białe słońce stało wysoko, nad trawą unosił się wilgotny upał. Wirnik zaterkotał głośniejszy, helikopter odwrócił się burtą do Riu, spadł od razu o półtora metra i utonął w trawie na szczycie wzgórza. Riu wbiegł na górę po zboczu.

Silnik ucichł, wirniki obracały się coraz wolniej i w końcu stanęły. Z kabiny helikoptera wysiedli ludzie. Pierwszy szedł wysoki, szczupły mężczyzna w kurtce z podwiniętymi rękawami. Był bez hełmu, spalone słońcem włosy stały dęba nad pociągłą brązową twarzą. Riu poznał go: to kierownik grupy, tropiciel Gienadij Komow.

– Dzień dobry, gospodarzu – powiedział wesoło, wyciągając rękę.

– Dzień dobry, tropiciele – powiedział Riu. – Witajcie na Leonidzie.

Też wyciągnął rękę, ale musieli podejść do siebie jeszcze kilkanaście metrów.

– Bardzo, bardzo się cieszę, że jesteście – Riu uśmiechnął się szeroko.

– Stęskniony?

– I to jak. Sam jeden na całej planecie.

Za plecami Komowa ktoś jęknął „och, ty” i coś z hałasem upadło na trawę.

– To Borys Fokin – wyjaśnił Komow, nie odwracając się. – Spadający archeolog.

– Cóż, jeśli na taką trawę... – powiedział Borys Fokin, wstając.

Miał rude wąsy, obsypany piegami nos, a na głowie przekrzywiony hełm z pianoplastu. Wytarł umazane na zielono dłonie o spodnie i przedstawił się. – Fokin. Tropiciel archeolog.

– Serdecznie pana witam, Fokin – powiedział Riu.

– A to Tatiana Palej, inżynier archeolog – kontynuował prezentację Komow.

Riu wyprostował się i uprzejmie skłonił głowę. Inżynier archeolog miała szare oczy i olśniewające zęby. Jej uścisk był mocny i szorstki. Kombinezon leżał na niej bardzo elegancko.

– Mówią na mnie Tania – powiedziała.

– Riu Baseda – rzekł Riu. – Riu to imię, Baseda nazwisko.

– Mboga – przedstawiał dalej Komow. – Biolog i myśliwy.

– Gdzie? – spytał Riu. – Och, proszę o wybaczenie. Najmocniej przepraszam.

– Nic się nie stało, towarzyszu Baseda – powiedział Mboga. Dzień dobry.

Mboga był Pigmejem z Kongo i nad trawą widać było tylko jego czarną głowę obwiązaną białą chustą. Obok głowy sterczała lufa karabinu.

– To Tora Łowca – dodała Tatiana.

Żeby uścisnąć dłoń Tory Łowcy, Riu musiał się nachylić. Teraz już wiedział, kim jest Mboga. Tora Łowca, członek komitetu do spraw ochrony fauny na innych planetach. Biolog, który odkrył „bakterię życia” na Pandorze. Zoopsycholog, który oswoił potworne marsjańskie *sora-tobu hiru* – latające pijawki. Riu czuł wstyd za popełniony nietakt.

– Widzę, że jest pan bez broni, towarzyszu Baseda – powiedział Mboga.

– Tak w ogóle to mam pistolet. Ale bardzo ciężki.

– Rozumiem – Mboga aprobująco pokiwał głową i obejrzał się.

– Jednak zapaliliśmy step – powiedział niegłośno.

Riu odwrócił się. Od wzgórza aż po horyzont ciągnęła się płaska równina, pokryta lśniąca soczystą trawą. Trzy kilometry od wzgórza od reaktora statku zapaliła się trawa. W jasne niebo biły gęste kłęby białego dymu. Przez tę zasłonę widać było szalupę – ciemne jajo na trzech rozstawionych nogach. Wokół statku czerniał szeroki wypalony krąg.

– Zaraz zgaśnie – uspokoił Riu. – Tu jest bardzo wilgotno.

Chodźmy, pokażę wam wasze gospodarstwo.

Wziął Komowa pod rękę i poprowadził obok helikoptera na drugą stronę wzgórza.

Pozostali ruszyli w ślad za nimi. Riu kilka razy odwracał się, kiwając im z uśmiechem.

– Zawsze to nieprzyjemnie, gdy się napaskudzi podczas lądowania – powiedział z niezadowolaniem Komow.

– Zaraz zgaśnie – powtórzył Riu.

Słyszał, jak z tyłu Fokin troszczy się o inżyniera archeolog:

– Ostrożnie, Tanieczka, tutaj chyba jest wzgórek...

– Widzę – odpowiadała inżynier. – Patrz lepiej pod własne nogi.

– Oto wasze gospodarstwo – powiedział Riu.

Zieloną równinę przecinała szeroka spokojna rzeka. W jej zakolu błyszczał falisty dach.

– To moje laboratorium – wyjaśnił Riu.

Po prawej stronie laboratorium wzbijały się w niebo słupy czarnego i czerwonego dymu.

– Tam trwa budowa magazynu.

W dymie miały się jakieś cienie. Przez moment można było zobaczyć ogromną niezgrabną maszynę na gąsienicach – robota-matkę; potem coś błysnęło, rozległ się łoskot i dym zgęstniał.

– A tam jest miasto – pokazał Riu.

Od bazy do miasta był ponad kilometr. Ze wzgórza budynki wyglądały jak szare przysadziste cegły. Sześćdziesiąt szarych płaskich cegieł wystających z zielonej trawy.

– Widzę – powiedział Fokin. – Bardzo oryginalny plan.

Komow w milczeniu skinął głową. To miasto kompletnie nie przypominało innych. Przed odkryciem Leonidy tropiciele – pracownicy komisji do spraw badania śladów działalności obcej inteligencji w kosmosie – mieli do czynienia tylko z dwoma opustoszałymi miastami: na Marsie i na Władysławie. Oba budował najwyraźniej ten sam architekt – cylindryczne, schodzące na wiele pięter pod ziemię budynki z błyszczącego krzemienia organika, ustawione na koncentrycznych ulicach. Miasto na Leonidzie było inne – dwa rzędy szarych pudełek z porowatego wapienia.

– Był pan tam po Gorbowskim? – spytał Komow.

– Nie – odparł Riu. – Ani razu. Właściwie nie było kiedy. No i przecież nie jestem archeologiem, tylko fizykiem atmosferycznym. Poza tym Gorbowski prosił, żebym tam nie chodził.

Na terenie budowy rozległ się łomot. W niebo uniosły się gęste kłęby czerwonego dymu. Przez nie prześwitywały gładkie ściany magazynu. Robot-matka wy dostał się z dymu w trawę. Obok niego skakali czarni, przypominający modliszki cyberbudowniczo wie. Cybery ustawiły się w szereg i pobiegły nad rzekę.

– Dokąd one się wybierają? – spytał z ciekawością Fokin.

– Kąpać się – zasugerowała Tania.

– Wyrównują nachylenie – wyjaśnił Riu. – Magazyn jest prawie gotowy. Teraz cały system się przestrasza, będą budować hangar i wodociągi.

– Wodociągi! – zachwycił się Fokin.

– Mimo wszystko lepiej było odsunąć bazę od miasta – powiedział Komow z powątpiewaniem.

– Takie było zarządzenie Gorbowskiego – wyjaśnił Riu. – Niedobrze oddalać się od bazy.

– Zgadza się – przyznał Komow. – Żeby tylko cybery nie uszkodziły miasta...

– No co pan! One tam nie chodzą.

– Jaka to dobrze zorganizowana planeta – zachwycił się Mboga.

– Tak! – potwierdził radośnie Riu. – Rzeka, powietrze, zieleń, żadnych komarów, żadnych szkodliwych owadów...

– Bardzo dobrze zorganizowana planeta – powtórzył Mboga.

– A można się kąpać? – spytała Tania.

Riu popatrzył na rzekę. Zielonkawa, mętna, ale zawsze prawdziwa rzeka z prawdziwą wodą. Leonida była pierwszą planetą, na której znalazło się zdatne do oddychania powietrze i prawdziwa woda.

– Oczywiście, że można – wyjaśnił Toni. – Co prawda, sam się nie kąpałem. Nie było kiedy.

– My będziemy się kąpać codziennie – postanowiła Tania.

– No pewnie! – krzyknął Fokin. – Codziennie! Trzy razy dziennie! Nic innego nie będziemy robić, tylko się kąpać!

– Dobra, dobra – powiedział Komow. – A co tam było? – Wskazał na pasmo płaskich wzniesień na horyzoncie.

– Nie wiem – odparł Riu. – Tam jeszcze nikt nie dotarł. Valkenstein nagle zachorował i Gorbowski musiał odlecieć. Zdażył tylko wyładować sprzęt dla mnie i odleciał.

Przez jakiś czas wszyscy w milczeniu patrzyli na wzgórza na horyzoncie. W końcu odezwał się Komow:

– Za trzy dni sam przelecę się wzdłuż rzeki.

– Jeśli są tu gdzieś jeszcze jakieś ślady, to tylko nad rzeką dorzucił Fokin.

– Na pewno – zgodził się uprzejmie Riu. – A teraz chodźmy do mnie.

Komow obejrzał się na helikopter.

– Niech tu zostanie – powiedział Riu. – Hipopotamy na wzgórza nie wchodzą.

– O – zdumiał się Mboga. – Hipopotamy?

– Tak je nazywam. Z daleka są podobne do hipopotamów, a z bliska jeszcze ich nie widziałem.

Zaczęli schodzić ze wzgórza.

– Po tamtej stronie trawa jest bardzo wysoka i widziałem tylko ich grzbiety.

Mboga szedł obok Riu miękkim krokiem. Trawa jakby go opływała.

– Są tu również ptaki – kontynuował Riu. – Ogromne, czasem latają bardzo nisko. Jeden o mało nie strącił mojego lokatora.

Komow, nie zwalniając kroku, popatrzył na niebo, zasłaniając oczy dłonią od słońca.

– A właśnie – przypomniał sobie. – Powiniennem wysłać radiogram na „Słonecznik”. Będzie można skorzystać z pańskiej radiostacji?

– Kiedy tylko pan zechce – uśmiechnął się Riu. – Wie pan, Percy Dickson chciał jednego zestrzelić. Mówię o ptakach. Ale Gorbowski nie pozwolił.

– Dlaczego? – spytał Mboga.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Riu. – Ale był strasznie rozgniewany i chciał wszystkim odebrać broń.

– Nam zabrał – wtrącił Fokin. – Wybuchł wielki skandal na Radzie. Moim zdaniem, nieładnie to wyszło. Gorbowski po prostu zmiażdżył nas swoim autorytetem.

– Ale Tora Łowca... – zaczęła Tania.

– Tak, ja wziąłem broń – powiedział Mboga. – Ale rozumiem Leonida Andriejewicza. Tutaj nie chce się strzelać.

– Mimo wszystko Gorbowski to dziwny człowiek – oznajmił Fokin.

– Możliwe – powiedział wymijająco Riu.

Podeszli do niskich, okrągłych drzwi w szerokiej kopule laboratorium. Nad kopułą kręciły się w różne strony trzy talerze lokatorów.

– Tutaj możecie postawić namioty – rzekł Riu. – Jeśli będzie trzeba, dam polecenie cyberom i zbudują wam coś trwalszego.

Komow popatrzył na kopułę, na kłęby czerwonego dymu za laboratorium, następnie obejrzał się na szare dachy domów i powiedział:

– Wie pan co, Riu, tutaj tylko byśmy panu przeszkadzali. Już lepiej urządzimy się w mieście, dobrze?

– I spalenizną tu pachnie – dodała Tania. – Poza tym boję się cyberów...

– Ja też się ich boję – oznajmił zdecydowanie Fokin.

Riu urażony wzruszył ramionami.

– Jak pan chce. Moim zdaniem, tu jest bardzo wygodnie.

– Kiedy postawimy namioty – powiedziała Tania – niech pan przejdzie do nas. Spodoba się panu, zobaczy pan.

– Mmm. Być może... A na razie zapraszam do mnie.

Archeolodzy podeszli schyleni do niskich drzwi. Mboga szedł ostatni, nie musiał nawet pochylać głowy.

Riu stanął na progu. Rozejrzał się i zobaczył wydeptaną ziemię, poźółkłą, zmiętą trawę i smętne sztaple litoplastu. Pomyślał, że tu rzeczywiście pachnie spalenizną.

Miasto składało się z jednej ulicy, bardzo szerokiej, porośniętej gęstą trawą. Ulica ciągnęła się po linii południka i kończyła nieopodal rzeki. Obóz zaczęto rozkładać o trzeciej po południu miejscowego czasu – doba na Leonidzie liczyła sobie dwadzieścia siedem godzin z minutami.

Upał jakby się nasilił. Wiatru nie było, nad szarymi budynkami wibrowało gorące powietrze. Tylko w południowej części miasta, bliżej rzeki, było nieco chłodniej. Pachniało, według słów Fokina, „sianem i troszeczkę plantacją chlorelli”.

Komow zabrał ze sobą Mboga i Riu, który zaproponował pomoc, wszedł do helikoptera i wyruszył do szalupy po sprzęt i artykuły żywnościowe. Tatiana i Fokin zajęli się fotografowaniem miasta. Sprzętu było niedużo i Komow przewiózł go na dwa razy. Gdy przyleciał pierwszy raz, pomagający przy wylądunku Fokin tajemniczo oznajmił, że wszystkie budynki w mieście mają niemal takie same gabaryty. „Bardzo interesujące” – powiedział uprzejmie Riu. To by znaczyło, kontynuował Fokin, że wszystkie mają to samo przeznaczenie. „Pozostaje tylko ustalić, jakie” – dodał po chwili zastanowienia.

Gdy helikopter wrócił po raz drugi, Komow zobaczył, że Tania i Fokin ustawili wysoką żerdź; teraz nad miastem łopotał nieoficjalny sztandar tropicieli – białe płótno ze stylizowanym rysunkiem siedmiokątnej nakrętki. Dawno, niemal sto lat temu, pewien sławny astronauta, zazarty przeciwnik idei badania śladów działalności obcej inteligencji w kosmosie, powiedział kiedyś w zacierzewieniu, że za niepodważalne świadectwo tego rodzaju działalności gotów jest uznać jedynie koło na osi, rysunek twierdzenia Pitagorasa wykuty w skale i siedmiokątną nakrętkę. Tropiciele przyjęli wyzwanie i ozdobili swój sztandar siedmiokątną nakrętką.

Komow z zadowoleniem zaszalutował sztandarowi. Wiele spalono paliwa, wiele pokonano parseków od czasu pojawienia się tego sztandaru. Po raz pierwszy podniesiono go nad kołowymi ulicami pustego miasta na Marsie. Wtedy jeszcze krążyły fantastyczne

hipotezy, jakoby miasto i satelity Marsa miały naturalne pochodzenie. Wówczas nawet najśmielsi tropiciele uważali, że miasto i satelity to ślady zaginionej marsjańskiej cywilizacji. I wiele trzeba było pokonać parseków i przekopać ziemi, zanim niepodważalna stała się jedyna hipoteza: puste miasta i porzucone satelity zostały zbudowane przez kosmitów, przybyłych z odległego, nieznanego systemu. Ale to miasto na Leonidzie...

Komow wyrzucił z kabiny helikoptera ostatni toboł, zeskoczył na trawę i zatrzasnął drzwiczki. Riu podszedł do niego, opuścił podwinęte rękawy i powiedział:

– Pozwoli pan, że teraz was opuszczę. Za dwadzieścia minut mam sondę.

– Oczywiście – rzekł Komow. – Dziękuję, Riu. Niech pan przyjdzie na kolację.

Riu popatrzył na zegarek.

– Dziękuję, ale nie obiecuję.

Mboga oparł karabin o ścianę najbliższego budynku i nadmuchał namiot pośrodku ulicy. Popatrzył w ślad za Riu i uśmiechnął się do Kontowa, rozciągając szare wargi na małej pomarszczonej twarzy.

– To naprawdę dobra planeta, Gienadij – powiedział. – Tutaj chodzi się bez broni, stawia namioty bezpośrednio na trawie... I jeszcze to...

Skinął w stronę Fokina i Tani. Tropiciele archeolog i inżynier archeolog wydeptując wokół siebie trawę, krzatali się w cieniu budynku nad ekspresowym laboratorium. Inżynier archeolog była w jedwabnym bezrękawniku i szortach. Jej ciężkie buty zostały na dachu budynku, a kombinezon walał się obok tobołów. Fokin, w spodenkach, zaciekle ścigał przez głowę mokrą od potu kurtkę.

– Niestety ty moje – pytała Tania – gdzie podłączyłeś akumulatory?

– Zaraz, zaraz, Tanieczka – odpowiadał bez sensu Fokin.

– Tak – przyznał Komow. – To nie Pandora.

Wyciągnął z tobołu drugi namiot i przyłożył do niego odśrodkową pompkę. Tak, to nie Pandora, powtórzył w myśli i przypomniał sobie, jak na Pandorze przebijali się przez mroczną dżunglę w ciężkich skafandrach wysokiej ochrony, a każdego obciążał potężny dezintegrator ze zdjętym bezpiecznikiem. Pod nogami chlupało, przy każdym kroku na wszystkie strony odskakiwało wszelkie paskudztwo, a nad głową przez pajęczynę lepkich gałęzi posepnie świeciły dwa wiszące nisko krwawe słońca. Zresztą, czy tylko Pandora? Na każdej planecie z atmosferą tropiciele i desantowcy wędrowali z najwyższą ostrożnością, gnali przed sobą kolumny robotów-zwiadowców, samojezdne cybernetyczne biolaboratoria, toksynoanalizatory, skondensowane obłoki uniwersalnych wirusofobów. Natychmiast po wylądowaniu kapitan miał obowiązek wypalić termitem strefę bezpieczeństwa. A powrót na statek bez uprzedniej starannej dezynfekcji był uważany za ciężkie przestępstwo. Na nieostrożnych czyhały niewidoczne potwory, straszniejsze od dżumy i trądu. Tak było jeszcze trzydzieści lat temu.

Mogłoby tak być i teraz, nawet na Leonidzie, w końcu tu też jest bardzo bogata mikrofauna. Ale trzydzieści lat temu mały doktor Mboga znalazł na strasznej Pandorze „bakterię życia”, a profesor Karpienko na Ziemi zrobił z niej bioblokadę. Jeden zastrzyk dziennie. Albo jeden na tydzień. Komow wytarł spoconą twarz i zaczął rozpinąć bluzę.

Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, a niebo na wschodzie stało się ciemnofioletowe, zasiedli do kolacji. Obóz był gotów. W poprzek ulicy stały trzy namioty, toboły i skrzynki ze sprzętem starannie złożono pod ścianą jednego z domów. Fokin, wzdychając, przygotował kolację. Wszyscy byli głodni, dlatego nie czekali na Riu. Z obozu było widać, że siedzi na swoim dachu i majstruje przy antenach.

– To nic, zostawimy mu – obiecała Tania.  
– Co tam – wymamrotał Fokin z ustami pełnymi gotowanej cielęciny. – Zgłodnieje i przyjdzie.

– Niefortunnie postawiłeś helikopter, Giena – powiedziała Tatiana. – Zasłania cały widok na rzekę.

Wszyscy popatrzyli na helikopter. Widoku na rzekę rzeczywiście nie było.

– Niezły widok na rzekę odsłania się z dachu – odparł z zimną krwią Komow.

– No, naprawdę – włączył się Fokin, siedzący do rzeki plecami.

– Absolutnie nie ma na co popatrzeć z przyjemnością.

– Jak to? – spytał Komow. – A cielęcina?

Położył się na plecach i skierował wzrok w niebo.

– Zastanawiam się – zaczął Fokin, wycierając serwetką wąsy jak się dostaniemy do tych trumien? – Wskazał palcem najbliższy budynek. – Będziemy kopać czy ciąć ściany?

– To akurat żaden problem – powiedział Komow leniwie. Bardziej mnie interesuje, jak dostawali się tam gospodarze. Też cięli ściany?

Fokin popatrzył w zadumie na Komowa.

– A co ty właściwie wiesz o gospodarzach? Może wcale nie musieli tam wchodzić.

– Aha – odezwała się Tatiana. – Nowa zasada architektoniczna.

Człowiek siadał sobie na trawie, wznosił wokół siebie ściany i sufit, a potem...

– ...a potem odchodził – dokończył Mboga.

– A może to rzeczywiście grobowce? – powiedział Fokin wyzywająco.

Przez jakiś czas wszyscy przetrawiali tę sugestię.

– Tatiana, a co wykazują analizy? – spytał Komow.

– Wapień. Węglan wapniowy. Prócz domieszek, oczywiście.

Wiecie, co mi to wszystko przypomina? Rify koralowe. Możliwe, że budynek zrobiony jest z jednego kawałka...

– Monolit naturalnego pochodzenia.

– Oho, zaraz naturalnego! – wykrzyknął Fokin. – To już chyba reguła: wystarczy odszukać nowe ślady i od razu znajdują się tacy, którzy oznajmniają, że to naturalne twory.

– To naturalne założenie – powiedział Komow.

– Jutro weźmiemy intrawizor i popatrzymy – obiecała Tania. Najważniejsze, że ten wapień nie ma nic wspólnego z jantarem, z którego zbudowane jest marsjańskie miasto i miasto na Władysławie.

– Więc jest ktoś jeszcze, kto wędruje po planetach – powiedział Komow. – Dobrze by było, gdyby tym razem zostawili nam coś bardziej konkretnego.

– Żeby tak znaleźć bibliotekę! – jęknął Fokin. – Albo jakieś maszyny!

Zamilkli. Mboga wyciągnął krótką fajkę i zaczął ją nabijać. Siedząc w kucki, patrzył w zadumie ponad namiotami na jasne niebo. Jego mała twarzyczka pod białą chustką wyrażała spokój i zadowolenie.

– Jak cicho – powiedziała Tania.

W tym momencie od strony bazy dobiegł wściekły łoskot.

– Do diabła! – wymamrotał Fokin. – Co to takiego?

Mboga wypuścił kółeczko dymu, odprowadził je wzrokiem i niegłęboko powiedział:

– Rozumiem pana, Boria. Sam po raz pierwszy w życiu nie czuję radości, słuchając, jak pracują nasze maszyny na obcej planecie.

– Rzecz w tym, że ona jest taka... mało obca – odezwała się Tania.



Wielki czarny żuk przyleciał nie wiadomo skąd, głośno bucząc, zrobił dwa okrążenia nad tropicielami i odleciał. Fokin cichutko sapał z nosem wtulonym w zgięty łokieć. Tania wstała i poszła do namiotu. Komow też wstał i przeciągnął się z przyjemnością. Wokół było tak cicho i miło, że zupełnie się speszył, gdy Mboga, jak podrzucony sprężyną, zerwał się na równe nogi i zastygł, odwracając się twarzą do rzeki. Komow też się odwrócił.

Jakieś gigantyczne czarne cielsko sunęło na obóz. Helikopter częściowo je zasłaniał, ale i tak było widać, kołyszącą się w biegu ciężką masę. Wieczorne słońce błyszczało na wilgotnych, lśniących bokach rozdętych jak brzuch hipopotama. Cielsko poruszało się dość zwawo, rozsuwając trawę; Komow z przerażeniem zauważył, jak helikopter kołysze się i zaczyna powoli przechylać na bok. Pomiędzy budynkiem a spodem helikoptera wychynął masywny łeb z dwiema ogromnymi naroślami. Komow zobaczył parę malutkich tępych oczek, wpatrzonych, jak mu się zdawało, prosto w niego.

– Ostrożniej! – ryknął.

Helikopter przewrócił się i zaparł w trawie łopatami wirnika.

Potwór nadal sunął na obóz. Miał co najmniej trzy metry wysokości, spadziste boki nadymały się miarowo i było słychać równy głośny oddech.

Za plecami Komowa Mboga szcęknięła zamkiem karabinu. Komow ocknął się wreszcie i cofnął do namiotów. Obok niego przemknął na czworakach Fokin. Od potwora dzieliło ich już tylko dwadzieścia metrów.

– Zdążycie zwinąć obóz? – spytał szybko Mboga.

– Nie – odparł Komow.

– Będę strzelać.

– Niech pan poczeka. – Komow zrobił krok naprzód, zamachał ręką i krzyknął: – Stój!

Góra żywego mięsa zatrzymała się na moment. Guzowate czoło uniosło się nagle i rozwarła się paszcza, szeroka jak kabina helikoptera, nabita przeżutą trawą.

– Giena! – wrzasnęła Tania. – Natychmiast z powrotem!

Potwór wydał długi, syczący dźwięk i ruszył do przodu jeszcze szybciej.

– Stój! – krzyknął znowu Komow, ale już bez przekonania. Najwidoczniej jest trawożerny – oznajmił i cofnął się do namiotów.

Mboga przyłożył karabin do ramienia, Tania na wszelki wypadek zatkała uszy. Obok niej z tobołem na plecach stał Fokin. Wąsy miał nastroszone.

– Będzie się do niego dzisiaj strzelać czy nie? – krzyknął histerycznie. – Zabierać intrawizor czy...

Półautomatyczny myśliwski karabin Mboga miał kaliber szesnaście i dwie dziesiąte milimetra; siła uderzenia kuli z odległości dziesięciu metrów równała się ośmiu tonom. Pocisk utkwił w samym środku czoła, pomiędzy dwoma guzami; potwora odrzuciło do tyłu. Krótkie, grube nogi kurczowo wierzgnęły w powietrzu. Z gęstej trawy rozległo się głośne sapnięcie. Czarny brzuch wzdał się, opadł, i wszystko ucichło. Mboga opuścił karabin.

– Chodźmy popatrzeć – powiedział.

Rozmiarami potwór nie ustępował dorosłemu afrykańskiemu słoniowi, ale kształtem najbardziej przypominał gigantycznego hipopotama.

– Krew jest czerwona – zauważył Fokin. – A to co?

Potwór leżał na boku, a na jego brzuchu sterczały trzy rzędy miękkich wyrostków wielkości ludzkiej pięści. Z wyrostków sączyła się połyskująca gęsta ciecz. Mboga głośno wciągnął nosem powietrze, nabrał końcem palca kroplę cieczy i spróbował czubkiem języka.

– Faj! – wstrząsnął się Fokin.

Na wszystkich twarzach pojawił się ten sam wyraz oburzenia.

– Miód – stwierdził Mboga.

– No nie! – zdumiał się Komow. Po chwili wahania też wyciągnął palec. Tania i Fokin ze wstrętem obserwowali jego poczynania.

– Prawdziwy miód! – zawołał. – Lipowy!

– Miodonośny potwór – skomentował Fokin. – Niepotrzebnie żeśmy go tak...

– My! – prychnęła Tania. – Nieszczęście ty moje, idź i weź intrawizor.

– No dobrze – rzekł Komow. – Co robimy dalej? Gorąco, a tu takie cielsko obok obozu...

– To moje zadanie – powiedział Mboga. – Odciągnijcie namioty ze dwadzieścia metrów w dół ulicy. Zrobię wszystkie obmiary, obejrzę to i owo i zniszczę go.

– Jak? – spytała Tania.

– Dezintegratorem. Mam. Tania, ty najlepiej stąd odejdz. Będę się teraz zajmował bardzo nieapetyczną pracą.

Dał się słyszeć tupot i zza namiotów wyskoczył Riu z wielkim automatycznym pistoletem.

– Co się stało?! – spytał zdyszany.

– Zabiliśmy jednego z pańskich hipopotamów – wyjaśnił z ważną miną Fokin.

Riu szybko obejrzał wszystkich i od razu się uspokoił. Wsunął pistolet za pas.

– Atak? – zapytał.

– Właściwie nie – wyjaśnił Komow stropiony. – Chyba sobie tylko spacerował, ale musieliśmy go zatrzymać.

Riu popatrzył na przewrócony helikopter i skinął głową.

– A nie można by go zjeść? – krzyknął Fokin z namiotu.

Mboga powiedział powoli:

– Zdaje się, że ktoś już próbował.

Komow i Riu podeszli bliżej. Mboga obmacywał szerokie i głębokie, proste blizny na zadnich częściach cielska.

– To dzieło jakichś potężnych kłów – wyjaśnił Mboga. – Ostrych jak noże. Ktoś zdejmował z niego plastry po dwa, trzy kilo na raz.

– Potworność – powiedział Riu szczerze.

Wysoko w niebie rozległ się dziwny, przeciągły krzyk. Wszyscy podnieśli głowy

– To one! – krzyknął Riu.

Na miasto spadały wielkie jasnoszare ptaki, przypominające orły.

Pikowały jeden za drugim z ogromnej wysokości; nad samymi głowami ludzi prostowały szerokie miękkie skrzydła i tak samo błyskawicznie wzbijały się do góry, owiewając ludzi falami gorącego powietrza. Były ogromne, większe od ziemskich kondorów, a nawet od latających smoków Pandory.

– Drapieżniki! – zachwycił się Riu. Wyciągnął zza pasa pistolet, ale Mboga mocno chwycił go za rękę.

Ptaki leciały nad miastem na zachód, w liliowe wieczorne niebo. Gdy znikł ostatni, rozległ się ten sam przeciągły, trwożny krzyk.

– A już chciałem do nich strzelać – powiedział Riu z ulgą.

– Wiem – rzekł Mboga. – Ale wydawało mi się...

– Tak – powiedział Komow. – Mnie też się wydawało...

Po chwili namysłu Komow polecił, żeby nie tylko odsunąć namioty o dwadzieścia

metrów, ale również przenieść je na płaski dach jednego z budynków. Domy miały najwyżej dwa metry wysokości i łatwo było na nie wejść. Na dach najbliższego budynku Tania i Fokin wciągnęli pakunki z najcenniejszymi przyrządami. Helikopter, jak się okazało, nie ucierpiał. Komow podniósł go i wylądował na dachu trzeciego budynku.

Mboga całą noc pracował nad cielskiem potwora przy świetle reflektorów. O świcie rozległ się przenikliwy syk, nad miastem uniosła się wielka chmura białej pary i zapłonęła krótka pomarańczowa łuna. Fokin, który jeszcze nigdy nie widział, jak działa organiczny dezintegrator, wyskoczył w samych slipach z namiotu, ale zobaczył tylko doktora bez pośpiechu zbierającego reflektory oraz ogromną stertę drobnego szarego pyłu na poczerniałej trawie. Z miodonośnego potwora została jedynie doskonale spreparowana, zatopiona w przezroczystym plastyku ohydna głowa. Będzie ją można oglądać w Muzeum Kosmozoologii.

Fokin przywitał się z Mbogą i wrócił do namiotu, żeby jeszcze pospać, ale natknął się na Komowa.

– Dokąd? – zainteresował się Komow.

– Ubrać się, oczywiście – odparł z godnością Fokin.

Poranek był świeży i jasny, tylko na południu na czystym niebie nieruchomo wisiały białe postrzępione obłoki. Komow zeskoczył na trawę i poszedł szykować śniadanie. Chciał zrobić jajecznicę, ale szybko się zorientował, że nie ma masła.

– Borys – zawołał. – Gdzie masło?

Fokin stał na dachu w dziwnej pozie – miała to być gimnastyka według systemu joginów.

– Nie mam pojęcia – odparł hardo.

– Przecież wczoraj miałeś dyżur.

– Eee... Aha, no więc masło jest w tym samym miejscu, w którym było wczoraj wieczorem.

– A gdzie było wczoraj wieczorem? – indagował cierpliwie Komow.

Fokin z niezadowoloną miną wysunął głowę spod prawego kolana.

– Skąd mam wiedzieć? Przecież potem przestawialiśmy wszystkie skrzynki.

Komow westchnął i zaczął cierpliwie przeszukiwać skrzynkę po skrzynce. Masła nie było. Podeszedł do budynku i ściągnął Fokina za nogę na dół.

– Gdzie masło?

Fokin już otworzył usta, gdy zza rogu wyszła Tania w bezrękawniku i krótkich spodenkach. Włosy miała mokre.

– Dzień dobry, chłopcy – powiedziała.

– Dzień dobry, Tanieczka – rzekł Fokin. – Nie widziałaś przypadkiem skrzynki z masłem?

– Gdzie byłaś? – zapytał wściekle Komow.

– Kapałam się.

– Jak to kapałaś? – rzucił się Komow. – Kto ci pozwolił?

Tania odpięła od pasa i rzuciła na skrzynkę elektryczny nóż w plastikowej pochwie.

– Gienoczka – powiedziała – tam nie ma żadnych krokodyli. Wspaniała woda i trawiaste dno.

– Nie widziałaś masła? – spytał Komow.

– Masła nie, ale czy ktoś widział moje buty?

– Ja – powiedział Fokin. – Są na tamtym dachu.

– Na tamtym dachu ich nie ma.

Wszyscy troje odwrócili się i popatrzyli na dach. Butów rzeczywiście nie było. Komow spojrział na doktora Mboga. Doktor leżał na trawie w cieniu i mocno spał, z małą pięścią podłożoną pod policzek.

– No, co ty? – zdziwiła się Tania, – Po co mu moje buty?

– Albo masło – dorzucił Fokin.

– Może mu przeszkadzały – warknął Komow. – No dobra, przygotuję coś bez masła...

– I bez butów.

– Dobra, dobra – mruknął Komow. – Zajmij się intrawizorem. Ty, Tania, też. I postarajcie się go jak najszybciej złożyć.

Na śniadanie przyszedł Riu, pędząc przed sobą czarną maszynę na sześciu hemomechanicznych nogach. Maszyna zostawiała w trawie głęboką przesiekę, ciągnącą się do samej bazy. Riu wdrapał się na dach i usiadł przy stole. Maszyna zastygła na środku ulicy.

– Niech pan posłucha, Riu – zaczął Komow. – Czy u pana w bazie nic nie ginęło?

– W jakim sensie?

– No... Zostawia pan coś na noc na dworze, a rano nie może znaleźć.

– Raczej nie – Riu wzruszył ramionami. – Gina czasem drobiazgi, takie tam odpadki... Kawalki kabli, ścinki plastolitu. Ale myślę, że ten chłam zabierają moje cybery. To bardzo oszczędne typki, wszystko wykorzystują w pracy.

– Czy mogłyby na przykład wykorzystać moje buty? – spytała Tania.

Riu roześmiał się.

– Nie wiem. Nie sędzę.

– A skrzynkę z masłem? – zainteresował się Fokin.

Riu przestał się śmiać.

– Zginęło wam masło?

– I buty.

– Nie – powiedział Riu. – Cybery do miasta nie chodzą.

Na dach zręcznie jak jaszczurka wśliznął się Mboga.

– Dzień dobry – powiedział. – Spóźniłem się...

Tania naląła mu kawy. Śniadanie Mboga zawsze składało się z jednej filiżanki kawy.

– A więc okradziono nas – stwierdził z uśmiechem.

– Czyli to nie pan? – spytał Fokin.

– Nie, nie ja. Ale nocą nad miastem dwa razy przelatywały wczorajsze ptaki.

– No to już wiadomo, co z butami – mruknął Fokin.

– A skrzynka z masłem? – spytał niecierpliwie Komow.

Nikt nie odpowiedział. Mboga w zadumie pił kawę.

– W ciągu dwóch miesięcy nic mi nie zginęło – rzekł Riu. – Co prawda, wszystko trzymam pod kopułą... Prócz tego mam cybery, a gdzie są cybery, tam zawsze jest dym i trzask.

– Dobrze – Fokin wstał. – Chodźmy pracować, Tanieczka. Buty, rzeczywiście...

Poszli. Komow zaczął zbierać naczynia.

– Dzisiaj wieczorem – odezwał się Riu – postawię wokół was ochronę.

– Dobrze – rzekł Mboga w zadumie. – Ale najpierw wołałbym sam. Genadij, teraz położę się spać, a w nocy urządzę niewielką zasadzkę.

– Dobrze, doktorze Mboga – powiedział Komow niechętnie.

– W takim razie ja też przyjdę – ożywił się Riu.

– Bardzo proszę – zgodził się Mboga. – Ale bez cyberów.  
Z sąsiedniego dachu dobiegł ich wybuch niezadowolenia.  
– Nieszczęście, przecież cię prosiłam, żebyś rozłożył pakunki w kolejności montażu!  
– A co ja zrobiłem? Rozłożyłem!  
– To się nazywa w kolejności montażu? Indeks E-7, A-2, B-16...znowu E...!  
– Tanieczka! Słowo honoru! Towarzysze! – krzyczał urażony Fokin przez całą ulicę. –  
Ktoś poprzestawiał pakunki!  
– Coś takiego! – oburzyła się Tania. – E-9 w ogóle nie ma!  
Mboga powiedział cichutko:  
– Misusu, a u nas zginęło prześcieradło!  
– Co? – spytał Komow. Był blady. – Poszukajcie dobrze! – Zeskoczył z dachu i pobiegł do Fokina i Tani.

Mboga odprowadził go wzrokiem, potem spojrzął na południe, na rzekę. Z sąsiedniego dachu dobiegał nerwowy dialog: „Co właściwie zginęło?” – pytał Komow. – „WCZG” – odparła Tania. – „No to co z tego? Złóżcie nowy!” „Stracimy na to dwa dni” – powiedziała gniewnie Tania. – „W takim razie co proponujesz?” – „Ciąć” – rzucił Fokin. Na dachu zapanowało milczenie.

– Niech pan popatrzy, Riu – odezwał się nagle Mboga, który dłonią osłaniał oczy przed słońcem.

Riu odwrócił się. Zielona równina za rzeką upstrzona była czarnymi plamami. To były plecy „hipopotamów”, bardzo wielu „hipopotamów”. Riu nie miał pojęcia, że za rzeką jest ich tak dużo. Plamy powoli płynęły na południe.

– Moim zdaniem, odchodzą – powiedział Mboga.

Komow postanowił nocować pod gołym niebem. Wyciągnął z namiotu swoją pościel i położył się na dachu, zakładając ręce pod głowę. Niebo było czarnogranatowe, zza horyzontu na wschodzie powoli wypełzała wielka zielonopomarańczowa tarcza z rozmytymi krawędziami. Palmira, księżyc Leonidy. Z ciemnej równiny za rzeką dobiegały stłumione przeciągłe krzyki, pewnie ptaków. Nad bazą zapalały się krótkie łuny, coś niegłośno zgrzytało i trzaskało.

Trzeba postawić ogrodzenie, myślał Komow. Opleść miasto drutem i puścić niezbyt silny prąd. Zresztą jeśli to ptaki, ogrodzenie nie pomoże. A najpewniej to ptaki. Taki olbrzym bez trudu uniesie pakunek. Pewnie nawet człowieka dałby radę. Przecież zdarzyło się, że na Pandorze latający smok podniósł człowieka w skafandrze wysokiej ochrony, a to przecież półtora kwintala. Tak to się właśnie dzieje – najpierw buty, potem pakunek... A na cały oddział jeden karabin. Dlaczego Leonid Andriejewicz tak bardzo wtedy protestował przeciwko broni? Trzeba było strzelać od samego początku, przynajmniej by się je przestraszyło... A dlaczego doktor nie strzelał? Bo mu się „wydawało”... Ja sam też bym nie strzelił, bo mnie się też „wydawało”... Ale co mi się właściwie wydawało? – Komow potarł dłonią zmarszczone z wysiłku czoło. Ogromne, piękne ptaki i ten lot! Bezgłośny, lekki, równy lot... Cóż, myśliwi czasem litują się nad zwierzyną, a ja nawet nie jestem myśliwym...

Pośród migoczących gwiazd niespiesznie minęła zenit jasna plamka. Patrząc na nią, Komow uniósł się na łokciach. To był „Słonecznik” – półtorakilometrowy statek desantowy ultradalekiego zasięgu. Teraz krążył wokół Leonidy w odległości dwóch megametrów od powierzchni. Wystarczy dać sygnał, że potrzebna jest pomoc, i pomoc przybędzie. Ale czy warto? Zginęła para butów, dwa pakunki, coś się wydawało kierownikowi...

Biała plamka przygasła i znikła, „Słonecznik” skrył się w cieniu Leonidy. Komow znowu się położył, zakładając ręce pod głowę. Czy ta planeta nie jest za dobrze urządzona? – pomyślał. Ciepłe, zielone równiny, aromatyczne powietrze, idylliczna rzeczka bez krokodyli... Może to tylko parawan, za którym działają jakieś niepojęte siły? A może wszystko jest znacznie prostsze? Tanka zgubiła buty gdzieś w trawie; Fokin, jak wiadomo, niedojda, a zaginione pakunki leżą sobie spokojnie pod stertą części koparki. Pewnie dlatego przez cały dzień biegał od sztapła do sztapła, rozglądając się ukradkiem.

Komow zdrzemnął się, a gdy się obudził, Palmira była już wysoko. Z namiotu, w którym spał Fokin, rozlegało się cmokanie i pochrapywanie. Na sąsiednim dachu słychać było szepty.

– Jak tylko zerwało linę, odlecieliśmy, a Saburo został na dole. Gnał za nami i krzyczał, żebyśmy się zatrzymali, potem mianował mnie kapitanem i rozkazał mi się zatrzymać. Oczywiście od razu zacząłem sterować na maszt przekaźnikowy i tam zawiśliśmy. Wisieliśmy tak przez całą noc. I całą noc darliśmy się do siebie, ustalając, czy Saburo ma iść do nauczyciela, czy nie. Saburo mógł, ale nie chciał, a my chcieliśmy, ale nie mogliśmy. Rano nas zauważyli i zdjęli.

– A ja zawsze byłam cichą dziewczynką. I zawsze bardzo się bałam różnych mechanizmów. Cyberów, jak pan widzi, boję się do tej pory.

– Cyberów nie trzeba się bać, Taniusza. One są dobre.

– Nie lubię ich. Nie podoba mi się, że są takie żywe i nieżywe jednocześnie.

Komow przekręcił się na bok. Tania i Riu siedzieli na dachu sąsiedniego budynku ze spuszczone nogami. Wróbelki, pomyślał Komow. A jutro przez cały dzień będą ziewać.

– Tatiana – powiedział półgłosem. – Pora spać.

– Nie chce mi się – odparła Tania. – Spacerowaliśmy po brzegu. – Riu zmieszany poruszył się. – Teraz nad rzeką jest bardzo przyjemnie. Księżyc świeci i ryby pluskają.

– Ee... A gdzie doktor Mboga? – zapytał Riu.

– W pracy – rzekł Komow.

– Właśnie, Riu – ucieszyła się Tania. – Chodźmy poszukać doktora Mboga!

Beznadziejne, pomyślał Komow i odwrócił się na drugi bok. Na dachu dalej szeptano. Komow zdecydowanie wstał, zebrał pościel i wrócił do namiotu. Tu za to było jeszcze głośniejsze i Fokin chrapał na całego. Ech, ty niedojdo, pomyślał Komow, moszcząc się w pościeli. – W taką noc trzeba się kochać, a nie chrapać. Wąsy wyhodowałeś i myślisz, że sprawę masz w kieszeni. Owinął się prześcieradłem i momentalnie zasnął.

Ogłuszający łoskot podrzucił go do góry. W ciemnym namiocie zagrzmiały kolejno dwa wystrzały, dał się słyszeć krótki krzyk i triumfalny ryk Fokina: „Aha! Tu, do mnie!” Komow zaplątał się w prześcieradło i nie mógł wstać. Usłyszał tępe uderzenie, jęk Fokina i zaraz potem coś ciemnego i małego mignęło i znikło w jasnym trójkącie wyjścia. Komow runął do przodu, Fokin za nim i z rozpędu zderzyli się głowami. Komow zgrzytnął zębami i w końcu wyskoczył na zewnątrz. Dach naprzeciwko był pusty. Komow rozejrzał się i zobaczył, że Mboga galopuje po trawie wzdłuż rzeki, a za nim, potykając się, pędzą Riu i Tatiana. Daleko przed doktorem, rozsuwając w biegu trawę, ktoś biegł znacznie szybciej niż Mboga. Doktor zatrzymał się, uniósł jedną ręką karabin i celując w niebo, wystrzelił jeszcze raz. Ślad w trawie skręcił w bok i znikł za rogiem ostatniego budynku. Po chwili, machając lekko ogromnymi skrzydłami wzbił się w niebo ptak, biały w księżycowym świetle.

– Niech pan strzela! – wrzeszczał Fokin, który już gnał ulicą, potykając się co kilka kroków.

Mboga stał nieruchomo z opuszczonym karabinem i zadzierając głowę, obserwował ptaka, który nabierając prędkości, zatoczył nad miastem bezszelestny krąg i poleciał na południe. Po kilku minutach znikł. Wtedy Komow zobaczył, że całkiem nisko nad bazą leci jeszcze kilka ptaków – trzy, cztery, nie... pięć ogromnych białych ptaków wzleciało w górę nad miejscem pracy cyberów i znikło. Komow zszedł z dachu. Martwe budynki rzucały na trawę czarne cienie. Trawa wydawała się srebrzysta. Coś brzęknęło pod nogami i Komow się nachylił. W trawie błysnęła łuska z pocisku. Komow przeciął cień helikoptera i usłyszał głosy. Mboga, Fokin, Riu i Tania niespiesznie szli z przeciwka.

– Trzymałem go już w rękach – mówił podniecony Fokin. Ale trzasnął mnie w głowę i uciekł. Gdyby mnie nie trzasnął, to bym go nie wypuścił! Jest miękki i ciepły jak dziecko. I nagi.

– My też prawie go złapaliśmy – włączyła się Tania – ale zamienił się w ptaka i odleciał.

– No, no – mruknął Fokin – zamienił się w ptaka...

– Rzeczywiście – włączył się Riu. – Skręcił za róg, a stamtąd od razu wyleciał ptak.

– No i co? – wzruszył ramionami Fokin. – Przestraszył ptaka, a wy patrzyliście na to z rozdziawionymi ustami.

– Zbieg okoliczności – rzucił Mboga.

Komow podszedł do nich. Stanęli.

– Co się właściwie zdarzyło? – zapytał.

– Już go miałem – oznajmił Fokin – ale walnął mnie w głowę.

– To słyszałem. Od czego się zaczęło?

– Siedziałem przy pakunkach, w zasadzce – wyjaśnił Mboga i zobaczyłem, że ktoś pełźnie przez trawę środkiem ulicy. Chciałem go złapać i wyszedłem, ale on mnie zauważył i zawrócił. Zorientowałem się, że go nie dogonię, i wystrzeliłem w powietrze. Bardzo mi przykro, Gienadij, ale chyba ich wystraszyłem.

Zapanowała cisza. Fokin zapytał, nie rozumiejąc:

– Czego właściwie panu szkoda, doktorze Mboga? – zapytał w końcu Fokin, który nic z tego nie rozumiał.

Mboga nie odpowiedział od razu. Wszyscy czekali.

– Było ich co najmniej dwóch. Jednego znalazłem ja, drugi był u was w namiocie. Ale gdy biegłem obok helikoptera... Otóż to zakończył niespodziewanie. – Trzeba tam zajrzeć. Chociaż mogę się mylić...

Mboga wrócił do obozu. Pozostali wymienili spojrzenia i poszli za nim. Przed budynkiem, na którym stał helikopter, Mboga się zatrzymał.

– Gdzieś tutaj – powiedział.

Fokin i Tania weszli w czarny cień pod ścianą, Riu i Komow patrzyli na Mboga.

– Nic tu nie ma – powiedział Fokin gniewnie.

– Co ja widziałem? Co ja widziałem? – mamrotał Mboga. – Co ja widziałem?

Rozdrażniony Fokin wyszedł spod ściany. Czarny cień łopat wirnika przesunął się po jego twarzy.

– A! – zawołał Mboga. – Już wiem! Dziwny cień!

Rzucił karabin i z rozpędu skoczył na ścianę.

– Chodźcie tutaj! – zawołał z dachu.

Na dachu, za kadłubem helikoptera, jak na witrynie sklepu, leżały starannie rozłożone rzeczy: skrzynka z masłem, pakunek z indeksem E-9, para butów, kieszonkowy

mikroelektrometr w plastikowym futerale, cztery neutronowe akumulatory, kłęb zastygłego szkłoplastu i czarne okulary.

– O, buty – powiedziała Tania. – I okulary. Wczoraj utopiłam je w rzece...

– Taak – odezwał się Fokin i ostrożnie wszystko obejrzał.

Komo w jakby się ocknął.

– Riu! – powiedział szybko. – Muszę się natychmiast połączyć ze „Słonecznikiem”.

Fokin, Tania, sfotografujcie tę wystawę! Za pół godziny wracam!

Zeskoczył z dachu i poszedł szybko ulicą w stronę bazy. Po chwili rzucił się biegiem. Riu w milczeniu podążył za nim.

– Co się dzieje?! – krzyknął Fokin.

Mboga usiadł w kucki, wyciągnął malutką fajkę, niespiesznie ją rozpałił i wyjaśnił:

– To ludzie, Boria. Rzeczy mogą kraść także zwierzęta, ale tylko ludzie zwracają to, co ukradli.

Fokin cofnął się i siadł na kole helikoptera.

Komow wrócił sam, bardzo wzburzony. Wysokim metalicznym głosem nakazał natychmiastowe zwiniecie obozu. Fokin zaczął zadawać pytania, żądał wyjaśnień. Komow tym samym metalicznym głosem wyrecytował:

– Rozkaz kapitana statku „Słonecznik”. W ciągu trzech godzin zwinąć synoptyczną bazę-laboratorium oraz obóz archeologiczny, demobilizować wszystkie cybernetyczne systemy. Wszyscy, włączając fizyka Basedę, wracają na pokład „Słonecznika”.

Wstrząśnięty Fokin posłuchał i wziął się za robotę z niezwykłą gorliwością.

W ciągu dwóch godzin helikopter zrobił osiem kursów, a towarowe cybery między bazą a statkiem wydeptały w trawie szeroki trakt. Po bazie zostały tylko puste zabudowania. Trzy oddziały robotów budowniczych zagnano do magazynu i całkowicie zdeprogramowano.

O godzinie szóstej rano czasu miejscowego, gdy na wschodzie zapalała się zielona zorza, zmęczeni ludzie zebrali się przed statkiem. Wtedy wreszcie Fokin nie wytrzymał.

– No dobrze – powiedział złowieszczym ochryłym szeptem. Ty, Gienadij, wydawałeś polecenia, a ja uczciwie je wykonywałem. Ale chcę się w końcu dowiedzieć, dlaczego stąd odchodzimy?! Jak to możliwe? – zawył falsetem, wyrzucając malowniczo ręce do góry. Wszyscy drgnęli, a Mboga wypuścił z zębów fajkę. – Jak to?! Przez trzysta lat szukać Braci w Rozumie i haniebnie uciekać, gdy ich wreszcie znaleźliśmy? Najwybitniejsze umysły ludzkości...

– Niestety ty moje – powiedziała Tania i Fokin zamilkł.

– Nic nie rozumiem – wyszeptał ochryple.

– Myśli pan, Borysie, że jesteśmy godni reprezentować najwybitniejsze umysły ludzkości? – spytał Mboga.

Komow posepnie wymamrotał:

– Ile myśmy tu złego narobili! Spaliliśmy całe pole, zdeptali posiewy, urządziliśmy strzelaninę... A w rejonie bazy! – Machnął ręką.

– Ale kto mógł wiedzieć? – powiedział Riu tonem winowajcy.

– Tak – rzekł Mboga. – Popelniliśmy wiele błędów. Ale myślę, że oni nas rozumieją, są wystarczająco cywilizowani.

– Co to za cywilizacja? – prychnął Fokin. – Gdzie maszyny? Gdzie narzędzia pracy? Gdzie miasta?

– Milcz, Borys – westchnął Komow. – „Maszyny, miasta”...

Przynajmniej teraz przejrzyj na oczy! Czy my umiemy latać na ptakach? Czy mamy



miodonośne potwory? Czy dawno temu zlikwidowano u nas ostatniego komara? Maszyny...

– Cywilizacja biologiczna – dodał Mboga.

– Jak to? – spytał Fokin.

– Cywilizacja biologiczna. Nie maszyny, tylko selekcja, genetyka, tresura. Kto wie, jakie siły oni ujarzmili? Kto wie, która cywilizacja stoi wyżej?

– Wyobrażasz sobie, Borka – odezwała się Tania. – Tresowane bakterie!

Fokin wściekle kręcił wąs.

– A odchodzimy stąd dlatego – ciągnął Komow – że nikt z nas nie ma prawa brać na siebie odpowiedzialności za pierwszy kontakt.

Żał stąd odchodzić, myślał. Nie chcę. Chcę ich odszukać, spotkać się z nimi, porozmawiać, popatrzeć, jak wyglądają. Czy to się naprawdę zdarzyło? Nie jakieś bezmózgie jaszczurki, nie pijawki, lecz prawdziwa ludzkość! Cały świat, cała historia... Czy były u was wojny i rewolucje? A co u was było najpierw, para czy elektryczność? Na czym polega sens życia? Można znaleźć u was coś do poczytania? Pierwsze doświadczenie porównawczej historii ludzkości... i trzeba odejść. Bardzo przykre. Ale na Ziemi istnieje przecież komisja do spraw kontaktów, która od pół wieku bada porównawczą psychologię ryb i mrówek i spiera się, w jakim języku powiedziec pierwsze „e”. Tylko teraz już nie ma co z nich kpić. Ciekawe, czy któryś z tych uczonych przewidział biologiczną cywilizację? Na pewno. Na pewno przewidzieli po prostu wszystko...

– Leonid Andriejewicz to jednak fenomenalnie przenikliwy człowiek – powiedział Mboga.

– Tak – przyznała Tania. – Strach pomyśleć, co by tu nawyprawiał Borka, gdyby tylko miał broń.

– Dlaczego właśnie ja? – oburzył się Fokin. – A kto chodził się kąpać z nożem?

– Wszyscyśmy dobrzy – westchnął Riu.

Komow spojrzął na zegarek.

– Start za dwadzieścia minut – oznajmił. – Proszę zająć miejsca.

W kesonie Mboga zatrzymał się i obejrzał. Biała gwiazda EN 23 już weszła nad zieloną równiną. Pachniało wilgotną trawą, ciepłą ziemią i świeżym miodem.

– Ech – westchnął. – Co za wspaniale urządzone planeta. Czy przyroda mogłaby coś takiego stworzyć?

## Rozdział 4 Jacy będziecie Kłęska

– Pojedziesz na wyspę Szumszu – powiedział Fischer do Sidorowa.

– Gdzie to jest? – spytał posepnie Sidorow.

– Północne Kuryle. Lecisz dzisiaj o dwudziestej drugiej trzydzieści. Towarowo-pasażerskim Nowosybirsk – Port Opatrzności.

Mechanozarodki trzeba było przetestować w różnych warunkach. Swoje prace Instytut prowadził przede wszystkim dla astronautów, dlatego trzydzieści badawczych grup skierowano na Księżyc i inne planety, a pozostałe siedemnaście miało pracować na Ziemi.

– Dobrze – powiedział powoli Sidorow.

Miał nadzieję, że mimo wszystko przydzielą go przynajmniej do grupy księżycowej. Wydawało mu się, że ma spore szansę, ponieważ od dawna nie czuł się tak dobrze jak ostatnio. Był w doskonałej formie i miał nadzieję... aż do ostatniej chwili. Ale Fischer z jakiegoś powodu zdecydował inaczej i nawet nie można z nim po ludzku pogadać, bo w gabinecie sterczą jakieś nieznajome smętne typy. Tak właśnie przychodzi starość, pomyślał.

– Dobrze – powtórzył spokojnie.

– Siewierokurylsk już wie – rzekł Fischer. – Konkretnie miejsce prób uzgodnisz w Bajkowie.

– Gdzie to jest?

– Na wyspie Szumszu. Administracyjne centrum Szumszu. Fischer złączył palce i zaczął patrzeć w okno. – Sermus też zostaje na Ziemi. Pojedzie na Saharę.

Sidorow nic nie powiedział.

– No tak – dodał Fischer. – Już dobrałem ci pomocników. Dwóch. Wspaniali chłopcy.

– Nowicjusze.

– Poradzą sobie – powiedział szybko Fischer. – Są doskonale przygotowani. Porządne chłopaki, naprawdę. Jeden był desantowcem.

– Dobrze – powiedział obojętnie Sidorow. – To wszystko?

– Wszystko. Możesz ruszać, życzę powodzenia. Twój ładunek i twoi ludzie są w sto szesnastym.

Sidorow podeszedł do drzwi. Fischer po chwili milczenia rzucił za nim:

– Wracaj jak najszybciej, *kamerad*. Mam dla ciebie interesujący temat.

Sidorow zamknął za sobą drzwi i chwilę postął. Potem przypomniał sobie, że laboratorium sto szesnaście znajduje się pięć pięter niżej i poszedł do windy.

Jajo – wypolerowana kula połowy ludzkiego wzrostu – stało w prawym rogu laboratorium. W kącie po lewej siedziało dwóch ludzi. Gdy Sidorow wszedł, wstali. Sidorow przystanął, żeby się im przyjrzeć. Mogli mieć najwyżej po dwadzieścia pięć lat. Jeden był wysoki, jasnowłosy, z nieładną, czerwona twarzą. Drugi, niższy, smagły przystojniak hiszpańskiego typu, nosił zamszową kurtkę i ciężkie górskie buty. Sidorow wsunął ręce do kieszeni, stanął na palcach i znowu opadł na pięty. Nowicjusze, pomyślał i poczuł tak silny przyływ złości, że aż sam się sobie zdziwił.

– Dzień dobry – rzekł. – Nazywam się Sidorow.

Smagły pokazał w uśmiechu zęby.

– Wiemy, Michaile Albertowiczu. – Przestał się uśmiechać i przedstawił się: – Kuźma Władimirowicz Soroczyński.

– Galcew, Wiktor Siergiejewicz – powiedział jasnowłoso.

Ciekawe, który z nich był desantowcem, zastanawiał się Sidorow. Pewnie ten Hiszpan, Soroczyński.

– Który z was był desantowcem? – spytał.

– Ja – odparł jasnowłoso Galcew.

– Dyscyplina? – spytał Sidorow.

– Tak – odparł Galcew. – Dyscyplina.

Popatrzył prosto na Sidorowa. Miał jasnoniebieskie oczy pod puszystymi kobiecymi rzęsami, które nie pasowały do topornej twarzy.

– Cóż – rzekł Sidorow. – Desantowiec powinien być zdyscyplinowany. Każdy człowiek powinien. Zresztą to nie moje zdanie. Co pan umie, Galcew?

– Jestem biologiem – powiedział Galcew.

– Aha – mruknął Sidorow. Odwrócił się do Soroczyńskiego.

– A pan?

– Inżynier-gastronom – zaraportował głośno Soroczyński, znowu pokazując białe zęby.

Świetnie, pomyślał Sidorow. Specjalista od robaków i cukiernik. Niezdyscyplinowany desantowiec i zamszowa kurteczka. Porządne chłopaki, szczególnie ten desantowiec od siedmiu boleści. Dziękuję, towarzyszu Fischer, zawsze się pan o mnie troszczył. Sidorow wyobraził sobie, jak Fischer, po starannym przejrzaniu listy dwóch tysięcy ochotników do międzyplanetarnych grup, popatrzył na zegarek i rzucił: Grupa Sidorowa. Kuryle. Atos to człowiek solidny, doświadczony. Wystarczy mu trzech... nawet dwóch. To przecież nie Merkury. Damy... o, choćby Soroczyńskiego i Galcewa. Tym bardziej że Galcew też był desantowcem.

– Jesteście przygotowani do pracy? – spytał.

– Tak – oświadczył Galcew.

– Jeszcze jak, Michaile Albertowiczu! – zawołał Soroczyński.

– Uszami się wylewa!

Sidorow podszedł do jaja i pomacał jego chłodną gładką powierzchnię.

– Wiecie, co to takiego? – spytał. – Pan pierwszy, Galcew.

Galcew podniósł wzrok i po sekundzie zastanowienia wygłosił monotonnym głosem:

– Embriomechaniczne urządzenie M3-8; mechanozarodnik, model ósmy. Autonomiczny, samodzielnie rozwijający się mechaniczny system, łączący w sobie programowe sterowanie MCHF, mechanochromosom Fischera, system odbiorczych i wykonawczych organów, system digestalny oraz energetyczny. M3-8 jest embriomechanicznym urządzeniem, zdolnym w dowolnych warunkach na dowolnym podłożu rozwinąć się w dowolną zaprogramowaną konstrukcję. M3-8 przeznaczony jest...

– Pan – powiedział Sidorow do Soroczyńskiego.

Soroczyński wyrecytował:

– Dany egzemplarz M3-8 przeznaczony jest do przetestowania w ziemskich warunkach. Program standardowy, standard 64: rozwój zarodnika w hermetyczną kopułę mieszkalną, na sześć osób, z przedścionkiem i filtrem tlenowym.

Sidorow popatrzył w okno i spytał:

– Waga?

– W przybliżeniu sto pięćdziesiąt kilogramów.

Niewykwalifikowani robotnicy grupy eksperymentalnej mieli prawo tego wszystkiego nie wiedzieć.

– Dobrze – rzekł Sidorow. – Teraz powiem wam to, czego nie wiecie. Po pierwsze, jajo warte jest dziewiętnaście tysięcy człowiekogodzin wykwalifikowanej pracy. Po drugie, naprawdę waży sto pięćdziesiąt kilo i tam, gdzie będzie trzeba, poniesiecie je na własnym plecach.

Galcew skinął głową. Soroczyński powtórzył:

– Poniesiemy, Michaille Albertowiczu.

– Pięknie. Zaczniście od razu. Załadujcie je do windy i zjedźcie do westybulu. Następnie udacie się do magazynu, tam odbierzecie aparaturę rejestrującą. Potem jesteście wolni. Na lotnisku macie się zjawić z całym ładunkiem przed dwudziestą drugą. Postarajcie się nie spóźnić.

Odwrócił się i wyszedł. Usłyszał dobiegający z tyłu hałas – grupa Sidorowa przystąpiła do wykonywania pierwszego zadania.

O wschodzie towarowo-pasażerski stratoplan zrzucił pterocar z grupą nad drugą Cieśniną Kurylską. Galcew z wielką gracją wyprowadził pterocar z lotu nurkowego, rozejrzał się, popatrzył na mapę, popatrzył na kompas i od razu odszukał Bajkowo – kilka poziomów piętrowych budynków z białego i czerwonego litoplastu, otaczających półkołem niewielką, ale głęboką zatokę. Pterocar, wykręcając twarde skrzydła, wylądował na nabrzeżu. Wczesny przechodzień młodzieniec w podkoszulku i brezentowych spodniach wytłumaczył im, gdzie znajduje się zarząd. W zarządzie dyżurny administrator wyspy i jednocześnie starszy agronom, stary przygarbiony Ajn, powitał ich serdecznie i zaprosił na śniadanie.

Po wysłuchaniu Sidorowa zaproponował do wyboru kilka pagórków przy północnym brzegu. Po rosyjsku mówił dość czysto, tylko czasem zaciął się w środku słowa, jakby nie był pewien akcentu.

– Północny brzeg to dość daleko – ciągnął – i nie ma tam dobrej drogi. Ale macie przecież pterocar. Poza tym nie mogą zaproponować wam niczego bliżej. Nie znam się na eksperymentach fizycznych, ale większą część wyspy zajmują basztany oraz inspekty. Wszędzie pracują teraz ucz...niowie. Nie mogą ryzy...kować.

– Nie ma żadnego ryzyka – powiedział Soroczyński lekkomyślnie. – Nie ma najmniejszego ryzyka.

Sidorow przypomniał sobie, jak kiedyś przesiedział godzinę na schodach pożarowych, ratując się przed plastikowym wampirem, który do doskonalenia się potrzebował protoplazmy. No tak, ale wtedy nie było jeszcze jaja.

– Dziękuję – powiedział – północny brzeg jest absolutnie wystarczający.

– Tak – przyznał Ajn. – Tam nie ma basztanów i inspektów, są tylko brzozy. W tamtej okolicy pracują arche...olodzy.

– Dziękuję – powtórzył Sidorow. – Myślę, że wyruszymy zaraz.

– Zaraz będzie śniadanie – przypomniał uprzejmie Ajn.

Zjedli w milczeniu. Przy pożegnaniu Ajn powiedział:

– Gdybyście czegoś potrzebowali, zwracajcie się... jak to się mówi... bez krę...pacji.

– Nie będziemy się... jak to się mówi... krępo... wać – zapewnił Soroczyński.

Sidorow zerknął na niego, a w pterocarze powiedział:

– Jeśli jeszcze raz, młody człowieku, pozwoli sobie pan na coś takiego, usunę pana z wyspy.

– Proszę o wybaczenie. – Soroczyński się zaczerwienił. Rumieniec uczynił jego gładką twarz jeszcze przystojniejszą.

Na północnym brzegu rzeczywiście nie było basztanów ani inspektów, tylko brzozy. Kurylska brzoza rośnie „leżąc”, ścięte się po ziemi, a jej mokre węzłaste pnie i gałęzie tworzą mocne sploty. Z powietrza zarośla kurylskiej brzozy wyglądają jak nieszkodliwe zielone polanki, idealne do lądowania niezbyt ciężkich maszyn. Ani prowadzący pterocar Galcew, ani Sidorow, ani Soroczyński nie mieli pojęcia, czym jest kurylska brzoza. Sidorow wskazał okrągłą polankę i oznajmił: „Tutaj”. Soroczyński popatrzył na niego nieśmiało i powiedział: „Dobre miejsce”. Galcew wypuścił podwozie i poprowadził pterocar do lądowania pośrodku obszernego zielonego pola u podnóża okrągłego pagórka.

Skrzydła maszyny zamarły i sekundę później pterocar z trzaskiem zarył dziobem w zielen kurylskiej brzozy. Zanim Sidorow stracił przytomność, zdążył usłyszeć ten trzask i zobaczyć milion różnokolorowych gwiazd.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, gdy otworzył oczy była ręka wielka i opalona. Podrapane palce jakby od niechcenia stuknęły w klawisze pulpitu sterowniczego.

Ręka znikła i pojawiła się ciemnoczerwona twarz z niebieskimi oczami o kobiecych rzęsach.

Sidorow stęknął, próbując usiąść. Bolał go prawy bok i głowa.

Dotknął czoła i podniósł palce do oczu. Krew. Popatrzył na Galcewa, który wycierał rozbite usta chusteczką.

– Lądowanie godne mistrza – stwierdził Sidorow. – Brawo, specjalisto od nematodów.

Galcew milczał. Przyciskał do ust zmiętą chusteczkę, a twarz miał nieruchomą. Rozległ się wysoki, wibrujący głos Soroczyńskiego:

– To nie jego wina, Michaile Albertowiczu.

Sidorow powoli odwrócił głowę i popatrzył na Soroczyńskiego.

– Słowo honoru, nie jego – powtórzył Soroczyński, odsuwając się. – Niech pan zobaczy, gdzieśmy wylądowali.

Sidorow uchylił drzwiczki kabiny, wysunął głowę na zewnątrz i przez kilka sekund obserwował wyrwane z korzeniami, połamane pnie, zaplątane w podwozie. Wyciągnął rękę, zerwał kilka twardych, połyskliwych listków, zmiął je w palcach i spróbował językiem. Listki były cierpkie i gorzkie. Splunął i spytał, nie patrząc na Galcewa:

– Maszyna cała?

– Cała – odparł Galcew przez chusteczkę.

– Wybił pan ząb?

– Tak.

– Do wesela się zagoi – obiecał Sidorow. – Może pan uznać, że to była moja wina. Niech pan spróbuje podnieść maszynę na pagórek.

Wyrwanie się z zarośli wcale nie było takie proste, ale w końcu Galcewowi udało się wylądować pterocarem na wzgórzu. Sidorow, rozcierając prawy bok, wyszedł i rozejrzał się. Stąd wyspa wydawała się bezludna i płaska jak stół. Pagórek był nagi i rudy od wulkanicznego tufu. Ze wschodu nasuwały się na niego zarośla kurylskiej brzozy. Na południe ciągnęły się zielone prostokąty basztanów. Do zachodniego brzegu było siedem kilometrów, za nim w przejrzystej mgiełce widać było bladoliliowe górskie szczyty, a jeszcze dalej, bardziej na prawo, na niebieskim niebie nieruchomo wisiała trójkątna chmura o wyraźnych konturach. Północny brzeg był znacznie bliżej. Ostro spadał do morza, a nad urwiskiem sterczała szara wieża – prawdopodobnie starodawne umocnienia obronne. Obok wieży białął namiot i widać było krzątające się figurki ludzi. To musieli być archeolodzy, o których wspominał dyżurny administrator. Sidorow pociągnął nosem. Pachniało słoną wodą

i nagrzanymi kamieniami. Panowała cisza, nie słyhać było nawet przyboju.

Dobre miejsce, pomyślał. Jajo zostawi się tutaj, kamery i resztę umieścimy na zboczach, a obóz w dole, na basztanach. Arbuzy pewnie jeszcze zielone. Pomyślał o archeologach. Stąd jest do nich z pięć kilometrów, ale i tak trzeba ich uprzedzić, żeby się nie zdziwili, jak zarodnik zacznie się rozwijać.

Sidorow zawołał swoich pomocników i oznajmił:

– Eksperyment przeprowadzimy tutaj. Moim zdaniem, miejsce jest odpowiednie. Podłoże to lava, tuf, dokładnie to, czego potrzebujemy. Zaczynajcie.

Galcew i Soroczyński podeszli do pterocararu i otworzyli bagażnik. Odbite od lusterek światło błysnęło w oczy. Soroczyński wszedł do środka, stęknął i nagle jednym zrywem wytoczył jajo na ziemię.

Chrząc po żuźlu, jajo potoczyło się kilka metrów i zatrzymało.

Galcew ledwie zdążył odskoczyć na bok.

– Niepotrzebnie, naderwiesz się.

Soroczyński zeskoczył.

– Nie szkodzi, jestem przyzwyczajony – powiedział grubym głosem.

Sidorow okrążył jajo, spróbował przesunąć. Nawet się nie zakółysało.

– Pięknie – powiedział. – Teraz kamery.

Ustawianie kamer zajęło im sporo czasu: jedna z obiektywem podczerwonym, druga ze stereoobiektywem, trzecia z obiektywem rejestrującym temperaturę, czwarta panoramiczna...

Było prawie południe, gdy Sidorow ostrożnie otarł rękawem mokre czoło i wyciągnął z kieszeni plastikowy futerał z aktywatorem. Galcew i Soroczyński przysunęli się z tyłu, zaglądając mu przez ramię. Sidorow niespiesznie wytrząsnął aktywator na dłoń – błyszczącą rurkę z ssawką na jednym końcu i czerwonym karbowanym przyciskiem na drugim.

– Rozpoczynamy – powiedział głośno.

Podszedł do jaja i przycisnął ssawkę do wypolerowanego metalu. Chwilę odczekał, a następnie kciukiem nacisnął czerwony przycisk.

Cofnął się o krok, nie odrywając wzroku od jaja. Teraz chyba tylko bezpośrednie uderzenie pocisku raketowego mogłoby zahamować procesy, które rozpoczęły się pod błyszczącą powłoką. Nastrajanie się mechanozarodnika na warunki polowe zostało uruchomione. Nie wiadomo, jak długo potrwa, ale gdy się skończy, zarodnik zacznie się rozwijać.

Sidorow zerknął na zegarek – dwunasta pięć. Z wysiłkiem oderwał aktywator od powierzchni jaja, schował do futerału i włożył do kieszeni. Obejrzał się na Galcewa i Soroczyńskiego. Stali za jego plecami, w milczeniu patrząc na jajo. Sidorow jeszcze raz musnął błyszczącą powierzchnię.

– Chodźmy – powiedział.

Sidorow polecił urządzić punkt obserwacyjny między pagórkami a basztanami. Jajo było stąd doskonale widoczne – srebrzysta kula na rudym wzgórzu pod niebieskim niebem. Sidorow wysłał Soroczyńskiego do archeologów, a sam siadł na trawie w cieniu pterocararu. Galcew już drzemał, chowając się przed słońcem pod skrzydłem. Sidorow lizał lizaka i spoglądał to na szczyt pagórka, to na dziwny trójkątny obłok na zachodzie. W końcu wziął lornetkę. Tak jak sądził, obłok okazał się szczytem jakiejś góry, prawdopodobnie wulkanu. Przez lornetkę widać było wąskie cienie, można było nawet wypatrzeć plamy śniegu pod nierówną białą krawędzią. Sidorow odłożył lornetkę i zaczął myśleć. Zarodnik wykluje się

z jaja najprawdopodobniej w nocy. To dobrze, światło dzienne zazwyczaj przeszkadza w pracy kamer. Zdecydował, że Sermus pewnie pokłócił się z Fischerem na dobre, ale na Saharę pojechał. A potem przyszło mu do głowy, że Misima teraz ładuje się na raketodrom w Kirgizji i znowu poczuł ból w prawym boku. „Starość, niemoc” wymamrotał i zerknął na Galcewa. Chłopak leżał na wznak z rękami pod głową.

Po półtorej godzinie wrócił Soroczyński. Był nagi do pasa, jego smągła gładka skóra lśniła od potu. Elegancką zamszową kurtkę i koszulę niósł pod pachą. Kucnął przed Sidorowem i łyskając zębami opowiedział, że archeolodzy dziękują za ostrzeżenie i są bardzo zainteresowani eksperymentem; że jest ich czworo, ale pomagają im uczniowie z Bajkowa i Sewierokurylska; że wykopują podziemne japońskie umocnienia z połowy dwudziestego wieku i wreszcie, że ich kierownikiem jest „przesympatyczna dziewczyna”.

Sidorow podziękował za interesujący raport i poprosił o przygotowanie obiadu. Siedział w cieniu pterocarar, pogryzał źdźbło trawy i mrużąc oczy, wpatrywał się w biały stożek. Soroczyński obudził Galcewa i zaczęli się krzątać na boku, cicho rozmawiając.

– Przygotuje zupę – oznajmił Soroczyński. – A ty zajmij się drugim, Witia.

– Mamy tu gdzieś kurę – rzekł Galcew sennym jeszcze głosem.

– Tutaj. Ci archeolodzy to zabawni ludzie. Jeden jest cały brodaty, ani jednego nieowłosionego miejsca na twarzy. Kopia japońskie umocnienia z lat czterdziestych dwudziestego wieku. Tutaj była podziemna twierdza. Ten brodaty podarował mi pistolet na naboje. Patrz!

– Nie pchaj mi tu tego żelastwa – burknął niezadowolony Galcew.

Zapachniało zupą.

– Ich kierowniczką – ciągnął Soroczyński – to bardzo miła dziewczyna. Blondynka i bardzo zgrabna, tylko nogi za grube. Posadziła mnie w betonowym schronie i kazała patrzeć przez otwór strzelniczy. Stąd, mówi, ostrzeliwano cały północny brzeg.

– No i jak? – spytał Galcew. – Rzeczywiście ostrzeliwali?

– A kto ich tam wie. Pewnie tak. Patrzyłem głównie na nią. Potem zmierzyliśmy grubość stropów.

– Dwie godziny mierzyliście?

– Uhu. A potem dotarło do mnie, że ona ma takie samo nazwisko jak brodaty i od razu się oddaliłem. A w tych kazamatach, mówię ci, okropnie. Ciemno i pleśń na ścianach. A gdzie chleb?

– Tu. A może jest po prostu siostrą brodatego?

– Możliwe. Jak jajo?

– Nijak.

– No i dobrze – powiedział Soroczyński. – Michaile Albertowiczu, obiad gotowy!

Przy jedzeniu Soroczyński dużo mówił. Najpierw wyjaśniał, że japońskie słowo „totika” pochodzi od rosyjskiego terminu „schron”, a rosyjskie „dot” (betonowy schron) wywodzi się z angielskiego „dot”, co również oznacza „schron”. Potem zaczął długo opowiadać o schronach, kazamatach i otworach strzelniczych. Sidorow starał się jeść jak najszybciej, podziękował za owoce, zostawił Galcewa, żeby obserwował jajo, wszedł do pterocarar i zdrzemnął się. Wokół było zdumiewająco cicho i tylko Soroczyński, który mył naczynia nad strumieniem, od czasu do czasu nucił. Galcew siedział z lornetką polową i nie odrywał wzroku od jaja na wzgórzu.

Gdy Sidorow się obudził, słońce chyliło się ku zachodowi, a z południa nadpływał ciemnofioletowy zmierzch. Ochłodziło się. Góry na zachodzie stały się czarne, szarym

cieniem wisiał nad horyzontem stożek dawnego wulkanu. Jajo na szczycie wzgórza płonęło purpurą. Nad basztanami snuł się siwy dymek. Galcew siedział w tej samej pozycji i słuchał Soroczyńskiego.

– W Astrachaniu – mówił Soroczyński – jadłem „szachską różę”. To arbuzy rzadkiej urody. Ma smak ananasa.

Galcew pokasływał.

Sidorow przesiedział kilka minut bez ruchu. Przypomniał sobie, jak kiedyś z Gienką-Kapitanem jedli arbuzy na Wenecji. Z Ziemi przywieźli cały statek arbuzy dla stacji planetologicznej. Jedli owoce wgrzyżając się w chrząszczący miąższ, a sok ściekał im po policzkach. Potem strzelali do siebie śliskimi czarnymi pestkami.

– Palce lizać, mówię ci to jako gastronom!

– Ciszej – powiedział Galcew. – Obudzisz Atosa.

Sidorow usiadł wygodniej, oparł podbródek na oparciu przedniego siedzenia i zamknął oczy. Było ciepło i nawet trochę duszno, kabina stygła powoli.

– Nie zdarzyło ci się latać z Atosem? – spytał Soroczyński.

– Nie.

– Żał mi go. I jednocześnie mu zazdroścę. Przeżył takie życie, jakiego ja nigdy nie przeżyję. Wielu innych też. Ale mimo wszystko już przeżył.

– Dlaczego właściwie „przeżył”? – spytał Galcew. – Po prostu przestał latać.

– Ptak, który przestał latać... – Soroczyński zamilkł. – Czas desantowców już minął – oświadczył nieoczekiwanie.

– Bzdura – odparł spokojnie Galcew.

Sidorow usłyszał, że Soroczyński się poruszył.

– To nie bzdura – powiedział. – Weź na przykład jajo! Będą je produkować setkami i zrzucać na nieznane i niebezpieczne planety. I każde jajo zbuduje tam laboratorium, rakietodrom i statek. Stworzy kopalnię. Będzie łowić i badać twoje nematocydy. A desantowcy będą tylko odczytywać informacje i zbierać śmietankę.

– Bzdura – powtórzył Galcew. – Laboratoria, kopalnie... a hermetyczna kopuła na sześć osób?

– Co kopuła?

– Pod nią będzie sześć osób.

– Wszystko jedno – oznajmił uparcie Soroczyński. – Wszystko jedno, to i tak koniec desantowców. Kopuła z ludźmi to tylko początek. Najpierw będą wysyłać automatyczne statki, które zrzucają jaja, a ludzie przyjdą na gotowe...

Zaczął mówić o perspektywach embriomechaniki, cytując znany wykład Fischera. Dużo się o tym mówi, pomyślał Sidorow. I to wszystko prawda. Ale gdy przeprowadzano próby z pierwszymi statkami-automatami, też dużo się mówiło o tym, że astronauty będą tylko zbierać śmietankę. A gdy Akimow i Sermus uruchomili pierwszy system cyberzwiadowców, Sidorow nawet chciał odejść z kosmosu. To było trzydzieści lat temu i od tej pory nieraz miał okazję skakać w piekło za pokiereszowanymi cyberami i robić to, czego nie mogły zrobić one... Nowicjusz, pomyślał o Soroczyńskim. I gaduła niemożliwa.

Gdy Galcew po raz czwarty powtórzył „bzdura”, Sidorow wyszedł z maszyny. Na jego widok Soroczyński zamilkł i zerwał się.

W rękach miał połowę niedojrzałego arbuza ze sterczącym z niego nożem. Galcew nadal siedział ze skrzyżowanymi nogami.

– Chce pan arbuza, Michaile Albertowiczu? – spytał Soroczyński.



Sidorow pokręcił głową, wsunął ręce w kieszenie i zaczął patrzeć na wzgórze. Gasły czerwone odbłyski na polerowanej powierzchni jaja, szybko zapadał zmierzch. Z mgły nagle wyłoniła się jasna gwiazda, sunąc powoli po ciemnoniebieskim niebie.

– Satelita-Osiem – rzekł Galcew.

– Nie – poprawił pewnym tonem Soroczyński. – To Satelita Siedemnaście. Albo nie, to Satelita-Zwierciadło.

Sidorow, który wiedział, że to Satelita-Osiem, westchnął i poszedł w stronę pagórka. Miał już powyżej uszu Soroczyńskiego, poza tym należało sprawdzić kamery.

Wracając, zobaczył ogień. Niemordowany Soroczyński rozpałił ognisko i teraz stał w malowniczej pozie, machając rękami.

– Cel to tylko środek – usłyszał Sidorow. – Szczęście nie w samym szczęściu, lecz w pogoni za szczęściem...

– Już to gdzieś czytałem – powiedział Galcew.

Ja też, pomyślał Sidorow. I to nieraz. Może by tak kazać Soroczyńskiemu iść spać? Popatrzył na zegarek. Świecące się wskazówki pokazywały północ. Było absolutnie ciemno.

Jajo pękło o drugiej pięćdziesiąt trzy. Noc była bezksiężycowa. Sidorow drzemał, siedząc przy ognisku, odwrócony do ognia prawym bokiem. Obok kiwał się sennie Galcew. Po drugiej stronie ogniska Soroczyński czytał gazetę szeleszcząc stronami. Wtedy właśnie jajo pękło. Rozległ się ostry, przenikliwy trzask, kojarzący się z odgłosem, jaki wydaje wytłaczarka, wypluwając gotowy element. Szczyt wzgórza na krótko rozbłysnął pomarańczowym światłem. Sidorow spojrzał na zegarek i wstał. Szczyt wyraźnie oddzielał się od gwiazdzistego nieba. Gdy oczy, oślepione ogniem, przywykły już do ciemności, zobaczył mnóstwo słabych, czerwonych ogników, powoli przemierzających się wzdłuż miejsca, w którym znajdowało się jajo.

– Zaczęło się – powiedział złowieszczym szeptem Soroczyński. – Zaczęło się! Witia, zbudź się, zaczęło się...!

– Może wreszcie przestaniesz gadać? – szepnęła Galcew.

Z nich trzech tylko Sidorow wiedział, co się dzieje na wzgórzu. Przez pierwsze dziesięć godzin po przebudzeniu mechanozarodnik dostrajał się do otoczenia. Gdy ten proces został zakończony, zarodnik zaczynał się rozwijać. To, czego nie wykorzystywał do rozwoju, szło na przeróbkę i umocnienie roboczych organów – efektorów. Potem rozwój doszedł do powłoki. Powłoka pękła i zarodnik zaczął oswajać podłoże.

Ogników było coraz więcej i poruszały się coraz szybciej. Dało się słyszeć brzęczenie i ostry zgrzyt – to efekторы wgrzyzały się w glebę i meły na pył kawałki tum. Od wzgórza oddzieliły się i popłynęły w rozgwieżdżone niebo kłęby lśniącego dymu. Nierówny, drżący odblask na sekundę oświetlił dziwne, ciężkie kształty, po czym wszystko znowu się skryło.

– Podejźmy bliżej? – spytał Soroczyński.

Sidorow nie odpowiedział. Nagle przypomniał sobie prowadzony kilka lat temu eksperyment z pierwszym mechanozarodnikiem, modelem jaja. Wtedy jeszcze miał bardzo słabe pojęcie o embriomechanice. W przestronnym pawilonie obok instytutu umieszczono zarodnik – siedemnaście skrzynek, przypominających szafy pancerne, ustawionych wzdłuż ścian plus ogromna sterta cementu na środku. W cemencie ukryto system efektorowy i digestalny. Fischer machnął ręką i ktoś wcisnął włącznik. Przesiedzieli w pawilonie do późnego wieczoru, zapominając o całym świecie. Sterta cementu powoli tajała, a do wieczora z pary i dymu wyłoniły się zarysy standardowego, litoplastowego trzypokojowego domku,

z ogrzewaniem parowym i autonomicznym zasilaniem elektrycznym. Wyglądał zupełnie tak, jak produkowany przez fabryki, tylko w łazience został ceramiczny sześcian – „żołądek” – skomplikowane połączenia efektorów. Fischer obejrzał domek, dotknął nogą efektorów i powiedział:

– Chyba już wystarczy tego chałupnictwa. Trzeba robić jajo.

Wtedy wypowiedziano to słowo po raz pierwszy. Potem było wiele pracy, sporo sukcesów i bardzo dużo porażek. Zarodnik uczył się przystosowywać do gwałtownych zmian w otoczeniu, uczył się autonaprawy. Uczył się rozwijania w domy, koparki, rakiety, umiejętności nierozbijania się przy spadaniu w przepaść i przetrwania w płynnym metalu, uczył się nie bać zera absolutnego... To dobrze, pomyślał Sidorow, mimo wszystko to dobrze, że zostałem na Ziemi.

Na szczycie wzgórza kłęby świecącego dymu wzbijały się coraz wyżej, trzask, skrzypienie i brzęczenie zlały się w jeden hałas. Błądzące czerwone ogniki tworzyły łańcuchy, zlewające się w ruchome linie. Nad nimi płonęła różowa luna. Można już było wypatrzeć ogromny przedmiot, kołyszący się niczym łódka na falach.

Sidorow znowu spojrzął na zegarek. Była za pięć czwarta.

Najwidoczniej lava i tuf okazały się sprzyjającym materiałem: kopuła rosła znacznie szybciej niż na cemencie. Ciekawe, co będzie dalej. Mechanizm nadbudowuje kopułę od wierzchołka po brzegi, a przy tym efekторы wchodzą coraz głębiej w pagórek. Żeby kopuła nie znalazła się pod ziemią, zarodnik będzie musiał się zatroszczyć albo o palowe podpórki, albo o przesunięcie kopuły dalej od jamy, którą wryły efekторы. Sidorow wyobraził sobie rozpalone do białości brzegi kopuły, do których łopatki efektorów dolepiąją coraz to nowe części ciągliwego rozgrzanego litoplastu.

Na minutę szczyt pagórka zatonał się w ciemnościach; łoskot zamilkł, dało się słyszeć tylko słabe brzęczenie. Zarodnik przestrajał pracę systemu energetycznego.

– Soroczyński – powiedział Sidorow.

– Jestem!

– Niech pan biegnie do termokamery i odciągnie ją dalej. Na pagórek nie wchodzić.

– Już, Michaile Albertowiczu.

Szeptem poprosił Galcewa o latarkę. Żółty krąg światła poskakał po żwirze i znikł.

Znowu rozległ się łoskot i nad wzgórzem jeszcze raz zapaliła się różowa luna. Sidorow miał wrażenie, że czarna kopuła trochę się przesunęła, ale nie był pewien. Z niezadowolaniem pomyślał, że Soroczyńskiego trzeba było wysłać po termokamerę, gdy tylko zarodnik wyklął się z jaja...

Nagle usłyszał ogłuszający trzask. Na wzgórzu zapłonął czerwony blask. Purpurowa błyskawica zsunęła się powoli po czarnym zboczach i zgasła. Luna stała się jasnożółta i wszystko zasnuło się gęstym dymem. Od huku pękała głowa; Sidorow z przerażeniem zobaczył, że w dymie i płomieniach otulających wzgórze unosi się ogromny cień. Masywny, połyskliwy kształt zachwiał się na cienkich drżących nogach. Huknęło jeszcze raz, jeszcze jedna rozpalona błyskawica zygżakiem przebiegła po zboczach. Drgnęła ziemia, a cień, który zawisł w dymnym żarze, zgasł.

Sidorow zaczął biec w stronę wzgórza. Na szczycie ciągle coś dymiło i trzeszczało, fale gorącego powietrza zbijały go z nóg. W czerwonym płaszącym świetle Sidorow widział, jak ciągnąc za sobą kawałki lawy spadają kamery – jedyni świadkowie tego, co wydarzyło się na szczycie.

Potknął się o jedną z nich, leżała rozkraczając pogięte nogi statywu. Sidorow zwolnił.

Po zboczach sypał się gorący żwir. Na górze panowała teraz cisza, ale nadal coś się tam tliło w dymie. Po chwili huknęło jeszcze raz i Sidorow zobaczył niewielki żółty rozbłysk.

Na górze pachniało gorącym dymem i czymś jeszcze, nieznanym i kwaśnym. Sidorow zatrzymał się nad ogromnym dołem o pionowych ścianach. Na jego dnie leżała niemal gotowa hermetyczna kopuła na sześć osób, z przedsionkiem i filtrem tlenowym. Tlił się rozpalony żużel, widać w nim było poruszające się bezradnie hemomechaniczne macki zarodnika.

– Co się stało? – spytał płaczliwie Soroczyński.

Sidorow podniósł głowę i zobaczył chłopaka nachylającego się nad krawędzią.

– Dziad bił, bił, nie rozbił – odezwał się przygnębiony Soroczyński. – Baba biła, biła...

– Milcz – powiedział cicho Sidorow.

Siadł na brzegu dołu i zaczął schodzić.

– Nie trzeba – ostrzegł Galcew. – To niebezpieczne.

– Milcz – powtórzył Sidorow.

Musiał natychmiast zrozumieć, co się tu stało. Niemożliwe, żeby zawiodła konstrukcja jaja, najdoskonalszej z maszyn stworzonych przez człowieka. Najbezpieczniejszej i najmądrzejszej.

Podmucha ciepła buchnął mu w twarz i Sidorow przymknął oczy. Ześliznął się na dół, tuż obok rozpalonej do czerwoności i krawędzi nowo narodzonej kopuły. Rozejrzył się. Zobaczył stopione betonowe sklepienie, rdzawe, poczerniałe pręty armatury, szerokie ciemne przejście, prowadzące gdzieś w głąb pagórka. Pod nogami przesunęło się coś ciężkiego. Sidorow nachylił się. Nie od razu zrozumiał, co to za szary metalowy przedmiot, a gdy zrozumiał, wiedział już wszystko. To był pocisk artyleryjski.

Pagórek był w środku pusty. Jacyś dranie dwieście lat temu zbudowali w jego wydrążeniu betonowe ciemne pomieszczenie i wypełnili je artyleryjskimi pociskami. Mechanizm, ustawiając: pale, przebił sklepienie na wylot. Przegniły beton nie wytrzymał ciężaru kopuły, pale weszły w niego jak w bagno. Maszyna zaczęła zalewać beton rozpalonym litoplastem. Nie mogła wiedzieć, że tam jest magazyn pocisków. A już na pewno nie wiedziała, czym są pociski artyleryjskie, ponieważ ludzie, którzy ją zaprogramowali, zapomnieli, że coś takiego istniało. Zdaje się, że pociski faszerowano trotylem. Trotyl uległ rozkładowi przez te dwieście lat, ale nie do końca, nie we wszystkich pociskach. Wszystko, co mogło wybuchnąć, wybuchło. I cały mechanizm zamienił się w kupę złomu...

Z góry posypały się kamyczki. Sidorow podniósł wzrok i zobaczył schodzącego Galcewa. Po przeciwległej ścianie zsuwał się Soroczyński.

– Gdzie się pchacie? – spytał Sidorow.

– Chcemy pomóc, Michaile Albertowiczu – odpowiedział cienkim głosem Soroczyński.

– Nie jesteście mi potrzebni.

– My tylko... – zaczął Soroczyński i zamilkł.

W ścianie za Sidorowem ukazało się pęknięcie.

– Uwaga! – wrzasnął Soroczyński.

Sidorow odskoczył na bok, potknął się o pocisk i upadł na wznak.

Kopuła zachwiała się i ciężko runęła, głęboko wrzynając się rozpalonym brzegiem w czarną ziemię. Ziemia drgnęła. Gorące powietrze chlasnęło Sidorowa po twarzy.

Nad pagórkiem, gdzie słabo połyskiwała stercząca z leja kopuła, wisiał biały dymek. Ciągłe coś się tam tliło, od czasu do czasu rozlegał się głuchy trzask. Galcew siedział,

obejmując kolana rękami i wpatrywał się w pagórek. Ręce miał owinięte bandażami, czerwone oczy, a lewą połowę twarzy czarną od sadzy i błota. Jeszcze się nie umył, chociaż słońce już dawno zaszło. Przy ognisku spał Soroczyński, zakrywając głowę zamszową kurtką.

Sidorow położył się na wznak i założył ręce pod głowę. Nie chciał patrzeć na pagórek, na biały dymek, na straszną twarz Galcewa. Za to spoglądanie w niebieskie niebo było wspaniałe. Na to niebo można patrzeć godzinami. Wiedział to już wtedy, gdy był desantowcem, gdy skakał na północny biegun Władysławy, gdy szturmował Belinę, gdy siedział sam w rozbitym statku na Transplutonie. Tam w ogóle nie było nieba, tylko czarna rozgwieżdżona pustka i oślepiająca gwiazda – Słońce. Wtedy czuł, że oddałby ostatnie minuty życia, żeby tylko móc jeszcze raz zobaczyć niebieskie niebo. Na Ziemi to uczucie bardzo szybko się zapomina. Tak bywało i wcześniej, gdy całymi latami nie widział nieba, a każda sekunda tych lat mogła być ostatnią sekundą. Ale desantowcowi nie przystoi myśleć o śmierci. Powinien za to zawsze pamiętać o ewentualnej klęsce, chociaż Gorbowski powiedział kiedyś, że śmierć jest gorsza od każdej, nawet najstraszniejszej klęski. Klęska to tylko przypadek, można ją pokonać. Trzeba pokonać. Jedyne martwi nie mogą walczyć. Chociaż... martwi też mogą walczyć i nawet zadawać klęski.

Sidorow uniósł się na łokciu i popatrzył na Galcewa. Miał ochotę zapytać, co on o tym wszystkim myśli. Przecież Galcew też był desantowcem. Co prawda, marnym desantowcem. Na pewno myślał, że na świecie nie ma nic gorszego od klęski.

Galcew powoli odwrócił głowę, poruszył wargami i nagle powiedział:

– Ma pan czerwone oczy, Michale Albertowiczu.

– Pan też – odparł Sidorow.

Trzeba było połączyć się z Fischerem i opowiedzieć o wszystkim, co się tu wydarzyło. Wstał i ciężko krocząc po trawie, skierował się do pterocaruru. Szedł, odchylając do tyłu głowę, żeby móc patrzeć w niebo. Można to było robić godzinami; niebo było takie niebieskie i zdumiewająco piękne. Niebo, pod które się wraca.

## Spotkanie

Aleksander Grigoriewicz Kostylin stał za swoim ogromnym biurkiem i oglądał zdjęcia.

– Dzień dobry, Lin – powiedział Łowca.

Kostylin podniósł łysą głowę i krzyknął:

– *A! Home is the sailor, home from the sea!*

– *And the hunter is home from the hill!* – odrzekł Łowca i się objęli.

– Czym mnie ucieszysz tym razem? – zapytał rzeczowo Kostylin. – Wracasz przecież z Jajfy...

– Tak, prosto z Tysiąca Bagien – Łowca usiadł w fotelu i wyciągnął przed siebie nogi. – A ty coraz bardziej tyjesz i łysiejesz, Lin. Zgubi cię ten siedzący tryb życia. Następnym razem zabiorę cię ze sobą.

Kostylin zatroskany obmacał swój gruby brzuch.

– Tak – powiedział, – To straszne. Baronowie się starzeją, baronowie tyją... To co, przywiozłeś mi coś ciekawego?

– Nie, Lin. Same drobiazgi. Z dziesięć dwustrunowych węży, kilka nowych gatunków wielomuszlowych mięczaków... A co ty tu masz? – Wyciągnął rękę i wziął z biurka plik zdjęć.

– Przywiózł jeden debiutant... Znasz go?

– Nie. – Łowca oglądał zdjęcia. – Nieźle. To oczywiście Pandora.

– Zgadza się, Pandora. Gigantyczny rakopająk. Wyjątkowo duży egzemplarz.  
– Tak – przyznał Łowca, patrząc na ultradźwiękowy karabin oparty dla porównania o żółty nagi brzuch rakopajaka. – Nieźle, jak na nowicjusza. Ale widywałem już większe sztuki. Ile razy strzelał?  
– Mówi, że dwa. I za każdym razem w centralny splot nerwowy.  
– Trzeba było strzelać igłą anestetyczną. Chłopiec widać trochę się zdenerwował. – Łowca z uśmiechem oglądał zdjęcie, na którym podniecony chłopak dumnie wspierał nogę na martwym potworze. No dobrze, a co słychać u ciebie w domu?  
Kostylin machnął ręką.

– Urząd stanu cywilnego. Wszyscy się żenią. Marta wyszła za męża za hydrologa.

– Która to Marta? – spytał Łowca. – Wnuczka?

– Prawnuczka, Paul! Prawnuczka!

– Tak, baronowie się starzeją. – Łowca odłożył zdjęcia na biurko i wstał. – Cóż, ja już pójdę.

– Znowu? – zapytał z niezadowoleniem Kostylin. – Może wystarczy?

– Nie, Lin. Tak trzeba. Spotkamy się tam gdzie zawsze.

Łowca skinął głową i wyszedł. W parku skierował się do pawilonów. W muzeum było jak zawsze tłumnie. Ludzie spacerowali po alejkach obsadzonych pomarańczowymi palmami z Wenus, gromadzili się wokół terrariów i nad basenami z przezroczystą wodą w wysokiej trawie pomiędzy drzewami biegały dzieci – bawiły się w „marsjańskie chowanego”. Łowca przystanął, żeby popatrzeć. To była pasjonująca zabawa. Dawno temu z Marsa na Ziemię przywieziono mimikrodony – duże jaszczury o melancholijnym usposobieniu, doskonale przystosowane do gwałtownych zmian otaczającego je środowiska, mające niezwykle rozwiniętą zdolność mimikry.

W parku muzeum cieszyły się absolutną swobodą. Dzieci szukały ich – co wymagało niemałej spostrzegawczości i zręczności – a potem ciągnęły z miejsca na miejsce, żeby zobaczyć, jak mimikrodony zmieniają kolor. Jaszczury były duże i ciężkie, dzieciaki nosiły je za odstającą na karku skórę. Mimikrodony nie protestowały. Chyba im się to nawet podobało.

Łowca minął ogromną, przezroczystą kopułę, pod którą mieściło się terrarium „Łąka z planety Rużena”. W bladobłękitnej trawie skakały zabawne remby, gigantyczne, przedziwnie ubarwione owady, trochę podobne do ziemskich koników polnych. Łowca przypomniał sobie, jak dwadzieścia lat temu po raz pierwszy polował na Rużenie. Trzy dni przesiedział w zasadzce, czekając na pojawienie się jakiegokolwiek zwierzęcia, a ogromne tęczowe remby skakały wokół niego i siadały na lufie karabinu. Przy „Łące” zawsze było pełno ludzi, remby są prześliczne i bardzo zabawne.

Nieopodal wejścia do centralnego pawilonu Łowca zatrzymał się przy balustradzie okalającej głęboki okrągły basen – studnię. W wodzie oświetlonej błękitnym światłem bez przerwy krążyło długie kosmate zwierzę – ichtiomammal, jedyny znany przedstawiciel ciepłokrwistych, oddychający skrzelami. Ichtiomammal bez przerwy był w ruchu, pływał tak, zataczając koła, rok temu i pięć lat temu, i czterdzieści lat temu, gdy Łowca zobaczył go po raz pierwszy. Ichtiomammala po wielu trudach schwytał słynny Sajllieu. Teraz Saillieu od dawna nie żyje, śpi wiecznym snem gdzieś w dżungli Pandory, a jego ichtiomammal nadal krąży w wodzie basenu.

W westybulu pawilonu Łowca znowu się zatrzymał i przysiadł na lekkim fotelu w kącie. Cały środek jasno oświetlonej sali zajmowała wypchana latająca pijawka – *Sorotobu chiru* (fauna Marsa, Układ Słoneczny, cykl węglowy, typ wielostrunowe, klasa

skórodyszne, rząd, rodzina, gatunek – *Sora-tobu chiru*). Latająca pijawka była jednym z pierwszych eksponatów Muzeum Kosmozoologii. Od półtora wieku ten ohydny potwór szczyrzył przypominającą łyżkę koparki paszczę do każdego, kto wchodził do pawilonu. Dziewięciometrowy, pokryty twardą, lśniąca sierścią, beznogi, bezoki... Dawny pan Marsa.

Tak, różnie bywało na Marsie, pomyślał Łowca. Takich rzeczy się nie zapomina. Pięćdziesiąt lat temu te potwory, niemal doszczętnie wybite, nieoczekiwanie rozmnożyły się na nowo i zaczęły, jak za dawnych lat, uprawiać piracki proceder na szlakach komunikacyjnych pomiędzy marsjańskimi bazami. Wtedy właśnie przeprowadzono słynną totalną obławę. Trzęsłem się w crawlerze, niemal nic nie widząc przez chmury piasku podniesione przez żelazne gaśienice.

Po prawej i lewej stronie pędziły żółte pustynne czołgi, pełne ochotników. Jeden czołg podskoczył na wydmie i nagle się przewrócił.

Ludzie błyskawicznie wysypali się z niego na piach, my wyskoczyliśmy z pyłu, Ermler wczepił się w moje ramię i wrzeszczał, pokazując coś przed sobą. Zobaczyłem pijawki, setki pijawek wijących się w słonym jeziorze w dolinie pomiędzy wydmami. Zacząłem strzelać, inni też strzelali, a Ermler ciągle nie mógł się uporać ze swoim miotaczem rakiet. Wszyscy krzyczeli i klęli go, nawet grozili pobiciem, ale nikt nie mógł oderwać się od karabinu. Pierścień obławy zamykał się; już widzieliśmy rozbłyśki wystrzałów z crawlerów idących z naprzeciwka. Dopiero wtedy Ermler przesunął pomiędzy mną a kierowcą rdzawą rurę swojej armaty, rozległ się ryk i łoskot. Upadłem ogluszony i oślepiony na dno crawlera. Słone jezioro zasnuł gęsty, czarny dym, wszystkie maszyny stanęły, ludzie przerwali strzelaninę i tylko wrzeszczeli, wymachując karabinami. Ermler w pięć minut wyczerpał cały magazynek, crawlery zjechały na solnisko i zaczęliśmy dobijać to, co zostało przy życiu po rakietach Ermlera.

Pijawki miotały się pomiędzy maszynami, rozgniataliśmy je gaśienicami, a ja strzelałem, strzelałem, strzelałem... Wtedy byłem młody i, niestety, bardzo lubiłem strzelać. Niestety, byłem przy tym doskonałym strzelcem i nigdy nie chybiałem. Niestety, strzelałem nie tylko na Marsie i nie tylko do ohydnych potworów. Lepiej by było, gdybym nigdy w życiu nie brał karabinu do ręki...

Wstał, ominął wypchaną pijawkę i powłókł się wzdłuż galerii. Musiał źle wyglądać, ponieważ wielu ludzi przystawało i przyglądało mu się z niepokojem. W końcu jakaś dziewczyna podeszła do niego i nieśmiało zapytała, czy może mu jakoś pomóc.

– Dlaczego, dziewczyno? – Łowca uśmiechnął się z wysiłkiem, wsunął dwa palce do kieszeni na piersi i wyjął niezwykle piękną muszlę z Jałty.

– To dla ciebie – powiedział. – Przywiozłem ją z daleka.

Dziewczyna uśmiechnęła się słabo i wzięła muszlę.

– Źle pan wygląda – powiedziała.

– Nie jestem już młody, dziecinko – odparł Łowca. – My, starcy, rzadko dobrze wyglądamy. Zbyt wielki ciężar muszą dźwigać nasze dusze.

Dziewczyna pewnie go nie zrozumiała, zresztą nawet tego nie chciał. Pogładził ją po głowie i poszedł dalej. Ale teraz wyprostował się i usiłował iść dziarskim krokiem, żeby ludzie więcej się za nim nie oglądali.

Jeszcze tylko brakowało, żeby mi współczuły dziewczynki, pomyślał. Kompletnie się rozkleiłem. Może nie powinienem więcej wracać na Ziemię. Może powinienem na zawsze zostać na Jajle, osiedlić się na obrzeżach Tysiąca Bagien i zastawiać pułapki na rubinowe węgorze. Nikt nie zna Tysiąca Bagien lepiej ode mnie, byłbym tam na swoim miejscu.

Łowca, który przestał strzelać, ma tam doskonałe pole do popisu...

Zatrzymał się. Zawsze się tu zatrzymywał. W podłużnej szklanej skrzynce, na kawałkach szarego piaskowca, rozkraczając trzy pary krzywych nóg, stała wypchana pomarszczona, niepozorna szara jaszczurka. U niewtajemniczonych szary sześcionóg nie budził żadnych emocji. Niewielu ludzi znało jego cudowną historię. Łowca znał i zawsze na widok jaszczurki czuł zabobonny zachwyty nad potęgą życia. Zwierzę zostało zabite dziesięć parseków od Słońca; jego spreparowany trup stał w tej gablocie dwa lata. I nagle pewnego pięknego dnia na oczach zwiedzających z pomarszczonej szarej skóry wyszły dziesiątki zwinnych, maleńkich sześcionogów. Wprawdzie natychmiast zginęły w ziemskim powietrzu, spłonęły w nadmiarze tlenu, ale szum zrobił się z tego straszny. Zoolodzy do tej pory głowią się, jak się to mogło stać. Zaprawdę, życie to jedyna sprawa, przed którą należy schylić czoło...

Łowca snuł się po galeriach, przechodząc z pawilonu do pawilonu. Jasne, afrykańskie słońce, dobre, gorące słońce Ziemi, oświetlało zatopione w szkłościanach zwierzęta, zrodzone pod innymi słońcami, setki miliardów kilometrów stąd. Łowca niemal wszystkie znał, widział je wiele razy i nie tylko w Muzeum. Od czasu do czasu zatrzymywał się przed nowymi eksponatami, czytał dziwaczne nazwy dziwacznych zwierząt i znajome nazwiska myśliwych. „Maltańska szpada”, „Nakrapiany jo”, „Wielki tsin-lin”, „Mały tsin-lin”, „Kapucyn błonkonogi”, „Czarne straszycło”, „Królewna łabędź”... Simon Kreitzer, Władimir Babkin, Bruno Belliard, Nikolas Rouot, Jean Saillieu junior... Znał ich wszystkich i teraz był najstarszy z nich, chociaż może nie miał najwięcej szczęścia. Ale cieszyła go wiadomość, że Saillieu junior wreszcie schwytał łuskowatego skrytoskrzela, że Wołodia Babkin dostarczył na Ziemię żywego mięczaka szybownika, a Bruno Belliard ustrzelił jednak na Pandorze nosogarba, na którego polował od wielu lat...

Wreszcie Łowca doszedł do dziesiątego pawilonu, gdzie było wiele jego własnych trofeów. Tutaj zatrzymywał się niemal przy każdej gablocie, wspominając i smakując. Oto „Latający dywan”, zwany również „Spadającym liściem”. Przez kilka dni nie mogłem wpaść na jego trop, przypomniał sobie. To było na Rużenie, gdzie tak rzadko padają deszcze, gdzie kiedyś, dawno temu zginął wspaniały zoolog Ludwik Porta. „Latający dywan” porusza się bardzo szybko i ma bardzo czuły słuch. Nie można na niego polować w pojeździe, trzeba go tropić dniem i nocą, wypatrując słabych oleistych śladów na listowiu drzew. Wytropiłem go, ale po mnie już nikomu się to nie udało. Ambitny Saillieu nieraz mi przygadywał, że to był czysty przypadek. Łowca z dumą dotknął wygrawerowanych na tabliczce liter:

„...upolowany i spreparowany przez łowcę P. Gniedycha”. Strzeliłem do niego cztery razy i ani razu nie spudłowałem, myślał, ale on jeszcze żył, gdy spadał na ziemię, łamiąc gałązki zielonopiennych drzew. Wtedy jeszcze strzelałem...

A to ślepy potwór z przesyconych ciężką wodą bagien Władysławy. Ślepy i bezkształtny. Nikt dokładnie nie wiedział, jaki nadać mu kształt w czasie wypychania i w końcu za wzór posłużyło najbardziej udane zdjęcie. Goniłem go przez bagna do brzegu, na którym zastawiłem kilka pułapek. Wpadł w jedną z nich i długo ryczał, wijąc się w czarnej cieczy. Potrzebowałem aż dwóch wiader betanowokainy, żeby go uśpić. To było całkiem niedawno, dziesięć lat temu, wtedy już nie strzelałem... Przyjemne spotkanie.

Im dalej Łowca zagłębiał się w galerię dziesiątego pawilonu, tym wolniejsze stawały się jego kroki. Dlatego, że wcale nie chciał iść dalej. Dlatego, że nie mógł nie iść. Dlatego, że zbliżało się najważniejsze spotkanie. Z każdym krokiem coraz mocniej czuł znajomy dręczący niepokój. Ze szklanej skrzynki patrzyły na niego okrągłe białe oczy...

Jak zawsze podszedł do niewielkiej gabloty ze spuszczoną głową i przede wszystkim przeczytał napis na tabliczce, napis, który od dawna znał na pamięć: „Fauna planety Crookesa, system gwiazdy EN 92, cykl węglowy, typ kręgowce, gromada, rząd, rodzina, gatunek – trójpalczak czteroręki. Upolowany przez P. Gniedycha, spreparowany przez doktora A. Kostylina”. Łowca podniósł oczy.

Pod szklaną kopułą, na pochyło ustawionej wypolerowanej desce leżała głowa – bardzo spłaszczona wzdłuż osi poziomej, naga i czarna, o płaskim owalu twarzy, której skóra była gładka jak na bębnie, bez zaznaczonych ust, czoła, nozdrzy. Były tylko oczy. Okrągłe, białe, z małutkimi czarnymi źrenicami, niezwykle szeroko rozstawione. Prawe oko było lekko uszkodzone, co nadawało martwemu spojrzeniu dziwny wyraz. Lin to wspaniały fachowiec; dokładnie taki sam wyraz oczu miał trójpalczak, gdy Łowca po raz pierwszy nachylił się nad nim we mgle. To było dawno temu...

Siedemnaście lat. Dlaczego to się stało? – pomyślał Łowca. Przecież wcale nie miałem zamiaru tam polować. Crookes stwierdził, że tam nie ma wyższych form życia, tylko bakterie i lądowe raczki. A jednak, gdy Sanders poprosił mnie, żebym zbadał okolicę, zabrałem karabin...

Nad kamiennymi osypiskami wisiała mgła. Wstawało małutkie czerwone słońce – czerwony karzeł EN 92 i mgła wydawała się purpurowa. Pod miękkimi gąsienicami łazika szurały kamienie, z mgły wynurzały się ciemne niewysokie skały. Potem coś się poruszyło na grzbiecie jednej ze skał i Łowca zatrzymał pojazd. Z takiej odległości trudno dobrze przyjrzeć się zwierzęciu, w dodatku przeszkadzała mgła i zapadający czerwony zmierzch. Ale doświadczony Łowca miał wprawne oko. Był pewien, że po grzbiecie skały maszeruje jakiś duży kręgowiec, i ucieszył się, że jednak wziął ze sobą karabin. Zrobimy z Crookesa balona, pomyślał wesoło. Podniósł klapę wjazdu, ostrożnie wysunął lufę karabinu i wycelował. W momencie gdy mgła nieco się przeredziła i garbata sylwetka zwierzęcia stała się doskonale widoczna na tle czerwonego nieba, Łowca wystrzelił. Na miejscu, w którym znajdowało się zwierzę, rozbłysł oślepiający fioletowy wybuch. Rozległ się głośny trzask, a potem przeciągły syk. Zza żlebu uniósł się i zmieszał z mgłą kłęb szarego dymu.

Łowca był zdumiony. Doskonale pamiętał, że załadował karabin igłą anestetyczną, po której trudno było się spodziewać takiego wybuchu. Po kilkuminutowym namyśle wyszedł z łazika i ruszył na poszukiwanie zdobyczy. Znalazł ją tam, gdzie się spodziewał: pod skałą na kamiennym osypisku. To było rzeczywiście czteroręki albo czworonożne zwierzę wielkości dużego doga. Było tak potwornie spalone i okaleczone, że Łowca znowu się zdumiał masakrą, spowodowaną zwykłą anestetyczną igłą. Trudno było sobie nawet wyobrazić pierwotny wygląd zwierzęcia. Stosunkowo nietknięta była tylko przednia część głowy – płaski owal obciągnięty czarną skórą, a na nim białe zgasłe oczy.

Na Ziemi trofeum zajął się Kostylin. Po tygodniu powiadomił Łowcę, że jego zdobycz jest bardzo zniszczona i nie stanowi rewelacji – chyba że jako dowód istnienia wyższych form życia w systemie czerwonych karłów. Poradził Łowcy, żeby na przyszłość ostrożniej obchodził się z termicznymi pociskami. „Można by pomyśleć, że strzelałeś w panice – powiedział rozdrażniony. – Jakby cię miało napaść”. – „Ale ja świetnie pamiętam, że strzelałem igłą” – protestował Łowca. – „A ja świetnie widzę, że trafiłeś termiczną kulą w kręgosłup” – odparł Lin. Łowca wzruszył ramionami, nie spierał się dłużej. Oczywiście warto by się dowiedzieć, co spowodowało eksplozję, ale w końcu nie to było najważniejsze.

Tak, wtedy się wydawało, że to zupełnie nie ma znaczenia, myślał Łowca. Wciąż stał i patrzył na płaską głowę stworzenia. Pożartowałem sobie z Crookesa, pospierałem się



z Linem i o wszystkim zapomniałem. A potem przyszło zwątpienie, a z nim – nieszczęście.

Crookes zorganizował jeszcze dwie wielkie ekspedycje. Przeszukał na swojej planecie ogromne przestrzenie i nie znalazł tam ani jednego zwierzęcia większego od dwucentymetrowego raczka. Za to na południowej półkuli, na skalistym płaskowyżu odkrył nie wiadomo czyje lądowisko – okrągły placyk stopionego bazaltu o średnicy mniej więcej dwudziestu metrów. Początkowo to odkrycie wzbudziło zainteresowanie, ale gdy później się wyjaśniło, że mniej więcej w tym rejonie dwa lata temu wylądował Sanders, bo jego gwiazdolot wymagał niewielkiego remontu, wszyscy o odkryciu zapomnieli. Wszyscy prócz Łowcy. Ponieważ w tym czasie zrodziły się w nim wątpliwości.

Kiedys w leningradzkim Klubie Astronautów Łowca usłyszał historię o tym, jak na planecie Crookesa omal nie spłonął żywcem inżynier pokładowy. Zszedł ze statku z niesprawną butlą tlenową. W butli był wyciek, a atmosfera planety Crookesa nasycona jest lekkimi węglowodorami, reagującymi z tlenem. Na szczęście zdążyli z chłopaka zerwać płonąca butlę i skończyło się jedynie na kilku oparzeniach. Łowca słuchał tej opowieści, a przed oczami pojawił mu się fioletowy rozbłysk nad czarną skałą.

Gdy na planecie Crookesa odkryto ten nieznaną placyk do lądowania, wątpliwości przerodziły się w straszną pewność. Łowca pognął do Kostylina. „Kogo ja zabiłem?! – krzychał. – To było zwierzę czy człowiek?! Lin, kogo ja zabiłem?!” Kostylin słuchał go, oblewając się purpurą, a wreszcie wrzasnął: „Siadaj! Przestań histeryzować jak stara baba! Jak śmiesz tak do mnie mówić! Myślisz, że ja, Aleksander Kostylin, nie jestem w stanie odróżnić istoty rozumnej od zwierzęcia?” – „Ale to lądowisko...” – „Sam lądowałeś na tym płaskowyżu z Sandersem...” – „Eksplozja... Przebiłem mu butlę z tlenem!” – „Nie trzeba było strzelać nabojami termicznymi w węglowodorowej atmosferze”. – „Nawet gdyby tak było, to przecież Crookes nie znalazł tam więcej ani jednego czterorękiego! Ja wiem, że to był obcy astronauta!” – „Baba! – krzychał Lin. – Histeryczka! Na planecie Crookesa jeszcze przez najbliższe sto lat mogą nie znaleźć ani jednego czterorękiego! Ogromna planeta, przeryta jaskiniami i pieczarami, dziurawa jak holenderski ser! Po prostu miałaś szczęście, durniu, ale nie umiałaś go wykorzystać i przywiozłeś mi zwęglone kości zamiast zwierzęcia!” Łowca zacisnął ręce, aż zatrzeszczały stawy. „Nie Lin, nie przywiozłem ci zwierzęcia – wymamrotał. – Przywiozłem ci obcego astronautę...”

Jak wiele słów straciłeś, stary Linie! – myślał teraz. Ile razy mnie przekonywałeś! Ile razy wydawało mi się, że znowu mogę odetchnąć spokojnie i nie czuć się mordercą... że mogę żyć jak wszyscy ludzie. Jak dzieci, które bawią się w marsjańskie chowanego... Ale wątpliwości nie da się zagłuszyć sylogizmem.

Położył ręce na gablocie i przywarł twarzą do przezroczystego plastiku.

– Kim jesteś? – zapytał z udręką.

Lin zobaczył go z daleka i jak zawsze poczuł ból na widok tego śmiałego, wesołego niegdyś człowieka, złamanego przez własne sumienie. Ale udał, że wszystko jest równie wspaniałe jak ten piękny słoneczny dzień w Cape Town. Głośno stukając obcasami, podszedł do Łowcy, klepnął go po plecach i umyślnie dziarskim głosem wykrzyknął:

– Koniec spotkania! Głodny jestem jak wilk, Polly! Pójdziemy teraz do mnie na świetny obiad! Dzisiaj Marta przygotowała na twoją cześć prawdziwą *ochsenschwanzsuppe*! Chodźmy, Łowco, *suppe* czeka!

– Chodźmy – powiedział cicho Łowca.

– Już dzwoniłem do domu, wszyscy czekają na ciebie, chcą słuchać twoich opowieści.

Łowca kiwnął głową i powoli poszedł w stronę wyjścia. Lin popatrzył na jego zgarbione plecy i odwrócił się do gabloty. Jego oczy spotkały się z białymi martwymi oczami za przezroczystą ścianką. – Porozmawialiście sobie? – zapytał w duchu Lin. – Tak. – Nic mi nie powiedziałaś? – Nie. – Lin zerknął na tabliczkę. „...trójpalczak czteroreki. Upolowany przez P. Gniedycha, spreparowany przez doktora A. Kostylina”. Znowu popatrzył na Łowcę i szybko, ukradkiem napisał palcem po słowie „czteroreki” sapiens. Na tabliczce nie został oczywiście żaden ślad, ale Lin i tak pospiesznie przetarł ją dłonią.

Doktorowi Aleksandrowi Kostylinowi też było ciężko. On przecież wiedział to na pewno, wiedział od samego początku...

### **Jacy będziecie**

Ocean był jak lustro, a woda przy brzegu taka spokojna, że ciemne wodorosty na dnie, zamiast się kołysać jak zwykle, wisiały nieruchomo.

Kondratiew wprowadził łódź podwodną do zatoki.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Pasażerowie poruszyli się.

– Gdzie moja kamera? – zapytał Sławin.

– Leżę na niej – odezwał się Gorbowski słabym głosem. I bardzo mi niewygodnie. Może wyjdę?

Kondratiew otworzył luk i zobaczyli błękitne niebo. Gorbowski wyszedł pierwszy. Zrobił po kamieniach kilka niepewnych kroków, zatrzymał się i trącił butem suche drewno dryftowe.

– Jak tu dobrze! – wykrzyknął. – Jak miękko! Mogę się położyć?

– Może pan – pozwolił Sławin, który też wydostał się z luku i słodko się przeciągał.

Gorbowski natychmiast rozciągnął się na drewnie.

Kondratiew rzucił kotwicę.

– Osobiście – odezwał się – nie radziłbym na tym leżeć. W tym drewnie zawsze jest zatrząsienie piaskowych pcheł.

Sławin, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, terkotał kamerą.

– Zrób minę – powiedział surowo.

Kondratiew zrobił.

– Pięknie! – pochwalił Sławin i przyklęknął.

– Nie zrozumiałem, o co chodzi z tymi pchłami – odezwał się Gorbowski. – Czy one skaczą, Siergieju Iwanowiczu? Mogą ugryźć?

– Mogą – odparł Kondratiew. – Daj no mi spokój, Jewgienij! Zbieraj drewno i rozpal ognisko.

Wszedł do łodzi i wyjął wiadro. Sławin przykucnął i zaczął z obrzydzeniem grzebać w kawałku drewna dwoma palcami, wybierając co większe szczapy. Gorbowski z zainteresowaniem obserwował jego poczynania.

– Siergieju Iwanowiczu, nadal nie rozumiem z tymi pchłami powiedział.

– Wgryzają się pod skórę – wyjaśnił Kondratiew, płucząc wiadro technicznym spirytusem. – I tam się rozmnażają.

– To potworne – przyznał Gorbowski przekręcając się na plecy.

Kondratiew nabrał do wiadra słodkiej wody z zapasów łodzi i zeskoczył na brzeg. W milczeniu zρέcznie zbierał drewno. Potem rozpalił ognisko, zawiesił nad nim wiadro

i wyjął ze swoich przepastnych kieszeni żyłkę, haczyk i pudełko z przynętą. Sławin podszedł z garścią szczap.

– Pilnuj ognia – polecił Kondratiew. – A ja złapię kilka okoni.

Przeskakując z kamienia na kamień, dotarł na wielką omszałą skałę, wystającą z wody dwadzieścia metrów od brzegu, pokręcił się chwilę i zastygł. Poranek był cichy, słońce wynurzyło się zza horyzontu i ustawiło się prosto nad zatoczką, tak że raziło w oczy. Sławin siadł po turecku przy ognisku i dokładał szczapy.

– Człowiek to zdumiewająca istota – odezwał się nagle Gorbowski. – Wystarczy choćby prześledzić historię jego rozwoju przez ostatnie sto lat. Co za ogromny postęp, na przykład w dziedzinie produkcji. Jak bardzo rozszerzyła się dziedzina działalności badawczej. Z każdym rokiem pojawiają się nowe dziedziny i nowe zawody. Niedawno poznałem kogoś, kto uczy dzieci chodzić. Wielki specjalista. Opowiadał mi, że istnieje bardzo złożona teoria tego zagadnienia.

– Jak brzmi jego nazwisko? – spytał leniwie Sławin.

– Jego nazwisko... Jelena Iwanowna, nazwiska nie znam. Ale nie o tym chciałem mówić. Chodzi mi o to, że nauka i sposoby produkcji ciągle się zmieniają, a rozrywki i sposoby wypoczynku są identyczne jak w starożytnym Rzymie. Gdyby znudziło mi się być astronautą, mógłbym zostać biologiem, budowniczym, agronome... albo jeszcze kimś innym. A co mam zrobić, jeśli mi się, powiedzmy, znudzi leżenie? Chodzić do kina, słuchać muzyki albo patrzeć, jak inni biegają na stadionach. I koniec! Zawsze tak było – widowisko i gry. Krótko mówiąc, wszystkie nasze rozrywki sprowadzają się w ostatecznym rozrachunku do zaspokojenia kilku zmysłów. Proszę zauważyć, że nawet nie wszystkich. Na przykład jeszcze nikt nie wymyślił, jak się rozerwać, zaspokajając zmysł węchu czy dotyku.

– To by dopiero było! – powiedział Sławin. – Masowe widowiska, masowe macaliska i masowe wachaliska.

Gorbowski zachichotał cichutko.

– Otóż to! Wachaliska. A przecież, Jewgieniju Markowiczu, kiedyś tak właśnie będzie!

– W tym jest pewna prawidłowość, Leonidzie Andriejewiczu.

Według praw natury człowiek ostatecznie dąży nie do samego odbioru bodźców, lecz do ich przetwarzania, nie tyle do zaspokajania elementarnych zmysłów, ile głównego „narządu zmysłów”, mózgu.

Sławin wybrał jeszcze kilka szczapek i wrzucił do ogniska.

– Ojciec opowiadał mi, że w jego czasach ktoś wróżył ludzkości zwyrodnienie w warunkach dobrobytu. Wszystko zrobią maszyny, na chleb z masłem zarabiać nie będzie trzeba, więc ludzie zajmą się próżniactwem. Zostaną same trutnie. Ale sęk w tym, że praca jest dużo ciekawsza niż wypoczynek. Być trutniem jest zwyczajnie nudne.

– Znałem jednego trutnia – odparł poważnie Gorbowski. – Bardzo nie lubiły go dziewczęta i wyginał w rezultacie doboru naturalnego. A jednak myślę, że historia rozrywek jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Mam na myśli rozrywki w dawnym znaczeniu tego słowa. Wachaliska będą, obowiązkowo. Nawet to widzę...

– Siedzi czterdzieści tysięcy – podjął temat Sławin – i wszyscy jak jeden mąż wachają. Symfonia „Róże w sosie pomidorowym”.

A krytycy z wielkimi nosami będą pisać: „W trzeciej części w delikatny zapach różanych płatków wdziera się dysonans majorowe brzmienie świeżej cebuli...”

Gdy Kondratiew wrócił z pękiem świeżych ryb, astronauta i pisarz rzeli przy gasnącym ognisku.

– Co was tak rozbawiło? – zainteresował się Kondratiew.

– Cieszymy się życiem – odparł Sławin. – Ty też możesz ubarwić sobie życie wesołym żartem.

– Proszę bardzo – powiedział Kondratiew. – Zaraz wypatroszę ryby, a ty zbierzesz wnętrzności i zakopiesz pod tamtym kamieniem. Zawsze je tam zagrzebuję.

– Symfonia „Kamień mogilny” – włączył się Gorbowski. – Część pierwsza, *allegro non troppo*.

Sławin skrzywił się i zamilkł, przypatrując się fatalnemu kamieniowi. Kondratiew wziął flądrę, prasał ją o płaski kamień i wyciągnął nóż. Gorbowski z zachwytem obserwował jego ruchy. Kondratiew jednym cięciem odciął łeb flądze, zręcznie wsunął dłoń i błyskawicznie wyciągnął rybę ze skóry, jakby zdejmował rękawiczkę. Skórę i wnętrzności rzucił Sławinowi.

– Leonidzie Andriejewiczu – powiedział – niech pan przyniesie sól.

Gorbowski bez słowa wstał i poszedł do łodzi. Kondratiew szybko oprawił flądrę i zajął się okoniami. Przed Sławinem rosła sterta rybich wnętrzności.

– Gdzie jest sól? – zawołał Gorbowski z luku.

– W skrzynce z żywnością – odkrzyknął Kondratiew. – Po prawej stronie.

– Czy ona nie odjedzie? – zapytał z lękiem Gorbowski.

– Kto?

– Łódź. Po prawej stronie jest pulpit sterowniczy.

– Po prawej stronie pulpitu jest skrzynka – rzucił Kondratiew.

Było słychać, jak Gorbowski kręci się po kabynie.

– Znalazłem – oznajmił radośnie. – Wszystko wziąć? Tu jest z pięć kilo...

Kondratiew podniósł głowę.

– Jak to pięć? Powinna być mała torebka.

Po chwili ciszy Gorbowski oznajmił:

– Tak, rzeczywiście. Już niosę.

Wydostał się z luku, trzymając przed sobą torebkę z solą. Obie ręce miał ubielone mąką. Położył torebkę obok Kondratiewa, westchnął: „Na światową entropię...!” i już miał zamiar znów się położyć, ale powstrzymał go głos Kondratiewa:

– A teraz, Leonidzie Andriejewiczu, proszę mi przynieść liście laurowe.

– A po co? – zapytał z ogromnym zdumieniem Gorbowski. Czy naprawdę trzech ludzi w podeszłym wieku, trzech starców nie jest w stanie obejść się bez liści laurowych? Z ich ogromnym doświadczeniem, z ich wstrzemięźliwością?

– Nie, nie – zaprzeczył Kondratiew. – Obiecałem panu, Leonidzie Andriejewiczu, że pan dziś porządnie odpocznie, no więc pan odpocznie. Marsz po liście laurowe...

Gorbowski poszedł po liście laurowe, potem po pieprz, po włoszczyznę, a wreszcie – oddzielnie – po chleb. Razem z chlebem, na znak protestu, przydźwigał ciężką butlę z tlenem i zjadliwie oznajmił:

– Przyniosłem od razu, na wszelki wypadek, może będzie potrzebna...

– Nie będzie – rzucił Kondratiew. – Bardzo dziękuję, ale proszę odnieść.

Gorbowski, klnąc, zawlókł butlę z powrotem. Po powrocie nawet nie próbował się kłaść. Stał obok Kondratiewa i przyglądał się, jak gotuje zupę rybną. Posepny korespondent Europejskiego Centrum Informacyjnego, używając do tego dwóch szczapek, nosił rybie wnętrzności do mogilnego kamienia.

Zupa zawrzała, roztaczając oszałamiający aromat, doprawiony lekkim zapachem dymu.

Kondratiew wziął łyżkę, spróbował i zamyślił się.

– No i jak? – zapytał Gorbowski.

– Jeszcze szczyptę soli – zawyrokował Kondratiew. – I chyba pieprzu. Jak pan sądzi?

– Chyba tak – Gorbowski przełknął ślinę.

– Tak – powiedział twardo Kondratiew. – Soli i pieprzu.

Sławin skończył przenoszenie rybich wnętrzności, przywalił je kamieniem i ruszył myć ręce. Woda była ciepła i krystalicznie czysta. Widział malutkie szarozielone rybki pływające pomiędzy wodorostami. Przysiadł na kamieniu i zapatrzył się. Ocean lśniąca ścianą wznosił się za zatoką. Nad horyzontem nieruchomo wisiały niebieskie wzgórza sąsiedniej wyspy. Wszystko było niebieskie, lśniące i nieruchome, tylko nad sitowiem w zatoce pływały wielkie czarno-białe ptaki. Od wody płynął słonawy zapach.

– Wspaniała planeta ta nasza Ziemia – powiedział głośno.

– Gotowe! – oznajmił Kondratiew. – Możemy jeść. Leonidzie Andriejewiczu, niech pan będzie tak dobry i przyniesie talerze.

– Dobrze – rzekł Gorbowski. – I może od razu łyżki.

Usiedli wokół dymiącego wiadra, Kondratiew rozlał uchę. Przez jakiś czas jedli w milczeniu, wreszcie Gorbowski powiedział:

– Uwielbiam uchę. A tak rzadko zdarza mi się ją jeść.

– Jest jeszcze pół wiadra – pocieszył go Kondratiew.

– Ach, Siergieju, Iwanowiczu! – westchnął Gorbowski. – Na zapas i tak się nie najem.

– Na Tagorze nie będzie uchy – stwierdził Kondratiew.

Gorbowski znowu westchnął.

– Całkiem możliwe. Chociaż Tagora to nie Pandora i na uchę mimo wszystko jest nadzieja. Jeśli tylko komisja zezwoli na łowienie ryb.

– A dlaczego by nie?

– Członkowie komisji są przeważnie zgorzkniali i okrutni. Na przykład Gienadij Komow. Już on na pewno zabroni mi leżeć. Zażąda, żeby wszystkie moje działania były zgodne z interesami aborygenów. A skąd ja mogę wiedzieć, jakie są ich interesy?

– Niewiarygodny z pana zrzęda, Leonidzie Andriejewiczu – powiedział Sławin. – Pańskie uczestnictwo w komisji do spraw kontaktów to jedna wielka pomyłka. Wyobrażasz sobie, Siergiej, jak Leonid Andriejewicz, od stóp do głowy pokryty znamionami antropocentryzmu, reprezentuje ludzkość przed cywilizacjami innej planety?

– A dlaczego nie? – powiedział rozsądnie Kondratiew. – Ja bardzo szanuję Leonida Andriejewicza.

– I ja go szanuję – rzucił Gorbowski.

– Ja też – dodał Sławin. – Ale nie podoba mi się pytanie, które na pewno zada w pierwszej kolejności.

– Jakie pytanie? – zdumiał się Kondratiew.

– „Czy mogę się położyć?”

Kondratiew parsknął w łyżkę z uchą, a Gorbowski spojrzał na Sławina z wyrzutem.

– Jewgieniju Markowiczu! Jak pan może tak żartować? Pan sobie kpi, a ja mam pietra, ponieważ pierwszy kontakt z niedawno odkrytą cywilizacją to wydarzenie historyczne i najmniejsza gafa może zaszkodzić naszym potomkom. A potomkowie, muszą wam powiedzieć, głęboko w nas wierzą.

Kondratiew przestał jeść i popatrzył na niego.

– Cóż – dodał pospiesznie Gorbowski – za wszystkich potomków oczywiście nie mogę

ręczyć, ale na przykład Piotr Pietrowicz całkiem konkretnie oświadczył, że w nas wierzy.

– A czym potomkiem jest ten Piotr Pietrowicz? – spytał Kondratiew.

– Dokładnie nie mogę powiedzieć, ale z całą pewnością jakiegoś Piotra. Wie pan, o tym akurat nie rozmawialiśmy... Jeśli pan chce, opowiem, o czym była mowa.

– Hmm – mruknął Kondratiew. – A zmywanie?

– Nie zgadzam się! Teraz albo nigdy. Po jedzeniu trzeba chwilę poleżeć.

– Słusznie – wykrzyknął Sławin i zwałił się na bok. – Niech pan opowiada, Leonidzie Andriejewiczu.

– Szliśmy na „Tarielu” do EN 6 – zaczął Gorbowski. – Rejs łatwy i niezbyt ciekawy. Wieźliśmy Percy’ego Dicksona i siedemdziesiąt ton dobrego jedzenia dla tamtejszych astronomów, gdy nagle wybuchł nam wzbogacz. Nikt nie wie, dlaczego, ale takie rzeczy zdarzają się nawet teraz. Zawiliśmy w przestrzeni, w odległości dwóch parseków od najbliższej bazy, i powoli zaczęliśmy się przygotowywać do przejścia na tamten świat – bez wzbogacza plazmy o niczym innym nie może być mowy. Mieliśmy dwa wyjścia: otworzyć luki od razu albo najpierw zjeść siedemdziesiąt ton żywności astronomów, a dopiero potem otworzyć luki. Obaj z Valkensteinem siedzieliśmy w mesie obok nieprzytomnego Percy’ego Dicksona i zastanawialiśmy się. Percy’emu Dicksonowi było najłatwiej – miał rozbitą głowę i o niczym nie wiedział. Przemysłiliśmy całą sytuację i doszliśmy do wniosku, że nie ma się dokąd spieszyć. To było największe zadanie, jakie kiedykolwiek sobie postawiliśmy: zlikwidować we dwóch siedemdziesiąt ton produktów... bo na Dicksona nie było co liczyć. Trzydzieści lat w każdym razie moglibyśmy pociągnąć, a potem przyszłaby pora na luki. Systemy wodnej i tlenowej regeneracji były w absolutnym porządku, poruszaliśmy się z prędkością dwieście pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę i być może mieliśmy przed sobą jeszcze inne nieznanne światy, oprócz „tamtego”.

Chciałbym, żebyście wczuli się w naszą sytuację: do najbliższego zamieszkanego punktu dwa parseki, na pokładzie trzech ludzi: dwóch normalnych i jeden półmartwy. Proszę zauważyć, dokładnie trzech, mówię to wam jako dowódca. I wtedy otwierają się drzwi i wchodzi czwarty. Początkowo nawet nas to nie zdziwiło. Valkenstein dość niegrzecznie zapytał: „Czego pan chce?” I wtedy dopiero do nas dotarło, zerwaliśmy się i wytrzeszczyliśmy na niego oczy. On gapił się na nas. A muszę wam powiedzieć, że to był zwyczajny człowiek. Średniego wzrostu, szczupły, twarz przyjemna, bez tego, no... owłosienia, które nosił na przykład nasz Dickson. Tylko oczy szczególne, jak u lekarza. Ubrany jak astronauta w rejsie, tylko bluza zapięta na lewą stronę, tak jak zapinają guziki kobiety oraz, jeśli wierzyć pogłoskom, diabeł. To mnie zdumiało najbardziej. Zamrugalem, spojrzałem drugi raz, a jego bluza już jest zapięta prawidłowo. Usiadłem z wrażenia.

„Dzień dobry – powiedział nieznamy. – Nazywam się Piotr Pietrowicz. Wasze nazwiska znam, więc nie traćmy czasu, zobaczmy, co z doktorem Dicksonem”. Dość bezceremonialnie odepchnął Valkensteina i usiadł przy Dicksonie. „Przepraszam – odezwałem się – pan jest lekarzem?” – „Tak – on na to – trochę”. I zaczyna zdejmować z głowy Dicksona opatrunek. Tak, wiecie, od niechcenia, jak dzieci odwijają papierek z cukierka. Aż mnie dreszcz przeszedł. Spojrzałem na Valkensteina. Mark stoi bład, otwiera i zamyka usta. Tymczasem Piotr Pietrowicz zdjął opatrunek i przemył ranę. Trzeba wam wiedzieć, że rana wyglądała przerażająco, ale nasz lekarz nie stracił rezonu. Rozcapierzył palce i zaczął masować Dicksonowi czaszkę. Wyobraźcie sobie, że rana się zasklepiła! Na naszych oczach! Nie zostało ani śladu. Dickson przekreślił się na prawy bok i zachrapał jakby nigdy nic.

„Proszę – powiedział Piotr Pietrowicz. – Teraz niech się wyśpi, a my tymczasem pójdziemy zobaczyć, co się tam u was dzieje w maszynowni”. Poprowadził nas. Poszliśmy za nim jak owieczki, ale w odróżnieniu od owieczek nawet nie beczeliśmy. Po prostu, wyobraźcie sobie, zabrakło nam słów. Nie byliśmy przygotowani na takie spotkanie. Piotr Pietrowicz otworzył luk do reaktora i wszedł prosto do komory wzbogacacza. Valkenstein jęknął, a ja krzyknąłem: „Ostrożnie! Promieniowanie!” Piotr Pietrowicz popatrzył na nas w zadumie i mruknął: „A tak, rzeczywiście. Idźcie, Leonidzie Andriejewiczu i Marku Jefremowiczu, na mostek, ja zaraz wrócę”. I zamknął za sobą luk. Na mostku zaczęliśmy się nawzajem szczypać, boleśnie i zaciekle. Ale ani ja, ani Mark się nie obudziliśmy. Po dwóch minutach włączyły się wszystkie indykatory i pulpit obok zaczął wskazywać gotowość numer jeden. Mark przestał mnie szczypać i odezwał się słabym głosem: „Leonidzie Andriejewiczu, może pan pamięta, jak się odpędza siłę nieczystą?” Jak tylko to powiedział, wszedł Piotr Pietrowicz. „No, no, mówi, ale ma pan statek, Leonidzie Andriejewiczu. Istna trumna. Chylę czoło przed waszą odwagą, towarzysze”. Zaproponował, żebyśmy usiedli i zadawali mu pytania.

Zastanawiałem się gorączkowo, jakie by zadać mądre pytanie, a Mark, człowiek niezwykle praktyczny, od razu zapytał: „Gdzie się teraz znajdujemy?” Piotr Pietrowicz uśmiechnął się smutno i w tej samej chwili ściany mostku stały się przezroczyste. „Proszę – mówi Piotr Pietrowicz – tam jest nasza Ziemia. Cztery i pół parseka. A tam EN 6, jak wy ją nazywacie. Zmieńcie kurs o sześć dziesiątych sekundy i idźcie prosto na derytrynitację. A może was od razu podrzucić do EN 6?” Ambitny Mark powiedział: „Dziękujemy, proszę się nie martwić, teraz już poradzimy sobie sami”. Od razu wziął byka za rogi i zaczął orientować statek. Ja tymczasem ciągle jeszcze wymyślałem sensowne pytanie, przez cały czas pchały mi się na język jakieś „pogody w nadgwiezdnych sferach”. Piotr Pietrowicz zaśmiał się i powiedział: „Widzę, że jesteście zbyt wzburzeni, żeby zadawać pytania, a na mnie już czas. Czekają na mnie w tych nadgwiezdnych sferach. Sam wam wszystko pokrótce wyjaśnię.

Jestem, powiedział, waszym odległym potomkiem. My, potomkowie, bardzo lubimy od czasu do czasu, odwiedzić was, przodków, popatrzeć, jak wam idzie, i pokazać, jacy będziecie. Przodków interesuje, jacy będą w przyszłości, a potomków – w jaki sposób stali się tacy, jakimi są. Co prawda, takie wycieczki nie są u nas dobrze widziane. Z wami, przodkami, trzeba się mocno pilnować. Można tak narozrabiać, że całą historię wywraca się do góry nogami. A powstrzymać się od wtrącania w wasze sprawy jest czasem bardzo trudno. Tak jak ja dziś to jeszcze można, ale pewien mój przyjaciel trafił na bitwę pod Kurskiem i zaczął odpierać atak czołgów. Sam zginął i tak nakombinował, że strach pomyśleć. Co prawda, nie sam odpierał ten atak, więc nikt niczego dziwnego nie zauważył. A inny mój towarzysz rwał się, żeby zniszczyć armię Czyngis-chana. Ledwie go powstrzymali. No, to by było na tyle. Pójdę już, pewnie zaczęli się o mnie martwić.

Wtedy krzyknąłem: „Chwileczkę, jedno pytanie! To znaczy, że teraz już wszystko możecie?” Popatrzył na mnie z pobłażliwą czułością i powiedział: „Ależ, Leonidzie Andriejewiczu! Coś niecoś oczywiście możemy, ale pracy wystarczy jeszcze na milion wieków. Na przykład ostatnio zepsuł się nam jeden dzieciak. Wychowywaliśmy go, ale w końcu zrezygnowaliśmy. Rozłożyliśmy ręce i wysłaliśmy go, żeby gasił galaktyki, w sąsiednim metasystemie jest kilka zbędnych. A wy, towarzysze, jesteście na słusznej drodze. Podobacie nam się. Tylko pamiętajcie: jeśli będziecie tacy, jacy macie zamiar być, to i my staniemy się tacy, jacy jesteśmy. I jakimi wy chcielibyście być”. Pomachał ręką

i poszedł. Koniec bajki.

Gorbowski uniósł się na łokciu i popatrzył na słuchaczy. Kondratiew drzemał, grzejąc się na słońcu. Sławin leżał na plecach, patrząc w zadumie w niebo.

– „W imię przyszłości budzimy się ze snu – zacytował powoli. – W imię przyszłości dążymy myślą naprzód. W imię przyszłości zbieramy siły... A gdy usłyszymy kroki ognia, będziemy gotowi, by kierować falami płomienia”.

Gorbowski dosłuchał do końca i powiedział:

– To o treści. A co z formą?

– Początek nawet udany – oświadczył Sławin tonem profesjonalisty. – Ale pod koniec pan spuchł. Czy naprawdę tak trudno było wymyślić coś innego niż tego pańskiego zepsutego dzieciaka?

– Trudno – przyznał się Gorbowski.

Sławin przekręcił się na brzuch.

– Wie pan co, Leonidzie Andriejewiczu, na moją wyobraźnię zawsze działała leninowska idea rozwoju ludzkości po spirali: od pierwotnego komunizmu nędzarzy przez głód, krew, wojny, niesprawiedliwość aż do komunizmu duchowego i materialnego bogactwa.

Dla pana to tylko teoria, a ja przecież znałem te czasy, gdy spirala się jeszcze nie skończyła. To prawda, że tylko w kinie, ale widziałem jak rakietami zapalają wsie, jak ludzie płoną w napalmie... Wie pan, co to takiego napalm? A co to takiego łapówkarz, wie pan?

Rozumie pan, od komunizmu człowiek zaczął i do komunizmu wrócił, a wraz z tym powrotem zacznie się nowy odcinek spirali, już zupełnie fantastyczny...

Kondratiew nagle otworzył oczy, przeciągnął się i usiadł.

– Filozofowie – powiedział. – Mędrcy! Chodźcie, pozmywamy szybko naczynia, wykapiemy się i pokażę wam Złotą Grotę. Czegoś takiego jeszcze nie widzieliście, doświadczeni starcy.

*Moskwa-Leningrad, 1960-1966*